

Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



Apokalipsa z Waszyngtonu

Jurij Listwinow

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza

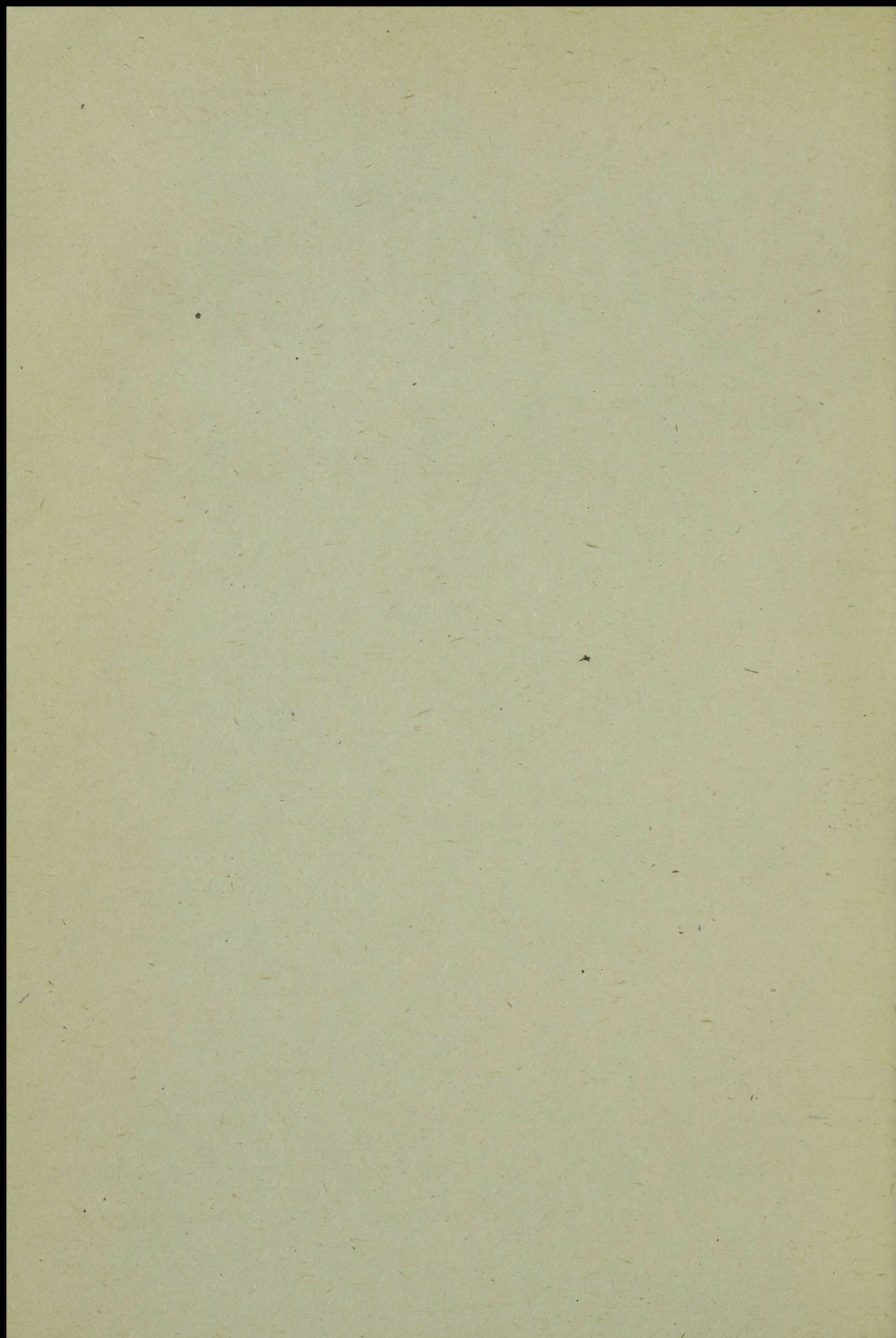


Apokalipsa z Waszyngtonu

Jurij Listwinow

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza

Apokalipsa z Waszyngtonu



Jurij Listwinow

Apokalipsa z Waszyngtonu

USA—zbrojenia i polityka

Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 1986

Tytuł oryginału

Apokalipsis iz Waszingtona (SSzA: orużije i politika)

Przekład

Czesław Czarnogórski

Opracowanie graficzne

Andrzej Pilich

Redaktor

Mariusz Zwoliński

Redaktor techniczny

Krystyna Dawidczyk

Korekta

Barbara Kolberger

Jadwiga Janik

© Copyright by AP „Nowosti”, Moscow 1984

© Copyright for the Polish edition by MAW, Warszawa 1986

34017



ISBN 83-203-2326-6

Do czytelnika polskiego

Autor zawsze pisze dla czytelnika. Ale czytelnik czytelnikowi nierówny.

W roku 1972 jedną z moich książek — *Pierwsze uderzenie* — przełożono na język angielski i wydano w Stanach Zjednoczonych. Były to czasy najdalej sięgających nadziei na pogłębienie odprężenia. Mimo to książkę wydano z nadrukiem: „Tylko do użytku służbowego”. W Pentagonie zaś opatrzono ją dodatkowym stempelkiem: „Tylko dla oficerów starszych”.

Cóż, i tacy zdarzają się czytelnicy. Odwiedziwszy Stany Zjednoczone wkrótce po wydaniu książki, mogłem się przekonać, że nie przeszła bez echa, a dla niektórych była objawieniem.

Prawdziwie cieszy jednak czytelnik życzliwy. Za takiego właśnie uważam czytelnika polskiego.

Moja znajomość z Polakami rozpoczęła się w latach wojny. W czasie formowania na terytorium ZSRR polskich jednostek wojskowych nasz dywizjon artylerii stacjonował nie opodal, toteż jego szeregowi i oficerowie szybko zawarli znajomości z polskimi towarzyszami broni. Wspomnienia przetrwały do dziś.

Później, już po wojnie, byłem w Polsce nie raz.

Nie powiem, że moje poglądy nigdy się nie różniły od poglądów Polaków, których spotykałem na mojej drodze życiowej. Nie dotyczyło to jednak sprawy najistotniejszej: poczucia naszej wspólnoty, dążenia do pokoju, do dobrosąsiedzkich stosunków ze wszystkimi narodami i krajami. I dlatego zawsze byliśmy przyjaciółmi, towarzyszami broni.

Oto dlaczego wiadomość o wydaniu mojej książki w Polsce sprawiła mi wielką radość.

Jurij Listwinow

Przedmowa

Potrzeba uratowania pokoju, zapobieżenia katastrofie termojądrowej stanowi „sprawę najważniejszą, niepokojącą dzisiaj narody”¹.

Dla rozwiązania tego problemu ogólnoludzkiego niezbędne jest głębokie uzmysłowienie sobie przez miliony ludzi na wszystkich kontynentach realnego niebezpieczeństwa zagłady nuklearnej, jakie zawisło nad narodami. Poczynania amerykańskiego kierownictwa wojskowego i politycznego, nacechowane brakiem poczucia odpowiedzialności, popychały i nadal popychają ludzkość ku owej niebezpiecznej rubieży, za którą trudno już będzie uratować pokój.

Ogromne osiągnięcia nauki i techniki w pierwszej połowie XX wieku zmaterializowane zostały przez Stany Zjednoczone także w bombach jądrowych zrzuconych na Hiroszimę i Nagasaki. W sierpniu 1945 roku ludzkość zetknęła się z największym wojskowo-politycznym problemem XX wieku — problemem broni jądrowej. Pojawienie się owej broni masowego rażenia wycisnęło mocne piętno na stosunkach międzynarodowych.

Mając monopol na broń jądrową i pragnąc sprawować kontrolę nad przebiegiem rozwoju historycznego, waszyngtońskie koła rządzące zaczęły uprawiać politykę jawnego nacisku i szantażu wobec pozostałych państw. Poczynając od tego czasu wszystkie plany wywołania wojny ze Związkiem Radzieckim opierano przede wszystkim na użyciu broni jądrowej. A jej cel ostateczny formułowano nader jednoznacznie: „położyć kres istnieniu państwa radzieckiego”, „skończyć z komunizmem raz na zawsze”. Jedynie bohaterstwo i czyn narodu radzieckiego, który w najtrudniejszych warunkach wojny i zniszczeń powojennych zdołał

stworzyć broń jądrową, umożliwił, likwidując monopol Stanów Zjednoczonych w tej dziedzinie, postawienie zapory na drodze do trzeciej wojny światowej.

Polityka „z pozycji siły”, przecenianie roli siły w stosunkach międzynarodowych, przekonanie, że z jej pomocą można rozwiązywać problemy rozwoju historycznego — oto co przede wszystkim charakteryzuje całą politykę zagraniczną Waszyngtonu.

W proponowanej Czytelnikowi książce znany radziecki uczyony — amerykańista Jurij Listwinow — korzystając z bogatego materiału fotograficznego, rozpatruje retrospektywnie dzieje rozwoju zbrojeń Stanów Zjednoczonych po drugiej wojnie światowej i ich wpływ na wojskowo-strategiczne koncepcje imperiaizmu amerykańskiego.

W książce przekonywająco ukazano, jak pod osłoną największego kłamstwa XX wieku — mitu o „radzieckim niebezpieczeństwie militarnym” — rozwinięto w niespotykanej skali uciążliwy w skutkach wyścig zbrojeń, będący materiałowo-technicznym przygotowaniem bazy planowanej wojny.

Stany Zjednoczone w ciągu całego okresu powojennego były inicjatorem tworzenia coraz nowych typów i rodzajów broni, czego nie negują nawet liczni burżuazyjni teoretycy wojskowi. Amerykańskie koła rządzące stawiały i stawiają nadal na osiągnięcie przewagi militarnej nad ZSRR pod pretekstem likwidacji własnego „nienadążania” lub tak zwanego osłaniania „okien wrażliwości”, czyli słabych miejsc w obronie. Wymuszony udział Waszyngtonu w latach siedemdziesiątych w rokowaniach ze Związkiem Radzieckim na temat ograniczenia zbrojeń jądrowych i złagodzenia napięcia międzynarodowego wynikał z wielu przyczyn zarówno zewnętrznych, jak i wewnętrznych. Ale nawet wtedy zakulisowa działalność wpływowych sił politycznych Stanów Zjednoczonych skierowana była przeciwko zawieraniu jakichkolwiek porozumień z ZSRR o ograniczeniu wyścigu zbrojeń, a także zmierzała do storpedowania osiągniętych już porozumień, że wspomnimy chociażby tylko o układzie SALT II.

Wielkie zainteresowanie Czytelników wzbudzą niewątpliwie przedstawione przez autora liczne programy wojskowe Stanów

Zjednoczonych dotyczące zbrojeń konwencjonalnych, szerokiego wykorzystania w nich najnowszych odkryć naukowych.

Związek Radziecki, przeciwstawiając agresywnym dążeniom Waszyngtonu pokojową politykę zagraniczną, już w chwili pojawienia się broni jądrowej proponował poczynienie realnych kroków zmierzających do jej zakazu i zniszczenia. Stanowisko to nie zmieniło się również wtedy, gdy ZSRR, likwidując monopol atomowy Stanów Zjednoczonych, wszedł w posiadanie broni jądrowej.

Wielokrotne propozycje państwa radzieckiego dotyczące zaprzestania wyścigu zbrojeń, zakazu dalszego wytwarzania, zredukowania zapasów i stopniowego wyłączenia broni jądrowej z arsenałów państw, nie napotkały jednak poparcia za oceanem. Nawet powzięcie przez ZSRR jednostronnego zobowiązania, że nie użyje broni jądrowej jako pierwszy, nie spowodowało rezygnacji amerykańskiej ekipy rządzącej z zamiaru użycia tej broni masowego rażenia.

Upór Waszyngtonu w realizacji jego kursu militarystycznego przeczy elementarnemu zdrowemu rozsądkowi, jest zaiste brzemienne dla ludzkości apokalipsą jądrową.

„Ludzkość — słusznie podkreślał Sekretarz Generalny KC KPZR, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Jurij Andropow — nie może godzić się bez końca z wyścigiem zbrojeń i z wojnami, o ile nie chce ryzykować swojej przyszłości. KPZR jest przeciwko temu, by spory ideowe przekształcały się w konfrontacje między państwami i narodami, by miernik potencjału systemów społecznych stanowiła broń oraz gotowość jej użycia”².

Generał major inżynier
Władimir Biełous

Zamiast wstępu

...Jesienią 1775 roku w Sankt-Petersburgu otrzymano poufny list króla angielskiego do cesarzowej rosyjskiej. W przesłaniu tym Jerzy III powiadamiał Katarzynę II o swoim zamiarze użycia wojsk rosyjskich do stłumienia powstania w koloniach angielskich w Ameryce Północnej. Licząc na pomoc rosyjskiego samowładztwa, Anglicy przygotowali nawet projekt układu, zgodnie z którym do dyspozycji dowództwa brytyjskiego miał być przekazany rosyjski korpus ekspedycyjny złożony z 20 tysięcy żołnierzy.

Nie ma potrzeby mówienia o tym, że Katarzyna II traktowała walkę mieszkańców kolonii o wolność tak samo, jak i korona brytyjska — uważała ich za „buntowników”. Mimo to jednak nie wysłano wojsk rosyjskich na pomoc Brytyjczykom. Cesarzowa bowiem dosyć trzeźwo oceniała realne możliwości zdławienia rewolucji siłą oręża. „Życzę z całego serca — odpowiedziała — żeby moi przyjaciele Anglicy doszli do porozumienia ze swymi koloniami, jednakże... obawiam się, że jeszcze za mojego życia będziemy świadkami oderwania się Ameryki od Europy”.

Zupełnie inaczej jednak postąpił Waszyngton, gdy prawie sto pięćdziesiąt lat później już nie burżuazyjna, lecz socjalistyczna rewolucja ogarnęła jedną szóstą naszego globu. Zaślepieni nienawiścią do niej amerykańscy działacze polityczni znaleźli się w pierwszym szeregu tych, którzy zamierzali za pomocą oręża „zniszczyć z korzeniami zarodki bolszewizmu”. Oni właśnie, mówiąc słowami Włodzimierza Lenina, „zapisali szczególnie tragiczną kartę w krwawych dziejach krwawego imperializmu, udzieliwszy swej zgody... na zbrojną wyprawę... mającą na celu zdławienie pierwszej republiki socjalistycznej”¹.

Szykując się do wyprawy na Kraj Rad, Waszyngton zamierzał przekształcić ją w zakrojoną na wielką skalę interwencję zbrojną. W drugiej połowie 1918 roku wyścig zbrojeń nabral tam szczególnej intensywności. Na potrzeby wojskowe wyasygnowano wielkie sumy dodatkowe: sama tylko armia otrzymała 12 miliardów dolarów. Przyjęto wielki program budowy floty wojennej. Prezydenta obdarzono prawem nieograniczonego powiększania liczebności amerykańskich sił zbrojnych. Powiększanie potęgi militarnej odbywało się również bezpośrednio na kontynencie europejskim. Począwszy od wiosny 1918 roku co miesiąc przybywały tu nowe kontyngenty wojskowe liczące do 300 tysięcy żołnierzy. Do połowy roku w składzie amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego w Europie znajdowało się ponad 2 miliony żołnierzy.

Mimo tych wielkich przygotowań bezpośredni udział Stanów Zjednoczonych w interwencji zbrojnej był jednak „zanizony”. Na północy Rosji — w rejonie Murmańska i Archangielska — ogólna liczebność desantu amerykańskiego wynosiła około 13 tysięcy żołnierzy, na Dalekim Wschodzie — około 10 tysięcy. Wojska te w zasadzie specjalizowały się w prowadzeniu akcji pacyfikacyjnych, czyli — mówiąc dzisiejszym językiem — w „brudnej” wojnie. W równie ograniczonym zakresie wykorzystywano także okręty bojowe amerykańskiej marynarki wojennej: krążownik „Olympia” osłaniał lądowanie wojsk sojuszniczych w Murmańsku i Archangielsku, krążownik „Brooklin” usiłował przeszkodzić w ustanowieniu władzy radzieckiej we Władywostoku, a później osłaniał lądowanie w porcie tego miasta oddziałów japońskich i brytyjskich interwentów.

Czym należy tłumaczyć stosunkowo niewielki zakres akcji zbrojnej Stanów Zjednoczonych przeciwko Rosji Radzieckiej? Może, jak twierdzą historycy amerykańscy, „samoograniczeniem się” Waszyngtonu w użyciu siły? Na pewno nie! Działania administracji amerykańskiej ograniczały zupełnie inne czynniki, a przede wszystkim — wzmaganie się nastrojów rewolucyjnych zarówno w kraju, jak i w szeregach korpusu ekspedycyjnego. Zbiorowa odmowa wykonywania rozkazów, żądania zaprzestania interwencji i powrotu do domu przybierały, z punktu widzenia amerykańskiego dowództwa wojskowego, na tyle poważny

charakter, że rodziły w nim strach przed „powszechnym powstaniem”, tworzyły „niebezpieczną i grożącą wybuchem” atmosferę w całej Europie, czyniły tam „pozycję wszystkich rządów chwiejną”². Wspólna komisja Kongresu i Departamentu Wojny, badająca sytuację na miejscu, stwierdzała w swym sprawozdaniu, że nie ma już więcej sposobów na zmuszenie przebywających za oceanem żołnierzy do prowadzenia działań zbrojnych³. Występując na posiedzeniu Rady Najwyższej Paryskiej Konferencji Pokojowej w połowie maja 1919 roku, prezydent Woodrow Wilson musiał oświadczyć, że wojska amerykańskie odmawiają udziału w antyradzieckiej interwencji⁴. Podjęta w maju tegoż roku próba zwerbowania ochotników do interwencji zbrojnej w Rosji zakończyła się kompletnym niepowodzeniem: na apel zgłosiło się zaledwie 14 osób⁵.

Istotny wpływ wywarł na to masowy opór zbrojny przeciwko interwentom oraz szybki wzrost radzieckiego potencjału wojskowego. Już wiosną 1919 roku liczebność Armii Czerwonej zbliżała się do 1,8 miliona żołnierzy, a pod koniec 1920 roku osiągnęła 5,5 miliona. Zapatrzenie się we własną potęgę militarną początkowo przeszkadzało Waszyngtonowi w dostrzeżeniu w tych jeszcze słabo uzbrojonych, źle wyszkolonych i ubogo wyekwipowanych szeregowych i dowódcach godnych przeciwników. W starciach jednak z oddziałami Armii Czerwonej interwenci amerykańscy ponosili porażki — jedną po drugiej, toteż w meldunkach kierowanych do Waszyngtonu dowództwo wojskowe informowało o narastającym niebezpieczeństwie rozgromienia korpusu ekspedycyjnego.

Takie niedocenianie radzieckiej potęgi wojskowej również w okresie powojennym sprawiło, że Stany Zjednoczone, nie widząc możliwości — na skutek wielu przyczyn — indywidualnego dźwignia brzemienia nowej krucjaty przeciwko komunizmowi, uważały za możliwe powierzenie tego zadania innym mocarstwom kapitalistycznym. Szczególne nadzieje pod tym względem pokładano w niemieckim faszystwie i japońskim militarystyce.

Stany Zjednoczone nie tylko finansowały reorganizację i odbudowę niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, lecz także udzielały poparcia dyplomatycznego coraz beczelniej demon-

strowanym przez Niemcy agresywnym dążeniom w Europie w przededniu drugiej wojny światowej.

Zdarzały się również jawne prowokacje. Na początku 1941 roku ambasador niemiecki w Waszyngtonie został zaznajomiony ze „ściśle tajną” informacją, z której wynikało, że ZSRR rzekomo szykuje się do napaści na Niemcy, gdy tylko te ostatnie uwikłane zostaną w wielkie operacje wojskowe na zachodzie. Dopiero później wyjaśniło się, że ta „informacja”, czyli dezinformacja została zręcznie podrzucona hitlerowcom przez amerykańskie Federalne Biuro Śledcze. Można nie wątpić, że jego szef, Edgar Hoover, nie pozwoliłby sobie na taki krok bez zgody lub nawet wyraźnej akceptacji najwyższego amerykańskiego kierownictwa politycznego.

Oczekując napaści Japonii na ZSRR, Stany Zjednoczone nie tylko nie zaprzestały zaopatrywania jej w najważniejsze materiały wojskowe i surowce strategiczne, takie jak ropa naftowa i produkty jej rafinacji, których brakowało im samym. Poczyniono także pewne inne kroki, by tylko nie „nastraszyć” Tokio. W dniu napaści Niemiec na ZSRR ambasador brytyjski w Waszyngtonie otrzymał z Departamentu Stanu poufne ostrzeżenie, że Wielka Brytania może się znaleźć w trudnej sytuacji, jeśli zawrze formalny nawet sojusz ze Związkiem Radzieckim, ponieważ w tym przypadku Japończycy wcześniej czy później napadną na nią, a wtedy Londyn nieuchronnie zostanie wciągnięty do działań wojennych na Dalekim Wschodzie.

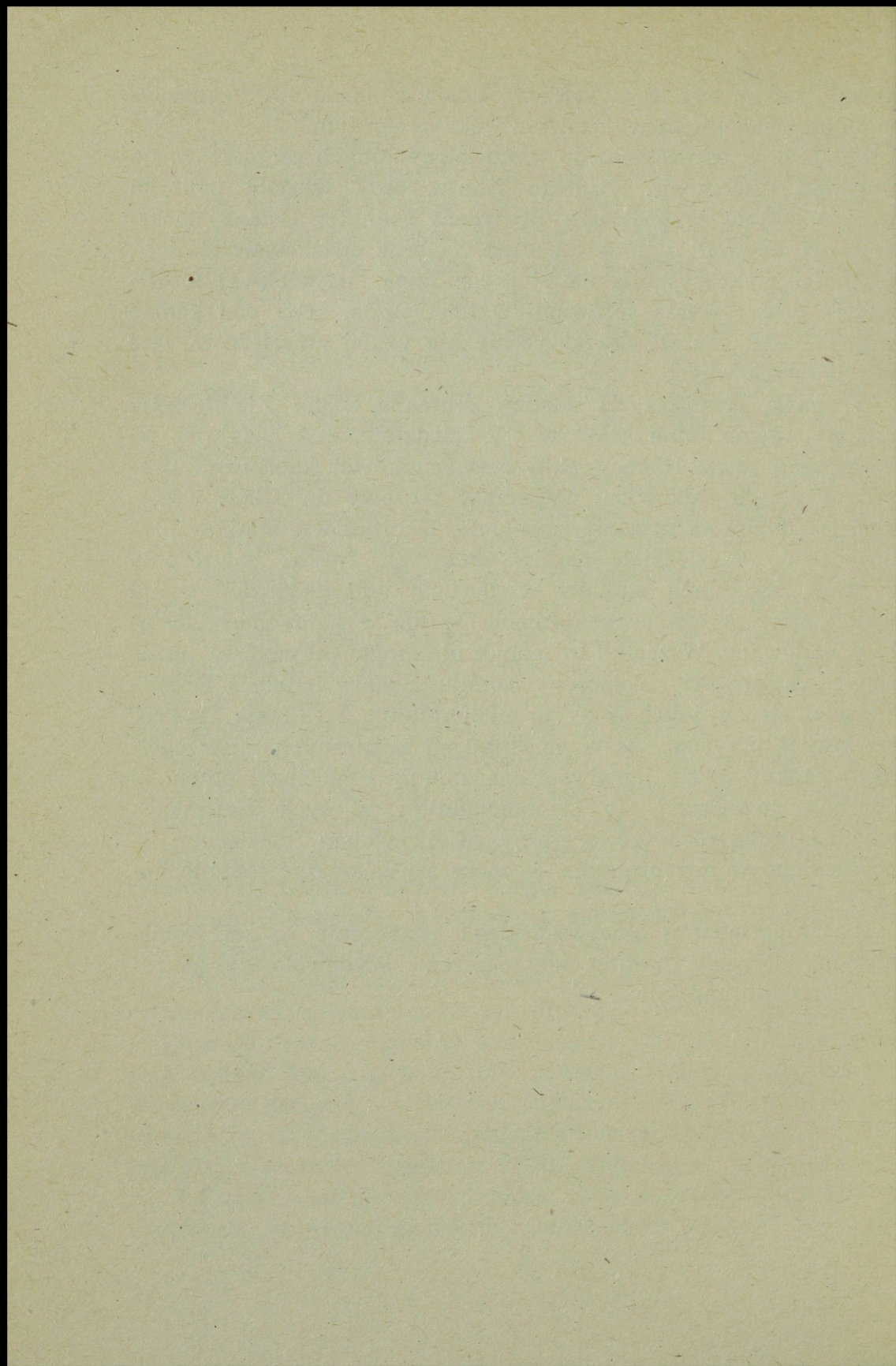
Zbrojną napaść Niemiec hitlerowskich na ZSRR wiele amerykańskich osobistości, które mogły skorzystać ze swego „nieoficjalnego” położenia, powitało z zadowoleniem. Historia na zawsze przechowa cyniczny zachwyt senatora i przyszłego prezydenta Harry’ego Trumana, który cieszył się perspektywą szerzenia krwawej rzezi na obszarach Rosji. „Jeśli zobaczymy, że wygrywają Niemcy, powinniśmy pomagać Rosji, a jeśli wygrywać będzie Rosja, powinniśmy pomagać Niemcom. Niech się wzajemnie zabijają — oby jak najwięcej!”⁶. Doskonale pamięta się i to, że kiedy fiasko planów ukierunkowania agresji niemieckiej wyłącznie przeciwko ZSRR stało się aż nadto oczywiste i Stany Zjednoczone zmuszone były zawrzeć z nim sojusz wojskowy, w waszyngtońskich „korytarzach władzy” nie bra-

kowało żądań, aby za zwycięstwo Rosja zapłaciła swoim maksymalnym osłabieniem wojskowym i ekonomicznym.

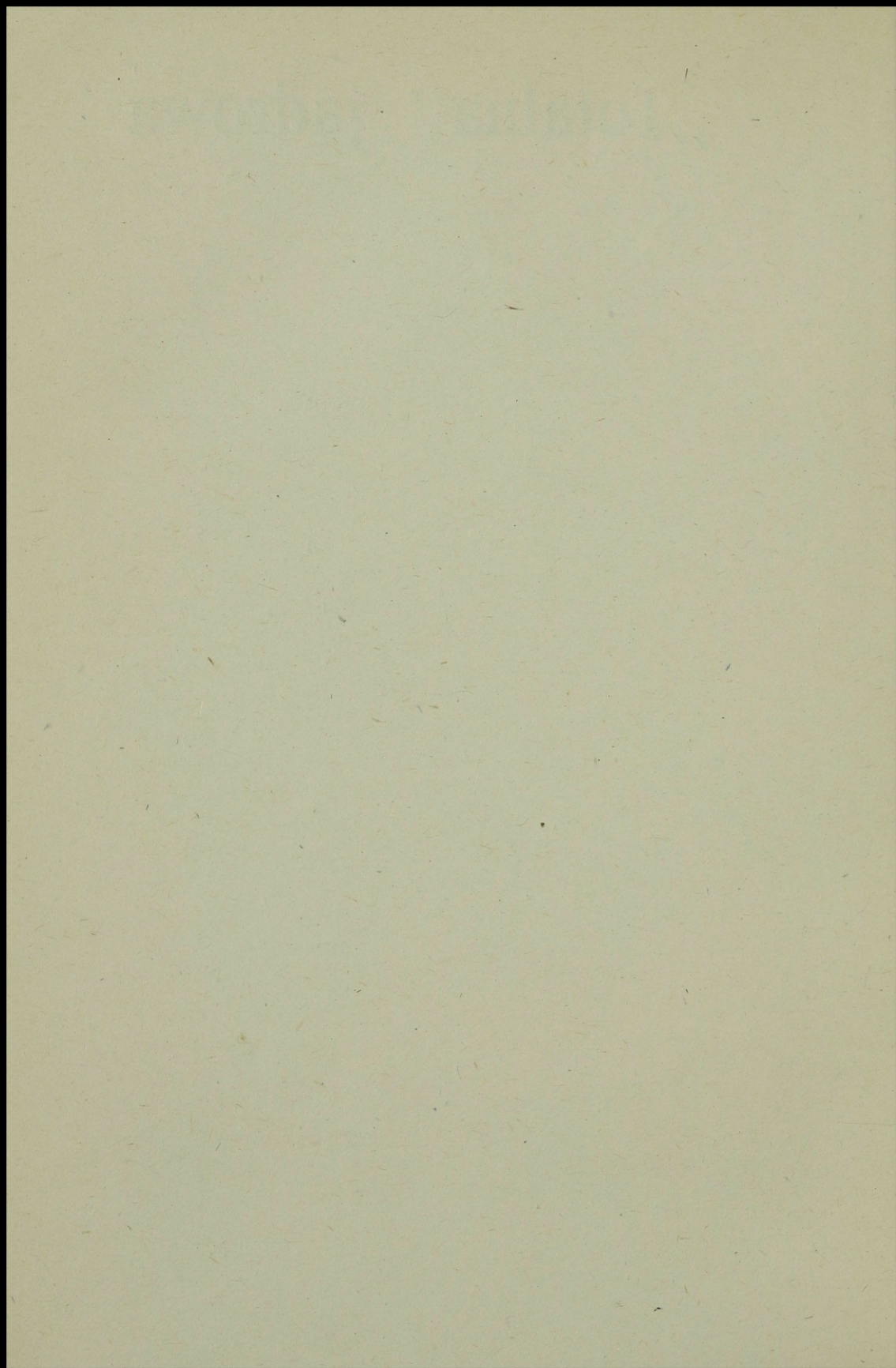
Mimo że w odniesieniu do wielu kardynalnych problemów, na przykład utworzenia drugiego frontu, taka właśnie polityka uznana została za podstawę, prezydent Franklin Delano Roosevelt nie uniknął później oskarżeń o „brak dalekowzroczności”, zdolności wykorzystania danej przez Boga „największej możliwości” pokierowania sprawami w ten sposób, żeby pod koniec wojny ZSRR znalazł się faktycznie nie wśród zwycięzców, lecz wśród zwyciężonych.

Z chwilą przyjścia do władzy Trumana Stany Zjednoczone podjęły pewne pilne kroki w tej dziedzinie. Już nazajutrz po podpisaniu przez Niemcy aktu bezwarunkowej kapitulacji prezydent polecił całkowicie wstrzymać dostawy do ZSRR wszelkich ładunków na zasadzie *lend-lease*. Kapitanowie statków płynących do radzieckich portów otrzymali rozkaz zawrócenia z drogi, załadunek statków w portach amerykańskich został wstrzymany, a towary znajdujące się już w ładowniach zostały wyładowane. Wszystko to jednak nie mogło przywrócić „utraconych możliwości”. Połączony Komitet Szefów Sztabów amerykańskich sił zbrojnych w swym memorandum z 16 maja 1944 roku musiał przyznać, że w stosunku sił militarnych poszczególnych państw zaszły nieodwracalne zmiany i radziecki potencjał obronny powiększył się „fenomenalnie”. W tych warunkach wszelka próba rozpoczęcia wojny ze Związkiem Radzieckim — podkreślano w memorandum — może się zakończyć jedynie katastrofą.

Dla imperializmu amerykańskiego ostrzeżenie to zabrzmiało niczym uderzenie dzwonu pogrzebowego. Wydawało się, że runęły wszelkie nadzieje...



„Totalna” jądrowa



I. Zachwyty siły

1

Szóstego sierpnia 1945 roku nad japońskim miastem Hiroszima pojawiły się trzy amerykańskie bombowce B-29. Na wysokości ośmiu i pół tysiąca metrów, kiedy na skrzyżowaniach kresek ich celowników zaczęły się ukazywać dzielnice śródmiejskie, w samolocie prowadzącym — *Enola Gay* — otworzyły się klapy komory bombowej. Od samolotu oddzieliła się bomba i zaczęła opadać ze spadochronem. Była godzina 8.18 rano.

Po upływie 43 sekund, na wysokości sześciuset metrów, bomba eksplodowała tworząc olbrzymią kulę ognistą, która wessała do swych spopielających wszystko trzewi miasto, a następnie uniosła się nad nim w postaci nie spotykanego dotychczas obłoku w kształcie grzyba. Fala uderzeniowa wybuchu dosięgła także bombowców, mimo że znalazły się już na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Przechył udało się jednak zlikwidować, toteż uniknęły niebezpieczeństwa wciągnięcia w rozwierające się pod nimi piekło...

2

Dzieje tworzenia przez Stany Zjednoczone bomby atomowej miały swoje osobliwości. Sam pomysł wykorzystania energii jądrowej do stworzenia zasadniczo nowych środków rażenia początkowo spotkał się z bardzo sceptycznym przyjęciem ze strony amerykańskiego kierownictwa wojskowego. Tłumaczyło się to w znacznym stopniu jego tradycyjnie konserwatywnym, pogardliwym stosunkiem do wyników podstawowych badań naukowych. Wystarczy przytoczyć jeden tylko przykład. Kiedy powiadomiono prezydenta Trumana o zakończeniu prac nad

bombą atomową, znajdujący się w owej chwili w jego gabinecie admirał William Leahy uznał to za „bezczelne oszustwo” i twierdził z całym przekonaniem, że taka bomba po prostu nie wybuchnie.

Pod koniec lat trzydziestych podejmowane przez fizyków, którzy wyemigrowali z Europy, próby zainteresowania rządu amerykańskiego olbrzymim znaczeniem badań w dziedzinie fizyki jądrowej, możliwościami wykorzystania ich wyników do stworzenia zupełnie nowych środków prowadzenia wojny, długo pozostawały bezowocne. Dopiero wielki autorytet naukowy Alberta Einsteina, który zgodził się złożyć swój podpis pod pismem do prezydenta Roosevelta, ostrzegającym o tym, że Niemcy hitlerowskie mogą wcześniej niż Stany Zjednoczone uzyskać nową, straszliwą broń, przyczynił się do ruszenia z miejsca. Potrzeba było jednak wielu dodatkowych wysiłków, nim po upływie jeszcze przeszło dwu lat — 6 grudnia 1941 roku, to jest w przededniu zaatakowania przez Japończyków bazy Pearl Harbour — w Waszyngtonie postanowiono przystąpić do opracowania poważnego programu dotyczącego stworzenia bomby atomowej. Zgodnie z tą decyzją — ale znów po dosyć długiej przerwie, bo dopiero w sierpniu 1942 roku — zaczęła działać instytucja pod kryptonimem *Manhattan Project*. Jej administracyjnym kierownikiem został pułkownik Leslie Groves, który wraz z tą nominacją uzyskał również tak upragniony stopień generalski. Nowe, wysokie stanowisko nie uwolniło jednak Grovesa od nieuctwa; miał szczególne upodobanie do „przyłapywania” swych podopiecznych, a więc uczonych o światowej sławie, na „niekompetencji”. Lecz za to fenomenalna, chorobliwa podejrzliwość generała, zacięty antysowietyzm i niezaprzeczalna pracowitość zapewniły mu wysoką ocenę i zaufanie w środowisku wyższych przełożonych.

3

W pierwszym okresie prac nad realizacją „Projektu Manhattan” ich szybkie tempo uwarunkowane było obawą, że Niemcy hitlerowskie stworzą broń jądrową wcześniej niż Stany Zjednoczone. Herbert York, który brał aktywny udział w tych pra-

cach, stwierdza, że wszyscy jego koledzy wierzyli w realność takiego niebezpieczeństwa i przypuszczali, iż oświadczenie Hitlera o przygotowywaniu „tajnej broni” dotyczy właśnie bomby atomowej. Aż do chwili lądowania sojusznicznych sił inwazyjnych w Normandii, niejednokrotnie wypowiadano obawy niepokojące amerykańskie dowództwo wojskowe, że rakiety V-2 mogą przenosić również ładunki jądrowe.

Ale już na długo przed końcem drugiej wojny światowej stało się oczywiste, że dla niektórych wpływowych ugrupowań w Stanach Zjednoczonych poważną siłą napędową w pracach nad stworzeniem bomby jądrowej zaczął być zamiar wykorzystania jej do wywierania nacisku militarnego na ZSRR. Tenże generał Groves, którego cechowała znakomita zdolność wyczuwania nastrojów w wyższych sferach, wcale się nie mylił mówiąc, że od pewnego czasu absolutnie przestał wątpić, iż dla wielu osób w Waszyngtonie głównym wrogiem pozostawała Rosja. Zresztą nie był to jego własny domysł. Wśród zapisków byłego sekretarza wojny Henry Stimsona można znaleźć stwierdzenia o wypowiedzianych w toku jego rozmów z prezydentem Rooseveltem przypuszczeniach dotyczących możliwości wykorzystania przez Waszyngton jakiejś tajemniczej C-1 w celu oddziaływania na Moskwę i sprowadzenia w ten sposób Rosji na łono „cywilizacji chrześcijańskiej”¹. Jeśli zaś przypomnimy, że pod kryptonimem C-1 w owym czasie kryła się bomba jądrowa, łatwo można zrozumieć sens tych uwag.

Oczekujący z niecierpliwością zakończenia prac nad „Projektem Manhattan” prezydent Truman, który pod koniec drugiej wojny światowej zajął miejsce Roosevelta, sądził, że wykorzystując nową broń, Stany Zjednoczone łatwo mogą ustawić Rosjan „na ich właściwym miejscu” i wziąć na siebie kierowanie światem, który musi kroczyć „właściwą mu drogą”². Na rokowaniach na temat powojennej organizacji świata chciał się zjawiać „z bombą atomową na ramieniu” i dlatego dwukrotnie udało mu się odroczyć konferencję poczdamską; przybył na nią dopiero w przededniu próbnego wybuchu bomby na poligonie w Alamogordo w stanie Nowy Meksyk.

Kilka dni upłynęło na ciężącym wyczekiwaniu. Wreszcie do Poczdamu przybył umyślny ze ściśle tajnym meldunkiem o po-

myślnych wynikach prób. Tego dnia uczestnicy konferencji dostrzegli gwałtowną, rzucającą się w oczy, zmianę w zachowaniu się prezydenta: nabrał brakującej mu dotychczas pewności siebie, jego maniera oponowania, podważania propozycji zgłaszanych przez stronę radziecką stała się wyzywająca i bezapelacyjna. Po trzech dalszych dniach, nie mogąc już dłużej ukrywać upajającej go tajemnicy, Truman w umyślnie nonszalancki sposób dał Józefowi Stalinowi do zrozumienia, że Stany Zjednoczone dysponują teraz nową bronią o niezwyklej sile niszczycielskiej. Ale, ku jego zdumieniu i rozczarowaniu, radziecki przywódca nie zdradził najmniejszego dostrzegalnego zainteresowania. Premier Winston Churchill, obserwujący z boku tę scenę, tłumaczył to później w ten sposób, że ponieważ Truman nie scharakteryzował nowej bomby jako „atomowej” lub „jądrowej”, Stalin zapewne po prostu nie rozumiał przekazanej mu informacji. Takie myślenie było, oczywiście, naiwnością. Stalin nie tylko doskonale rozumiał istotę samej informacji, lecz nawet wyczuł zawartą w niej groźbę. Po powrocie z posiedzenia — wspomina marszałek Gieorgij Żukow — nie omieszkał powiedzieć, że Igor Kurczatow, kierujący radzieckimi badaniami atomowymi, będzie musiał wziąć to pod uwagę i znacznie przyspieszyć tempo prac.

4

W odróżnieniu od wątpliwej wartości twierdzeń Churchilla, które on sam, należy przypuszczać, traktował bardziej niż sceptycznie, prezydent Truman był na tyle dobrze poinformowany o doskonałej orientacji strony radzieckiej w tej sprawie, że przeprowadzony sondaż rozczarował go. Jeszcze bardziej irytowało prezydenta to, że on sam, jego zdaniem, popełnił wielką gafę wspominając o bombie atomowej w czasie konferencji poczdamskiej, to jest na długo przed nieoczekiwanym zademonstrowaniem „totalnej potęgi” nowej broni Stanów Zjednoczonych, które mogłoby, jak zakładano, wyrzucić na Moskwę rzeczywiście zastraszcający wpływ. W związku z tym, niezwłocznie po rozmowie ze Stalinem, Truman wysyłał do Waszyngtonu jeden za drugim poufne telegramy, w których żądał jak najszybszego przy-

gotowania i wykonania atomowych bombardowań Japonii. Długo oczekiwany telegram o zagładzie Hiroszimy wręczono mu już na pokładzie krążownika „Ogasta” — w drodze powrotnej z Europy do Ameryki. Towarzyszący prezydentowi, należący do kręgów współpracujących z Białym Domem, dziennikarz Robert Donovan poinformował później świat, że po otrzymaniu tej wiadomości od kapitana okrętu, Trumana opanował wielki zachwyt i z nadmiaru uczuć nawet uściśnął tamtemu dłoń, wznosząc okrzyk zachwytu: „Historia nie знаła jeszcze czegoś podobnego!” Według wyznania samego Trumana, sądził on wówczas, że w rękach Waszyngtonu broń jądrowa stanie się środkiem, który pozwoli Stanom Zjednoczonym, na ich życzenie, zmieniać cały dalszy bieg „dziejów i cywilizacji”³.

Fakt, że te właśnie przyczyny legły u podstaw decyzji wykonania uderzeń jądrowych na miasta japońskie potwierdziły ujawnione w późniejszych latach dokumenty, według których nawet z punktu widzenia amerykańskiego kierownictwa wojskowego do odniesienia zwycięstwa nad Japonią użycie broni jądrowej było absolutnie niepotrzebne. Opinię taką wyraził również sekretarz stanu James Byrnes w rozmowie z uczonymi — atomistami, usiłującymi protestować przeciwko zamiarom rządu rzucenia bomb atomowych na bezbronne miasta japońskie. Niemniej jednak również on, tak samo jak prezydent Truman, zdecydowanie opowiadał się za tym przedsięwzięciem, widząc w nim rękojmię podporządkowania Związku Radzieckiego woli Stanów Zjednoczonych.

Obliczona na „zastraszenie Moskwy” pogładowa demonstracja przekraczającej wyobraźnię niszczycielskiej siły nowej, „absolutnej” broni, przed którą nie było obrony, przyniosła nie mniejsze rozczarowanie, niż przedsięwzięty przez Trumana sondaż w czasie konferencji poczdamskiej. Zresztą należy raczej wątpić, by ta okoliczność wywarła wpływ na dobór metod, z których pomocą Waszyngton zamierzał w przyszłości „kierować” biegiem dziejów. Dokumenty opublikowane w ostatnich latach w Stanach Zjednoczonych przekonywają, że takie „zastraszenie” traktowano jako krótkotrwałe, natomiast wszystkie siły i środki kierowano przede wszystkim na przygotowania do rozpętania woj-

ny jądrowej ze Związkiem Radzieckim, do zlikwidowania go nie tylko jako państwa socjalistycznego, lecz po prostu jako państwa suwerennego.

5

Natychmiast po zakończeniu drugiej wojny światowej Połączony Komitet Szefów Sztabów na polecenie prezydenta opracował dwie dyrektywy. Pierwsza z nich — nr 1496/2 — została przyjęta 18 września 1945 roku, to jest po upływie zaledwie dwóch tygodni od chwili podpisania przez Japonię aktu bezwarunkowej kapitulacji, druga — nr 1518 — niewiele później, bo 9 października tegoż roku.

Pierwsza dyrektywa — *Podstawy kształtowania polityki wojсковей* — zawierała w istocie uzasadnienie koncepcji: uważa się za pożądane, a nawet konieczne rozpętanie tak zwanej uprzedzającej, czyli prewencyjnej wojny jądrowej przeciwko ZSRR. Głównym celem takiej wojny, podkreślano w drugiej dyrektywie — *Strategia i wykorzystanie sił zbrojnych Stanów Zjednoczonych* — powinno być zniszczenie radzieckiego potencjału wojskowego. Samo stawianie zaś na niczym nie sprovokowaną napaść zbrojną na ZSRR cynicznie usprawiedliwiano „nadrzędnymi interesami amerykańskimi”, zgodnie z którymi Związek Radziecki za wszelką cenę powinien być pozbawiony nie tylko możliwości osiągnięcia w przyszłości takiej samej potęgi wojskowej jak Stany Zjednoczone, lecz nawet stworzenia środków obrony przed napaścią amerykańską⁴.

Jednak Połączony Komitet Szefów Sztabów, może nie przyzwyczajony do takiej nowej „wszechmocy” albo nie nauczony jeszcze myślenia kategoriami totalnymi, w swym pierwszym wariacie planu napaści jądrowej na ZSRR ograniczył się do propozycji wykonania na początek uderzeń jądrowych „zaledwie” na 20 miast radzieckich⁵.

Politycy natomiast od razu stanęli na wysokości zadania. Po rozpatrzeniu pierwszej dyrektywy przez komitet koordynacyjny, w którego skład, obok wojskowych, weszli także przedstawiciele Departamentu Stanu, bez zastrzeżeń zaaprobowali propozycję dotyczącą wykonania na ZSRR „prewencyjnego” uderze-

nia jądrowego. Określenie celów wojny, polegających jedynie na zadaniu ZSRR porażki wojskowej, zlikwidowaniu jego potencjału wojskowego uznano już za wyraźnie niewystarczające. Na polecenie prezydenta Trumana jego specjalny pomocnik Clark Clifford spotykał się z wieloma działaczami państwowymi, których opinie w tej sprawie usystematyzował i wyłożył w opracowanym pod koniec września 1946 roku referacie *Polityka amerykańska w odniesieniu do Związku Radzieckiego*. Opinie te zaś okazały się zadziwiająco zgodne i wymagające bardzo zdecydowanych działań: wojna z ZSRR będzie wojną „totalną”, siły zbrojne muszą być gotowe do prowadzenia jej aż do granic swych możliwości z użyciem wszystkich będących w ich dyspozycji środków — od jądrowych począwszy i na bakteriologicznych skończywszy⁶.

Na początku czerwca 1948 roku senatorzy z entuzjazmem przyjęli, przedłożoną im przez kolegę, republikanina Arthura Vandenberg, uchwałę aprobowującą politykę rządu prezydenta Trumana. Wraz z tą aprobatą Biały Dom uzyskał również zgodę obydwu partii na przygotowania do zbrojnej konfrontacji ze Związkiem Radzieckim. Dokumentem potwierdzającym stawianie Waszyngtonu na całkowitą likwidację państwa radzieckiego stała się także, opracowana na polecenie Białego Domu przez Krajową Radę Bezpieczeństwa, dyrektywa NSC-20/1 *Cele Stanów Zjednoczonych wobec Rosji*.

Autorzy owej dyrektywy, w odróżnieniu od wojskowych autorów planów strategicznych, rozumowali subtelniej, argumentowali w sposób bardziej wyrafinowany, ale wniosków i ostatecznych zaleceń wojskowi mogli im tylko pozazdrościć. Wyrażając na początku dokumentu obłudne ubolewanie, że już teraz, w okresie pokoju, Stany Zjednoczone „muszą” zajmować wobec ZSRR bardziej twarde stanowisko niż w odniesieniu do Niemiec hitlerowskich i militarystycznej Japonii w przededniu wojny, żywili jednak nieśmiałą nadzieję, że może jeszcze uda się wszystko załatwić za pomocą środków pokojowych. Dlaczego Związek Radziecki nie mógłby na przykład zgodzić się na wniesienie radykalnych zmian do swej polityki zagranicznej, spokojnie zareagować na powstanie takiej sytuacji, która okaże się „nie do pogodzenia” z zachowaniem radzieckiego ustroju poli-

tycznego? Wprawdzie można powiedzieć, że podobne twierdzenia są równoznaczne z ultimatum w sprawie likwidacji władzy radzieckiej. O to nie warto się sprzeczać. Ale nawet biorąc pod uwagę to założenie nie ma podstaw do twierdzenia, że Stany Zjednoczone dążą do wojny i obalenia tej władzy siłą oręża. Wszystko będzie zależało od Moskwy, amerykańskie sumienie zaś może być spokojne, jeśli próba reedukacji Rosjan okaże się daremna i rzeczywiście trzeba będzie uciec się do wojny.

Ale nawet w tym skrajnym przypadku należy postępować „humanitarnie”. Wszak po napadzie atomowym coś tam po Rosji pozostanie. Niech więc pozostali przy życiu — żyją, jak potrafią. Niepotrzebne i niebezpieczne byłoby okupowanie kraju: i terytorium zbyt wielkie, i ludność byłaby bardzo rozszoszczona. Ważne jest co innego — zapewnienie wojskowej bezbronności pokonanego wroga. A chcąc nie dopuścić nawet do jakiegokolwiek myśli o możliwości dalszego oporu, Moskwie trzeba podyktować, i zmusić ją do przyjęcia, nie tylko twarde, lecz — w miarę możliwości — najbardziej poniżające warunki.

A jeszcze lepiej byłoby skończyć z władzą komunistyczną w ogóle. Zamiast niej można powołać jakiś rząd marionetkowy. Ale i w tym przypadku trzeba być twardym do końca. Gdyby ten rząd nawet nie wiedzieć jak był czołobitny wobec Waszyngtonu, gdyby nawet szczerze nienawidził komunizmu, Stany Zjednoczone muszą pamiętać, że ich głównym celem jest niedopuszczenie do odrodzenia się militarnej siły Rosji, nawet Rosji antykomunistycznej. Jediną sprawą, w jakiej trzeba ich nowej władzy iść na rękę, jest udzielanie poparcia w wykorzenieniu do końca wszystkich „band komunistycznych”, które usiłowałyby stawiać opór. Przez takie „bandy”, jak cynicznie stwierdzano w dokumencie, można będzie rozumieć wszystkie siły oporu narodu, innymi słowy — cały naród⁷.

Tak więc politycy, korygując specjalistów z Pentagonu, poucza ich, że celem napaści zbrojnej na ZSRR powinno być nie tylko zniszczenie jego potencjału wojskowego, lecz także likwidacja jako suwerennego państwa i sprowadzenie jego mieszkańców do roli niewolników, skazanych na degradację i wymieranie.

W celu ułatwienia przyjęcia wspomnianych założeń przez wojskowych, których mogły wprawić w zakłopotanie owe fine-

zyjne rozważania, dyrektywa NSC-20/1 została znacznie skrócona przez wyłączenie z jej tekstu wszystkich zbędnych, demagogicznych upiększeń (czynności tej dokonali: sekretarz stanu George Marshall, sekretarz obrony James Forrestal oraz dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej Roscoe Hillenkoetter). Wspomniany nowy jej wariant, noszący już kryptonim NSC-20/4, został przedłożony prezydentowi Trumanowi do ostatecznego zatwierdzenia. Tego doniosłego aktu dokonał on 23 listopada 1948 roku.

6

Teraz, po postawieniu wszystkich kropek nad „i”, działacze Pentagonu, odrzuciwszy ostatnie obawy, że mogą być oskarżeni o nadmierną krwiożerczość, na serio zabrali się do roboty. Dyrektywa NSC-20/4 w swych pierwotnych wariantach jeszcze błąkała się po różnych instancjach państwowych, a już w resorcie wojskowym wśród wielu innych licznych opracowań tego rodzaju został przygotowany i ostatecznie szczegółowo opracowany plan operacyjny napaści atomowej na ZSRR — *Charioteer* („Woźnica”).

Zgodnie z tym planem wojna miała się rozpocząć od zmasowanych nalotów lotnictwa amerykańskiego na radzieckie ośrodki polityczne, administracyjne i przemysłowe. W ciągu pierwszego miesiąca wojny zamierzano zrzuć 133 bomby jądrowe na 70 miast radzieckich, w tym 8 — na Moskwę i 7 — na Leningrad. Następnie, bez pośpiechu, w ciągu najbliższych dwóch lat miało być zrzuconych jeszcze około dwustu bomb jądrowych, a także około ćwierć miliona ton zwykłych materiałów wybuchowych na zniszczone już, lecz zdradzające oznaki życia wielkie ośrodki miejskie⁸.

W pierwszych dniach września 1948 roku sztaby rodzajów amerykańskich sił zbrojnych otrzymały okólnik nakazujący opracowanie operacyjnych planów ich udziału w napaści atomowej na ZSRR. W grudniu 1948 roku pierwszy taki plan — dowództwa sił powietrznych Stanów Zjednoczonych — został przedstawiony Połączonemu Komitetowi Szefów Sztabów. Prawdziwie wojskowy, napisany lakonicznym językiem, plan ów za-

kładał: początek wojny — do 1 kwietnia 1949 roku; uderzenia atomowe zadaje się z uwzględnieniem będących w dyspozycji bomb; jako cele pierwszej kolejności wybrano najważniejsze miasta ZSRR; mapy nawigacyjne dla załóg bombowców oraz plany-mapy miast radzieckich, które staną się obiektami uderzeń jądrowych, wręczone zostaną dowódcom jednostek wojskowych do 1 lutego 1949 roku⁹.

Założony w projekcie pośpiech wprowadził w zdumienie nawet pracowników Pentagonu. Plan dowództwa sił powietrznych przekazano do rozpatrzenia i zaopiniowania jego praktycznej przydatności specjalnemu komitetowi, w którego skład weszli przedstawiciele armii, sił powietrznych i marynarki wojennej. Kierowanie jego pracami powierzono generałowi Hubertowi Harmonowi. Po szczegółowym przeanalizowaniu planu referat komitetu — *Ocena strategicznego oddziaływania natarcia powietrznego na ZSRR* — przekazano wyżej.

Plan dowództwa sił powietrznych na ogół spodobał się autorom referatu. Z grubsza podliczyli nawet, ilu obywateli radzieckich przy tym zginie. Wyszło coś około 6,5 miliona osób. Życie innych 28 milionów miało się stać „bardzo skomplikowane”. Poważnie ucierpiałby także przemysł radziecki. Nie mówiąc już o dezorganizacji jego pracy, można było się spodziewać, że w wyniku ataku zniszczeniu ulegnie od trzydziestu do czterdziestu procent jego mocy produkcyjnych.

Poważne wątpliwości wywołały jednak obawy, że jądrowe uderzenie na ZSRR z powietrza, w skali założonej przez dowództwo sił powietrznych nie zdoła przeszkodzić radzieckim siłom zbrojnym w podjęciu zdecydowanych działań odwetowych, między innymi w „okupowaniu” krajów Europy Zachodniej. Przy całej niedorzeczności takich domniemań nader trudno było jednak ryzykować losy kapitalizmu w Europie. Zresztą Pentagon w owym czasie nie miał odpowiedniego zapasu gotowych bomb jądrowych. W związku z tym członkowie komitetu Harmona, potwierdziwszy na wszelki wypadek raz jeszcze, że użycie w wojnie przeciwko ZSRR broni jądrowej bezwarunkowo i bezsprzecznie podyktowane jest amerykańskimi interesami narodowymi, zalecali jednak, by nie pójść na zbyt ni pośpiech, ponieważ na początku muszą być przedsięwzięte wszy-

stkie „rozsądne” wysiłki zmierzające do przygotowania niezbędnych środków bojowych w ilościach wystarczających do wykonania decydującego uderzenia jądrowego¹⁰.

7

Takie „rozsądne” wysiłki podjęto niezwłocznie. I to nie tylko w celu zwiększenia liczebności bomb jądrowych oraz bombowców strategicznych, ale również w celu wysforowania całej amerykańskiej potęgi jądrowej na „pozycje czołowe”. W Waszyngtonie nie robiono tajemnicy, że cała jego dyplomacja nastawiona była teraz na wywieranie nacisku na rządy państw graniczących ze Związkiem Radzieckim lub położonych w jego pobliżu. Celem tego szantażu było wyjednanie zgody „sojuszników” na rozmieszczenie na ich terytoriach amerykańskich baz lotniczych, z których strategiczne siły powietrzne mogłyby łatwiej wykonywać uderzenia na radzieckie miasta i ośrodki przemysłowe. W tamtych latach, jak przyznawał później Henry Kissinger, Stany Zjednoczone oceniały tworzone przez nie bloki wojskowe i sojusze przede wszystkim z punktu widzenia zapewnianych przez nie możliwości tworzenia takich właśnie baz wojskowych¹¹.

W olbrzymią amerykańską bazę wojskową, z której miały być wykonywane uderzenia jądrowe na ZSRR, przemieniono Wielką Brytanię. Bazy założono także na Grenlandii, w Islandii, Maroku, Włoszech, Grecji, Turcji, Hiszpanii, na Wyspach Azorskich. Na Dalekim Wschodzie lotnictwo strategiczne rozmieszczono na okupowanej wyspie Okinawie, a także na wielu innych lotniskach położonych na terytorium Japonii. Pozostawało tylko — jak sądziło wówczas wielu ludzi w Waszyngtonie — zrealizować program rozwinięcia amerykańskiej potęgi lotniczo-jądrowej, żeby, zgodnie ze słowami dowódcy amerykańskich sił powietrznych w Europie, generała Curtisa LeMay’a, móc przystąpić do „oczyszczania z ludności olbrzymich obszarów Rosji”¹².

Euforia, jaka ogarnęła militarystów, sięgała już szczytu, kiedy we wrześniu 1949 roku wszystkim tym nader starannym wysiłkom amerykańskiej dyplomacji i soldateski zadano nieoczekiwane uderzenie. W dniu 3 września, bowiem, zainstalowane

w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Wielkiej Brytanii przyrządy zarejestrowały wybuch jądrowy na terytorium ZSRR. Potwierdziła to również analiza próbek powietrza pobranych przez amerykańskie bombowce patrolujące w pobliżu północnych granic ZSRR. O ile dotychczas kierownictwo amerykańskie mogło jeszcze ignorować opublikowane nieco wcześniej oświadczenie rządu radzieckiego stwierdzające, że tajemnica bomby jądrowej już nie istnieje, o tyle teraz musiało pogodzić się z utratą monopolu na posiadanie atomowego straszaka. Nic więc dziwnego, że powtórzone przez wszystkie agencje prasowe świata krótkie oświadczenie TASS z 25 września 1949 roku, na łamach prasy amerykańskiej ukazało się, sądząc z towarzyszących mu komentarzy, niemal w żałobnej obwódcie.

8

Mimo że dzisiaj podobne oceny brzmią dziwnie, wielu amerykańskich przywódców i specjalistów wojskowych żywiło dotychczas przekonanie, że Stany Zjednoczone przez stosunkowo długi czas będą miały monopol na broń jądrową. W każdym bądź razie na tyle długi, by wystarczyło go do gruntownego przygotowania i rozpętania wojny jądrowej przeciwko ZSRR. Na przykład pułkownik George Reinhardt w książce *American Strategy in the Atomic Age* (Strategia amerykańska w epoce atomowej) twierdził, że wszyscy eksperci byli zgodni co do tego, iż ZSRR nie jest w stanie stworzyć bomby jądrowej wcześniej niż w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Termin dwudziestu lat wymieniono natomiast jako dosyć realny w specjalnym memorandum Połączonego Komitetu Szefów Sztabów przedłożonym prezydentowi pod koniec stycznia 1946 roku.

Wyrażano nawet jeszcze skrajniejsze opinie. Niektórzy specjaliści amerykańscy byli na przykład przekonani, że problem stworzenia broni jądrowej może być rozwiązany w Związku Radzieckim dopiero za życia przyszłych pokoleń. Sam prezydent Truman odpowiadając na pytanie dziennikarzy, czy rząd amerykański nie zamierza przypadkiem podzielić się ze swoim byłym sojusznikiem wojskowym tajemnicą bomby jądrowej, pogardliwie odpowiedział, że, jego zdaniem, mówienie o tym jest

przedwczesne, ponieważ ZSRR, dysponując nawet wiedzą w tym zakresie, raczej nie będzie w stanie stworzyć własnej broni jądrowej; do tego jako minimum należy dysponować niezbędną bazą przemysłową oraz specjalistami na „odpowiednim poziomie”. Jeden z senatorów pozostających w zażyłych stosunkach z prezydentem opowiadał Herbertowi Yorkowi, że Truman nawet wówczas, gdy wybuch radzieckiej bomby jądrowej stał się niezaprzeczalnym faktem, mimo wszystko nie mógł w to uwierzyć i twierdził nadal, iż „ci Azjaci” w żadnym wypadku nie mogli dokonać czegoś podobnego¹³.

Oczywiście, oprócz błędnych ocen możliwości stworzenia przez ZSRR broni jądrowej wypowiadano także bardziej realistyczne opinie. Sekretarz wojny Stimson w memorandum skierowanym do prezydenta Trumana pisał w kwietniu 1945 roku, że monopol Stanów Zjednoczonych w dziedzinie broni jądrowej nie może trwać zbyt długo¹⁴. W pewnych kołach takie opinie nie mogły być ignorowane. W niektórych późniejszych badaniach amerykańskich podkreślano na przykład, że właśnie uświadomienie sobie iluzoryczności monopolistycznego dysponowania bronią jądrową niewątpliwie stało się podstawą wystąpienia wielu działaczy amerykańskich z nawoływaniem do rozpoczęcia wojny ze Związkiem Radzieckim „nie tracąc czasu”.

Ale nawet ci „realiści” byli poważnie zdumieni tak szybkim spełnieniem się ich proroctw. Dlatego właśnie trudno jest przecenić siłę owego wstrząsu, który na wszystkich szczeblach kierownictwa amerykańskiego wywołała „katastrofa”, jaka nieoczekiwanie spadła na Stany Zjednoczone. Jak stwierdzali znani amerykańscy teoretycy wojskowi: Walter Millis, Harvey Mansfield i Harold Stein w książce *Arms and the State (Broń i państwo)*, w wyniku jednego uderzenia cała sytuacja wojskowo-polityczna uległa „gwałtownym i straszliwym” zmianom¹⁵. Możliwość „totalnego” zniszczenia przeciwnika, na którą Waszyngton coraz mocniej stawiał jako na podstawowy czynnik umożliwiający planowanie „prewencyjnego” uderzenia jądrowego na ZSRR, traciła teraz swoją pociągającą jednostronność. Szybkie opanowanie przez Związek Radziecki tajemnicy produkcji bomby jądrowej, podkreślał sekretarz stanu John Foster Dulles, wywołało zaiste gigantyczne zmiany w strategicznych możliwo-

ściach obu mocarstw. Zdolność Waszyngtonu do wykonania uderzenia na ZSRR była teraz w znacznym stopniu neutralizowana przez groźbę dokonania przez Moskwę odwetu jądrowego zarówno wobec Stanów Zjednoczonych, jak i ich sojuszników¹⁶.

Widok amerykańskiej przewagi wojskowej, rozpadającej się jak domek z kart, podział na niektórych zwolenników wojny prewencyjnej przeciwko ZSRR do tego stopnia, że dosłownie dokonali zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni. Na przykład znany poprzednio ze swych wojowniczych zapędów przewodniczący senackiej Komisji Sił Zbrojnych, Millard Tydings, obawiając się, że w toku wojny Stany Zjednoczone mogą stać się obiektem „niepożądanego” radzieckiego uderzenia odwetowego, nawoływał teraz swych kolegów do zerwania ze śmiertelnie niebezpieczną grą w broń jądrową, zanim doprowadzi ona do nieodwracalnej katastrofy.

9

Takich „panikarzy” jednak było niewiele, toteż nie mogli oni wywrzeć poważniejszego wpływu na militarystyczny kurs amerykańskiej polityki zagranicznej. Co więcej, wraz z utraceniem przez Stany Zjednoczone monopolu na broń jądrową, a tym samym i złudnej pewności co do swobody wyboru czasu wykonania uderzenia jądrowego na ZSRR, zwolennicy wojny prewencyjnej zaczęli zdradzać jeszcze większe zaciętrzewienie w dążeniu do obrony „ostatnich rubieży”. Między innymi stawiano na to, że Stany Zjednoczone w przyszłej wojnie mogą się oprzeć na swej armadzie bombowców strategicznych oraz licznych bazach wojskowych za oceanem, natomiast radzieckie lotnictwo, działające z własnego terytorium, nie będzie w stanie pokonać olbrzymich odległości dzielących ZSRR od kontynentu amerykańskiego oraz przebić się przez kombinowaną amerykańską obronę przeciwlotniczą złożoną z lotnictwa myśliwskiego i artylerii przeciwlotniczej.

Wszystko to pozwalało na utrzymywanie przez propagandę amerykańską najbardziej optymistycznego tonu. Wystarczy na przykład wspomnieć, że jeden z numerów bardzo popularnego

w owych latach czasopisma „Coliers” ukazał się w okładce przedstawiającej zarys mapy ZSRR przekreślonej wytłuszczonym napisem: „Okupowano. Porażka Rosji. Lata 1952—1960”. Narysowany tuż obok sympatyczny chłopak w mundurze amerykańskiej policji wojskowej i z karabinem w garści miał na ustach beczelny uśmiezek. Cała jego postawa świadczyła, że trud związany z podbojem Rosji nie popsuł mu humoru. W Białym Domu jednak napięcie rosło. W opublikowanych niedawno osobistych zapiskach prezydenta Trumana można znaleźć oszałamiające — jak twierdzi nawet prasa amerykańska — wyznania. Wynika z nich, że pod koniec okresu sprawowania urzędu prezydenta, to jest na początku lat pięćdziesiątych, tracił on już głowę i był prawie gotów, nie czekając na dalsze gromadzenie niezbędnej do tego potęgi jądrowej, wydać rozkaz o bombardowaniu atomowym miast radzieckich — Moskwy, Leningradu, Władywostoku, Odessy, Stalingradu...

10

Tymczasem, mimo chorobliwie narastającej w wyższych sferach kierownictwa amerykańskiego niecierpliwości co do rozpoczęcia wojny jądrowej z ZSRR, trzeba było czekać. Pilnie opracowany natychmiast po pojawieniu się radzieckiej bomby jądrowej nowy wariant planu rozpętania takiej wojny (*Trojan*), zakładający wykonanie uderzenia jądrowego na ZSRR najpóźniej do 1 stycznia 1950 roku, znów okazał się źle przemyślanym awanturnictwem. Kiedy na polecenie Połączonego Komitetu Szefów Sztabów został teoretycznie „rozegrany” przez wyższych oficerów Departamentu Obrony, okazało się, że zakładane w nim zadanie ZSRR decydującej porażki wojskowej jest nadal bardziej niż wątpliwe. W toku gry wojskowej liczne miasta radzieckie zostały „zniszczone”, ale amerykańskie rodzaje broni strategicznej też były całkowicie unieruchomione; lotnictwo — wskutek ogromnych strat spowodowanych odwetowymi działaniami radzieckiej obrony przeciwlotniczej, zaś większość amerykańskich baz wojskowych w krajach Europy Zachodniej — w wyniku przeciwuderzeń lotnictwa radzieckiego. Wyszło przy tym na jaw, że Sta-

ny Zjednoczone nie potrafią zapobiec przeniesieniu wojny jądrowej na ich własne terytorium.

Musiano uznać, że do zorganizowania „prewencyjnej” napaści jądrowej na ZSRR niezbędne jest dokładniejsze przygotowanie, toteż kontrolny termin rozpętania wojny trzeba było ponownie przesunąć, tym razem na 1 stycznia 1957 roku.

Na podstawie tej decyzji opracowano kolejny plan wojny jądrowej, któremu ze względu na wymogi tajemnicy wojskowej, nadano kryptonim *Dropshot*. Zgodnie z tym planem w pierwszym etapie działań wojennych na miasta i ośrodki przemysłowe ZSRR miano rzucić 300 bomb jądrowych oraz ponad ćwierć miliona ton konwencjonalnych materiałów wybuchowych. Jednocześnie zamierzano obezwładnić radziecki system obrony przeciwlotniczej, zniszczyć radzieckie wojska lądowe, marynarkę i lotnictwo, a także roztoczyć całkowitą kontrolę wojskową nad wszystkimi morskimi liniami komunikacyjnymi. W ślad za tym miało nastąpić wtargnięcie na terytorium ZSRR wojsk lądowych Paktu Północnoatlantyckiego złożonych ze 164 dywizji, w tym 69 amerykańskich, ostateczne rozgromienie radzieckich sił zbrojnych i ustanowienie reżimu okupacyjnego na terytorium kapitulującego nieprzyjaciela.

Później miało nastąpić — już poza ramami planu *Dropshot*, ale założone w nim — decydujące natarcie na Dalekim Wschodzie i w Azji Południowo-Wschodniej. A jako ukoronowanie wielkiego programu wojskowego rozgromienia wszystkich tych, którzy jeszcze nie padli na kolana przed nowymi władcami świata — faktyczne ustanowienie władzy Waszyngtonu na całej kuli ziemskiej¹⁷.

W celu politycznego i materiałowego zabezpieczenia realizacji planu *Dropshot* Krajowa Rada Bezpieczeństwa skorygowała dyrektywę NSC-20/4 i przyjęła nową — NSC-68/2. Politycy podkreślali w niej niezbędną konieczność gwałtownego przyspieszenia tempa powiększania amerykańskiej potęgi jądrowej. Szczególnie zwracano uwagę, że „nadrzędne interesy narodowe” wymagają zrezygnowania z jakichkolwiek ograniczeń przy określaniu wielkości wydatków wojskowych. Stany Zjednoczone, stwierdzano w dyrektywie, nie mają prawa zatrzymywać się

w połowie drogi i w razie potrzeby muszą być gotowe do wydatkowania na zbrojenia większej części wszystkich wpływów budżetowych kraju¹⁸.

W kwietniu 1950 roku dyrektywa NSC-68/2 uzyskała wstępną aprobatę prezydenta Trumana, a pod koniec września tegoż roku została oficjalnie przez niego zatwierdzona.

11

W ciągu najbliższych trzech lat od chwili przyjęcia dyrektywy NSC-68/2 wydatki wojskowe Stanów Zjednoczonych wzrosły prawie czterokrotnie. Przy czym, ponieważ wykonanie zadań przewidywanych w planie *Dropshot* wiązano przede wszystkim z dalszym powiększaniem zdolności Stanów Zjednoczonych do „decydującego” natarcia lotniczo-jądrowego, polityczno-wojskowe kierownictwo w Waszyngtonie największą wagę przywiązywało do materiałowego przygotowania takiego właśnie uderzenia. Prócz radykalnego rozszerzenia programu powiększania arsenału broni jądrowej podjęto bardzo energiczne kroki zmierzające do jak najszybszego opanowania produkcji jeszcze bardziej niszczycielskich ładunków — termojądrowych. Odpowiednia decyzja w tej sprawie powzięta została 31 stycznia 1950 roku przez specjalny komitet Krajowej Rady Bezpieczeństwa do spraw „superbomby” i już wieczorem tego samego dnia zatwierdzona przez prezydenta.

W niespotykanej skali i w nie mającym precedensu tempie rozwijał się potencjał lotniczy. Program rozwoju sił powietrznych zakładał ich ponad trzykrotny wzrost, a przydzielone na to środki zaczęły przekraczać wszystkie pozostałe wydatki wojskowe. Do wyposażenia lotnictwa Stanów Zjednoczonych przekazano nowe bombowce B-47 średniego zasięgu. Do roku 1953 ich liczebność doszła do 500, a do roku 1955 — już do 1400. W tych samych latach rozpoczęto prace konstrukcyjne nad bombowcem B-52, który potrafił skutecznie działać bezpośrednio z kontynentu amerykańskiego, a więc nie potrzebował baz za oceanem lub lotnisk pośrednich. Jesienią 1953 roku Pentagon podpisał z kilkoma firmami lotniczymi kontrakt na jego budowę.

W dziedzinie wojskowo-politycznej dążenie do osiągnięcia ce-

łów postawionych w planie *Dropshot* znalazło swój wyraz w przyjęciu przez Waszyngton doktryny „zmasowanego odwetu” — jednej z najbardziej jawnych pod względem agresywnego ukierunkowania. Cynicznie głosiła ona gotowość Stanów Zjednoczonych do wykonania uderzenia jądrowego „w głowę siły komunistycznej”¹⁹. Balansując na krawędzi wojny, Biały Dom coraz częściej zaczął grozić użyciem broni jądrowej. Pod wpływem wciąż jeszcze trwającego hipnotyzowania się siłą jądrową znajdowały się nie tylko instytucje państwowe, lecz także liczne antyradziecko usposobione kręgi społeczeństwa amerykańskiego, które zaczęły z kolei wywierać nacisk na rząd żądając od niego, by skończył z polityką „ułagodzenia” i zrzucił bomby, by zetrzeć komunistów z powierzchni ziemi²⁰. Takie nawoływania dosłownie wypełniały łamy amerykańskich dzienników i czasopism. W Pentagonie otwarcie mówiono o mającym nastąpić jądrowym bombardowaniu Rosji jako o sprawie przesądzonej. Oświadczenie jednego z generałów: „Wojna — czym prędzej, już teraz!” — zostało podchwyczone i przekształcone w hasło dnia przez wszystkich militarystów — niezależnie od tego czy nosili mundur wojskowy, czy ubranie cywilne.

12

Tym silniejszy więc był głęboki szok, jaki po wystrzeleniu w październiku 1957 roku przez Związek Radziecki pierwszego sztucznego satelity Ziemi musiały przeżyć wojownicze siły amerykańskiego imperializmu. Satelita, samym faktem swego istnienia potwierdzający posiadanie przez ZSRR potężnych rakiet do jego przenoszenia, rozwiął ostatnie złudzenia o niedostępności kontynentu amerykańskiego dla radzieckiego uderzenia odwetowego. Obalenie tego mitu — jak wyraziła się „Washington Post” — przekształcało doktrynę „zmasowanego odwetu” w swego rodzaju „zmasowaną bzdurę”. W Białym Domu i Departamencie Stanu, jak wyznaje Dulles, zapanowała atmosfera „bezsilnej złości i upokorzenia”²¹.

Dzisiaj oczywiście trudno, a w dodatku nie ma potrzeby poszukiwać odpowiedzi na pytanie — czy Waszyngton zrealizowałby plan *Dropshot*, gdyby nie nowe okoliczności? W ostatnich

jednak czasach pojawia się coraz więcej dowodów na to, że świat stał wtedy na krawędzi katastrofy jądrowej. Kwartalnik Uniwersytetu Harvarda „International Security” („Bezpieczeństwo międzynarodowe”) wśród innych dokumentów dotyczących roku 1954 opublikował na przykład notatki poczynione przez jednego z uczestników supertajnego instruktażu dla oficerów dowództwa strategicznych sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. Ich autor podkreśla, że mówiono wtedy o wykonaniu na Związek Radziecki jednoczesnego zmasowanego uderzenia, które w ciągu dwóch godzin (!) miało przekształcić terytorium radzieckie w dymiące, radioaktywne ruiny. W tym lotniczym ataku atomowym miało wziąć udział 735 bombowców B-47 i B-36, to jest znacznie więcej niż zakładano w poprzednich wariantach planu *Dropshot*. Charakterystyczne jest również to, że bezpośrednią reakcją Białego Domu na stworzenie przez ZSRR potężnej rakiety balistycznej było kolejne wzmaganie hysterii wojennej. Na rozkaz prezydenta Dwighta Davida Eisenhowera połowę wszystkich samolotów strategicznych sił powietrznych z bronią jądrową na pokładzie postawiono w stan nieustającego dyżuru, a określona część uzbrojonych w bomby jądrowe bombowców ciężkich bez przerwy prowadziła loty patrolowe w pobliżu granic radzieckich. Napięcie nadal się potęgowało. Począwszy od 1958 roku patrolowe loty bombowców B-52 w granicach stref ochrony ustąpiły miejsca lotom „rajdowym”, których trasy kończyły się w pobliżu północnych rubieży ZSRR.

Prowokacyjne groźby wykonania uderzenia jądrowego na ZSRR wypowiedane były także w oficjalnych oświadczeniach Białego Domu. W 1959 roku, w okresie kryzysu berlińskiego prezydent Eisenhower oświadczył o „zdecydowaniu” Stanów Zjednoczonych, o ile rozwój sytuacji „zmusi” je do tego, pójścia nie tylko na interwencję zbrojną w Europie, lecz i na realizację akcji wojskowych skierowanych bezpośrednio przeciwko ZSRR.

Ówczesny dowódca amerykańskiej 2 floty potwierdził później, że w połowie maja 1959 roku rzeczywiście otrzymał rozkaz osiągnięcia stanu pełnej gotowości do napaści jądrowej na ZSRR. Wykonując go, jego okręty pełniły dyżur do końca miesiąca, kiedy to otrzymał z Waszyngtonu sygnał o odwołaniu stanu gotowości bojowej.

W szybkim tempie następowało powiększenie strategicznego potencjału lotniczo-jądrowego oraz rozwój amerykańskiego systemu obrony przeciwlotniczej. Stan sił obrony powietrznej kraju doprowadzono do 2000 samolotów myśliwskich, sił artylerii przeciwlotniczej — do 4000 dział. Radykalnie modernizowano system wczesnego wykrywania i powiadamiania, automatyzowano kierowanie wszystkimi siłami i środkami obrony przeciwlotniczej.

Waszyngton uzyskał zgodę Londynu na rozmieszczenie na terytorium Wielkiej Brytanii wyrzutni rakiet balistycznych średniego zasięgu *Thor*. Podobne pod względem danych taktyczno-technicznych rakiety *Jupiter* wkrótce rozmieszczono na terytorium Włoch i Turcji. Jednocześnie podjęto pilne i nadzwyczajne wysiłki w dziedzinie tworzenia rakiet nowej generacji — międzykontynentalnych oraz bazujących na pokładach okrętów.

13

W tamtych latach nie milkły również stałe nawoływania do natychmiastowego rozpętania przeciwko ZSRR wojny jądrowej. Niewiele uległo zmianie w argumentacji jej zwolenników. Typowym przykładem pod tym względem może być opublikowany w grudniu 1957 roku w czasopiśmie „Air Force Magazin” artykuł kilku anonimowych autorów należących, jak przedstawiła ich redakcja, do wyższych szczebli amerykańskiego dowództwa wojskowego. Powołując się na to, że wkrótce ZSRR będzie dysponował potężnym potencjałem rakietowo-jądrowym, twierdzili oni, że tylko wojna rozpoczęta w ciągu najbliższych miesięcy może zapewnić Stanom Zjednoczonym możliwość uprzedzenia „katastrofalnej” sytuacji, w której amerykańska potęga jądrowa utraci swoje decydujące znaczenie. Podobne nastroje panowały również w Kongresie. W wielu sprawozdaniach przygotowanych przez różne jego komisje niejednokrotnie i stanowczo podkreślano, że Waszyngton musi wyężyć wszystkie siły, by w najkrótszym czasie powiększyć swój potencjał zaczepny do poziomu umożliwiającego przystąpienie do „prewencyjnej” wojny jądrowej z ZSRR. Autorzy wydanej w 1961 roku książki *A Forward Strategy for America* (Nowa strategia amerykańska) twierdzili,

że rezygnacja Stanów Zjednoczonych z prawa „prewencyjnej” napaści jądrowej na ZSRR oznaczałaby katastrofę nie tylko dla nich, lecz i dla całego świata zachodniego²². Niezbędne jest — pisał także Herman Kahn, z którego zdaniem liczone się w tym czasie w Waszyngtonie — ryzyko rozpoczęcia wielkiej wojny i wykorzystanie w niej strategicznej broni jądrowej²³.

Ten zdumiewający fenomen tak oczywistej niezgodności między głoszonymi przez Waszyngton celami wojskowymi a oczywiście niezdolnością Stanów Zjednoczonych do ich osiągnięcia, stopniowo tracąc wprawdzie poprzednią kategoryczność swych zamysłów, istniał w początkowej postaci aż do pamiętnych dni kryzysu w rejonie Morza Karaibskiego. Zmian, jakie zaszły w stosunku sił poszczególnych stron, nie zechciał uznać nie tylko rząd Eisenhowera, lecz i późniejszy gabinet demokratów z prezydentem Johnem Kennedym na czele. Wysunięcie przez Kennedy’ego strategii „elastycznego reagowania”, która zastąpiła starą strategię „zmasowanego odwetu”, nie zakładało rezygnacji z przygotowań do wielkiej wojny jądrowej. Kennedy podkreślał niejednokrotnie, że mogą powstać takie okoliczności, w których Stany Zjednoczone będą zmuszone rozpocząć „prewencyjne” działania wobec ZSRR.

Planując nową wyprawę przeciwko Kubie, rząd Kennedy’ego w pełni zdawał sobie sprawę z możliwości przerodzenia się tej akcji w światową wojnę raketowo-jądrową. Wystarczy na przykład wspomnieć, że ogłoszeniu przez prezydenta Kennedy’ego „kwarantanny” przeciwko Kubie towarzyszyło nie tylko ześrodkowanie ogromnej liczby okrętów wojennych na położonych nieopodal niej wodach, lecz także postawienie w stan gotowości bojowej amerykańskich sił jądrowych znajdujących się zarówno na pokładach okrętów podwodnych, jak i na samolotach.

Dopiero zdawszy sobie sprawę ze znalezienia się na skraju przepaści światowej wojny termojądrowej rząd Kennedy’ego odczuł oziębłą potworność niechybnej zagłady i oddalił się od niej. Dlatego właśnie dalsze działania Białego Domu źle układały się w ramach „prewencyjnej” napaści. W czasie posiedzenia w Owalnym Gabinetecie prezydenta odrzucono wszystkie warianty takich posunięć, które mogłyby doprowadzić do automatycznego przekształcania się ich w starcie jądrowe z ZSRR. Za-

miast tego wybrano, będącą poprzednio nie do przyjęcia, ale teraz jedynie możliwą, taktykę poszukiwania kompromisowego rozwiązania konfliktu środkami politycznymi. Osiągnięte z ZSRR porozumienie Waszyngton powitał z uczuciem nieukrywanej ulgi. Kennedy nie tylko nie usiłował przedstawić tego porozumienia jako pewnego zwycięstwa amerykańskiego, lecz zatroszczył się także o podjęcie odpowiednich kroków, by jakiś przypadek nie spowodował zerwania rokowań. Kryzys kubański, pisał zbliżony do Kennedy'ego Theodore Sorensen, stał się lekcją, która umożliwiła Stanom Zjednoczonym uzmysłowienie sobie beznadziejności liczenia na totalne zwycięstwo jądrowe, zmusił do uwierzenia w twórcze możliwości politycznego rozwiązania konfliktów.

Sam prezydent sformułował podstawowe wnioski z tej lekcji w wystąpieniu 10 czerwca 1963 roku w murach Uniwersytetu Amerykańskiego w Waszyngtonie. Zwracając się do słuchaczy z apelem o rezygnację również w przyszłości z myśli o możliwości prowadzenia wojen jądrowych, mówił patetycznie o obowiązku żyjących wobec „nie narodzonych jeszcze pokoleń” niedopuszczenia do przekształcenia planety w olbrzymi śmietnik radioaktywny. Jednakże za całym tym patosem wyraźnie było widać uświadomienie sobie przez niego nowych realiów: „Jeśli wielkie mocarstwa dysponują wielkimi i stosunkowo żywotnymi siłami jądrowymi — powiedział — i jeśli nie można zmusić je do poddania się bez tego, by nie usiłowały użyć tych sił, wojna totalna całkowicie traci swój sens”²⁴.

Te słowa amerykańskiego prezydenta mogły mieć jedno tylko znaczenie: Stany Zjednoczone faktycznie uznały ostateczny krach strategii totalnego rozgromienia komunizmu. W obliczu niepokonanej radzieckiej potęgi rakietowo-jądrowej zdały sobie sprawę, że znalazły się w ślepych zaułku, z którego nie było wyjścia.

II. „Pierwsze uderzenie”

1

W amerykańskiej polityce państwowej przyznanie się do „pata jądrowego” nie było jednak ani stałe, ani powszechne. Trzeba raczej powiedzieć, że o ile stare plany rozpętania wojny przeciwko ZSRR uznawano teraz za nieprzydatne, o tyle osiągnięcie wytyczonego celu ostatecznego wciąż jeszcze wydawało się zupełnie realne, ale pod warunkiem użycia nowych środków i metod prowadzenia takiej wojny. Na plan pierwszy wysuwano stworzenie takich rodzajów zaczepnej broni raketowo-jądrowej, które umożliwiłyby Stanom Zjednoczonym w toku „prewencyjnej” napaści na ZSRR zniszczenie za jednym zamachem wszystkich jego jądrowych środków odwetu i późniejsze dobijanie bezbronnego już nieprzyjaciela.

Takie właśnie rachuby legły u podstaw nowej koncepcji prowadzenia wojny jądrowej z ZSRR — metodą „pierwszego uderzenia”. Główne jej założenia sformułowane zostały przez sekretarza obrony Roberta McNamare. Zgodnie z jego określeniem, przez zdolność wymierzenia nieprzyjacielowi „pierwszego uderzenia” należało rozumieć nie tyle zdolność wykonania jako pierwszemu takiego uderzenia — uważano to za zrozumiałe samo przez się — „ile, i przede wszystkim, unieszkodliwienie w wyniku tego pierwszego uderzenia podstawowych środków nieprzyjaciela, które mogą być wykorzystane do uderzenia odwetowego”¹.

2

Wraz z pojawieniem się radzieckiej broni jądrowej oraz lotniczych, a następnie również raketowych środków przenoszenia

jej do celu, w Pentagonie nie raz już podejmowano próby rozwiązywania tego problemu. Amerykańskie rakiety strategiczne pierwszej generacji nie zapewniały jednak wysokiego stopnia skuteczności rażenia celów, zwłaszcza osłoniętych i mających niewielkie wymiary. Jak dowiodły obliczenia, przy względnej liczebnej równości arsenałów rakietowych obydwu stron wymierzenie „prewencyjnego” uderzenia w środki jądrowe ZSRR mogłoby zapewnić zniszczenie maksimum 70% jego wyrzutni rakietowych. Innymi słowy, jak podkreślali eksperci amerykańscy, gdyby na przykład Stany Zjednoczone, usiłując rozbroić nieprzyjaciela, zaatakowały tysiąc jego wyrzutni rakiet za pomocą tyluż rakiet własnych, w dyspozycji tego ostatniego pozostałoby nie mniej niż trzysta rakiet do wymierzenia uderzenia odwetowego. Oczywiście, przy takim stanie rzeczy nieuchronnie nastąpiłby — według terminologii samego Waszyngtonu — „niepożądany”, to jest katastrofalny odwet jądrowy.

Najprostszym sposobem kompensacji takich „nierównych możliwości” jest osiągnięcie przez agresora znacznej przewagi liczebnej w jądrowych środkach napadu. Rzeczywiście, jeśli we wspomnianym wyżej hipotetycznym przypadku założymy, że liczebność arsenału rakietowego napastnika znacznie przewyższa liczebność arsenału obiektu agresji, to ostateczne wyniki ataku będą tym korzystniejsze dla pierwszego z nich, im ta przewaga będzie większa.

Stany Zjednoczone tuż przed i na początku lat sześćdziesiątych usiłowały kierować się tymi założeniami. Były zastępca pomocnika prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego doktor Carl Kaysen stwierdza, że decyzje podejmowane przez Waszyngton w tamtych latach niezmiennie wynikały przede wszystkim z dążenia do osiągnięcia trzy- lub nawet czterokrotnej przewagi nad ZSRR w strategicznych środkach jądrowych². Taka jednak taktyka zbyt wyraźnie zdradzała kryjące się za nią plany przygotowań do „prewencyjnej” napaści na ZSRR i, oczywiście, była odparowywana przez niego odpowiednimi kontraposunięciami. Dlatego wyniki podejmowanych prób osiągnięcia niezbędnej przewagi przez ilościowe powiększenie amerykańskiego arsenału strategicznego uznano wreszcie za niewystar-

czające i Stany Zjednoczone wkrótce zrezygnowały — w każdym bądź razie w owym czasie — z nadziei na pomyślniejsze ich powtórzenie.

3

Nowe nadzieje zrodziły się z chwilą opracowania jakościowo nowych systemów uzbrojenia, umożliwiających, przy istnieniu ilościowego parytetu raketowego, osiągnięcie przez stronę atakującą wielokrotnej przewagi w środkach rażenia.

Jednym z kierunków w tej dziedzinie stało się skupienie wysiłków na opracowaniu i rozwinięciu wieloczołowych zaczepnych rakiet strategicznych z głowicami niezależnie naprowadzanymi na cel (MIRV — *Multiple Independently-targetable Reentry Vehicle*. — Poszczególne ładunki jądrowe mogą opuszczać głowicę po kolei, kierując się po torach balistycznych do wyznaczonych im celów — *przyp. tłum.*), które jak sądzono w Waszyngtonie, otwierały nowe, wiele obiecujące horyzonty.

Tkwiała w tym określona część prawdy. Obraz raketowo-jądrowej konfrontacji stron na poziomie systemów MIRV, nawet w przypadku jeśli dysponują one jednakową liczbą rakiet, różni się istotnie od sytuacji w okresie istnienia rakiet pierwszej generacji. Rakietę wyposażoną w jedną jądrową głowicę bojową może w najlepszym przypadku porazić jeden tylko cel, na przykład wyrzutnię raketową nieprzyjaciela. Zatem straty tego ostatniego nie mogą w żadnym przypadku przewyższyć liczby rakiet zużytych na to przez napastnika. Wykorzystanie rakiet MIRV, wyposażonych przeciętnie w 10 ładunków bojowych, zmienia ten stosunek w sposób zasadniczy. Każdy ładunek bojowy takiej rakiety, jeśli zostanie dokładnie naprowadzony na cel, mimo że zniszczy jedną tylko z rakiet MIRV nieprzyjaciela, wraz z nią likwiduje także wszystkie jej głowice bojowe. Kommentując te osobliwości rakiet systemu MIRV, „New York Times” pisała, że teoretycznie dziesięć takich rakiet, wyposażonych w sumie w sto ładunków bojowych, może zniszczyć do stu międzykontynentalnych rakiet balistycznych nieprzyjaciela, a wraz z nimi — około tysiąca głowic bojowych, w które są wyposażone. Tak więc biorąc pod uwagę wszelkie poprawki na

współczynnik skuteczności systemów rakietowych w ogóle, a także ewentualne defekty techniczne — entuzjastycznie wnioskowała gazeta — otwierające się perspektywy „nie mogą nie działać na wyobraźnię”³.

Oczywiście, jak dowodzą nawet te dosyć uproszczone rozważania, planując przeniesienie wyścigu zbrojeń rakietowo-jądrowych na płaszczyznę systemów MIRV, Waszyngton kierował się dobrze znaną mu przewagą, jaką zapewnia sobie właśnie strona agresywna. W najbliższej przyszłości, podkreślano na przykład w jednym z materiałów przygotowanych przez Pentagon dla Kongresu, arsenały rakietowo-jądrowe Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego będą zawierały mniej więcej po tysiąc rakiet MIRV każdy, to jest przeciętnie po 10 tysięcy głowic bojowych. Jeśli przy takim stosunku sił wykona się na ZSRR uderzenie „prewencyjne”, powiedzmy tylko 800 rakietami MIRV z ich 8 tysiącami głowic bojowych, to na każdą z radzieckich wyrzutni rakiet spadnie po osiem ładunków jądrowych. Osiągnąwszy dzięki temu niemal całkowite, gwarantowane zniszczenie wszystkich radzieckich środków uderzenia odwetowego, Stany Zjednoczone jeszcze zachowają przy tym w rezerwie około 200 rakiet MIRV z 2 tysiącami głowic jądrowych — dosyć wielki potencjał „odwetu”, który mogą skierować na radzieckie miasta, jeśli nieprzyjaciel mimo wszystko zaryzykuje wykonanie przeciwwuderzenia za pomocą przypadkowo ocalałych rakiet⁴.

4

O ile zwykłą „MIRVizację” zaczepnych systemów rakietowych można początkowo było nawet uważać za przewyciężenie w jakimś stopniu „pata jądrowego”, o tyle — w miarę obserwowanego w tamtych latach podnoszenia się poziomu „żywności” wyrzutni rakiet strategicznych, w tym również dzięki ich rozmieszczeniu w tak zwanych sztywnych, to jest znacznie lepiej umocnionych i osłoniętych szybach — zwykle powiększanie liczby atakujących głowic traciło swoje poprzednie znaczenie. Rozmiary „celów o ograniczonych powierzchniach”, przez które w Pentagonie rozumiano radzieckie wyrzutnie rakiet, praktycznie zmniejszały się do punkcików. Można je było zniszczyć je-

dynie przy bezpośrednim trafieniu spadających głowic bojowych. W odniesieniu do systemu MIRV było to tym bardziej konieczne, ponieważ zwiększenie liczby głowic bojowych, rozmieszczonych w przedniej części rakiety, zmuszało do określonego zmniejszenia ich wielkości, a więc i mocy.

Poszukiwania rozwiązań wyłaniających się problemów doprowadziły do szerokiego wykorzystania pierwszych wyników rozpoczętej w połowie lat sześćdziesiątych „rewolucji cybernetycznej”. Wprowadzenie do techniki wojskowej automatów sterujących umożliwiło przejście do kompleksowej automatyzacji najbardziej skomplikowanych procesów technicznych, zapewniających funkcjonowanie współczesnych strategicznych systemów uzbrojenia. Ważne było i to, że wymiary zespołów owych systemów, dzięki szybko rozwijającej się mikrominiaturyzacji ich elementów, nie wykraczały poza granice wyznaczonych im nadzwyczaj ograniczonych wymiarów i ciężarów, a więc nie wymagały one wiele miejsca w kadłubach ракет czy w umieszczonych w nich głowicach. W późniejszych latach zwrócono uwagę na możliwości wykorzystania takich zasad fizycznych, które pozwoliłyby obchodzić się bez ruchomych lub ocierających się elementów, zwykle określających taką lub inną wartość błędu w pracy całego systemu.

5

Przy całej banalności tej prawdy, chcąc zapewnić porażenie obiektów nieprzyjaciela, mając dostatecznie „punktowe” systemy broni należy — i to jest minimum — dysponować nie mniej dokładnymi danymi o wzajemnym geograficznym położeniu samych środków przenoszenia broni jądrowej, a także celów wyznaczonych do zniszczenia. Może to się okazać dziwne, ale istniejące w tej dziedzinie tradycyjne możliwości wcale nie odpowiadały nowym wymaganiom.

Zacznijmy chociażby od tego, że kształt Ziemi tylko w przybliżeniu odpowiada kształtowi kuli, a wszystkie jej modele kartograficzne zawierają błędy. Wynoszą one w nanoszeniu wzajemnego rozmieszczenia kontynentów ponad półtora kilometra, a poszczególnych punktów na powierzchni Ziemi — do 12—16 km.

Tak więc, mimo że geodezyjne określenie współrzędnych naziemnych wyrzutni rakiet nie stanowiło znacznego problemu, to istniejące wówczas metody i środki nawigacji mogły zapewnić jedynie przybliżone dane o przestrzennym położeniu bombowców w czasie lotu, a były jeszcze mniej przydatne do wykorzystania przez uzbrojone w rakiety okręty podwodne, które musiałyby się wynurzać, a tym samym ryzykować wykrycie przez nieprzyjaciela. Oczywiście, jeszcze większe trudności pojawiały się przy próbach dokładnego określenia współrzędnych samych celów, to jest radzieckich wyrzutni rakiet.

Na etapie rozwinięcia systemów raketowych MIRV rozwiązywanie podobnych problemów nabiera już na tyle wielkiego znaczenia, że kartograficzne i nawigacyjne środki obsługi strategicznych systemów broni, traktowane poprzednio jako pomocnicze, zaczynają być przyrównywane do ich najważniejszych części składowych, „Rewolucja cybernetyczna” i w tym przypadku znalazła się w centrum zachodzących procesów narodzin nowych systemów nawigacji i orientacji w przestrzeni. Możliwe, że jeszcze bardziej istotną okolicznością, określającą pojawienie się nowych horyzontów, stały się perspektywy rozmieszczenia przez Stany Zjednoczone pomocniczych systemów bojowych w niedostępnych dotychczas sferach przestrzennych — przede wszystkim w kosmosie.

6

Przedstawiciele Pentagonu doskonale zdawali sobie sprawę z korzyści, jakie daje rozmieszczenie w kosmosie systemów geodezyjnych i nawigacyjnych.

Zgodnie ze świadectwem sekretarza obrony McNamary, począwszy od połowy lat sześćdziesiątych związane z tym programy traktowano jako najpilniejsze⁵. Pokładane w nich nadzieje pod wieloma względami ziściły się.

Umieszczenie na orbitach satelitów geodezyjnych typu *Anna*, zastąpionych później satelitami typu *Geos* i *Secor*, a także przejście do kosmicznych metod budowy międzykontynentalnej i światowej siatki geodezyjnej umożliwiło zmniejszenie błędu w dokładności określania wzajemnego położenia punktów naziemnych

początkowo do 20—50 metrów, a w latach późniejszych do 10—15 metrów.

Zadania dotyczące tworzenia systemów superdokładnej nawigacji dla sił strategicznych bazujących pod wodą i w powietrzu w zasadzie były wykonywane za pomocą środków satelitarnych, jeśli nie liczyć umieszczanych na dnie mórz i oceanów tak zwanych latarni nawigacyjnych dla okrętów podwodnych wyposażonych w broń rakietowo-jądrową.

Pierwsze modele satelitów nawigacyjnych serii *Transit* działały już pod koniec pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. W inspirowanych przez Pentagon doniesieniach prasy amerykańskiej twierdzono, że satelity te umożliwiają okrętom podwodnym uzbrojonym w rakiety *Polaris* uzyskanie „zabójczej dokładności” rażenia celów na wielkie odległości. Osiągnięcie jednak rzeczywiste zadowalających wyników okazało się sprawą znacznie trudniejszą i pochłonęło prawie dwa dziesięciolecia, zanim Stany Zjednoczone umieściły na orbitach pierwsze udoskonalone satelity *Navstar*. Zakłada się, że z chwilą całkowitego rozwinięcia tego systemu, w 1985 roku, kiedy na orbicie znajdzie się 18 satelitów, podłączeni do niego „abonenci”, przede wszystkim okręty podwodne i bombowce strategiczne, będą mogli uzyskiwać nieprzerwaną informację nie tylko o położeniu własnym — według trzech współrzędnych — z dokładnością do 10 metrów, lecz także o prędkości swego przemieszczania się w tej przestrzeni z dokładnością do kilku centymetrów na sekundę.

Do zadań *Navstar* będzie także należało zapewnienie nawigacji nie tylko okrętów podwodnych z bronią rakietowo-jądrową na pokładzie oraz bombowców strategicznych, lecz także znajdujących się w locie ракет balistycznych. Innymi słowy, *Navstar* praktycznie stanie się systemem bezpośredniego naprowadzania jądrowych środków rażenia na cel. Za pomocą wystrzelonych już satelitów prowadzi się próby skuteczności systemu zgodnie z programami *Minuteman*, *Poseidon* i *Trident*.

O słuszności wypowiedzianej już poprzednio tezy, że banalność niektórych prawd nie pociąga za sobą zaniechania wynikających

z nich działań, amerykańscy strategzy musieli przekonać się raz jeszcze — i z jeszcze większym rozgoryczeniem — kiedy stało się oczywiste, że nawet dysponując nowymi systemami zaczepnej broni strategicznej mogą liczyć na osiągnięcie skutecznych wyników jedynie wówczas, jeśli Pentagon będzie dokładnie wiedział, gdzie właściwie należy szukać celów, które mają być zniszczone.

Dlatego właśnie, przygotowując się do „pierwszego uderzenia” na Związek Radziecki, Stany Zjednoczone na nic innego nie traściły tyle wysiłków i środków, jak na organizację rozpoznania strategicznego, to jest stworzenie niezawodnych środków wykrywania i śledzenia radzieckich wyrzutni rakiet z głowicami jądrowymi przeznaczonych do uderzenia odwetowego.

Jakieś początki w dziedzinie rozwinięcia niezbędnych do tego systemów oczywiście zrobiono. Już w drugiej połowie lat pięćdziesiątych Stany Zjednoczone dysponowały osiągniętym wysoki pułap samolotem szpiegowskim U-2. Bezpośrednią realizację programu jego budowy, odbywającej się pod egidą Centralnej Agencji Wywiadowczej, powierzono specjalnej grupie koordynacyjnej, którą kierował Richard Bissel. Od wysunięcia pomysłu budowy samolotu szpiegowskiego do ucieleśnienia go w metalu i superczułej elektronice upłynęło niewiele ponad sześć lat. Tempo realizacji programu nabrało szczególnego przyspieszenia po tym, gdy projekt po pokonaniu wszystkich barier biurokratycznych został przekazany, zgodnie z kontraktem, firmie Lockheed Aircraft Corporation. Po upływie dokładnie piętnastu miesięcy kierownictwo tej firmy przekazało pierwszy egzemplarz samolotu. W roku 1956 zbudowano ich dwadzieścia.

Wykorzystanie U-2 do prowadzenia rozpoznania nad terenem Związku Radzieckiego rozszerzało możliwości dowództwa wojskowego Stanów Zjednoczonych w dziedzinie zbierania niezbędnych mu informacji strategicznych. Zadania wykonywane w toku poszczególnych lotów rozpoznawczych były określane przez specjalny komitet, w którym prócz urzędników Centralnej Agencji Wywiadowczej znaleźli się także przedstawiciele dowództw wszystkich rodzajów sił zbrojnych oraz Departamentu Stanu. Na zamkniętych posiedzeniach w Kongresie na temat rozszerzenia „natarcia rozpoznawczego” na ZSRR sekretarz obrony Tho-

mas Gates oświadczył, że amerykańska służba rozpoznawcza dostarczała „życiowo ważnej” informacji o radzieckich lotniskach, samolotach, wyrzutniach rakiet, raketowych poligonach doświadczalnych i treningowych, o rozmieszczeniu specjalnych systemów uzbrojenia, o okrętach podwodnych, zakładach przemysłu jądrowego⁶.

W maju 1960 roku samolot szpiegowski U-2, pilotowany przez Francisa Gary Powersa, został zestrzelony w rejonie Świerdłowska. Nie spowodowało to jednak rezygnacji z wykorzystywania tego samolotu do zbierania informacji rozpoznawczych w ogóle. U-2 odegrał prowokacyjną rolę w powstaniu kryzysu w rejonie Morza Karaibskiego. W czasie wojny w Wietnamie też był systematycznie wykorzystywany do prowadzenia rozpoznania wojskowego nad terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu. Do najbardziej nieprzyjemnego wspomnienia byłego dowódcy amerykańskich sił ekspedycyjnych w Wietnamie, generała Williama Westmorelanda, należy epizod związany z zaginięciem U-2 pod koniec 1966 roku. Postawiono wtedy na nogi dowództwo wojskowe i „zielone berety”. Z Waszyngtonu nadchodziły, jeden za drugim, rozkazy, by za wszelką cenę odnaleźć i wydostać z rąk nieprzyjaciela „czarną skrzynkę” samolotu — supertajny, opieczętowany blok elektronicznej aparatury rozpoznawczej. Skutkiem tych żądań była jeszcze jedna spośród niezliczonych tragedii, jaka rozegrała się w tym czasie w dżungli Wietnamu Południowego. Wysadzona ze śmigłowców w rejonie upadku U-2 grupa uderzeniowa „zielonych beretów” w poszukiwaniu „czarnej skrzynki” zniszczyła kilka obozów partyzanckich przepełnionych rodzinami uciekinierów — dziećmi i kobietami.

W 1963 roku flotę samolotów szpiegowskich uzupełniono kolejnym wytworem korporacji Lockheeda — superszybkim samolotem rozpoznania strategicznego SP-71, nazwanym, ze względu na jego kolor, *Black Bird* („Czarny ptak”). Na wysokości 25 tysięcy metrów, będącej roboczym pułapem tego samolotu, jego prędkość niemal trzykrotnie przewyższa prędkość dźwięku. Wyposażenie rozpoznawcze tego samolotu umożliwiało uzyskiwanie z 25-kilometrowej wysokości wyraźnych zdjęć przedmiotów o wymiarach mniej więcej 30 centymetrów. Samolot wyposażono w doskonałe środki ochrony przed wykryciem przez ra-

dary nieprzyjaciela. W Pentagonie uznano jednak, że ten „cud” techniki rozpoznawczej zostanie łatwo zniszczony przy pierwszej próbie przekroczenia granicy radzieckiego obszaru powietrznego.

Zapewne ta właśnie przyczyna zadecydowała o ostatecznej rezygnacji Stanów Zjednoczonych z dalszych prób konstruowania samolotu rozpoznawczego, który byłby w stanie bezkarnie dokonywać lotów nad terytorium ZSRR. W połowie lutego 1978 roku agencja prasowa UPI doniosła, że Centralna Agencja Wywiadowcza wspólnie z Pentagonem powzięły decyzję o budowie nowego samolotu wyposażonego w aparaturę dalekiego zasięgu, specjalnie przystosowaną do prowadzenia rozpoznania strategicznego przeciwko ZSRR z obszaru powietrznego położonego poza jego terytorium.

8

Niezależnie od wyników podejmowanych przez Stany Zjednoczone dalszych prób powrotu do powietrznego rozpoznania strategicznego nad terytorium ZSRR, ustąpiło ono palmę pierwszeństwa rozpoznaniu kosmicznemu. Sama decyzja prezydenta Eisenhowera dotycząca zaprzestania lotów szpiegowskich nad terytorium ZSRR umotywowana była przez Biały Dom tym, że Waszyngton wkrótce spodziewał się uzyskiwać mniej więcej takie same dane rozpoznawcze za pomocą swoich satelitów⁷.

Pentagon i Centralna Agencja Wywiadowcza przygotowywały się do tego nie tylko i nie po prostu wcześniej, lecz na długo przed pojawieniem się wspomnianego samolotu szpiegowskiego U-2. Już w chwili gdy z hal montażowych Lockheeda dopiero zamierzano wytoczyć pierwsze, doświadczalne egzemplarze U-2, w obydwu tych instytucjach zdawano sobie sprawę, że Rosjanie nie pozwolą mu zbyt długo latać nad swoim terytorium, toteż wyciągnięto wniosek o konieczności jak największego przyspieszenia prac nad stworzeniem jego następców.

Dzieje amerykańskiego rozpoznania kosmicznego datują się od 1946 roku, kiedy to dowództwo sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, spoglądając daleko w przyszłość, zaproponowało młodej instytucji naukowo-badawczej *Research and Development* (RAND — „Badania i Postęp”) zbadanie możliwości konstruowa-

nia i umieszczania na orbicie satelitów szpiegowskich. Do wiosny 1951 roku RAND, która do tego czasu przekształciła się już w *Research and Development Corporation*, przygotowała referat *O przydatności satelitów do wykorzystania ich w celach kosmicznego rozpoznania strategicznego*. Mimo że prace miały jeszcze charakter czysto teoretyczny, natychmiast zwróciły one na siebie uwagę Centralnej Agencji Wywiadowczej, za której dotacje korporacja w ciągu najbliższych trzech lat wykonała wiele poważniejszych badań dotyczących możliwości stworzenia rozpoznania satelitarnego. W marcu 1954 roku wyniki tych badań w postaci czterotomowego referatu *O potencjalnych możliwościach rozpoznania nietradycyjnego* przekazano zlecniodawcy. Mniej więcej w tym samym czasie ukończono także opracowanie innego tajnego projektu — umieszczenie na orbicie odpowiedniego sztucznego satelity. Pracowała nad nim grupa uczonych-specjalistów w dziedzinie techniki rakietowej, którzy pod koniec wojny zostali ujęci w Niemczech przez wywiad amerykański i potajemnie wywiezieni do Stanów Zjednoczonych.

W roku 1956 rozpoczęła się realizacja pierwszego amerykańskiego programu stworzenia i wprowadzania na orbitę satelitów rozpoznawczych. Nadano mu oficjalną nazwę: Udoskonalony System Rozpoznania i kryptonim US-117L. Wykonanie prac związanych z tym projektem powierzono wspomnianej już korporacji Lockheeda.

9

We wrześniu 1960 roku program ten pod wpływem koncepcji „pierwszego uderzenia” uległ znacznemu rozszerzeniu i uzyskał nową nazwę oficjalną: Satelitarny System Obserwacji (*Samos*). Szybkie tempo realizacji programu nabrało jeszcze większego przyspieszenia po „wylądowaniu” Powersa na terytorium radzieckim. Na żądanie Centralnej Agencji Wywiadowczej i Pentagonu Krajowa Rada Bezpieczeństwa zaliczyła go do „najpilniejszych zadań narodowych”, a osobą odpowiedzialną za techniczną realizację należących do programów projektów został sekretarz wojskowych sił powietrznych, na którego nałożono również obo-

wiązek uzgadniania wszystkich swoich poczynąń w tej dziedzinie z kierownictwem wywiadu.

Jesienią 1961 roku, kiedy prace nad satelitą *Samos* zbliżały się ku końcowi, prezydent Kennedy nakazał całkowite utajnienie programu — aż do zakazu jakiegokolwiek wspominania o nim w zbliżonej do kręgów rządowych prasie włącznie. Cała więc praca nad tworzeniem systemu rozpoznania kosmicznego uznana została jak gdyby za „nieistniejącą”, toteż o umieszczeniu na orbicie satelitów rozpoznawczych nigdy nie wspomiano.

Nie ma możliwości, a w dodatku chyba i potrzeby, szczegółowego omawiania wszystkich kolejnych amerykańskich programów i projektów rozpoznania kosmicznego. Należy jednak podkreślić, że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ich techniczne charakterystyki były stale doskonałe. Zwykła optyka, mimo że cechowała ją wielka zdolność rozdzielcza, zastąpiona została skomplikowanymi przyrządami umożliwiającymi, według twierdzeń prasy amerykańskiej, uzyskiwanie z olbrzymich wysokości wyraźnych i rozpoznawalnych obrazów obiektów o wymiarach „zaledwie nieco większych od piłki tenisowej” o każdej porze doby, w tym również w nocy. Donoszono, że istnieje możliwość fotografowania i wykrywania celów nawet zasłoniętych przez grube warstwy chmur, dokładnie zamaskowanych lub umieszczonych głęboko pod ziemią. Osiągnięcie takich wyników stało się możliwe dzięki opracowaniu techniki uzyskiwania tak zwanych zdjęć poliwidmowych, w której do otrzymania obrazu wykorzystuje się różnorodne rodzaje promieniowania elektromagnetycznego: świetlnego, podczerwonego, nadfioletowego, radarowego czy rentgenowskiego.

Prasa zachodnia podkreślała, że osiągnięto również znaczny postęp w dziedzinie gromadzenia, przesyłania i przetwarzania informacji przekazywanych przez satelity. Satelity rozpoznawcze zaczęto wyposażać w kamery telewizyjne w celu przekazywania informacji ekspresowej, co umożliwiło przejście do etapowych metod obserwacji. Na przykład po wykryciu na zdjęciach ogólnych, przeglądowych jakichkolwiek interesujących obiektów, ich dalsze fotografowanie odbywa się za pomocą zdalnego włączania potężniejszej aparatury fotograficznej lub rozmieszczonej na satelitach znajdujących się na niższych orbitach.

Niektóre nowe satelity rozpoznawcze, jak na przykład olbrzymi wielozadaniowy *Big Bird*, którego udoskonalony model pod kryptonimem KH-11 umieszczono na orbicie pod koniec lat siedemdziesiątych, mają możliwość manewrowania w kosmosie. Naświetlona i wywołana na pokładzie satelity błona zrzucana jest na Ziemię w specjalnych pojemnikach będących w istocie niewielkimi lądownikami, wykonującymi samodzielny lot do strefy, w której w powietrzu przechwytywane są przez dyżurujące samoloty.

10

Na tle tych sukcesów zaćmą na oczach Waszyngtonu pozostała nieprzydatność systemów satelitarnych do skutecznego rozwiązywania zadań dotyczących wykrywania i śledzenia radzieckich okrętów podwodnych wyposażonych w rakiety. Specjaliści zachodni podkreślali, że nawet superwrażliwe czujniki instalowane na satelitach umożliwiają rejestrowanie „plamy cieplnej” okrętu podwodnego lub wytwarzanych w warstwie wody podczas jego poruszania się turbulentnych zawirowań jedynie w tym przypadku, jeśli głębokość zanurzenia nie przekracza kilkunastu metrów. Zakłada się, że wykorzystanie w kosmicznych systemach rozpoznawczych urządzeń laserowych umożliwi wykrywanie okrętów podwodnych na głębokości do 60—80 metrów na podstawie charakterystycznego „uwypuklania się” powierzchni wody podczas ich ruchu. W określonych warunkach może być również wykorzystana zdolność „widzenia” promienia laserowego także na większej głębokości. W Pentagonie sądzi się jednak, że zastosowanie tych metod nie przyniesie radykalnego rozwiązania problemu.

W związku z tym w Stanach Zjednoczonych energicznie poszukiwane są nowe drogi doskonalenia głębinowych systemów wykrywania okrętów podwodnych: zwiększa się ich zasięg, poszczególne elementy składowe wysuwa na dalekie podejścia do kontynentu amerykańskiego, w kluczowe rejony mórz i oceanów świata.

Do wykrywania okrętów podwodnych zaczęto tworzyć tak zwane barierowe lub zamykające linie śledzenia położone w nie-

których przypadkach w odległości do tysiąca kilometrów od linii brzegowej lub „zamykające” przejścia do takich czy innych akwenów. Opracowano wreszcie plany połączenia wszystkich istniejących systemów rozpoznania głębinowego w system globalny. Jeden z wariantów takiego systemu, kryjący się pod kryptonimem *Cyspider*, zamierzano wyposażać nie tylko w tradycyjne hydroakustyczne środki wykrywania, lecz także w jakieś „zasadniczo nowe” urządzenia.

Ostateczny wynik wszystkich tych wysiłków, tak samo jak i prób stworzenia kosmicznego systemu wykrywania okrętów podwodnych okazał się jednak daleki od celów stawianych przez koncepcję „pierwszego uderzenia”. Przyczyną tego była nie tylko słaba dostępność do obserwacji bezkresnych przestrzeni wodnych oceanu światowego, lecz także pojawienie się nowych typów okrętów podwodnych — emitujących słabe szумы, zdolnych do działań na wielkich głębokościach, wyposażonych w specjalne środki ochrony przed wykryciem ich przez nieprzyjaciela.

11

Prócz trudności stworzenia w ograniczonym czasie lub nawet w dającej się przewidzieć przyszłości różnorodnych systemów strategicznej broni zaczepnej, odpowiadających wszystkim wymagom koncepcji „pierwszego uderzenia”, coraz bardziej dawały o sobie znać również niektóre poważniejsze wady w planach wykonania takiego uderzenia.

Stany Zjednoczone musiały przede wszystkim liczyć się z takim nieprzyjemnym faktem, że ZSRR reagując na ich działania uzupełnił swój rakietowo-jądrowy potencjał odwetowego uderzenia bronią bazującą na pokładach okrętów podwodnych. O wiele wyższy niż zakładano — co też musiano uznać w Waszyngtonie — okazał się stopień żywotności radzieckich wyrzutni z raketami przeznaczonymi do uderzenia odwetowego.

Zmieniły się także wyobrażenia o możliwościach porażenia takich wyrzutni w wyniku wykonania na nie licznych uderzeń. Stwierdzono, że niepowodzenie próby zniszczenia szybu pierwszym ładunkiem jądrowym oznacza faktycznie niemożliwość zniszczenia go w ogóle. Wszystkie kolejne, kierowane na niego pociski

z głowicy MIRV mogą być po prostu unieszkodliwione przez naturalne wyniki pierwszego wybuchu: przelatując przez obłoki pyłu i większych cząstek ziemi wzniesione przez taki wybuch, mogą one przed czasem utracić swoją osłonę termiczną; mogą być także odrzucone na bok przez potężne strumienie powietrza, które w ciągu dłuższego czasu wirują nad miejscem wybuchu atomowego; mogą wreszcie ulec katastrofalnemu dla ich funkcjonowania oddziaływaniu promieniowania spowodowanego przez poprzednią eksplozję.

Stało się zupełnie oczywiste, że dokonywane poprzednio przez Pentagon — w celu „sprzedania” ich Kongresowi — reklamowe oceny skuteczności nowych systemów broni zaczepnej MIRV okazały się zawyżone i wymagają poważnej korekty.

Narastająca liczba niemożliwych do pokonania trudności gromadzących się na drodze do zadania ZSRR „gwarantowanego pierwszego uderzenia” spowodowała, że Waszyngton ponownie znalazł się w tym samym ślepym zaułku, z którego tak bardzo chciał się wydostać. Nawet laicy coraz lepiej zdawali sobie sprawę, że wszystkie rachuby na faktyczne rozbicie ZSRR w wyniku „pierwszego uderzenia” nie mają żadnych realnych podstaw. Z tego można było wyciągnąć jeden tylko wniosek, że bez zapewnienia sobie środków obrony przed radzieckim uderzeniem odwetowym, niechaj nawet osłabionym przez „prewencyjną” napad na strategiczne siły rakietowe ZSRR, wszelkie plany zadania mu „decydującej porażki wojskowej” pozostają złudne, Stany Zjednoczone zaś nie mogą nawet na jotę zmienić nienawistnej im sytuacji „pata jądrowego”.

III. „Broń zintegrowana”

1

Sromotne fiasko strategii „pierwszego uderzenia” w jej wcześniejszym wariantcie kazało amerykańskiemu kierownictwu politycznemu i wojskowemu zrewidować stosunek do rozlegającej się od pewnego czasu pod jego adresem krytyki — nie tej oczywiście, która wynikała ze zrozumienia niebezpieczeństwa stawiania na nieokiełznane nakręcanie spirali wyścigu zbrojeń strategicznych w ogóle, lecz krytyki „racjonalnej”, nie wykraczającej poza ramy problemów o charakterze wojskowo-technicznym.

Podstawowym argumentem tej krytyki było twierdzenie o niemożliwości przygotowania „pierwszego uderzenia” wykorzystując jedynie zaczepne systemy broni strategicznej. W dzisiejszej epoce — pisał profesor Thomas Schelling w wydanej w 1966 roku książce *Arms and Influence (Broń i wpływy)* — nieodłącznym warunkiem pomyślnego napadu staje się zdolność przeciwdziałania uderzeniu odwetowemu lub kontratakowi ze strony nieprzyjaciela. Wskutek tego, wnioskował autor, broń przeznaczona do odparowania uderzenia odwetowego powinna być traktowana jako najważniejsza część składowa potęgi zaczepnej Stanów Zjednoczonych¹.

W drugiej połowie lat sześćdziesiątych pogląd ten był szeroko rozpowszechniony w waszyngtońskich „korytarzach władzy”. W samym Pentagonie coraz bardziej ugruntowywało się przekonanie o tym, że zmodernizowane rodzaje broni strategicznej powinny cechować wysokie charakterystyki nie tylko zaczepne, lecz i obronne. Wymaga się więc od nich zarówno zdolności zniszczenia podstawowych środków strategicznych nieprzyjaciela, jak i zapewnienia obrony własnych sił oraz terytorium przed uderzeniem odwetowym.

Stopniowo zacierały się granice między pojęciami „natarcie” i „obrona”. Przy dokładnym analizowaniu współczesnych rodzajów broni strategicznej, pisał na przykład — odzwierciedlając te poglądy — tygodnik „Newsweek”, różnica między typami zaczepnymi i obronnymi „po prostu zanika”. Wymagano teraz, by wszystkie systemy broni były traktowane jako kompleksowe, zaczepno-obronne, czyli „zintegrowane”. Jeśli Stany Zjednoczone — mówił wtedy szef sztabu sił powietrznych — potrafią stworzyć, jako uzupełnienie posiadanych przez nie systemów strategicznej broni zaczepnej, również praktycznie „nie pokonaną” przez radzieckie rakiety uderzenia odwetowego obronę przeciwrakietową, to wzniosą się na nowy, wyższy poziom swych możliwości wojskowych, porównywalny jedynie z tym, na jakim znajdowały się w okresie monopolistycznego władania bronią jądrową². Innymi słowy, przepowiadał wspomniany już Herbert Kahn, Stany Zjednoczone będą mogły wówczas bezkarnie rozpocząć i wygrać wojnę z ZSRR³.

2

W ostatnim roku drugiej wojny światowej, kiedy uwaga całego świata skupiła się na ostatnim etapie wielkiej antyfaszystowskiej bitwy narodów, w Waszyngtonie zaś coraz donośniej rozlegały się głosy na temat ewentualnego rozpętania wojny „prewencyjnej” przeciwko ZSRR, w jednym spośród nich w wyróżniających się biur Pentagonu podpisany został kontrakt pod biurowym numerem WW 30-069-3182. Z tekstu tego dokumentu, sporządzonego suchym, kancelaryjnym językiem, wynikało, że zleciodawca w osobie zarządu artylerii wojsk lądowych zleca, a zleciobiorca — kompania *Western Electric* — zobowiązuje się, za odpowiednie wynagrodzenie, wykonać określone badania, eksperymenty naukowe, a także opracować technologię produkcji rakiety przydatnej do wykorzystania jako „atakującego środka obrony przeciwlotniczej”.

Żadna ze stron nie traktowała oczywiście nowego projektu jako pilnego lub nawet realizowanego poza kolejnością. Była to pospolita umowa między przedstawicielami różnych sfer kompleksu wojskowo-przemysłowego. W przypadku powodzenia Pen-

tagon mógł osiąść jeszcze jeden system broni, chociaż żadne praktyczne zapotrzebowanie na nią nie istniało, biznesmeni natomiast uzyskiwali niezłe dodatkowe źródło dochodu.

W miarę jednak jak nad brzegami Potomacu zanikała pewność co do wieczności amerykańskiego monopolu na broń jądrową, stosunek do tego projektu zaczynał ulegać wyraźnym zmianom. Widmo radzieckiego odwetowego uderzenia lotniczo-jądrowego zmusiło Pentagon do pośpiechu w pracach nad rakieta przeciwlotniczą. Rakieta ta, nazwana *Nike-Ajax*, miała zastąpić artylerię przeciwlotniczą, która szybko się starzała moralnie z chwilą nadejścia epoki stratosferycznych bombowców strategicznych.

W listopadzie 1951 roku odbył się pierwszy start owej rakiety. Jeszcze przed pełnym rozwinięciem tego systemu, które zajęło prawie całe lata pięćdziesiąte, stawało się coraz bardziej oczywiste, że środkiem wykonania radzieckiego uderzenia odwetowego będzie raczej nie tyle strategiczne lotnictwo bombowe, ile międzykontynentalne rakiety balistyczne.

A tymczasem nawet nie można było marzyć o wykorzystaniu rakiet *Nike-Ajax* do celów obrony przeciwrakietowej. Mając prędkość podróżną zaledwie około dwóch tysięcy kilometrów na godzinę, zasięg maksymalny około 40 km i pułap rzędu 16—20 km, rakiety *Nike-Ajax* wyraźnie nie odpowiadały wymogom stawianym systemom przeciwrakietowym. Dotyczyło to w równym stopniu także rakiety *Nike-Herkules* oraz aparatu latającego *Bomarc* (był to zdalnie sterowany myśliwiec bezpilotowy wyposażony w dwa silniki strumieniowe oraz pomocniczy startowy silnik rakietowy — *przyp. tłum.*), które w drugiej połowie lat pięćdziesiątych również zostały włączone do amerykańskich sił obrony przeciwlotniczej.

3

Ogromne trudności techniczne związane z tworzeniem rakietowego systemu broni przeciwrakietowej były na tyle poważne, że w ciągu pewnego czasu amerykańscy specjaliści wojskowi ograniczali się jedynie do teoretycznych badań w tej dziedzinie. Ale już w 1955 roku podjęto pierwsze praktyczne próby opracowania takiej broni. W lutym tegoż roku dowództwo wojsk lą-

dowych podpisało kontrakt z firmą *Bell Telephone Laboratories* na wykonanie prac naukowo-badawczych związanych z projektowaniem rakiety przeciwlotniczej *Nike-Zeus*. Niemal jednocześnie podobny kontrakt — na opracowanie przeciwrakiety *Vissard* — zawarło z firmą *General Dynamics* dowództwo sił powietrznych. Ten ostatni projekt realizowano do stycznia 1958 roku, ponieważ sekretarz obrony Neil McElroy na podstawie opinii ekspertów uznał go za pozbawiony perspektyw i kazał z niego zrezygnować.

Ostał się jednak technicznie bardziej obiecujący projekt *Nike-Zeus*. Niemalą rolę odegrało i to, że dowództwo wojsk lądowych w celu uratowania go zastosowało wybieg graniczący z bezczelnością: nie będąc do tego absolutnie przygotowanym, na początku 1957 roku oświadczyło ono o rzekomo istniejących już praktycznych możliwościach budowy takiej broni. W dosyć krótkim czasie ten bluff wyszedł na jaw, ale w panującej w kraju atmosferze hysterii antyradzieckiej projekt *Nike-Zeus* nie tylko nie został poniechany, lecz nawet oficjalnie zaliczony do najpilniejszych. Tak samo wysoką rangę nadano prowadzonym przez Pentagon wspólnie z Komisją Energii Atomowej pracom badawczym nad jądrową głowicą bojową do rakiet *Nike-Zeus*.

W połowie lipca 1962 roku udało się zrealizować pierwszą próbę symulacji przechwycenia rakiety „nieprzyjaciela”. Gdzieś nad wodami Pacyfiku skrzyżowały się tory lotu wystrzelonej z bazy wojsk lotniczych Stanów Zjednoczonych Vandenberg międzykontynentalnej rakiety balistycznej *Atlas* i odpalonej z wyspy Kwajalein rakiety *Nike-Zeus*. Do zbliżenia rakiet doszło jednak na granicy strefy „śmiertelnej” dla atakującej głowicy jądrowej, toteż wyniki eksperymentu można było tylko nader umownie uważać za udane. Do końca 1963 roku dokonano ogółem około piętnastu podobnych prób, z których zaledwie dwie trzecie można było uznać za stosunkowo pomyślne.

Nie mniejszym rozczarowaniem zakończyły się także próby stworzenia nierakietowych systemów obrony przeciwrakietowej. Wiele bezowocnych wyników kosztowało na przykład opracowy-

wanie różnych projektów tworzenia na drodze radzieckich rakiet uderzenia odwetowego „śmiertelnych” dla nich stref za pomocą wybuchów jądrowych. Realizacją takiego pomysłu była właśnie prowadzona w latach 1958—1959 tajna operacja *Argus*, w toku której przeprowadzono całą serię wybuchów w przestrzeni poza-atmosferycznej. Jednak uzyskane wyniki uznane zostały przez Pentagon za „rozczarowujące”, toteż dalsze eksperymenty wstrzymano.

Drugą próbą stworzenia nierakietowego systemu obrony przeciwraкетowej, podejmowaną przez krótki okres przez Pentagon, był projekt *Westford*, polegający na stworzeniu wokół Ziemi pasa złożonego z setek milionów miniaturowych miedzianych igieł, czyli dipolów zakłócających. Miały one unieszkodliwiać lub zakłócać pracę układów kierowania radzieckimi międzykontynentalnymi rakietami balistycznymi uderzenia odwetowego. Po raz pierwszy urządzenia do rozsiewania dipolów wystrzelono w ostatniej dekadzie października 1961 roku za pomocą rakiety *Atlas-Agena*. W celu uspokojenia światowej opinii publicznej, występującej przeciwko realizacji tego projektu, który stwarzał realne niebezpieczeństwo dla innych eksperymentów kosmicznych, w tym również dla statków pilotowanych, Stany Zjednoczone usiłowały przedstawić projekt jako konieczny ze względów naukowych, nie wdając się wprawdzie w uzasadnianie owej „konieczności”. Po pewnym czasie projekt *Westford* został zarzucony, ponieważ z punktu widzenia Pentagonu okazał się takim samym niewypałem, jak i *Argus*.

5

Ekipa prezydenta Eisenhowera, a następnie i Kennedy’ego, nie zapaliła „zielonego światła” dla planów budowy systemu obrony przeciwraкетowej. Błędem byłoby jednak twierdzenie, jak to często czyni się w Stanach Zjednoczonych, że ówczesne kierownictwo polityczne było w zasadzie przeciwne pomysłowi zbudowania „parasola” chroniącego od radzieckiego uderzenia odwetowego.

Decyzja prezydenta Eisenhowera o rezygnacji z budowy systemu *Nike-Zeus* podyktowana została jedynie negatywnymi opi-

niami ekspertów dotyczącymi możliwości bojowych takich systemów. W rzeczywistości zaś jego rząd do końca kadencji nigdy nie podejmował żadnych kroków w kierunku ograniczenia prac badawczych Pentagonu w tej dziedzinie.

Takie same mityczne źródło wykorzystuje szeroko rozpowszechnione w Stanach Zjednoczonych twierdzenie, że ekipa prezydenta Kennedy'ego w zasadzie nie popierała intensyfikacji wyścigu zbrojeń zmierzającego do stworzenia systemów obrony przeciwrakietowej. Mniemanie to w znacznym stopniu opiera się na znanym oświadczeniu prezydenta z 1 sierpnia 1963 roku.

Kennedy powiedział wówczas, że problem stworzenia obrony przeciwko rakietom strategicznym uderzenia odwetowego na razie wykracza poza ramy amerykańskich możliwości technicznych, wyraźnie dając przy tym do zrozumienia, że liczni zwolennicy takich projektów kierują się wyłącznie własnymi korzyściami, mimo że sami nie wierzą w realność takich pomysłów. Niemniej Kennedy nigdy nie ogłaszał się zdecydowanym przeciwnikiem stworzenia przez Stany Zjednoczone środków obrony przed radzieckim uderzeniem odwetowym. Jego stanowisko świadczyło jedynie o walce poglądów dotyczących praktycznych możliwości realizacji takich pomysłów. Co się zaś tyczy istoty sprawy, to sekretarz obrony McNamara miał niewątpliwie rację twierdząc, że począwszy od końca lat pięćdziesiątych problem stworzenia obrony przeciwrakietowej zawsze znajdował się „w centrum zainteresowania rządu”. Odpowiadając na zarzuty krytyków, pomawiających administrację o rzekome skąpstwo i niechęć do wydatkowania na budowę systemu *Nike-Zeus* kilkudziesięciu miliardów dolarów, McNamara podkreślał, że nie tylko dziesiątki lecz nawet setki miliardów dolarów potrzebne na doprowadzenie sprawy do końca, nie stanowiłyby przeszkody na drodze do zbudowania takiej obrony, o ile rząd byłby przekonany o realności całego przedsięwzięcia⁴.

Przytoczone wypowiedzi McNamary pozwalają zrozumieć, dlaczego Kennedy, mimo jego negatywnego stosunku do planów budowy systemu obrony przeciwrakietowej, nie oponował przeciwko powzięciu przez Pentagon w styczniu 1963 roku decyzji w sprawie eksperymentalnego opracowania wariantu takiego systemu — *Nike-X* — i zaliczenia programu tych prac do rzędu

pilnych. Ta właśnie okoliczność sprawiła, że już na początku 1965 roku Departament Obrony mógł zakończyć podstawowe prace badawcze według tego projektu i przeprowadzić wiele praktycznych prób z poszczególnymi elementami systemu Nike-X.

6

Ekipa prezydenta Lyndona Johnsona, który objął rządy po śmierci Kennedy'ego, przywiązywała nie mniejszą wagę do pomysłu stworzenia systemu obrony przeciwrakietowej. Szczególnie dobitnie przejawiało się to w jej działaniach związanych z tak zwanym buntem wojskowych. Nie chcąc więcej liczyć się z techniczną niedoskonałością wychwalanego przez nich systemu Nike-X, zapewne po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych naruszyli oni uświęcony przez tradycję zwyczaj powstrzymywania się od publicznego wypowiadania swych poglądów i „wtrącili się do polityki”. Przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów generał Earle Wheeler dosłownie rzucił wyzwanie swemu sekretarzowi obrony, a zarazem i rządowi, oświadczając w Kongresie, że w odróżnieniu od kierownictwa cywilnego wszyscy członkowie jego Komitetu są przekonani o konieczności i możliwości natychmiastowego rozwinięcia „nieprze-zroczystej”, to jest nieprzeniknionej obrony przed odwetowym radzieckim uderzeniem rakietowym. Sprawę komplikowało dodatkowo i to, że realizowany i szeroko rozreklamowany w owym czasie kurs sekretarza obrony McNamary zmierzający do „powiększania efektywności” każdego wydawanego na zbrojenia dolara, w praktyce nie okazał się ani rzeczywiście oszczędny, ani efektywny. Szczególnie dobitnym tego przykładem stało się opracowanie i budowa wielozadaniowego myśliwca bombardującego, który, zdaniem sekretarza obrony, miał zaspokoić wymagania zarówno sił powietrznych, jak i marynarki wojennej, mimo nader odmiennych warunków eksploatacji samolotów bazujących na lądzie i na pokładach lotniskowców. Według sarkastycznej oceny senatora Richarda Russella, taki samolot mógł się stać dla Stanów Zjednoczonych cenny tylko w przypadku,

gdyby — zestrzelony gdzieś nad Wietnamem — został zabrany przez radzieckich specjalistów i skusił Moskwę do budowy podobnego, do niczego nie przydatnego skrzyżowania „latającej ryby z jastrzębiem”.

Teraz, wykorzystując ten błąd McNamary w planowaniu, jego krytycy twierdzili, że zbyt „buchalteryjne” podejście sekretarza obrony do oceny nowych rodzajów uzbrojenia może wyrządzić siłom zbrojnym więcej szkody niż pożytku. Jeśli Stany Zjednoczone nie przystąpią niezwłocznie do budowy choćby nawet niedoskonałego systemu obrony przeciwrakietowej — twierdzili — to nie mając wyprzedzenia w czasie oraz rozwiniętej bazy przemysłowej, nie potrafią go zbudować również w przyszłości. Wojskowi żądali od rządu przystąpienia do budowy przynajmniej „działającego prototypu” takiego systemu, żeby móc praktycznie określić jego słabe strony oraz nakreślić możliwe drogi dalszego doskonalenia.

Politycznemu kierownictwu takie traktowanie sprawy raczej nie mogło się wydać przekonujące. Niemniej na „bunt” Pentagonu ekipa prezydenta Johnsona zareagowała w sposób co najmniej nieoczekiwany. Zamiast przepowiadanego przez amerykańskich obserwatorów przywołania Pentagonu do porządku, może nawet ze zmianami personalnymi na wielu wyższych stanowiskach, administracja faktycznie skapitulowała wobec żądań wojskowych. W dorocznym sprawozdaniu sekretarza obrony, przedkładanym Kongresowi, rząd zrezygnował już z krytyki wysuwanych przez Pentagon planów stworzenia systemu obrony przeciwrakietowej i ograniczał się do negatywnej oceny jego żądań dotyczących niezwłocznego rozwinięcia takiego systemu w wariantcie „nieprzezroczystym”. Połączony Komitet Szefów Sztabów z kolei, a także jego przewodniczący, generał Wheeler, dobrze zdając sobie sprawę ze znaczenia takiego oświadczenia, zareagowali na krytykę całkiem dobrotliwie, oświadczając, że na początek nie żądają nawet nic podobnego i opowiadają się jedynie za tym, żeby Stany Zjednoczone dysponowały chociażby ograniczonymi środkami „obrony”.

Takie zażegnanie konfliktu byłoby raczej niemożliwe, gdyby do tego czasu polityczne kierownictwo kraju, nie widząc innych dróg praktycznej realizacji amerykańskich planów rozpętania przeciwko Związkowi Radzieckiemu „prewencyjnej” wojny rakietowo-jądrowej, samo nie zaczęło podzielać punktu widzenia wojskowych. To właśnie znalazło swoje odbicie w osiągniętym wreszcie między Białym Domem a Pentagonem całkowitym wzajemnym zrozumieniu. W związku z tym mało kto był zdziwiony, kiedy 18 września 1967 roku sekretarz obrony McNamara przemawiając w San Francisco do pracowników UPI powiedział o powziętej przez rząd decyzji przystąpienia do stworzenia systemu „ograniczonej” obrony przeciwrakietowej. Zmianę stanowiska rządu McNamara tłumaczył ewolucją światowej sytuacji wojskowo-politycznej. Taki środek ostrożności — oświadczył — niezbędny jest dlatego, że na początku lub w połowie lat siedemdziesiątych Chiny będą już dysponowały ograniczonym potencjałem rakietowo-jądrowym i ich kierownictwo może powziąć „irracjonalną” decyzję wykonania uderzenia na Stany Zjednoczone⁵.

Nowy program budowy systemu przeciwrakietowego — *Sentinel* — McNamara scharakteryzował jako udoskonalony, aczkolwiek nieco okrojony wariant projektu *Nike-X*. Zakładano, że jego podstawowym zadaniem stanie się „ograniczona” obrona przed pojedynczymi lub niezmasowanymi uderzeniami jądrowymi.

Podejmowana przez rząd próba nadania projektowi *Sentinel* zabarwienia antychińskiego okazała się nieudana. Pentagon nie ukrywał, że traktuje nowy projekt zaledwie jako pierwszy krok na drodze do stworzenia rozwiniętej obrony przed radzieckim uderzeniem odwetowym i że w przyszłości *Sentinel* zostanie przekształcony w całkowicie rozwinięty system „broni zintegrowanej”.

Połączony Komitet Szefów Sztabów uznał nawet za potrzebne skierowanie do Kongresu swego przedstawiciela, który wystąpił z oświadczeniem, że Pentagon nadal uważa, iż rzeczą najniezbędniejszą dla umocnienia obrony Stanów Zjednoczonych jest roz-

wijanie skutecznego i wszechogarniającego systemu obrony przeciwrakietowej, nastawionego na odparcie „ataku” ze strony ZSRR, i że *Sentinel* stanowi cenny początek na drodze do stworzenia takiej właśnie obrony.

Niedźwiedzią przysługę zrobili rządowi również niektórzy kongresmeni popierający bez zastrzeżeń jego decyzję. Na przykład senator John Pastore wystąpił z pochwałami systemu *Sentinel* jako „słusznego kroku we właściwym kierunku”. Powiedział on, że krocząc tą drogą Stany Zjednoczone powinny w ostatecznym wyniku dojść do rozwinięcia szerokiego systemu obrony przed radzieckim „napadem” rakietowo-jądrowym. Rząd — oświadczył dziennikarzom senator Russell — usiłował przedstawić system *Sentinel* jako nastawiony na obronę przed Chinami. Było to jednak co najmniej naiwne, toteż o wiele lepiej jest przyznać otwarcie, że stanie się on podstawą rozwijania wszechogarniającego systemu przeciwrakietowego, który obroni Stany Zjednoczone nie przed chińską, lecz przed radziecką napaścią. Russell poczytywał sobie za zasługę, że właśnie on, wyjaśniając swoim kolegom rzeczywiste przeznaczenie systemu *Sentinel*, przygotował w Kongresie grunt pod jego niezawodne poparcie⁶.

Zachodząca w oczach wszystkich skandaliczna metamorfoza ogłoszonego przez rząd celu budowy systemu *Sentinel* zmusiła wreszcie Waszyngton do złożenia własnych, co prawda bardzo dwuznacznych „wyjaśnień”. Występując w Kongresie sekretarz obrony Clark Clifford oświadczył, że aczkolwiek *Sentinel* ma za zadanie obronę przed chińską napaścią rakietowo-jądrową, może on także mieć bardzo realne znaczenie jako „tarcza” amerykańskich sił strategicznych w przypadku prób podobnej napaści również ze strony ZSRR. Tak więc, podsumował Clifford, jeśli ktokolwiek uważa za niezbędne podkreślić tę właśnie cechę szczególną projektu — ma pełne prawo postąpić w ten sposób. A trochę później, w dorocznym sprawozdaniu dla Kongresu o wykorzystaniu budżetu wojskowego, sekretarz obrony potwierdził już bez ogródek, że *Sentinel* będzie wykorzystany przez Pentagon jako podstawa do budowy rozwiniętej obrony przeciwrakietowej mającej osłonić od napaści radzieckiej.

A więc wszystko stanęło na swoim miejscu. W październiku 1968 roku Kongres Stanów Zjednoczonych przyjął ustawę o do-

konaniu asygnowań na budowę systemu *Sentinel*, nie obcinając ani jednego centa z preliminowanego przez rząd prawie miliarda dolarów.

Projektowi *Sentinel* jednak wyraźnie się nie wiodło, a osoby, które uważały swoje zwycięstwo za ostateczne, czekało rozczarowanie. W sposób bowiem dla wielu nieoczekiwany, do biegu wydarzeń włączyła się ta sama „milcząca większość”, do której tak lubią niekiedy apelować w swych przemówieniach politycy amerykańscy. Opracowany przez Pentagon schemat rozmieszczenia baterii antyrakiet *Sentinel* zakładał budowę ich wyrzutni w pobliżu takich miast, jak: Chicago, Dallas, Nowy Jork, Salt Lake City, Boston, Detroit, Albany, Grand Forks, Honolulu. Protest mieszkańców tych miast, który przybrał wkrótce zasięg ogólnonarodowy, wynikał nie tylko ze strachu przed ewentualnymi niebezpiecznymi wypadkami, związanymi z rozmieszczeniem broni jądrowej w pobliżu wielkich skupisk ludności. Sam fakt przyjęcia takiego schematu rozmieszczenia antyrakiet obalał twierdzenia rządu, że są one przeznaczone jedynie do ewentualnej obrony amerykańskich sił „odwetu”, a więc do zapobieżenia nieoczekiwanej „rozbrajającej napaści” Związku Radzieckiego na Stany Zjednoczone. Tworzenie przeciwrakietowej obrony wielkich skupisk ludzi stanowiło bardziej niż przekonywujące potwierdzenie, że chodzi o przygotowanie „prewencyjnej” napaści na ZSRR w całkowitej zgodności z koncepcją „broni zintegrowanej”.

Także w Kongresie narastały nastroje opozycyjne. Coraz częściej rozlegały się głosy wyrażające poważne obawy co do skutków, jakie może pociągnąć za sobą decyzja dotycząca stworzenia „ograniczonego” nawet systemu obrony przeciwrakietowej. Wielu wpływowych kongresmanów, w tym również senatorzy William Fulbright, Michael Mansfield, Edward Kennedy i Stuart Symington podkreślali, że ponieważ wystąpienia zwolenników projektu *Sentinel* nie pozostawiają wątpliwości, iż budowa tego systemu służy przede wszystkim stworzeniu obrony przeciwrakietowej przed odwetowym uderzeniem radzieckim, to praktyczna realizacja projektu może doprowadzić tylko do wciągania obydwu stron do nowej bezsensownej rundy wyścigu zbrojeń. Dla Białego Domu i Pentagonu jednak bardziej istotne było

to, że teraz do poprzednich krytyków projektu dołączyli również nastraszeni ruchem antywojennym przedstawiciele prawicy, jak przewodniczący Komisji Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów Lucius Mendel Rivers, który dał sekretarzowi obrony do zrozumienia, iż jego komisja nie zatwierdzi planu budowy wyrzutni przeciwrakiet w pobliżu wielkich miast.

Sytuacja taka zmusiła Waszyngton do chwilowych ustępstw. Na początku lutego 1969 roku nowy sekretarz obrony, Melvin Laird, działając według wskazań prezydenta Richarda Nixona, kazał wstrzymać realizację projektu *Sentinel* pod pretekstem konieczności zrewidowania i dokonania oceny przez nowy rząd wszystkich podstawowych amerykańskich programów rozwoju systemów broni strategicznych.

Uzyskane wytchnienie wykorzystane zostało do zorganizowania nowego nacisku na opinię publiczną, a także Kongres. W wystąpieniach Nixona i Lairda coraz częściej brzmiały oświadczenia, że system przeciwrakietowej obrony Stanów Zjednoczonych zostanie zbudowany nie bacząc na jakąkolwiek opozycję. Na zorganizowanej w połowie marca 1969 roku konferencji prasowej prezydent, nie czekając na kontynuację mało zadowalających go debat w Kongresie, oświadczył, że zmuszony jest w tej sprawie wziąć na siebie osobistą odpowiedzialność i powziąć ostateczną decyzję o stworzeniu przez Stany Zjednoczone systemu „ograniczonej” obrony przeciwrakietowej.

Przedłożony przez prezydenta program budowy takiego systemu — o nazwie *Safeguard* — zakładał w pierwszym etapie jego realizacji budowę zaledwie dwóch kompleksów wyrzutni antyrakiet. Jednakże demonstracyjne zmniejszenie skali budowy nie oznaczało, że Waszyngton zrezygnował z realizacji szerszych planów. Specjaliści podkreślali na przykład, że zakładane przez projekt znaczne zwiększenie liczby urządzeń radiolokacyjnych wyposażonych w anteny zapewniające możliwość nastawienia ich w dowolnym kierunku świadczyło, iż *Safeguard* w rzeczywistości pomyślany jest zaledwie jako początek bardziej wszechogarniającego niż *Sentinel* systemu obrony przeciwrakietowej.

Krytycy tego projektu, zwracający w Kongresie uwagę amerykańskiej społeczności na wspomniane właściwości nowego pro-

jektu podkreślali, że system *Safeguard* całkowicie mieści się w planach Waszyngtonu dotyczących stworzenia „broni zintegrowanej” i jakościowo niczym nie różni się od kroków, jakie przedsięwzięłyby Stany Zjednoczone również przy otwartym stawianiu celów — zadania „pierwszego uderzenia” Związkowi Radzieckiemu⁷.

8

Rakietowo-jądrowa obrona przeciwrakietowa stawia bardzo specyficzne wymagania środkom rażenia, w jakie zostaje wyposażona. Chodzi o to, że przechwytywanie atakujących głowic bojowych nieprzyjaciela odbywa się faktycznie poza granicami atmosfery ziemskiej — w górnych warstwach stratosfery lub w kosmosie. W takich warunkach wybuch ładunku jądrowego dowolnej mocy, o ile zakłada się jego oddziaływanie na cel wyłącznie za pomocą fali uderzeniowej, przekształca się w bezsensowny i pozbawiony pożytku fajerwerk, ponieważ brak ośrodka powietrznego uniemożliwia powstanie i rozprzestrzenianie się fali uderzeniowej. Porażenie celu możliwe jest jedynie poprzez unieruchomienie jego najważniejszych zespołów i bloków za pomocą wytwarzanego przez wybuch promieniowania. Uważa się, że wystarczającą ilość energii mogą wytworzyć tylko ładunki termojądrowe wielkiej mocy — rzędu megatony. W takie właśnie ładunki zamierzano wyposażać wchodzące w skład systemu *Safeguard* rakiety dalekiego przechwytywania *Spartan*.

Zdaniem specjalistów amerykańskich, przechwytywanie na dalekich podejściach napotyka wiele innych poważnych trudności. Wystarczy na przykład powiedzieć, że współczesne radiolokacyjne środki wykrywania napadu rakietowego nie zapewniają niezawodnego rozpoznania rzeczywistych głowic bojowych, toteż antyrakiety mogą być zwabione na „przynętę” w postaci ich symulatorów, obficie rozrzuconych przez atakującą rakietę.

Zdaniem zachodnich specjalistów, zwiększenie niezawodności systemu obrony przeciwrakietowej możliwe jest poprzez stworzenie drugiej bariery, którą stanowiłyby rakiety bliskiego przechwytywania przeznaczone do niszczenia celów na stosunkowo niewielkich wysokościach. Dopiero tam właśnie, dzięki oporowi

powietrza, tory lotu głowic bojowych i ich symulatorów, mających różne charakterystyki wagowe i wymiarowe, zaczynają wyraźnie różnić się od siebie. Jednakże użycie ładunków termojądrowych o niezbędnej mocy na małych wysokościach nieuchronnie pociągnie za sobą szkody na własnym terytorium, toteż taka „obrona” jest raczej nie do przyjęcia.

Uważa się, że można uniknąć lub w każdym bądź razie znacznie zmniejszyć to niebezpieczeństwo, jeśli wyposaży się głowice bojowe antyrakiet bliskiego przechwytywania w ładunki neutronowe, wytwarzające przy wybuchu strumienie szybkich neutronów. Skuteczność niszcycielskiego oddziaływania tego promieniowania na ładunek atakującej głowicy bojowej, nie mówiąc już o tym, że może ono łatwo przenikać przez jego osłonę przeciwradiacyjną, jest znacznie większa od promieniowania gamma ładunków termojądrowych. Pozwala to ograniczyć się do wykorzystania przy bliskim przechwytywaniu stosunkowo słabych ładunków bojowych i zmniejszenia w ten sposób niebezpieczeństwa radioaktywnego skażenia własnych obszarów.

W Stanach Zjednoczonych już pod koniec lat pięćdziesiątych istniał program stworzenia ładunków neutronowych, lecz nie dano go nadmiernej uwagi. W latach, w których w amerykańskim myśleniu wojskowo-politycznym dominowała strategia „zmasowanego odwetu”, wymagająca przede wszystkim powiększania za wszelką cenę ogólnej niszcycielskiej mocy broni jądrowej, stosunkowo słabe oddziaływanie na różne obiekty wybuchów neutronowych ładunków bojowych nie zachęcało do ich produkcji. Nie wywoływało entuzjazmu również to, że ich produkcja łączyła się z dodatkowymi trudnościami technicznymi.

Przyjęcie programu budowy obrony przeciwrakietowej radykalnie zmieniło sytuację. Za nieoficjalną aprobatą Białego Domu antyrakiety bliskiego przechwytywania — *Sprint* — były już projektowane z myślą o wyposażeniu ich w głowice neutronowe. Mimo że jawne źródła informacji zamieszczały bardzo skąpe wiadomości na ten temat, należy przypuszczać, że podjęte przez Pentagon wysiłki zmierzające do przyspieszenia prac nad stworzeniem ładunków neutronowych miały charakter nadzwyczajny. W roku 1975 w takie ładunki bojowe wyposażono trzydzieści antyrakiet *Sprint* systemu *Safeguard*, rozmieszczonych w bazie

amerykańskich sił lotniczych w rejonie Grand Forks w Północnej Dakocie. Zresztą świat nie wiedział o wprowadzeniu tych ładunków do uzbrojenia aż do końca kwietnia 1978 roku, kiedy to w celu wysondowania ewentualnej reakcji opinii publicznej na amerykańskie plany rozmieszczenia broni neutronowej w Europie pewien wysoko postawiony przedstawiciel resortu wojkowego jakoby niechcący powiedział o tym korespondentowi japońskiej gazety „Yomiuri”.

10

Ale jeszcze przedtem projektowi *Safeguard* sędzone było odegrać bardzo dramatyczną rolę w losach prezydenta Nixona. W odróżnieniu od swych poprzedników, pozwalających sobie na sceptyczny stosunek do projektów stworzenia skutecznej obrony przeciwraкетowej, Nixon, którego przyjście do Białego Domu zbiegło się z wysunięciem koncepcji osiągnięcia przez Stany Zjednoczone „decydującej” przewagi wojskowej za pomocą stworzenia „broni zintegrowanej”, nie miał innej możliwości poza bezwarunkowym poparciem pomysłu zbudowania takiej obrony.

Cała trudność powstałej sytuacji polegała na tym, że prócz faktycznie odrzuconych już przez specjalistów projektów *Nike-X* i *Sentinel*, zakładających przechwytywanie jądrowych głowic bojowych rakiet strategicznych nieprzyjaciela za pomocą analogicznych środków rażenia, Pentagon nie mógł zaproponować żadnego całkowicie nowego rozwiązania problemu. Ale innego wyjścia nie było. Należało albo uznać niemożliwość zrealizowania samego pomysłu stworzenia „broni zintegrowanej”, albo skorzystać — przy próbie wcielenia go w życie — z dowolnej posiadanej szansy. W tamtych warunkach mogła nią być tylko budowa, wątpliwego ze względu na jego zalety wojskowo-techniczne, systemu *Safeguard*.

Tak właśnie postąpiła ekipa prezydenta Nixona. Solidaryzując się jednak w tej sprawie z Pentagonem, popełniła ona grubych błąd, traktując narastającą falę protestu społecznego przeciwko rozwijaniu systemu *Sentinel* jako jedyną przeszkodę na drodze do realizacji podobnych planów. Tymczasem w toku przewlekających się w Kongresie debat na temat obrony przeciwraкетo-

wej negatywny stosunek do niej zaczęli zdradzać również ci senatorzy i reprezentanci, których reputacja jako znanych wyrazi-cieli interesów kręgów wojskowych poprzednio nigdy nie ule-giała wątpliwości. Popierając pod każdym innym względem wzmaganie wyścigu zbrojeń, w tej sprawie nie podzielali zdania Pentagonu i kompleksu wojskowo-przemysłowego uważając za niedopuszczalne trwonienie ogromnych zasobów materiałowych i ludzkich na tworzenie mało skutecznego lub zgoła nieprzydat-nego, ich zdaniem, systemu uzbrojenia.

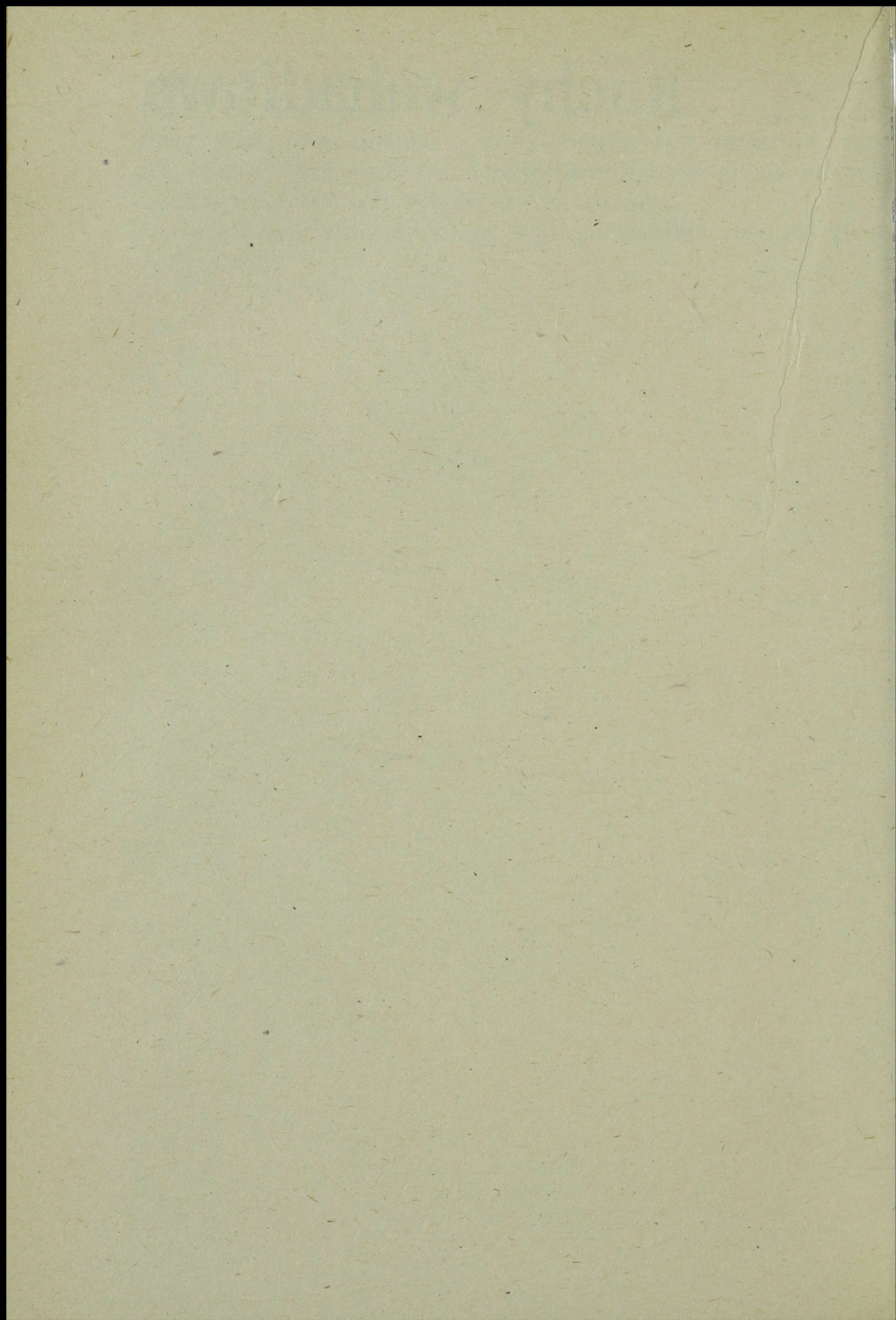
Było to, na swój sposób, myślenie kategoriami „państwowymi”, radykalnie różniące się od stanowiska resortu wojskowego, który — tak samo jak i na każdym poprzednim etapie wzmaga-nia wyścigu zbrojeń — działał jak gdyby pod wpływem jakie-goś zaklęcia magicznego. Przeszkadzało mu ono w uwolnieniu się od niczym nie uzasadnionego przekonania, że naukowo-tech-niczne możliwości Związku Radzieckiego nie pozwolą przeciw-działać podejmowanej przez Stany Zjednoczone kolejnej próbie zapewnienia sobie przewagi wojskowej. Taka fatalistyczna pew-ność i tym razem zakpiła z Pentagonu. Jeszcze bowiem przed przystąpieniem do rozwijania systemu *Safeguard* kierownictwo amerykańskie zdało sobie sprawę, że pokonanie tej obrony przez radzieckie zmodyfikowane rakiety strategiczne nie będzie sta-nowiło zbyt trudnego problemu. Badania przeprowadzone przez różne grupy amerykańskich uczonych i ekspertów wojskowych dowiodły, że dowolny system obrony przeciwraketowej, oparty na wykorzystaniu takich samych raketowych środków rażenia, „nie ma przyszłości”⁸. Przy istnieniu tak mało skutecznego dru-giego elementu „broni zintegrowanej”, jej wykorzystanie do wymierzenia ZSRR „pierwszego uderzenia” nie napawało po-czuciem bezpieczeństwa.

Prezydent Nixon, na nieszczęście dla niego, zdał sobie z tego wszystkiego sprawę zbyt późno, kiedy drogi odwrotu zostały już odcięte. Stanąwszy do walki z opozycją w Kongresie, nacis-kając na przyjęcie systemu *Safeguard* zraził sobie zarówno jej liberalne, jak i wpływowe militarystyczne ugrupowania. Ustę-pując zaś później żądaniom zrezygnowania z dalszego rozwoju tego systemu do poziomu „nieprzezroczystego” — przeciwstawił sobie również wszystkie grupy kompleksu wojskowo-przemysło-

wego. I jemu właśnie po podpisaniu amerykańsko-radzieckiego układu o ograniczeniu budowy systemów obrony przeciwraкетowej postawiono również o wiele poważniejszy zarzut — „rozmiękczenia” tych podstaw ideologii antyradzieckiej, na których wychowywały się całe pokolenia Amerykanów.

A logicznym ukoronowaniem tego wszystkiego stała się afera *Watergate*.

Ruchy wahadłowe



IV. „Gra według reguł”

1

Wojna jądrowa ze względu na swoją istotę może być tylko powszechną, nieograniczoną. „Wszystkie potworności poprzednich wojen, wszystkie inne nieszczęścia, jakie przypadły w udziale ludzkości — stwierdza się w preambule do rezolucji Pierwszego Komitetu Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, przyjętej 26 listopada 1981 roku na poparcie zgłoszonej przez ZSRR propozycji dotyczącej zapobieżenia katastrofie jądrowej — byłyby niczym wobec tego, co niesie ze sobą użycie broni jądrowej, zdolnej zniszczyć cywilizację ziemską”.

W czasach monopolistycznego władania przez Stany Zjednoczone bronią jądrową stratedzy amerykańscy lubili nawet myśleć takimi właśnie kategoriami o niszczącej sile broni jądrowej. Opracowując plany zadania Związkowi Radzieckiemu zmasowanego uderzenia jądrowego, waszyngtońscy wojacy uważali za rzecz zupełnie naturalną, że jednym z wyników będzie zagłada dziesiątków milionów ludzi, ale ludzi należących do innego, „komunistycznego” społeczeństwa. Było to zrozumiałe, i usiłowano to usprawiedliwić „nadrzędnymi” celami.

Co innego jednak skierować śmierć jądrową do cudzego domu, a co innego znaleźć się w położeniu, w którym i samemu przyjdzie zajrzeć jej w oczy. W miarę zwiększania się zdolności ZSRR do zadania agresorowi odwetowego uderzenia jądrowego — uderzenia jądrowego „nie do przyjęcia” — wzmagало się w Waszyngtonie również przemożne dążenie do uniknięcia takiego losu. Ani politycy, ani wojskowi nie chcieli w tak nieprzyjemny sposób przenieść się „do lepszego świata”. „Totalna” wojna jądrowa, niczym mina z napiętą sprężyną zapalnika, została odłożona na bok na lepszy okres. Od czasu do czasu troskliwie

ścierano z niej kurz, ale skorzystać z tego — jak mówili politycy amerykańscy — „skrajnego, katastrofalnego” środka w imię osiągnięcia swych upragnionych celów mimo wszystko nie mieli odwagi.

W ciągu wielu lat, pełnych nieziszczalnych nadziei i rozczarowań, jakie upłynęły na poszukiwaniach wyjścia z „pata jądrowego”, przywódcy amerykańscy, nie widząc końca wciąż nowych przeszkód, usiłowali znaleźć również alternatywne rozwiązanie problemu poprzez opracowywanie i narzucanie Związkowi Radzieckiemu „reguł” prowadzenia wojny — również jądrowej, ale „ograniczonej”, której śmiercionośny powiew nie zagrażałby samym Stanom Zjednoczonym.

2

Pierwsze oznaki takiego samoograniczania własnych ambicji jądrowych zaczęły się pojawiać w Waszyngtonie już w latach zmierzchu strategii „zmasowanego odwetu”. Jest rzeczą znamienne, że poważną krytykę tej strategii zapoczątkował zawodowy wojskowy — generał Douglas Mac Arthur, który ze względu na sam charakter swojej służby powinien był orientować się w strategii jądrowej, w każdym bądź razie nieco lepiej, niż politycy waszyngtońscy. Mac Arthura nie można było pomówić o wulgarny pacyfizm. To on właśnie w swoim czasie żądał jak najszybszego zgromadzenia „co najmniej” tysiąca bomb jądrowych i rozpętania przy ich użyciu wojny z ZSRR. W okresie wojny w Korei też nawoływał do użycia broni jądrowej w imię osiągnięcia „zwycięstwa”. Ale od tamtych czasów wiele się zmieniło, toteż wiara generała w możliwość osiągnięcia zwycięstwa w wyniku „totalnej” napaści jądrowej na ZSRR została całkiem zachwiana. Mac Arthur wyjaśniał, że z chwilą pojawienia się radzieckiej broni jądrowej oraz międzykontynentalnego lotnictwa strategicznego zmiany, jakie zaszły w amerykańsko-radzieckim bilansie sił jądrowych pozbawiły sensu przesłanki, którymi Waszyngton mógł kierować się poprzednio planując wykorzystanie potęgi jądrowej w imię osiągnięcia swych celów politycznych. Nieograniczona wojna jądrowa, podkreślał, niesie teraz ze sobą niebezpieczeństwo dla istnienia nie tylko strony przeciwnej, lecz

także samych Stanów Zjednoczonych. Jeśli wybuchnie jeszcze jedna wojna światowa, wojna z nieograniczonym użyciem broni jądrowej, to świat zetknie się z takimi siłami niszczycielskimi i poniesie takie straty, wobec których szczęśliwymi będą się czuli jedynie umarli.

Również szef sztabu armii generał Matthew Ridgway w tej zmienionej sytuacji uważał założenia doktryny „zmasowanego odwetu” za bardzo „kontrowersyjne”. A jego następca na tym stanowisku, generał Maxwell Taylor, nawet zdecydował się opublikować artykuł, w którym opowiedział się za rezygnacją z absolutyzacji idei „totalnej” wojny jądrowej i uznał, że w dającej się przewidzieć przyszłości Stany Zjednoczone zapewne będą musiały przyjąć doktrynę „ograniczonego” użycia siły jądrowej. Wadliwość strategii „zmasowanego odwetu”, podkreślali amerykańscy obserwatorzy wojskowi, tkwi nie w jej treści, lecz w tym, że została ona ogłoszona wówczas, gdy Stany Zjednoczone nie mogły już liczyć na pomyślne wcielenie jej w życie.

Kierownictwo polityczne w Waszyngtonie nie mogło oczywiście całkowicie zignorować zaniepokojenia wśród amerykańskiej wyższej kadry wojskowej. W październiku 1957 roku sekretarz stanu John Foster Dulles wystąpił z publicznym wyjaśnieniem, rzekomo opacznie pojmowanych przez niektóre osoby, założeń strategii „zmasowanego odwetu”. Strategia ta — twierdził teraz — wcale nie zakłada zadania „zmasowanego odwetu” w odpowiedzi na dowolną „prowokację” ze strony ZSRR lub każdego innego „narodu komunistycznego”. Stany Zjednoczone zachowują swobodę wyboru, toteż decyzje o „zmasowanym odwecie” będą podejmowane bardzo selektywnie.

W dywagacjach Dullesa na temat różnego traktowania „ograniczenia” skali wojny jądrowej przebijała jedna zaledwie dokładnie wyrażona idea: trzeba rozpoczynać wojnę z użyciem broni jądrowej o „ograniczonej” mocy i pozostawić samemu biegowi wydarzeń określenie, czy będzie się ona nasilała do poziomu powszechnego konfliktu jądrowego.

Takie rozwiązanie problemu, uwzględniając zwłaszcza charakterystyki bojowe broni jądrowej tamtych czasów, było oczywiście zarówno nader niebezpieczne, jak i skrajnie nieporadne. W co mogłoby się przekształcić zaproponowane przez Dullesa

początkowe użycie przeciwko ZSRR broni jądrowej o „ograniczonej” mocy? W zniszczeniu jakiegoś „nieważnego” radzieckiego miasta? Albo jakiegoś równie „drugorzędnego” kompleksu przemysłowego? I po tym wszystkim Stany Zjednoczone czekałyby na reakcję Moskwy?

Wszystko zakrawało na kolejną niedorzeczność, zwłaszcza że w Waszyngtonie doskonale wiadano o radzieckich założeniach strategicznych dotyczących dowolnego nie sprowokowanego napadu jądrowego na ZSRR: jako reakcja niezwłocznie nastąpiłoby — całkowicie „nie do przyjęcia” dla Stanów Zjednoczonych — potężne uderzenie odwetowe.

3

W związku z powstaniem takiej sytuacji w dziedzinie zbrojeń jądrowych, w Waszyngtonie znaleziono nowe „pomysłowe” rozwiązanie. Można na przykład zrezygnować z zadawania uderzeń jądrowych w życiowo ważne lub po prostu gęsto zaludnione ośrodki ZSRR, a skierować je tylko przeciwko wyrzutniom strategicznym rakiet uderzenia odwetowego. Pozwoli to w jakimś stopniu rozbroić go, postawić w położeniu, w którym będzie zmuszony przyjąć stawiane mu żądania polityczne. A ponieważ sądzono, że Stany Zjednoczone znacznie wyprzedzają ZSRR w dokonywanej przez nie jakościowej modernizacji swego arsenału rakietowo-jądrowego, w Waszyngtonie panowało przekonanie, że Moskwa po prostu nie będzie w stanie prowadzić działań wojennych na proponowanym poziomie, toteż nie należy się obawiać radzieckich uderzeń odwetowych. Jednocześnie Moskwę należało uprzedzić, że każda próba naruszenia proponowanych „reguł gry”, zareagowania na napaść sprawiedliwym uderzeniem odwetowym wywoła ze strony Stanów Zjednoczonych nowy zmasowany, niszczący wszystko atak, tym razem już na radzieckie wielkie miasta. W ten sposób ZSRR miał jak gdyby do wyboru: albo pogodzić się ze zniszczeniem jego potencjału uderzenia odwetowego, albo stać się „inicjatorem” powszechnej wojny rakietowo-jądrowej. Co się zaś tyczy „gry według reguł”, to w Waszyngtonie, podejmującym w tamtych latach różne możliwe i niemożliwe wysiłki zmierzające do osiągnięcia wielokrotnej

przewagi w broni raketowej nad Związkiem Radzieckim, widziano ją w zupełnie różowym świetle.

Ta nowa koncepcja — tak zwanego ograniczenia strat — była przedstawiona publicznie w odpowiedniej otoczce — „wymuszenia” na Waszyngtonie myślenia o podjęciu ewentualnych zdecydowanych kroków na wypadek, jeśli zostaną one „sprowokowane” przez Moskwę. Jednakże oświadczenie sekretarza obrony McNamary, że Stany Zjednoczone, w celu „ograniczenia strat” własnych oraz ich sojuszników, mogą wykonać uderzenie jądrowe na obiekty wojskowe „jeszcze zanim zdąży on zadać uderzenie odwetowe”¹, demaskowało rzeczywiste założenia Waszyngtonu.

Oficjalne oświadczenie o przyjęciu koncepcji „ograniczenia strat” zostało złożone przez McNamarę w jego przemówieniu w czerwcu 1962 roku w murach uniwersytetu Michigan w Ann Arbor. Stany Zjednoczone — powiedział swym poważnie wstrząśniętym słuchaczom — doszły do wniosku, że — na ile pozwolą na to okoliczności — strategia prowadzenia wojny jądrowej nie powinna w sposób istotny różnić się od strategii wojen przeszłości: podstawowa siła uderzenia powinna być skierowana na rozgromienie sił zbrojnych i uzbrojenia nieprzyjaciela, a nie na zniszczenie jego ludności cywilnej. Ale ograniczając swoje działania w wojnie raketowo-jądrowej w ten sposób — kontynuował McNamara — Stany Zjednoczone będą zachowywać rezerwową siłę jądrową wystarczającą do całkowitej likwidacji ZSRR, żeby Moskwa nie uległa pokusie powzięcia decyzji, która mogłaby zawierać „zgubne” dla niej skutki².

Ku wielkiemu rozczarowaniu Waszyngtonu, strategii „ograniczenia strat” sądzone było zwiędnięcie na pniu, nie dając zdatnych do życia pędów. Doznawszy niepowodzenia w próbach osiągnięcia wielokrotnej liczebnej przewagi w rakietach — a bez tego Pentagon nie widział możliwości zapewnienia zdolności do „gwarantowanego” porażenia celów i zachowania wystarczającej „rezerwy zastraszenia” — postarał się także zapomnieć o utraconych wraz z tą strategią nadziejach.

Zresztą w całej tej historii najbardziej zdumiewające było to, że doskonale zdając sobie sprawę z niewielkiej celności naprowadzenia posiadanych wtedy przez Stany Zjednoczone rakiet strategicznych, w Waszyngtonie ani razu nie wspomniano, że

używając ich nie można uniknąć zniszczenia położonych w pobliżu obiektów cywilnych, w tym również skupisk ludzkich. A przecież już znacznie później, kiedy mowa była o zadaniu Związkowi Radzieckiemu uderzeń za pomocą nieporównywalnie celniejszych rakiet drugiej i trzeciej generacji, były przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów admirał Thomas Moorer mówił, że nie może sobie wyobrazić, jak można prowadzić wojnę jądrową ograniczającą się jedynie do zniszczenia wyrzutni rakiet strategicznych nieprzyjaciela. Moorer miał wszelkie podstawy do złożenia takiego oświadczenia. Według obliczeń specjalistów z Pentagonu, wykonanie uderzenia jądrowego na jedną tylko bazę lotniczą nieprzyjaciela może jednocześnie spowodować zagładę 10 i więcej milionów osób ludności cywilnej. Skutki „przeciwsilowej”, „ograniczonej” wojny będą w rzeczywistości jeszcze straszliwsze, ponieważ na cele wojskowe będą wykonywane uderzenia zmasowane z użyciem dziesiątków, setek i nawet tysięcy głowic bojowych o wielkiej mocy.

4

Z chwilą przejścia Stanów Zjednoczonych do budowy i rozwijania systemów rakietowych MIRV ponownie odżył pomysł dotyczący możliwości prowadzenia wojny jądrowej, w której działania wojenne ograniczyłyby się do wykonania uderzeń na strategiczne siły uderzenia odwetowego nieprzyjaciela, innymi słowy, miałyby charakter „przeciwsilowy” lub, jak przyjęło się mówić, „kontrsilowy”.

Rakiety MIRV w pełni odpowiadały nierealnym poprzednio wymaganiom, stawianym broni służącej do prowadzenia takiej wojny. Zmniejszenie promienia rozrzutu ich głowic bojowych w odniesieniu do środka celu po raz pierwszy pozwalało, chociażby z pozorną zgodnością z realnymi faktami, twierdzić, że uderzenia „kontrsilowe” nie spowodują zadania przypadkowych uderzeń również w obiekty cywilne lub skupiska ludzi. O prowadzeniu „ograniczonych” wojen jądrowych zaczęto mówić jakoś łatwo i prosto. Przed pojawieniem się typów celnej strategicznej broni jądrowej — twierdziło obecnie wiele amerykańskich autorytetów politycznych i wojskowych — w świadomości

lub podświadomości głęboko tkwiło mocno zakorzenione przekonanie, że nie można zaczynać takiej wojny. Teraz natomiast można realistycznie, bez panicznego strachu, pozbawiającego zdolności do logicznego myślenia, przewidzieć i przygotować się do prowadzenia wojny jądrowej, na razie w skali ograniczonej.

Na początku stycznia 1974 roku z faktycznie oficjalnym oświadczeniem o zmianach, jakie zaszły w strategii Stanów Zjednoczonych „już latem ubiegłego roku”, wystąpił sekretarz obrony James Schlesinger. Wyjaśniając sens tego oświadczenia podkreślił, że Waszyngton zajęty jest poszukiwaniem metod i środków, które pozwoliłyby w przyszłości bardziej „elastycznie” używać mocy jądrowej, między innymi poprzez zadawanie wybiórczych uderzeń w radzieckie wyrzutnie rakiet.

Ale założenia wyjściowe nowej strategii Schlesingera nie ograniczały się tylko do możliwości wymiany z ZSRR uderzeń jądrowych zgodnie z „regułami gry”. O ile koncepcja „ograniczenia strat” mimo wszystko wspaniałomyślnie jak gdyby zapewniała przeciwnikowi prawo do udziału w takiej „grze”, o tyle „ograniczona” wojna jądrowa Schlesingera była pomyślana raczej jako wojna „ograniczonego pierwszego uderzenia”, w której Moskwie wyznaczono w zasadzie pasywną rolę strony cierpiącej. A to chociażby z tej prostej przyczyny — tłumaczył Pentagon — że ZSRR nie dysponuje ani systemami rakiet MIRV, ani ich bardzo celnymi głowicami bojowymi, a zatem nie może pretendować do wykonywania „chirurgicznie dokładnych” uderzeń w amerykańskie wyrzutnie rakiet.

W ujawnionym ostatnio tajnym memorandum prezydenta Nixona nr 242 z 17 stycznia 1974 roku podkreślano między innymi, że to właśnie założenie powinno zapewnić korzystne zakończenie wojny. Rachuby te ujawniali również autorzy artykułów, jakie w ślad za wystąpieniem Schlesingera zaczęły się ukazywać w wielu najsolidniejszych amerykańskich czasopiśmie. Stany Zjednoczone — pisali na przykład Roger Barnett z Instytutu Brookingsa oraz William Van Cleave z Instytutu Badań Międzynarodowych na łamach „Orbisu” — mają już częściową zdolność wymierzenia nieprzyjacielowi pierwszego uderzenia i nie ulega wątpliwości, że taka zdolność będzie przez nie zwiększana również w przyszłości. Z tego punktu widzenia doktryna

sekretarza obrony jest nie tylko na czasie, lecz również w pełni perspektywiczna³.

Istniał wreszcie jeszcze jeden aspekt samego faktu przyjęcia strategii Schlesingera. Amerykańscy działacze polityczni i specjaliści wojskowi jednomyślnie stwierdzali, że przez taką akcję Stany Zjednoczone po raz pierwszy zadawały „druzgocące i uzasadnione” uderzenie „fanatycznej wierze” w to, że wojna jądrowa — to wojna jądrowa i nic nie jest w stanie zmienić tego położenia. Skończywszy z tymi poglądami, strategia Schlesingera rozproszyła nedorzeczne przesady i uwolniła od ich paraliżującego wpływu amerykańskie myślenie strategiczne. Uzasadniła także oczywiste obecnie znaczenie jakościowego doskonalenia strategicznych systemów broni w imię osiągnięcia „decydującej przewagi” w sile jądrowej.

Innymi słowy, strategia Schlesingera, mimo jej przemijającego znaczenia jako jednego z etapów rozwoju koncepcji prowadzenia „ograniczonej” wojny jądrowej, tworzyła teoretyczne podstawy również dla dalszego niepowstrzymanego wyścigu zbrojeń, osiągnięcia z jego pomocą „decydującej przewagi” wojskowo-technicznej. Nadany temu wyścigowi impuls materializował się w późniejszych latach w przyjęciu przez Stany Zjednoczone bezprecedensowego programu tworzenia i rozwijania systemów broni jądrowej nowej generacji.

5

Spośród wielu takich systemów uzbrojenia największą wagę przywiązuje się dzisiaj do systemu raketowo-jądrowego MX, który stanowi niewątpliwie dosyć imponujący skok w realizowanym przez Stany Zjednoczone powiększaniu swego potencjału strategicznego. Zasięg nowej rakiety, w porównaniu z rakietą *Minuteman-3* zwiększył się z 9250 do 11 000 kilometrów, dokładność naprowadzenia głowic bojowych na cel i moc ich ładunków — dwukrotnie. Mimo że założenia układu SALT-II (*Strategic Arms-Limitation Talks* — Rokowania o ograniczeniu zbrojeń strategicznych) nie dopuszczają umieszczenia więcej niż 10 ładunków bojowych na pokładzie dowolnej międzykontynentalnej rakiety balistycznej, MX będą miały po 12 ładunków ją-

drowych o mocy 335 kiloton każdy, a w przyszłości — 600-kilotonowe ładunki typu MARV (Manoeuverable Reentry Vehicle — głowica wyposażona w samodzielne układy naprowadzania i manewrowania w końcowej części lotu). Wszystkie te osobliwości rakiety MX, a przede wszystkim zwiększenie dokładności naprowadzenia i mocy ładunków bojowych czynią z niej broń przydatną do wykonywania uderzeń na najbardziej umocnione i ograniczone co do wielkości cele, to jest w najdoskonalsze technicznie szyby z wyrzutniami ракет. Według ocen Pentagonu, współczynnik zdolności rażenia ракет MX, w porównaniu z rakietami *Minuteman-3*, zwiększa się ze 135 do 1800 jednostek umownych. Wychodząc z tych obliczeń, wielu zachodnich specjalistów wojskowych pośpieszyło nawet z wydaniem wyroku, którego istota sprowadza się do tego, że system MX zapewni unieszkodliwienie ponad 90% radzieckich naziemnych ракет uderzenia odwetowego.

Zaraz po przyjęciu programu MX, system ten charakteryzowano jako mobilny, wieloszybowy. Zakładano, że każda z 200 ракет będzie spoczywała na ruchomej wyrzutni, kolejno umieszczanej w którymś z jej 23 ukryć połączonych między sobą specjalnymi drogami. Ukrycia miały być budowane w określonej odległości od siebie, wzdłuż kręgu. W późniejszym okresie zamierzano przekształcić cały system w aeromobilny. Przeprowadzono nawet liczne eksperymenty polegające na odpalaniu międzykontynentalnych ракет balistycznych z pokładów najcięższych samolotów transportowych typu S-5A, które potwierdziły realność tych zamierzeń.

Później jednak, kiedy w Waszyngtonie przeważało dążenie do szybszego rozwinięcia tego systemu, postanowiono przystąpić na początku do instalowania tych ракет według metody tak zwanego bazowania zwartego, przy którym odległości między szymbami rzeczywistymi i pozornymi wynoszą zaledwie pół kilometra. Pod koniec listopada 1982 roku prezydent Ronald Reagan poinformował Kongres o powziętej przez niego decyzji dotyczącej rozmieszczenia w ten sposób 100 ракет MX, zaproponował również nadanie im nazwy *Peacekeepers* („Stróżów pokoju”). Co się zaś tyczy innych, „perspektywicznych” metod bazowania ракет MX, to badanie tego problemu odłożono na później.

W przewidywaniu tego, a także żywiąc mocne przekonanie, że SALT-II nigdy nie zostanie ratyfikowany przez Stany Zjednoczone, Pentagon nakreślił dalsze rozszerzenie tego programu proponując zainstalowanie 400 wyrzutni rakiet MX.

Abstrahując nawet od tych daleko idących planów Pentagonu, należy podkreślić, że również rozmieszczenie rakiet MX metodą „bazowania zwartego” w zapowiadanej przez prezydenta skali nie może być traktowane inaczej jak tylko grube naruszenie jednego z głównych założeń amerykańsko-radzieckiego porozumienia przewidującego rezygnację z budowy dodatkowych stacjonarnych wyrzutni rakiet międzykontynentalnych. Budowa szybów pozornych też należy do kategorii takich działań, ponieważ oznacza ona zakazane przez porozumienie celowe utrudnianie kontroli instalowania rakiet prowadzonej przez narodowe środki techniczne. Jawnym naruszeniem układu dotyczącego obrony przeciwrakietowej i protokołu do niego stanie się także realizacja rozpatrywanych obecnie w Waszyngtonie planów ewentualnej osłony rejonów bazowania rakiet MX za pomocą systemu obrony przeciwrakietowej *Safeguard*, który Stany Zjednoczone mają prawo przenieść z bazy koło Grand Forks jedynie w rejon stolicy.

Powzięto również decyzję o zakończeniu, jeszcze przed rozwinięciem systemu MX, wyposażania 300 międzykontynentalnych rakiet balistycznych *Minuteman-3* w potężniejsze i doskonalsze głowice bojowe typu MK-12A. W sprawozdaniu Pentagonu dla Kongresu zamiar ów motywowano tym, że samo to przedsięwzięcie powinno zapewnić Stanom Zjednoczonym już w połowie lat osiemdziesiątych stworzenie znacznego potencjału rażenia radzieckich rakiet uderzenia odwetowego znajdujących się w umocnionych szybach⁴.

Ale nawet to wydało się niewystarczające, toteż ostateczną liczbę rakiet *Minuteman-3*, które mają być poddane modernizacji, zwiększono do 500.

6

Analogiczne powiększenie potencjału „przeciwsilowego” przyjmuje się także w odniesieniu do strategicznych systemów zaczepnych bazujących pod wodą. Przyjęty w tym celu program *Trident* za-

kłada opracowanie i stopniowe rozwijanie wielu elementów, w tym również okrętu podwodnego *Trident*, rakiet *Trident-1* i *Trident-2* oraz specjalnej bazy ich obsługi technicznej.

Pod względem wymiarów zewnętrznych okręt podwodny *Trident* stanowi, jak twierdzi się w Pentagonie, raczej „samoporuszającą się głębokowodną bazę raketową” a nie atomowy okręt podwodny w zwykłym znaczeniu tego słowa. Długość jego kadłuba wynosi prawie 170 metrów, wysokość wraz z kioskiem — 19 metrów. Wyporność *Tridenta* w stanie zanurzenia wynosi 18 700 ton, a więc równa się wyporności ciężkiego krążownika nawodnego. Wymiary te umożliwiają rozmieszczenie na jego pokładzie 24 wyrzutni rakiet balistycznych, to jest o 8 więcej niż na okrętach podwodnych typu *Polaris* i *Poseidon*.

W oświadczeniach Departamentu Obrony niejednokrotnie podkreślano, że okręt podwodny *Trident* wyposażony jest w mocniejszą siłownię atomową, może się zanurzać na znacznie większe głębokości, emituje mniej szumów podczas pływania i wyposażony jest w nową stację hydrolokacyjną. Zakłada się, że wszystkie te walory *Tridenta* przyczynią się do znacznego podniesienia poziomu jego żywotności i niewrażliwości na zwykłe i jądrowe środki zwalczania okrętów podwodnych.

Zasięg rakiety *Trident-1* — 7200 km — pięciokrotnie przewyższa zasięg pierwszych rakiet balistycznych bazujących pod wodą (*Polaris-A-1*) i prawie o jedną trzecią zasięg rakiet *Poseidon* w wersji zmodyfikowanej. Rakieta *Trident-1* wyposażona jest w 8 głowic bojowych MK-4, zawierających ładunki jądrowe o mocy 100 kiloton każdy, dwu- i półkrotnie przewyższające moc ładunków rakiet *Poseidon*. Tymczasem Departament Obrony oraz dowództwo sił morskich Stanów Zjednoczonych już teraz zamierzają zastąpić te głowice bojowe jeszcze doskonalszymi — MARC-500 *Erader* specjalnie obliczonymi na przewyższenie najdoskonalszych technicznie systemów obrony przeciwraketowej.

Rakieta *Trident-2* lub D-5, jeśli chodzi o zasięg i dokładność naprowadzania na cel, niczym nie będzie się różniła od nowych międzykontynentalnych rakiet balistycznych bazujących na lądzie. W jej głowicy zmieści się 14 ładunków MK-4 lub 7 potęż-

niejszych MK-12A. Według pewnych informacji, Pentagon przyspiesza tempo opracowania tej rakiety. Może ona być włączona do uzbrojenia już pod koniec lat osiemdziesiątych.

Do obsługi i profilaktycznych remontów okrętów podwodnych *Trident* planuje się budowę specjalnej bazy morskiej na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, w stanie Waszyngton. Departament Obrony informował również, że w toku doskonalenia systemu *Trident* okręty te zostaną wyposażone w dodatkowe środki obrony przeciwrakietowej i przed okrętami podwodnymi, a zaopatrzenie materiałowo-techniczne okrętów podwodnych czy wymiana załóg będą się odbywały za pomocą specjalnych „wahadłowych” okrętów podwodnych.

W miarę przekazywania do uzbrojenia, okręty podwodne *Trident* będą kierowane do stref bojowego patrolowania położonych na olbrzymich przestrzeniach oceanu światowego. Uważa się, że powierzchnia prawdopodobnego rażenia celów przez rakiety balistyczne bazujące na okrętach podwodnych jest proporcjonalna do kwadratu zasięgu ich lotu. Stosunkowo ograniczony zasięg rakiet *Polaris* i *Poseidon* zmuszał dowództwo marynarki wojennej do przydzielania wyposażonym w rakiety okrętom podwodnym bardzo ograniczonych rejonów patrolowania bojowego na bliskich podejściach do granic ZSRR — na północnym Atlantyku, na Morzu Norweskim, we wschodniej części Morza Śródziemnego i u wschodnich wybrzeży Japonii. Taka sytuacja umożliwiała wyobrażenie sobie dosyć prawdziwego obrazu rozmieszczenia amerykańskich środków przenoszących broń raketowo-jądrową bazującą pod wodą, podjęcie odpowiednich kroków w dziedzinie obrony przed okrętami podwodnymi. Ponadto konieczność odbywania dalekich rejsów z własnych baz do stref patrolowania bojowego nieuchronnie pociągała za sobą znaczne zmniejszenie liczby okrętów gotowych do prowadzenia działań bojowych, aczkolwiek w pewnym stopniu było to rekompensowane dzięki tworzeniu wysuniętych kompleksów ich bazowania na terytoriach amerykańskich sojuszników z różnych bloków wojskowych.

Wprowadzenie do uzbrojenia okrętów podwodnych *Trident* wyposażonych w rakiety *Trident-1*, a zwłaszcza *Trident-2*, umożliwia Stanom Zjednoczonym zrezygnowanie z ograniczenia stref

ich patrolowania bojowego i rozpowszechnienie ich faktycznie w przeważającej części oceanu światowego. W ten sposób okręty podwodne *Trident* będą mogły zadawać Związkowi Radzieckiemu uderzenia rakietowo-jądrowe praktycznie z nieograniczonej liczby kierunków. Należy do tego dodać, że o ile każdy okręt podwodny *Polaris* w najbardziej optymalnym wariancie mógł „trzymać na muszce” do 16 obiektów na terytorium ZSRR, a *Poseidon* — do 160, o tyle każdy okręt podwodny *Trident*, wyposażony w rakiety *Trident-1*, potrafi wycelować je w 192 takie obiekty, a z rakietami *Trident-2* — w 400. Uwzględniając zaś znacznie większą celność nowych głowic, możliwości bojowe każdego okrętu podwodnego *Trident*, nawet wyposażonego w rakiety *Trident-1*, już teraz dziesięciokrotnie przewyższają parametry *Polarisów*.

W ostatniej dekadzie czerwca 1981 roku w porcie Groton, w stanie Connecticut zwodowano pierwszy okręt podwodny typu *Trident* — „Ohio”. W listopadzie tegoż roku, po próbach eksploatacyjnych przekazano go siłom morskim Stanów Zjednoczonych. Identyczny okręt — „Michigan” — i następne 13 jednostek podwodnych tego typu, jak planuje Pentagon, zostaną przekazane do uzbrojenia, z dokładnością zegara, po jednym co roku. Nie jest wykluczone, że zbrojeniowa gorączka, jaka opanowała teraz Waszyngton, i w tym przypadku wniesie pewne zmiany.

7

Zostały reaktywowane — w dodatku na jakościowo wyższym poziomie — „zlikwidowane” poprzednio z powodów wynikających z wewnętrznej taktyki politycznej, projekty budowy nowego naddźwiękowego bombowca strategicznego B-1.

Potrafi on na wysokości ponad 10 kilometrów rozwinąć prędkość około 2300 kilometrów na godzinę. Pod względem mocy swych silników znacznie przewyższa naddźwiękowy bombowiec strategiczny B-52, a przy tym ma mniejszą masę i wymiary. Te walory B-1 pozwalają mu na dwukrotne zmniejszenie rozbiegu przy starcie i wykorzystywanie do bazowania wielokrotnie większej liczby lotnisk zarówno na terytorium Stanów

Zjednoczonych, jak i ich sojuszników z bloków wojskowych. Osią-
gane dzięki temu rozśrodkowanie bazowania samolotów, zda-
niem Pentagonu, czyni B-1 mniej wrażliwym na odwetowe ude-
rzenie nieprzyjaciela. Temu samemu celowi ma służyć również
zdolność B-1 do szybkiego wydostawania się spod uderzenia
dzięki szybkiemu uruchomieniu silników i skróceniu ogólnego
czasu przygotowania go do lotu, a także samego startu, do 4 mi-
nut. Wreszcie stosunkowo niewielkie wymiary bombowca umo-
żliwiają budowanie dla niego umocnionych ukryć obliczonych
nawet na uderzenia jądrowe.

Za jeszcze bardziej istotną osobliwość B-1 uważa się jego
zwiększoną zdolność pokonywania strefy obrony powietrznej nie-
przyjaciela. O ile bombowiec B-52 praktycznie mógł odpalać ra-
kiety jedynie na dalekich podejściach do celu, co oczywiście
zmniejszało celność ich naprowadzania, o tyle B-1 potrafi zada-
wać bezpośrednie uderzenia na wybrane obiekty, dzięki specjal-
nej aparaturze, która umożliwia mu lot na bardzo małych wy-
sokościach. Ponadto wykrycie go wówczas przez radiolokacyjne
środki systemu obrony powietrznej nieprzyjaciela staje się bar-
dzo utrudnione. Ponadto osiągnęte za pomocą takich samych spe-
cjalnych środków prawie pięćdziesięciokrotne w porównaniu
z bombowcem B-52 zmniejszenie jego tak zwanego przekroju
radiolokacyjnego, który określa charakter sygnału uzyskiwanego
na ekranie radaru, zmniejsza możliwość jego szybkiego i dokład-
nego rozpoznania.

Pentagon nie wstrzymał prac nad B-1 na jeden choćby dzień
nawet w latach „nieistnienia” tego programu. Nieprzypadkowo
w październiku 1982 roku na kolejnej wystawie sprzętu lotni-
czego w Wielkiej Brytanii na lotnisku Farnborough gwoździem
programu został pierwszy bombowiec tego typu, który zdążył
wyfrunąć poza granice Stanów Zjednoczonych. Teraz natomiast,
zgodnie z powziętą decyzją, istniejący już park złożony z 350
bombowców strategicznych B-52 powinien być w najkrótszym
czasie uzupełniony 100 bombowcami B-1, a ściślej — ich zmo-
dernizowanym wariantem — B-1B.

To też jeszcze nie koniec łańcuszka. Równolegle z rozwijaniem
systemu B-1 prowadzi się prace nad bombowcem przyszłości —
Stealth, dziedziczącym wszystkie walory bojowe B-1. Będzie on

nieporównywalnie górować nad nim pod względem zdolności pokonywania obrony powietrznej nieprzyjaciela, dla której stanie się „zupełnie niewidoczny”. Przypuszcza się, że do roku 1987 prototypowe egzemplarze *Stealtha* będą gotowe do lotów doświadczalnych, a w latach dziewięćdziesiątych do uzbrojenia sił powietrznych Stanów Zjednoczonych przekaże się co najmniej 150 tych samolotów.

8

W pierwszych dniach czerwca 1969 roku w Kongresie Stanów Zjednoczonych odbyła się specjalna narada poświęcona sprawom finansowania „pierwszoplanowych celów narodu”. Począwszy od lat pięćdziesiątych, podkreślano w rezolucji przyjętej na owej naradzie, Departament Obrony wychodził z założenia, że właśnie Stany Zjednoczone będą inicjatorami rozpoczęcia wojny jądrowej. Zgodnie z opracowanym przez Pentagon scenariuszem, amerykańskie rakiety miały osiągnąć i zniszczyć cele na radzieckim terytorium, zanim radzieckie rakiety uderzenia odwetowego zdążą unieść się w powietrze. Jednakże — stwierdzono z wyraźną irytacją — Pentagon, wydawszy na rozwiązanie tego problemu miliardy dolarów, nie był w stanie zaproponować jakichkolwiek skutecznych kroków lub środków⁵.

Zarzuty te są jednak bezpodstawne. Pracownicy Pentagonu nie na próżno przesiadywali za swymi biurkami, a pod „miedzianymi hełmami” dojrzewały już jakie takie pomysły. Wkrótce w ich głowach zrodziła się już cała koncepcja, która stała się znana pod nazwą „taktyki przycumowania” radzieckich rakiet uderzenia odwetowego jednocześnie z zadaniem ZSRR „pierwszego uderzenia”. Jej treść polegała na tym, że gdyby udało się powstrzymać start rakiet radzieckich na czas niezbędny do pokonania przez amerykańskie międzykontynentalne rakiety balistyczne odległości dzielącej ich stanowiska startowe od celów położonych na terytorium ZSRR, to radzieckie rakiety uderzenia odwetowego w ogóle nigdy nie potrafiłyby już unieść się w powietrze, ponieważ zostałyby zniszczone w swoich szybach.

Dla osiągnięcia tego celu proponowano, by wraz z rozpoczęciem rakietowo-jądrowego ataku na ZSRR, strefy rozmieszczenia

radzieckich międzykontynentalnych rakiet balistycznych zostały poddane ostrzałowi raketowemu z okrętów podwodnych. Utworzona w ten sposób zapora ogniowa zapewniłaby właśnie pożądaný efekt „przycumowania”, czyli unieruchomienia radzieckich rakiet uderzenia odwetowego aż do chwili włączenia do „gry” głównych sił amerykańskiego dowództwa strategicznego.

Jednakże do wcielenia w życie takiej taktyki potrzebna byłaby olbrzymia ilość rakiet bazujących pod wodą, a ponadto — dla osiągnięcia możliwie jak największego zaskoczenia w postawieniu zapory ogniowej — rozmieszczenie podwodnych nosicieli rakiet w strefach bezpośrednio przylegających do radzieckich wód terytorialnych. Jednak realizacja obu tych warunków, zwłaszcza przegrupowanie podwodnych sił strategicznych, może stać się sygnałem ostrzegającym o szykującej się napaści i pociągnąć za sobą ze strony ZSRR dodatkowe środki ostrożności dotyczące zachowania swego potencjału uderzenia odwetowego.

Później do tych okoliczności, podających w wątpliwość „taktykę przycumowania”, doszły również inne. Istotne zwiększenie zasięgu, dokładności naprowadzenia na cel i mocy głowic bojowych nowych typów strategicznej broni zaczepnej bazującej pod wodą uczyniło niepożądanym wykorzystanie ich do wykonania stosunkowo drugorzędnych zadań, a doskonalenie radzieckich środków wykrywania i śledzenia okrętów podwodnych faktycznie uniemożliwiało skryte przegrupowanie współczesnych, ogromnych okrętów podwodnych na wysunięte rubieże. Wreszcie start nawet jednej rakiety balistycznej w niezbyt wielkiej odległości od wybranego celu raczej nie może wywołać zaskoczenia, w tym zaś przypadku chodziłoby o masowy start takich rakiet.

Dążenie do przewyciężenia tych trudności stało się jednym z głównych, starannie przemilczanych obecnie przez Pentagon impulsów, które dały początek obszernemu programowi dotyczącemu stworzenia i rozwinięcia jeszcze jednego rodzaju broni strategicznej — tak zwanych pocisków manewrujących wszystkich rodzajów bazowania.

9

Mówiąc ściślej prototyp tej broni już istniał. Aż do początku lat sześćdziesiątych, to jest do chwili pojawienia się w amerykań-

skim arsenale strategicznym rakiet balistycznych, Pentagon energicznie zajmował się budową rakiet manewrujących. Na terytorium Stanów Zjednoczonych znajdowało się kilka eskadr samolotów-pocisków *Snark* mających zasięg międzykontynentalny, wyposażonych w ładunki jądrowe. W samoloty-pociski typu *Regulus* wyposażone były amerykańskie okręty podwodne. Taktyczne pociski manewrujące o stosunkowo ograniczonym zasięgu — *Matador* oraz *Mace* rozmieszczone były w regionie europejskim i dalekowschodnim.

Ale wszystkie dalekie poprzedniczki współczesnych samolotów-pocisków, czyli pocisków manewrujących, pod względem swych walorów bojowych, między innymi dokładności naprowadzania na cel, na tyle ustępowały przychodzącym im na zmianę rakietom balistycznym, że złożono je do lamusa i zupełnie zapomniano. Z chwilą nadejścia jednak „rewolucji cybernetycznej” sytuacja radykalnie się zmieniła, zaś nowe możliwości, jakie zrodziły się w związku z tą rewolucją, dały podstawę do przypuszczeń, że właśnie pociski manewrujące mogą okazać się tą „uwieszoną na niedźwiedziu zgrają psów”, która trzyma go w miejscu, dopóki jego życiu nie położy kres kula myśliwego.

Zdaniem Pentagonu dane taktyczno-bojowe rakietowych pocisków manewrujących jak najbardziej odpowiadają tym wymagom. Niewielka wysokość ich lotu (tym właśnie tłumaczy się fakt, iż wyposaża się je w niewielkie skrzydła na kadłubie) — zaledwie kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią wody lub lądu — nadzwyczaj utrudnia ich wykrycie za pomocą współczesnych środków radiolokacyjnych. Trudności zwiększają się również przez to, że „radiolokacyjny przekrój” pocisku oraz montowane w nim specjalne wyposażenie nadają jego zobrazowaniu na ekranie radaru postać lecącego ptaka. Naprowadzenie pocisku manewrującego na cel opiera się na zasadzie analizy porównawczej wprowadzonych do „pamięci” jego komputera pokładowego danych o rzeźbie terenu na obliczonej trasie i danych faktycznych napływających do niego w czasie lotu z odpowiednich przyrządów. Względna prostota konstrukcji i stosunkowo umiarkowane koszty produkcji pocisków manewrujących umożliwiają wytwarzanie tej broni w olbrzymich ilościach. Wystarczy na przykład powiedzieć, że — jak doniosła prasa amerykańska —

Pentagon zaplanował na najbliższe lata wyprodukowanie 13 000 pocisków manewrujących różnych typów, w tym ponad 5000 — wyposażonych w ładunki jądrowe. Istotne znaczenie ma wreszcie i ta okoliczność, że w odróżnieniu od wyrzutni rakiet balistycznych, wykrycie wyrzutni pocisków manewrujących stwarza praktycznie trudności nie do pokonania, a ich rozmieszczenie na lądzie, na pokładach okrętów nawodnych i podwodnych, a także samolotów w pobliżu granic radzieckich może być zrealizowane wystarczająco skrycie.

Pociski manewrujące ostatnich modyfikacji wyposażone są w ładunki jądrowe o mocy do 200 kiloton, to jest mniej więcej dziesięciokrotnie większej w porównaniu z bombą atomową zrzuconą na Hiroszimę. Cechuje je także dokładność naprowadzania porównywalna z głowicami bojowymi MIRV. Ich zasięg wynosi obecnie 2500 km i może być zwiększony. Wszystko to każe traktować pociski manewrujące jako środek bezpośredniego zadawania uderzeń „przeciwsilowych”.

10

Zaznajamianie się z programami budowy i rozwijania różnych rodzajów broni strategicznej nowej generacji, którym początek dało wysunięcie pomysłu stworzenia amerykańskiego potencjału „rozbrajającego”, mimo woli odwróciło naszą uwagę od wydarzeń związanych z dalszymi metamorfozami owego pomysłu. Potrzebę takiej dygresji usprawiedliwia jednak chociażby to, że Waszyngton mógł przystąpić do formułowania w tej dziedzinie nowych założeń dopiero wówczas, gdy wszystkie te rodzaje broni zostały w zasadzie opracowane i nadszedł czas podejmowania ostatecznych decyzji.

Latem 1977 roku prezydent Jimmy Carter powierzył kilku szczególnie zaufanym osobom, do których należeli sekretarz obrony Harold Brown i doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Zbigniew Brzeziński, opracowanie nowej, rozwiniętej doktryny „ograniczonej” wojny jądrowej. Powstały w wyniku tego dokument, tak zwane memorandum prezydenckie nr 10, nie wyszedł poza mury Białego Domu, zaś do prasy ame-

rykańskiej przedostały się o nim jedynie bardzo sprzeczne pogłoski.

O tym, że coś się robi w tej dziedzinie, społeczeństwo mogło się domyślać również na podstawie regularnych oświadczeń sekretarza obrony Browna o pilnej potrzebie zapewnienia sobie możliwości zadania „wybiórczego” uderzenia w „obszerny krąg” obiektów strony przeciwnej. Zmuszało do czujności również to, że nawoływania te spotkały się z jawnym poparciem prezydenta Cartera w jego przemówieniu w miasteczku uniwersyteckim Wake Forest, a także w licznych sprawozdaniach różnych komisji Kongresu.

Na przygotowaną w ten sposób glebę wkrótce rzucone zostały pierwsze ziarna. W dorocznym sprawozdaniu sekretarza obrony dla Kongresu o budżecie wojskowym na rok finansowy 1981 Brown podał do wiadomości zasiadających na Wzgórzu Kapitolinśkim ustawodawców, że Pentagon niedawno zakończył „radikalną rewizję” strategii amerykańskiej i będzie obecnie dążył do zapewnienia możliwości zadania Związkowi Radzieckiemu takich uderzeń jądrowych, które mogą zniszczyć obiekty stanowiące nie tylko wojskową, lecz również „polityczną strukturę” nieprzyjaciela⁶.

Umieszczenie obiektów stanowiących „wojskową i polityczną strukturę” ZSRR w wykazach celów, które mają być zniszczone w wyniku „ograniczonych” uderzeń jądrowych, świadczyło — zdaniem wielu obserwatorów amerykańskich — o tym, że w Waszyngtonie powzięta została ostateczna decyzja w sprawie przygotowań do „szerokiej wojny jądrowej” ze Związkiem Radzieckim i że celem nowych programów wojskowych ekipy prezydenta Cartera jest obecnie zapewnienie zdolności zadawania nieprzyjacielowi „uderzeń rozbijających” w takiej skali i o takim charakterze, które wykluczałyby możliwość uderzenia odwetowego z jego strony.

Na potwierdzenie tych wniosków nie trzeba było długo czekać. Pod koniec lipca 1980 roku Carter podpisał dyrektywę nr 59 nakazującą wszczęcie przygotowań do prowadzenia „ograniczonej” wojny jądrowej. Nowe „reguły gry” ograniczały taką wojnę głównie w odniesieniu do tego, co dotyczyło uderzenia odwetowego ze strony ZSRR. Jednocześnie zakładane w dyrekty-

wie nr 59 „ograniczenia” działań samych Stanów Zjednoczonych są bardziej niż umowne. Założenia te pozwalają na przykład Waszyngtonowi nie ograniczać się co do czasu prowadzenia takiej wojny ani co do siły „pierwszego, rozbrajającego uderzenia”, o ile Pentagon uzna za wskazane zadać takie uderzenie. Stany Zjednoczone nie ograniczają siebie — ale tylko siebie! — również w wyborze celów. Aczkolwiek założenia nowej strategii jak gdyby nakładają wstrzemięźliwość w wykonywaniu uderzeń na skupiska ludności cywilnej, na wielkie miasta, owa „wstrzemięźliwość” faktycznie traci swoje znaczenie, jeśli się uwzględni fakt, że jednocześnie Waszyngton uważa za w pełni możliwe wykonywanie takich uderzeń na radzieckie ośrodki „kierownictwa wojskowego i politycznego”. Wreszcie, autorzy nowej strategii nie tylko nie stawiali sobie jakichkolwiek ograniczeń co do ostatecznych celów wojny, lecz jawnie liczyli na osiągnięcie z jej pomocą decydującego zwycięstwa. Wszak tylko wielki obłudnik może na serio twierdzić, że porażenie całego kompleksu obiektów radzieckich, zniszczenie ośrodków kierownictwa wojskowego i politycznego Waszyngton planuje jedynie w celu wywarcia na przeciwniku „wrażenia”, „zademonstrowania” swej gotowości przeciwstawienia się „niebezpieczeństwu radzieckiemu”, a nie po to, by sparaliżować jego działania odwetowe i zmusić do bezwarunkowej kapitulacji wojskowej i politycznej.

W dziedzinie przygotowań wojskowych osiągnięcie tych celów miało zapewnić zamierzone wkroczenie Stanów Zjednoczonych na taki jakościowo wyższy poziom możliwości wojskowo-technicznych, który, jak zręcznie formułowano we wspomnianej dyrektywie, pozwoliłby Waszyngtonowi rozpętać przeciwko Związkowi Radzieckiemu wojnę jądrową z pozycji „przeważającego przeciwdziałania”.

11

Od pierwszych dni sprawowania władzy przez ekipę Ronalda Reagana nie ulegało wątpliwości, że nie tylko będzie dążyła do bezwzględnej kontynuacji zasad zawartych w dyrektywie nr 59 dotyczącej przygotowań amerykańskich sił strategicznych do prowadzenia „ograniczonej” wojny jądrowej, lecz jej pragnie-

niem będzie również wniesienie swojego własnego wkładu w przygotowania. Potwierdziły to liczne oświadczenia nowego kierownictwa politycznego w sprawie niezbędnej konieczności zapewnienia wreszcie przez Stany Zjednoczone realnej zdolności „użycia swej potęgi wojskowej” przeciwko ZSRR. Sekretarz obrony Caspar Weinberger od czasu do czasu wypowiadał nawet jakieś zagadkowe słowa o przeistaczaniu się carterowskiej koncepcji „przeważającego przeciwdziałania” w nie dającą się na razie rozszyfrować „strategię przeciwdziałania przeważającą potęgą”. Wiadomo było tylko, że strategia ta pozwoli Stanom Zjednoczonym w jakiś sposób — jeśli nie można będzie od razu zadać Związkowi Radzieckiemu całkowicie „rozbrajającego pierwszego uderzenia” — prowadzić przeciwko niemu „przewlekłą” wojnę jądrową, przy zachowaniu „przewagi” we wszystkich jej stadiach⁷.

Prezydent Reagan w wystąpieniu na konferencji prasowej w Białym Domu 2 października 1981 roku, na której ogłosił nowy amerykański program wyścigu zbrojeń, potwierdził, że rzeczywiście Weinbergerowi polecono w swoim czasie zająć się „uzdrowieniem” nie tylko realizacji programów wojskowych. Zadanie to jednak wymagało zapewne nietuzinkowych wysiłków umysłowych i, jak można przypuszczać, zajęło czas aż do końca wiosny 1982 roku. O tym, że zadanie to wreszcie zostało pomyślnie wykonane, jako pierwszy ogłosił światu osobisty przyjaciel Reagana — doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego William Clark. Wygłoszone przez niego 21 maja tegoż roku przemówienie w Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie obfitowało w aluzje, że nowa strategia będzie polegała na tym, by bazując na „fundamencie siły”, wykorzystać amerykańską potęgę wojskową do osiągnięcia konkretnych celów politycznych, w tym również o charakterze „globalnym”. A ponieważ dla Clarka „głównym niebezpieczeństwem” dla życiowo ważnych interesów Stanów Zjednoczonych wszędzie na świecie jest nikt inny jak tylko ZSRR, nawet bez słów stawało się oczywiste, jaką siłę i w imię rozwiązania jakich problemów politycznych zamierzano wykorzystać zgodnie z nową strategią.

Zresztą wkrótce odpadła również potrzeba zgadywania. Nie-

mal niezwłocznie po wystąpieniu Clarka, do prasy amerykańskiej zaczęły obficie przeciekać z Pentagonu „najtajniejsze” informacje. Wyjaśniło się na przykład, że Clark w żadnym wypadku nie mówił nic od siebie, faktycznie wykladał bowiem treść podpisanej kilka dni wcześniej przez prezydenta Reagana dyrektywy o „bezpieczeństwie narodowym” Stanów Zjednoczonych. Podawano także inne szczegóły. Stało się wiadome, że już ze dwa miesiące wcześniej sekretarz obrony Weinberger wraz z innymi strategami z Pentagonu ukończył nareszcie opracowanie nowych założeń dotyczących metod prowadzenia przyszłej wojny jądrowej z ZSRR. Na całych 116 stronach sprawozdania Weinbergera (*Dyrektywa w sprawie obrony na lata finansowe 1984—1988*) w sposób bardzo szczegółowy omówione zostały działania w przededniu i w czasie takiego konfliktu. Oczywiście — podkreślano w sprawozdaniu — dobrze będzie, jeśli do czasu powzięcia decyzji o zadaniu ZSRR „prewencyjnego” uderzenia jądrowego Stany Zjednoczone będą już dysponować takimi możliwościami zaczepnymi, które pozwolą im osiągnąć „gwarantowane” zniszczenie radzieckich sił uderzenia odwetowego, a zarazem i wszystkich pozostałych radzieckich sił zbrojnych. Dalej zakładano jedynie nieustanny triumf i ustanowienie powszechnego pokoju amerykańskiego. Ale, surowo uprzedzał sekretarz obrony, nie można raczej zakładać, że przewidywane wydarzenia będą się rozwijały w ten właśnie sposób. Raczej należy się liczyć z tym, że napaść jądrowa na ZSRR, nie przynosząc niezwłocznego, ostatecznego i bezkrwawego zwycięstwa, przekształci się w wojnę przewlekłą, ale w skali „ograniczonej”. Nie ma powodu do obaw, wszystko będzie przebiegało jak należy: amerykańskie siły zbrojne będą się znajdowały pod skutecznym kierownictwem i kontrolą i stopniowo zniszczą całą wojskową oraz polityczną strukturę ZSRR i koniec końców zwyciężą⁸.

12

Czy twórcy wszystkich tych planów zdają sobie sprawę z ich, jeśli już nie potworności, to chociażby nierealności? Jeśli coś podobnego nie było nawet obce wycofanej z areny politycznej ekipie Cartera, miało to co najmniej bardzo swoisty charakter.

Na przykład sekretarz obrony Brown przyznawał, że w żadnym przypadku nikt nie może być pewny co do tego, że każda, nawet najbardziej „ograniczona” wojna jądrowa nie doprowadzi do wojny nieograniczonej.

Ale czy z tego powodu można zrezygnować ze strategii jądrowej? W żadnym przypadku! Uspokajając korespondenta „Washington Post”, Brzeziński wyjaśniał, że jeśli się podejdzie do problemu „teoretycznie i kontemplacyjnie”, takiego wyniku konfliktu nie można jeszcze traktować jako końca istnienia ludzkości⁹. A prezydent Carter? On też powziął pewne środki „ostrożności”: podpisane przez niego prezydenckie dyrektywy nr 53 i nr 58 zawierają plany ewakuacji głowy państwa, wyższych urzędników politycznych i wojskowych do zbudowanych w górach głębokich schronów, w których, jak się zakłada, zdołają się ukryć na czas wojny jądrowej. W dyrektywach nie mówi się jednak o tym, co ujrzą po opuszczeniu tych schronów.

Niekiedy może nawet prezydent Reagan chciałby przenieść się do schronu. Siedząc na przykład przed kamerą telewizyjną w Camp David mówił już coś o niemożliwości wygrania wojny jądrowej. Coraz częściej zaczyna też wypowiadać myśl, iż lepiej jednak byłoby prowadzić wojnę jądrową z ZSRR w granicach, powiedzmy, wyłącznie regionu europejskiego. „Ograniczyć” ją do tej części świata! I dla Stanów Zjednoczonych spokojniej, i dla europejskich sojuszników wielki zaszczyt...

V. Cudzymi rękoma

1

W Waszyngtonie dawno już przymierzano się do wojaczki za pomocą broni jądrowej w Europie lub z Europy. Począwszy od drugiej połowy lat siedemdziesiątych w dorocznych sprawozdaniach sekretarza obrony dla Kongresu coraz częściej mówiono o tym, że „ograniczona do Europy” wojna jądrowa jest całkiem możliwa, w dodatku niekoniecznie musi doprowadzić do „szerokiej wymiany” uderzeń między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim. W dyrektywie nr 59 prezydenta Cartera koncepcji tej nadano już rangę doktryny wojennej, a następnie włączono jako część składową do „nowej strategii wojennej” prezydenta Reagana.

Mocarstwowe ambicje i przerost zadufania Waszyngtonu, który uwierzył w swoją rolę „przywódcy wolnego świata”, nie usposobiły do pomyślenia o tym, że ten „wspaniały” zamiar może wcale nie przypaść do gustu zachodnioeuropejskim członkom Organizacji Paktu Północnoatlantyckiego (NATO). Podejmując decyzję o rozmieszczeniu na ich terytorium nowych amerykańskich jądrowych środków rażenia, specjalnie przeznaczonych do prowadzenia wojny „ograniczonej do Europy”, Waszyngton nie uznał za stosowne nawet powiadomić o tym rządów sojusznicznych państw. Dopiero po roku, już wtedy gdy Kongres amerykański zdążył przyznać środki na budowę niezbędnych dla rozmieszczenia tej broni baz wojskowych w Europie, zostały one poinformowane o wielkim zaszczycie, jaki przypadł im w udziale. Oczywiście, pociągnęło to za sobą pewne trudności, ale w ostatecznym wyniku wszystko skończyło się całkiem pomyślnie. W ogólnym zarysie podstawowe porozumienie osiągnięte zostało już na waszyngtońskiej naradzie krajów członkowskich

Paktu w maju 1978 roku. Problem „dozbrojenia” zachodnioeuropejskich sojuszników Waszyngtonu szczegółowo omawiano także na spotkaniu przywódców państw i rządów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, RFN i Francji na Gwadelupie. Na początku stycznia 1979 roku powzięto ostateczną decyzję w sprawie przyjęcia planów amerykańskich. W kwietniu tegoż roku propozycja dotycząca rozmieszczenia różnych rodzajów broni jądrowej średniego zasięgu w Europie Zachodniej została przekazana do rozpatrzenia Grupie Planowania Jądrowego NATO. Została ona zaaprobowana, toteż „grupie na wyższym szczeblu” powierzono opracowanie konkretnych planów rozmieszczenia takiej broni i przedstawienie ich do zaaprobowania Radzie Paktu.

W grudniu 1979 roku na brukselskiej sesji Rady nowe propozycje zostały ponownie rozpatrzone i oficjalnie zatwierdzone jako część składowa planów rozwoju sił zbrojnych krajów członkowskich. Zgodnie z nimi w Europie Zachodniej zamierza się dodatkowo rozmieścić ogółem 572 jednostki amerykańskiej broni jądrowej średniego zasięgu — 464 pociski manewrujące *Tomahawk* oraz 108 rakiet balistycznych *Pershing-2*. Jako kontrolny termin rozmieszczenia tej broni przyjęto grudzień 1983 roku.

Waszyngtonowi jednak nawet tego było za mało. Pod jego naciskiem Grupa Planowania Jądrowego, która zebrała się na swoje kolejne posiedzenie pod koniec 1980 roku, powzięła demonstracyjną, wyzywającą decyzję o oficjalnym zaaprobowaniu również samej amerykańskiej koncepcji „regionalnie ograniczonej” wojny jądrowej oraz uznania jej za jedną z podstaw planowania strategicznego Paktu Północnoatlantyckiego. Wreszcie stanowisko Stanów Zjednoczonych w sprawie „dozbrojenia” jądrowego swych sojuszników zachodnioeuropejskich zostało „bez zastrzeżeń” poparte również na sesji Rady NATO w czerwcu 1982 roku, która tym razem zebrała się już na szczeblu przywódców państw i rządów.

Pentagon ponaglał. Jeszcze przed zatwierdzonymi terminami, w pierwszych już miesiącach jesiennych 1983 roku rozpoczęło się potajemne przewożenie drogą powietrzną podzespołów i poszczególnych bloków rakiet *Pershing-2* i *Tomahawk* ze Stanów Zjednoczonych do RFN i innych krajów zachodnioeuropejskich. Zdobywszy się na wylewność, w wywiadzie udzielonym kore-

spondentom czasopisma „Armed Forces” naczelny dowódca sił zbrojnych Paktu w Europie, generał Bernard Rogers, potwierdził, że tak właśnie powinno być. „Jestem usposobiony optymistycznie... Mimo wszelkich protestów, z którymi zapewne jeszcze się spotkamy, będziemy nadal kroczyć drogą, która prowadzi wprost do realizacji naszych decyzji o modernizacji amerykańskiej broni średniego zasięgu w Europie”.

2

Wydaje się, że Stany Zjednoczone za pomocą broni jądrowej w Europie lub z Europy mogłyby wojować już dawno, bez jej „dozbrajania”. Jeśli oczywiście będziemy mówili tylko o nagromadzonem już tam arsenale broni jądrowej. Podstawę tego arsenału stanowią rozmieszczone na kontynencie oraz w oblewających go wodach amerykańskie środki jądrowe „wysuniętego bazowania”. Obecnie Stany Zjednoczone dysponują w Europie około 700 samolotami o zasięgu do 1000 kilometrów, mającymi przy tym na pokładzie po 4 ładunki jądrowe o mocy rzędu megatony. W ich składzie znajdują się myśliwce bombardujące F-111 oraz F-4-*Phantom*, które mogą niszczyć cele na większej części europejskiego obszaru ZSRR. W ich skład wchodzi także średnie bombowce FB-111 specjalnie przeznaczone do działań na kontynencie europejskim. Na wodach oblewających kontynent europejski kursują także amerykańskie lotniskowce z rozmieszczonymi na nich samolotami A-6 i A-7 przenoszącymi broń jądrową. Europejskie lotnicze zgrupowanie środków wysuniętego bazowania, jak często oświadczały amerykańskie oficjalne osobistości, może być w dodatku potrojone w ciągu zaledwie dwu tygodni w wyniku przerzucenia tu dodatkowych samolotów. Możliwość tę w pełni zapewniają także liczne amerykańskie bazy wojskowe w krajach Paktu Północnoatlantyckiego.

Jak przyznaje sam Pentagon, Stany Zjednoczone posiadają ogółem w krajach zachodniej Europy ponad 7000 ładunków jądrowych, w tym 2500 do samolotów, ponad 3000 do artylerii atomowej oraz około 500 do rakiet *Pershing*, *Lance* i *Honest John*.

Rozmieszczoną w Europie broń jądrową Stanów Zjednoczo-

nych uzupełniają oddane do dyspozycji dowództwa Paktu amerykańskie okręty podwodne wyposażone w rakiety *Poseidon*, uzbrojone w kilkaset ładunków jądrowych. Przywódcy waszyngtońscy otwarcie przyznawali, że wystarczyłyby zaledwie dwa takie okręty do zniszczenia ponad 200 wielkich obiektów na terytorium ZSRR.

Amerykańskiego potencjału jądrowego w Europie nie można oczywiście rozpatrywać w oderwaniu od odpowiednich zbrojeń sojuszników Stanów Zjednoczonych na tym kontynencie. A należą do nich stosunkowo solidne siły lotnicze oraz broń rakietowo-jądrowa Wielkiej Brytanii i Francji. W uzbrojeniu pierwszego z tych krajów znajdują się cztery okręty o napędzie atomowym uzbrojone w 64 rakiety *Polaris-A-3*, mające po 3 głowice bojowe każda o mocy 200 kiloton. W chwili obecnej wymienia się je na nowe rakiety z sześcioma głowicami MIRV każda. Rakiety te, tak samo jak i ich poprzedniczki, wyprodukowano i wypróbowywano w Stanach Zjednoczonych przez amerykańskich specjalistów. Co się zaś tyczy widoków na przyszłość, to rząd brytyjski powziął decyzję o nabyciu amerykańskich rakiet *Trident*, z których każda ma po 8—10 głowic bojowych.

Również Francja dysponuje znacznym potencjałem jądrowym. Składa się on z 18 rakiet C-2 bazujących na lądzie oraz pięciu okrętów podwodnych o napędzie atomowym wyposażonych w 80 rakiet M-20 o mocy megatonowej, a także 44 bombowców *Mirage-IV-A*. Według oświadczenia ministerstwa obrony Francji, w najbliższym czasie zamierza się przystąpić do rozwinięcia nowych strategicznych rodzajów broni, które mają zapewnić francuskiej potęgze jądrowej charakterystyki porównywalne z bronią jądrową Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego. Ważnym etapem modernizacji francuskich sił jądrowych będzie planowane na połowę lat osiemdziesiątych przebrojenie wszystkich rakiet w głowice MIRV zawierające po 7 ładunków jądrowych.

W sumie brytyjskie i francuskie siły jądrowe średniego zasięgu, których podstawowymi elementami są rakiety bazujące na lądzie i pod wodą, mogą już teraz porazić około 600 obiektów znajdujących się w odległości do 4500 kilometrów. Po ich modernizacji zaś liczba takich obiektów znacznie się zwiększy.

W tych warunkach Waszyngton traktuje „dozbrajanie” Europy w broń jądrową jako dodatkowe powiększenie swego potencjału jądrowego na tym kontynencie. Jest to także swoista akcja wojskowo-polityczna pretendująca do narzucenia nowych „reguł gry” w prowadzeniu „regionalnie ograniczonej” wojny. Cała istota leżącego u jej podstaw pomysłu polega na błędnym mniemaniu, że wykonanie uderzeń jądrowych na ZSRR z obszaru Europy nie da i nie może dać Moskwie „prawa” do zadania uderzenia odwetowego na cele położone poza granicami regionu europejskiego, a już w żadnym wypadku na obszarze Stanów Zjednoczonych.

Tymczasem nielogiczność takich założeń jest zupełnie oczywista. Z wojskowego punktu widzenia, rozmieszczenie w Europie Zachodniej nowych typów broni jądrowej średniego zasięgu znacznie podnosi stopień niebezpieczeństwa nagłego zaatakowania ZSRR. Chodzi nie tylko o to, że po raz pierwszy od chwili zlikwidowania w drugiej połowie lat sześćdziesiątych amerykańskich wyrzutni rakiet średniego zasięgu typu *Thor* (w Wielkiej Brytanii) i *Jupiter* (w Turcji i we Włoszech), taka broń — w dodatku, jak już mówiliśmy, o wiele doskonalsza i niebezpieczniejsza — ponownie zostanie rozmieszczona na kontynencie europejskim. Za realizacją tego pomysłu nie można jednak nie dostrzegać trwającego w sposób jawny przygotowywania się Stanów Zjednoczonych do napaści jądrowej na Związek Radziecki. A to właśnie zapewnia Moskwie niezaprzeczalną podstawę prawną i moralną — jeśli rzeczywiście dojdzie do takiej napaści — do potraktowania jej jako dokonanej bezpośrednio przez Stany Zjednoczone i podjęcia odpowiednich kroków.

W jedenastym wydaniu rocznika Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań nad Pokojem (1980 rok) jego autorzy, po dokładnym przeanalizowaniu możliwości „ograniczenia” wojny jądrowej do obszarów ZSRR i zachodnioeuropejskich członków Paktu Północnoatlantyckiego, doszli do bardzo rozsądnego wniosku, że ten amerykański pomysł pozbawiony jest realnych podstaw. Każda broń jądrowa, niezależnie od jej siły niszczyielskiej, zawsze pozostanie nie „taktyczną”, lecz strategiczną, ponieważ jej użycie nigdy nie będzie „ograniczone”, lecz nieuchronnie przero-

dzi się w powszechne. Tak właśnie traktował propozycję wykorzystania broni jądrowej w granicach regionu europejskiego prezydent Kennedy. Ówczesny zastępca sekretarza obrony potwierdził później, że w owym czasie panowało przekonanie o niemożliwości „ograniczenia” wojny, jeśli na europejskim teatrze działań wojennych użyta zostanie broń jądrowa.

Podświadome pojmowanie tego, należy przypuszczać, nie daje spokoju również dzisiejszym waszyngtońskim politykom i strategom. Czym innym bowiem można wytłumaczyć fakt, że mimo entuzjazmu, przejawianego przy wcielaniu w życie planów przygotowywania „ograniczonych” wojen jądrowych przeciwko ZSRR, w Waszyngtonie wiele uwagi poświęca się także sprawie możliwości prowadzenia wojen jądrowych geograficznie „ograniczonych” tylko do obszarów „krajów trzecich”, to jest położonych w Europie i pozostających w sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi lub Związkiem Radzieckim.

Na szczeblu państwowym przyjęcie, jako jednego z możliwych, takiego wariantu prowadzenia wojny jądrowej po raz pierwszy pojawiło się w specjalnym sprawozdaniu sekretarza obrony Schlesingera dla Kongresu w kwietniu 1975 roku. Potrzeba było niewiele ponad rok, by doktrynę tę przyjęto nie tylko w Waszyngtonie, lecz także narzucono amerykańskim sojusznikom z Paktu Północnoatlantyckiego.

Trudniej rozwiązywało się i rozwiązuje problem wtłoczenia tych idei do świadomości mieszkańców Europy Zachodniej — nie rządów, lecz narodów. Dlatego właśnie w podejmowanych próbach „sprzedania” ich kładziono nacisk na to, że Stany Zjednoczone — w celu obniżenia do „praktycznie nieznacznego” dla ludności cywilnej niebezpieczeństwa radioaktywnego skażenia terenu — stworzą i rozmieszczą w krajach Europy Zachodniej nowe systemy broni jądrowej, wyposażone w ładunki bojowe o supermałej sile wybuchu, bardzo nieznacznie przewyższające siłę wybuchu ładunków konwencjonalnych. Wstrząsające kontynentem masowe ruchy protestu przeciwko amerykańskim planom ryzykowania losów narodów europejskich zmusiły Waszyngton do zajęcia się poszukiwaniami dodatkowych i „bardziej przekonujących” argumentów. Amerykańscy stratedzy, na swoje nieszczęście, nie wymyślili w tym przypadku nic lep-

szego, toteż oświadczyli, że problem zostanie całkowicie rozwiązany, jeśli działania wojenne w Europie będą prowadzone z użyciem jeszcze jednego, nowego typu broni jądrowej — tak zwanej neutronowej. O ile jednak Waszyngton, reklamując tę nową broń jako absolutnie „czystą”, sądził, że taką kartą atutową przebiję krytyków jego koncepcji prowadzenia wojny „ograniczonej” do „niesowieckiej strefy” Europy, o tyle na narody tej „strefy” zamiary Waszyngtonu wywarły zupełnie inne wrażenie.

4

Propaganda amerykańska bardzo uroczyście usiłuje reklamować neutronowe środki prowadzenia wojny jądrowej jako broń nie tylko „czystą”, lecz nawet jako idealną, która potrafi niemal uszczęśliwić ludzkość. Twierdzi się przy tym, że w odróżnieniu od posiadanych już ładunków jądrowych, których użycie nieuchronnie pociąga za sobą długotrwałe radioaktywne skażenie otaczającego środowiska, przy wybuchu ich neutronowych współbraci promieniowanie można praktycznie traktować jako absolutnie „czyste”, mające działanie wyłącznie chwilowe.

Fakty jednak mówią co innego. Uczeni wielu krajów świata, zebrani w sierpniu 1977 roku na kolejnej konferencji Pugwash, uznali za wierutne kłamstwo twierdzenia Waszyngtonu, że wybuch ładunku neutronowego nie wytwarza promieniowania reszkowego (promieniowania gamma i beta emitowanego przez opad radioaktywny — *przyp. red. pol.*).

Wyzwolone przez wybuch neutrony szybkie, stopniowo pochłaniane przez glebę i inne obiekty materialne znajdujące się nie opodal miejsca wybuchu, nieuchronnie staną się źródłem promieniowania, które może długo pozostawać w strefie skażenia.

Nie jest to jednak jedyna podstawa, która nie pozwala mówić o „czystości” broni neutronowej. Taka broń nie istnieje już choćby dlatego, że nikt jeszcze nie znalazł sposobu wywołania leżącej u podstaw bomby neutronowej reakcji „czystej” syntezy jądrowej bez wykorzystania do tego celu urządzeń pomocniczych, swego rodzaju „detonatorów”, których działanie opiera się na reakcji rozszczepienia jądra. Uruchomienie tych urządzeń daje

taki sam efekt, co i „zwykły” wybuch termojądrowy, a więc nie może temu nie towarzyszyć powstawanie opadów radioaktywnych.

Jeszcze bardziej zabójcze jest bezpośrednie oddziaływanie wybuchu neutronowego ładunku bojowego. Zostało ono już demonstrowane, i to nie tylko w toku wybuchów doświadczalnych, lecz, niestety, również na ludziach.

5

W pierwszych latach po wojnie nikt, z wyjątkiem bardzo wąskiego grona amerykańskich uczonych i wojskowych, dopuszczonych do ściśle tajnej informacji o działaniu broni jądrowej, nie przypuszczał nawet, że zrzucona na Hiroszimę pierwsza bomba jądrowa była zarazem swego rodzaju prototypem bojowego ładunku neutronowego. Wielu ludzi wyrażało zdumienie, że ta bomba, pieszczotliwie nazwana przez Amerykanów *Little Boy* („Maluch”), pochłonęła trzy razy więcej istnień ludzkich, niż uczyniła to w Nagasaki druga bomba jądrowa *Fat Man* („Grubas”). Z braku wytłumaczenia tego zjawiska sądzono do czasu, że — jak twierdzili eksperci z Waszyngtonu — podstawową rolę odegrał tu błąd w celowaniu, różnice w rzeźbie terenów, na jakich położone są Hiroszima i Nagasaki, a także różna gęstość zabudowy tych miast.

Niedorzeczność tych wyjaśnień stała się bardziej oczywista, kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych do prasy amerykańskiej przedostały się skrzętnie ukrywane dotychczas informacje o tym, że pierwsze bomby jądrowe wcale nie były „w przybliżeniu jednakowe” pod względem ich mocy wybuchu, a „Maluch” pod tym względem mniej więcej dwa razy ustępował „Grubasowi”. Teraz nie było już wątpliwości, że fakt zagłady nieporównywalnie większej liczby ludzi w Hiroszimie musiał mieć jakieś inne wytłumaczenie, niż powoływanie się na rzeźbę terenu lub gęstość zabudowy miasta.

Wtedy właśnie zwrócono uwagę, że z powodu różnic technicznych w budowie „Malucha”, jego wybuchowi musiało towarzyszyć wydzielenie znacznie większej liczby szybkich neutronów, niż eksplozji „Grubasa”. Przypuszczenie to zostało wkrótce po-

twierdzone przez „przeciek” informacji, dopuszczony z winy pewnego amerykańskiego zakładu naukowego, którego kierownictwo włączyło do swego kolejnego „czysto technicznego” sprawozdania dane, iż wybuchowi „Malucha” rzeczywiście towarzyszyło cztero- lub pięciokrotnie większe promieniowanie neutronowe niż wybuchowi „Grubasa”.

Dane te z kolei pozwoliły określić charakterystyczne własności promieniowania neutronowego w toku prowadzonych przez uczonych z różnych krajów, we współpracy z ONZ, badań nad określeniem długotrwałych skutków bombardowań Hiroszimy i Nagasaki. Zgodnie z ich ustaleniami, ogłoszonymi w 1977 roku na paryskim kongresie Komitetu Naukowego Narodów Zjednoczonych do Spraw Skutków Promieniowania Atomowego (UNSCEAR), wśród pozostałych przy życiu ofiar bombardowania atomowego Hiroszimy przypadki zachorowań na przykład na białaczkę zdarzały się dwudziestokrotnie częściej, niż wśród takich samych mieszkańców Nagasaki. Skutki promieniowania neutronowego szczególnie ciężko odbiły się na dzieciach, przede wszystkim tych, których matki w chwili zrzućenia bomb jądrowych na Hiroszimę i Nagasaki były w piątym lub szóstym miesiącu ciąży. Zebrana informacja dowodzi, że nawet w tych przypadkach, kiedy napromienienie było stosunkowo niewielkie, dzieci rodziły się z różnymi zniekształceniami w budowie ciała, zmianami czynności ośrodkowego układu nerwowego i mózgowia. Na przykład 75% dzieci urodzonych przez matki, które uległy nieznacznemu nawet napromienieniu w czasie wybuchu bomby jądrowej nad Hiroszimą, przyszło na świat z głową dwukrotnie mniejszą od normalnej. Wiele z nich okazało się upośledzonymi pod względem umysłowym.

Według danych uczonych japońskich, promieniowanie neutronowe jest kilkakrotnie bardziej szkodliwe dla człowieka niż, powiedzmy, porównywalne z nim, ze względu na swoją intensywność, promieniowanie gamma lub beta. Neutrony szybkie przenikając do organizmu ludzkiego niszczą substancję komórek, zwłaszcza komórek ośrodkowego układu nerwowego.

Należy do tego dodać, że promieniowanie neutronowe stanowi dla ludzi niebezpieczeństwo tym większe, że praktycznie nie istnieją środki ochrony przed nim. Neutrony szybkie swobodnie

przenikają przez mury z cegły, płyty betonowe, pancerz czołgów. W dodatku, zawierając ładunek elektryczny, mogą się rozprzestrzeniać na wiele kilometrów od zerowego punktu wybuchu.

6

Podstawowa różnica między współczesnymi jądrowymi ładunkami bojowymi, zaliczanymi do neutronowych, a „Maluchem”, który zniszczył Hiroszimę, polega na tym, że celowo dokonano w nich zmiany powodujące inny podział energii wybuchu na korzyść promieniowania neutronowego. Obecnie przypada na nie ponad 80% całej energii jądrowej.

Opierając się na obliczeniach amerykańskich i innych specjalistów zachodnich, można nakreślić następujący obraz oddziaływania promieniowania neutronowego na człowieka przy wybuchu ładunku o mocy 1 kilotony.

Praktycznie biorąc unieszkodliwione zostaną wszystkie osoby znajdujące się w promieniu 500—800 metrów od zerowego punktu wybuchu. Znajdujący się w tym rejonie człowiek, zanim zdąży uzmysłwić sobie dostrzeżony oślepiający błysk światła, odczuje atak oszałamiających nudności. Po nich nastąpi szok i utrata przytomności — aż do śmierci, która nadejdzie niechybnie w ciągu jednej — dwóch dób.

Ludzi, którzy zginą w ten sposób w wyniku napromienienia neutronowego, nie należy jednak traktować jako najbardziej nieszczęśliwych. O wiele gorszy los czeka tych, którzy w czasie wybuchu znajdą się poza granicami pierwszej strefy działania śmierci neutronowej. Dawki napromienienia wchłonięte przez osoby znajdujące się w odległości 2—3 tysięcy metrów od zerowego punktu wybuchu będą wciąż jeszcze skuteczne, by zabić człowieka powoli i w sposób męczący. Ofiara oblewa się potem, ma wysoką gorączkę, ból głowy, jej postępowanie staje się nieobliczalne. W ciągu kilku następnych dni, lub nawet jednego — dwóch tygodni, tym widocznym oznakom choroby będzie towarzyszyć ostre porażenie układu żołądkowo-jelitowego i mięśniowo-nerwowego organizmu. Wreszcie nastąpi całkowity paraliż kończyn, spadek ciśnienia krwi i szok.

Przy jeszcze mniejszych dawkach napromienienia, na po-

ziomie tak zwanej śmiertelności ukrytej, schorzenie rozciąga się na miesiące lub nawet lata, a człowiek umiera w jeszcze większych mękach. Główną przyczyną śmierci staje się zniszczenie szpiku kostnego, spełniającego w organizmie rolę swoistego generatora życiowo ważnych komórek wchodzących w skład krwi. Następująca w wyniku napromienienia niezdolność szpiku do dalszego wytwarzania tych komórek wyraża się w anemii, licznych krwotokach wewnętrznych, wywołanych przez brak krzepliwości krwi, w ciężkim porażeniu układu odpornościowego chroniącego organizm człowieka od chorobotwórczych bakterii i wirusów. W wyniku tego wszystkiego człowiek nieuchronnie staje się podatny na nieustanne schorzenia zakaźne o ciężkim przebiegu, owrzodzenia wszystkich życiowo ważnych narządów, zagrażają mu niemożliwe do opanowania krwotoki.

Jeśli szpik mimo wszystko zdoła odzyskać swoje funkcje w stopniu niezbędnym dla podtrzymania odporności organizmu, to nadejście zgonu zostanie jedynie odroczone. Człowiek staje się teraz szczególnie podatny na białaczkę, różne formy nowotworów i schorzenia zakaźne. Jego zdolność reprodukcji zostaje albo całkiem naruszona, albo towarzyszy jej powstawanie niemożliwych do przewidzenia zniekształceń noworodków w następnych pokoleniach.

Nic więc dziwnego, że odpowiadając na pytanie — czym, jego zdaniem, grozi światu broń neutronowa, taki autorytatywny uczony, jak prezydent Międzynarodowego Instytutu Pokoju w Wiedniu, profesor Georg Fuchs powiedział: „Zagłada! Jest to niezwykle groźna i podstępna broń. W przypadku jej użycia bardzo wielu ludzi zginie natychmiast. Dla jeszcze większej liczby osób, które znajdą się w rejonie wybuchu, umieranie wydłuży się na miesiące i lata — wskutek napromieniowania zapadać oni będą na białaczkę, raka i inne nieuleczalne choroby. Ponadto będzie to mieć katastrofalne następstwa dla przyszłych pokoleń, powstaną bowiem zmiany genetyczne, przekazywane dziedzicznie, a ich skutki będą straszliwe”¹.

Nie mniej katastrofalne skutki niesie ze sobą użycie broni neutronowej dla życia organicznego w ogóle: na obszarze skażonym promieniowaniem neutronowym zginą wszystkie zwierzęta, lasy i inna roślinność.

Przytoczone fakty oraz kompetentne wypowiedzi uczonych, których niepokoją losy świata, potwierdzają z całą oczywistością, że użycie broni neutronowej przede wszystkim i głównie pociągnie za sobą masowe, totalne zniszczenie ludności na obszarze jej użycia — niezależnie od tego, czy będzie to wojsko, czy ludność cywilna. Innymi słowy, broń neutronowa — to broń ludobójcza.

7

„Ojciec” bomby termojądrowej, Edward Teller, mógłby, przy odrobinie chęci, z takim samym powodzeniem pretendować do tytułu jeśli już nie „ojca”, to przynajmniej „ojca chrzestnego” również bomby neutronowej. W każdym razie już w połowie lat pięćdziesiątych, gdy kierował Laboratorium Termojądrowym w Livermore, dał się poznać jako niestrudzony propagator idei stworzenia broni neutronowej, zamierzając osiągnąć to poprzez przekształcenie bomby termojądrowej małej mocy w bombę neutronową.

Teller, tak samo jak później liczni amerykańscy politycy i wojskowi, wychodził z założenia, że po pierwsze, wykorzystanie obok broni konwencjonalnej także miniładunków jądrowych w „małych wojnach”, zwłaszcza jeśli obiektem agresji okazałyby się kraje socjalistyczne lub zaprzyjaźnione z ZSRR, nie da Moskwie dostatecznych podstaw do równoznacznych sankcji odwetowych, czego — jak się przekonamy — bardzo obawiano się wtedy w Waszyngtonie. Po drugie, w przypadku jeśli te miniładunki będą „czyste”, umożliwi to używanie ich w takich wojnach, nie wywołując nadmiernie negatywnej reakcji światowej opinii publicznej.

Smutne jest to, że wśród uczonych amerykańskich Teller nie był osamotniony pod tym względem. Nad stworzeniem broni neutronowej w owym czasie z entuzjazmem pracowali Herbert York, Karl Cohen i Harold Brown. Ten ostatni zrobił później karierę od jednego z członków dyrekcji laboratorium w Livermore do sekretarza obrony. Co więcej, w okresie późniejszym, kiedy pojawił się problem rozmieszczenia broni neutronowej właśnie w Europie, między niektórymi spośród tych uczonych

mężów wybuchły nawet spory o tytuł twórcy tej broni. Na przykład Cohen, usiłując odebrać Tellerowi palmę pierwszeństwa, zaczął twierdzić, że nikt inny, tylko on już latem 1958 roku, kiedy resort wojskowy zwrócił się do niego z propozycją zbadania możliwości wykorzystania broni jądrowej na polu walki, „udał się do jednego z laboratoriów” i dokonał tam „określonego odkrycia”, które dało początek pracom nad bombą neutronową.

W kołach rządzących stosunek do tego nowego pomysłu początkowo był jednak bardzo nieokreślony. Projekty stworzenia broni neutronowej raz uzyskiwały gorące poparcie (wydawano polecenia w sprawie niezwłocznego przystąpienia do jej tworzenia), innym razem odkładano to na później. Zresztą na prace badawcze pieniądze przydzielano regularnie, w dodatku dawano żądane sumy.

Wiosną 1963 roku świętowano pierwsze „zwycięstwo”. Na podziemnym poligonie jądrowym w stanie Nevada dokonano pomyslnego eksperymentu z bojowym ładunkiem neutronowym, ukrytym pod kryptonimem WW-63. Dla Tellera i jemu podobnych „zwycięstwo” to okazało się jednak zarazem wyraźną porażką. Wybuch dowiódł, że przy porównywalnej mocy na przykład ładunku termojądrowego i neutronowego ten ostatni daje o wiele mniejsze możliwości zadania ogólnych strat nieprzyjacielowi, zwłaszcza jego obiektom materialnym. Nie przyprawiało o entuzjazm również to, że produkcja ładunków neutronowych łączyła się z dodatkowymi trudnościami technicznymi.

Na jakiś czas wszystko to zadecydowało o ochłodzeniu zapалу Waszyngtonu do broni neutronowej. Program wprawdzie nie został poniekany, ale nie podejmowano też żadnych wysiłków w celu jego intensywniejszej realizacji. Praktycznie za murami laboratorium nie interesował on już nikogo.

Tym bardziej zaskakujące było ponowne zwrócenie na niego uwagi zarówno przez polityków, jak i wojskowych. O broni neutronowej najwcześniej przypomniano sobie w Pentagonie. A przypomniano, jak już mówiliśmy, nie w związku z tellerowskim pomysłem stworzenia „taktycznej” broni jądrowej, lecz w związku z trudnościami technicznymi, jakie wyłoniły się przy wcielaniu w życie pomysłu stworzenia broni zintegrowanej.

Wraz ze stopniowym uzmysławianiem niepowodzenia planów uzyskania „zintegrowanej broni pierwszego uderzenia”, a później również w związku z wyłonieniem się określonych wątpliwości co do odniesienia „możliwego do przyjęcia” zwycięstwa w ramach strategii konfrontacji „przeciwsilowych” z ZSRR na poziomie użycia głównych rodzajów broni strategicznej, zalety broni neutronowej zaczynają zwracać na siebie baczniejszą już uwagę waszyngtońskich strategów „regionalnie ograniczonych” wojen jądrowych. Systemy raketowe MIRV i *Safeguard* dopiero przygotowywano do operacyjnego rozwinięcia, a w tajnych laboratoriach i biurach konstrukcyjnych Stanów Zjednoczonych z narastającą intensywnością szukano już środków najbardziej przydatnych do prowadzenia takich wojen.

Niemale zasługi w potęgowaniu tych wysiłków położył James Schlesinger. Szczególne uznanie w środowisku amerykańskich militarystów zapewnił on sobie już na początku lat sześćdziesiątych, kiedy jako młody doktor opublikował pracę pod preten-sjonalnym tytułem: *The Political Economy of National Security* (*Ekonomia polityczna bezpieczeństwa narodowego*). Ponieważ podstawową tezę tej książki było żądanie zapewnienia za wszelką cenę światowego przywództwa Stanów Zjednoczonych, jej autor uznany został za „swojego” w amerykańskich kołach wojskowych i politycznych. Niezwłocznie trafił do pracy w korporacji RAND, a po kilku latach stał się już doradcą rządu w sprawach budżetu wojskowego i ekonomiki. Później, niczym z choinki świątecznej, sypią się na niego coraz wyższe stanowiska: przewodniczącego Komisji Energii Atomowej, dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, sekretarza obrony. Przetasowanie talii po wyborach w 1976 roku, zdawało się, wstrzymało ten wzlot, ale wkrótce Schlesinger ponownie wypływa na powierzchnię jako sekretarz Departamentu Energetyki, do którego kompetencji należy między innymi prowadzenie prac naukowo-badawczych w dziedzinie energii jądrowej i wytwarzanie tej broni.

Na wszystkich wymienionych stanowiskach, z wyjątkiem krótkotrwałego pełnienia funkcji szefa Centralnej Agencji Wywiadowczej, Schlesinger miał wielkie możliwości, i nie zmarnował żadnej okazji dla intensyfikacji programu opracowania i pro-

dukcji „taktycznej” broni neutronowej. Pod opieką Schlesingera przyjęty program *Atlantic* realizowano na tyle pomyślnie, że do lata 1977 roku okres eksperymentów w dziedzinie tworzenia tej broni można już było uważać za skończony. Potwierdziły to także podziemne próby ładunków neutronowych, stanowiących prototyp neutronowej głowicy bojowej do rakiet *Lance*.

W miarę jednak rozszerzania programu, zwłaszcza po podpisaniu przez prezydenta Geralda Forda pod koniec 1976 roku tajnej dyrektywy o gromadzeniu zapasów głowic neutronowych do rakiet *Lance* i pocisków neutronowych do 8-calowych (203,2 mm) haubic, coraz trudniej było nie zwracać uwagi na zwiększające się niczym kula śniegowa wydatki na jego realizację. Mimo wszystko jednak dalszy bieg wydarzeń pozostawia pole dla domysłów co do tego, czy działy się one przypadkowo, czy — co jest o wiele bardziej prawdopodobne — zostały zaplanowane przez wojskowe i polityczne kierownictwo Waszyngtonu, które samo zamierzało w najbliższej przyszłości powiedzieć o swoich planach rozmieszczenia broni neutronowej na terytoriach krajów Paktu Północnoatlantyckiego w Europie Zachodniej.

9

Tak czy inaczej, na początku lata 1977 roku Kongres Stanów Zjednoczonych miał jeszcze jeden powód do wyrażenia niezadowolenia z powodu zakorzenionego przyzwyczajenia rządu do nie zawsze prawdziwego informowania ustawodawców o rzeczywistym przeznaczeniu takich czy innych sum budżetowych. Któryś z chcących pozostać w cieniu pracowników Zarządu Badań Energetycznych konfidencjonalnie poinformował senatora Marka Hatfielda, że rząd przygotowuje się do produkcji neutronowych ładunków bojowych, a także wyjaśnił mu — co różni je od „zwykłych” głowic bojowych. A w celu przekonania się o prawdziwości jego słów poradził zajrzeć do niektórych pozycji budżetowych Departamentu Energetyki. Okazało się, że wielkie sumy, żądane jakoby dla wykonania pod egidą Departamentu tak zwanych robót publicznych, przeznacza się bynajmniej nie na polepszenie doli bezrobotnych, lecz zostają do ostatniego centa wydawane na konstruowanie neutronowych ładunków bojowych.

Zresztą spowodowane tą okolicznością oburzenie Kongresu było dosyć umiarkowane, a Senat nawet przywołał do porządku dwóch swoich zbyt „gorliwych” członków — Hatfielda i Edwar-da Kennedy’ego, którzy pozwolili sobie wyrazić zbyt głośny protest. Zgłoszone przez nich poprawki do ustawy budżetowej na rok finansowy 1977—1978, żądające cofnięcia kwot przyznawanych na produkcję broni neutronowej, zostały uchylone. Senat w przyjętej przeważającą większością głosów rezolucji faktycznie ograniczył się do tego, że zobowiązał prezydenta do informowania we właściwym czasie Kongresu o rozpoczęciu produkcji takiej broni i o motywach, jakimi się kierował przy podejmowaniu podobnych decyzji.

Mimo wszystko „zielone światło”, włączone na kapitolinśkim skrzyżowaniu, nie wystarczyło do pokonania wszystkich przeszkód na drodze wzmagania wyścigu zbrojeń neutronowych. Reakcja najszerszej amerykańskiej i światowej opinii publicznej na te plany była bardzo negatywna, toteż Waszyngton nie mógł nie liczyć się z ruchem protestu przeciwko broni neutronowej, jaki ogarnął olbrzymie masy ludzi. Władze amerykańskie musiały rozpocząć cierpliwe manewrowanie wokół radzieckiej propozycji dotyczącej zawarcia porozumienia w sprawie rezygnacji z produkcji bomby neutronowej. W dodatku nie wszystko układało się dobrze również w obozie sojuszników z Paktu Północnoatlantyckiego, którzy zaczynali coraz bardziej się wahać w swej gotowości kroczenia w tym przypadku za Waszyngtonem i zwlekali z odpowiedzią na żądanie prezydenta Cartera w sprawie wyrażenia zgody na rozmieszczenie broni neutronowej na ich terytoriach. Nawet ci, którzy z gotowością zrobiliby taki krok, obawiali się uczynić go zbyt jawnie.

Konieczność zajęcia się wszystkimi tymi problemami zmuszała prezydenta Cartera do zwlekania z powzięciem decyzji o produkcji broni neutronowej. W kwietniu 1978 roku Biały Dom oświadczył, że rozpoczęcie jej produkcji odkłada się na później.

Ale uspokoiwszy w ten sposób światową opinię publiczną i uzyskawszy czas niezbędny na przeprowadzenie nowej i starszej kampanii na rzecz „sprzedania pomysłu” rozmieszczenia broni neutronowej w Europie Zachodniej, prezydent Carter nie myślał nawet o wstrzymaniu realizacji samego progra-

mu. W tymże kwietniu było już wiadomo, że „wstrzymanie” produkcji głowic neutronowych jest fikcją, ponieważ nie oznaczało ono zakazu produkcji niezbędnych „komponentów”, które mogą być przechowywane w amerykańskich magazynach w krajach Europy Zachodniej lub Stanach Zjednoczonych. W drugiej połowie października z Białego Domu nadeszło ostateczne zarządzenie o przystąpieniu do ich produkcji.

10

Przyszły prezydent, Ronald Reagan, kiedy od niego jeszcze nie zależała decyzja o ewentualnym rozpętaniu konfliktu jądrowego, według czasopisma „National” wprost uwielbiał bombę neutronową. Przemawiając w radiu w 1978 roku wytłumaczył swoje uwielbienie tym, że broń neutronowa z jej „promieniami śmierci”, o których ongiś można było tylko marzyć lub czytać w powieściach fantastycznych, wtargnęła wreszcie — niczym cud — do życia. Pomyśleć tylko: taka broń, niszcząc siłę żywą nieprzyjaciela pozostawia wszystko dookoła — i pejzaż, i ożywające go wsie i miasta — w stanie nienaruszonym! To takie humanitarne! Czyż to nie „moralna doskonałość” w motywach wyboru środków prowadzenia wojny jądrowej?

Znalazłszy się u władzy, Reagan z radością przejął pałeczkę sztafety zbrojeń z rąk pokonanego rywala. Co więcej, ustami nowego sekretarza obrony decyzja prezydenta Cartera o „odroczeniu” produkcji ładunków neutronowych została potępiona jako niesłuszna, ponieważ Stany Zjednoczone — oświadczył Weinberger — najprawdopodobniej „zechcą użyć tej broni”. Dalej wszystko potoczyło się gładko. Pierwszego czerwca 1981 roku rozpoczęto seryjną produkcję neutronowych głowic bojowych do rakiet *Lance*. A 6 sierpnia — w rocznicę atomowego bombardowania Hiroszimy — na posiedzeniu Grupy Planowania Krajowej Rady Bezpieczeństwa prezydent Reagan oświadczył, że poczynając od tego dnia Stany Zjednoczone przystępują do produkcji broni neutronowej w pełnym zakresie.

„Jastrzębie” radośnie zacierali ręce. W wywiadzie dla paryskiej „Quotidien de Paris” Cohen powiedział, że teraz już wojny

jądrowej należy oczekiwać najpóźniej przed upływem bieżącego stulecia.

„Wspaniale” wieści napływały również z laboratoriów naukowych. Pomyślnie przebiegały prace nad jeszcze jednym rodzajem neutronowych ładunków bojowych — WW-82 — zdolnych, w porównaniu z poprzednimi urządzeniami tego typu, do emitowania przy wybuchu niemal sześciokrotnie potężniejszego śmiertelnośnego promieniowania. Dobiegały wreszcie końca prace nad konstruowaniem ładunku bojowego do 155 mm haubic, będących w uzbrojeniu armii krajów Europy Zachodniej. To ostatnie osiągnięcie stanowiło z kolei dla Białego Domu inspirację do podjęcia nowych decyzji — o zwiększeniu arsenału neutronowego dodatkowo o 1000 jednostek, to jest niemal dwukrotnie, i to właśnie w postaci pocisków 155 mm, co — jak słusznie zostało podkreślone przez komentatorów amerykańskich — mogło oznaczać tylko jedno: są one przeznaczone do użycia wyłącznie na zachodnioeuropejskim teatrze działań wojennych.

11

Jednym z podstawowych i najczęściej wysuwanych argumentów o charakterze wojskowym na korzyść produkcji i rozmieszczenia w Europie „taktycznej” broni neutronowej jest twierdzenie, że tylko w ten sposób może być równoważona „olbrzymia przewaga” czołgów, jaką rzekomo dysponuje Związek Radziecki. Z takich właśnie pozycji prezydent Carter usprawiedliwiał na przykład swoją decyzję o opracowaniu broni neutronowej².

Pozostawiając na boku sztucznie rozdmuchiwany na Zachodzie za pomocą różnych manipulacji strach przed radziecką „potęgą pancerną”, spróbujmy wyobrazić sobie obraz radzieckiego najeźdźcy pancernego na uzbrojoną w broń neutronową Europę Zachodnią.

Jeśli patrzeć oczyma niektórych zbyt gorliwych zachodnioeuropejskich ekspertów wojskowych, to obraz ten rysuje się najbardziej kolorowymi barwami. Zachodnioniemiecka „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, często i z lubością pisząca o przyszłym pogromie toczących się na zachód i plujących ogniem kolumn „czerwonych czołgów”, pisała na przykład 25 lutego 1978 roku;

że sam na sam z bronią neutronową kolumny te okażą się za-
ledwie „złomem żelaznym”.

Tak łatwo rozprawić się z radzieckimi czołgami można chyba tylko na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Włoski senator Nino Pasti, zajmujący w swoim czasie jedno z najwyższych stanowisk w Komitecie Przedstawicieli Wojskowych sił zbrojnych Paktu Północnoatlantyckiego w Europie, mówił o problemach wojskowych w sposób bardziej kompetentny niż tak zwani eksperci wspomnianej gazety. Reprezentuje on zupełnie inny punkt widzenia co do możliwości obrony Europy Zachodniej przed radzieckim „najazdem pancernym” za pomocą broni neutronowej. Popuśćmy wodze naszej fantazji — pisze. Załóżmy, jak to się często robi na Zachodzie, że kraje Europy Zachodniej stały się „ofiarami” agresji i radzieckie zagony pancerne, przełamawszy obronę nad granicą i pokonując wszelki opór na swojej drodze, niepowstrzymanie prą do przodu, żeby się zatrzymać dopiero na wybrzeżu Atlantyku. W tym przypadku zagony te będą się poruszały z wielką prędkością, rozśrodkowane na szerokość całego frontu. Innymi słowy, będziemy mieli do czynienia z celami szeroko rozproszonymi i szybko zmieniającymi swoje położenie. A ponieważ, jak się zakłada, planowane do rozmieszczenia w Europie neutronowe ładunki bojowe mają zdolność szybkiego i skutecznego zniszczenia załóg czołgów w promieniu około jednego kilometra od zerowego punktu wybuchu, trzeba będzie użyć niemożliwej do obliczenia ilości takich ładunków bojowych. Pójście na takie rozwiązanie równałoby się powzięciu przez kraje Europy Zachodniej decyzji o samounicestwieniu, ponieważ przy takim sposobie prowadzenia walki z czołgami nieprzyjaciela katastrofalne straty poniosą nie tyle one, ile własna ludność³.

Nie ma raczej potrzeby przypominania, że dla osiągnięcia podobnego efektu wcale nie musi się uciekać do broni neutronowej. Samych posiadanych w arsenale jądrowym Paktu Północnoatlantyckiego „miniładunków” wystarczy w zupełności, by można było dokonać podobnego „eksperymentu”.

W ostatecznym rachunku niewiele warte są również nadzieje niektórych zachodnioniemieckich odwetowców, którzy sądzą, że dzięki względnie mniejszym zniszczeniom towarzyszącym użyciu

neutronowych ładunków bojowych siły zbrojne Paktu po zadaniu uderzenia szybko i łatwo wbijają się klinem w ugrupowanie wojsk nieprzyjaciela. Inicjatorzy wojny jądrowej raczej nie powinni liczyć na to, że ich własne terytorium nie znajdzie się pod uderzeniem środków jądrowych nieprzyjaciela. A w takiej sytuacji, należy przypuszczać, nie będzie już czasu myśleć o „wbijaniu klina” gdziekolwiek.

Jednocześnie będąca w dyspozycji krajów członkowskich Paktu Północnoatlantyckiego w Europie broń konwencjonalna wcale nie czyni je „bezbronnymi” wobec mitycznych „ataków pancernych” wojsk Układu Warszawskiego. Co więcej, liczni eksperci amerykańscy i zachodnioniemieccy, którzy wcale nie mają obowiązku — ze względu na swoją pozycję służbową — wtórować Waszyngtonowi i mówić o konieczności opierania się na broni jądrowej jako jedynej możliwości przeciwstawienia się radzieckiemu „najazdowi”, są skłonni twierdzić, że współczesne rodzaje broni konwencjonalnej już teraz umożliwiają rozwiązanie tego problemu znacznie skuteczniej niż za pomocą broni neutronowej lub każdej innej „taktycznej” broni jądrowej.

VI. Wizjonerzy z Pentagonu

1

Powrót pod koniec lat sześćdziesiątych do sytuacji „pata jądrowego” — tym razem już na poziomie „broni zintegrowanej” — zapoczątkował wysuwanie i uzasadnianie jeszcze jednego stanowiska wobec zbrojeń strategicznych. Jego podstawową i najbardziej charakterystyczną cechą stało się dążenie do znalezienia wyjścia z „pata jądrowego” wykorzystując nie daremne próby zapewnienia sobie „decydującej” przewagi militarnej dzięki dalszemu doskonaleniu posiadanych jądrowych broni strategicznych, lecz tworząc zasadniczo nowe, „pozajądrowe” rodzaje takiej broni. Pomysł ten ugruntowywał się także dzięki stopniowemu narastaniu przekonania, że możliwości broni raketowo-jądrowej jako podstawowego środka prowadzenia „wielkiej” wojny zostały już wyczerpane i że „epoka nuklearna” powinna w dającej się przewidzieć przyszłości ustąpić miejsca epoce przyszłych, na razie nie znanych jeszcze światu rodzajów broni.

2

Dostrzegalne oznaki kształtowania się takich poglądów zaczęły się pojawiać już w pierwszym etapie powstania „pata jądrowego”. W tych właśnie latach w Stanach Zjednoczonych z coraz większą zaciętością zaczyna być krytykowany stworzony przez samych strategów amerykańskich mit o absolutnym charakterze broni jądrowej. Nawet sam „ojciec” bomby termojądrowej, Teller, znalazł się wśród tych, którzy teraz wyśmiewali „pesymistów” sądzących, że wynikiem wszystkich wysiłków Waszyngtonu zmierzających do zapewnienia sobie „decydującej” przewagi militarnej stało się rozczarowujące wejście na jakiś „pła-

skowyż” wojskowo-techniczny, a poruszając się po nim nie można już wejść na nowe wyżyny, nieosiągalne dla przeciwnika. Odrzucając takie oceny, apologety „postępu” wojskowego z Tellerem na czele twierdzili, że „płaskowyż”, na którym znalazły się Stany Zjednoczone pokonawszy w ciągu powojennych dziesięcioleci strome wejście — powiększanie swych możliwości strategicznych — nie może być aż tak wielki pod względem czasowym i tylko wąskim pasemkiem oddziela on wejście na nowe wyżyny.

W środowisku wojskowym, w którym jeszcze tak niedawno panowało bezkrytyczne przekonanie o „absolutności” broni jądrowej, również odbywała się jej detronizacja. Nie ma i nie może być — mówił teraz z całym przekonaniem wzmiankowany szef sztabu sił powietrznych — tak zwanej broni ostatecznej. Świadczy o tym całe doświadczenie historii wojskowości. Na zmianę jednym strategicznym rodzajom broni nieuchronnie przyjdą nowe — nie po prostu udoskonalone raketowo-jądrowe, lecz zupełnie inne, niedostępne jeszcze wyobraźni ludzkiej, i nie ma żadnych podstaw do powątpiewania, że świat będzie jeszcze świadkiem wielu zdumiewających dokonań w tej dziedzinie¹. Oficjalny organ sił powietrznych „Air Force Magazine” zakładał nawet, że broń raketowo-jądrowa prawdopodobnie zestarzeje się prędzej, niż dowolny z podstawowych rodzajów broni strategicznej przeszłości. Być może — pisało czasopismo — będzie ona bardziej krótkotrwała niż nawet lotnictwo strategiczne „epoki przedjądrowej”². Szczególnie podkreślano to, że aczkolwiek wnioski o niemożliwość zapewnienia jakiegokolwiek skutecznej obrony przed odwetowym uderzeniem raketowo-jądrowym wciąż jeszcze pozostaje aktualny, postęp naukowo-techniczny w dziedzinie wojskowości wcale jeszcze nie powiedział ostatniego słowa, a ci, którzy myślą o przyszłości na podstawie istniejącego stanu rzeczy, mogą nieoczekiwanie zdać sobie sprawę, że ich twierdzenia zostały „wyrzucone na śmietnik historii”.

Wizjonerzy tego typu entuzjastycznie powitali wydaną w 1970 roku książkę Hansona Baldwina — *Strategy for Tomorrow (Strategia dnia jutrzejszego)*. Odwieczna rywalizacja między środkami natarcia i obrony — pisał Baldwin — nie ustanie nigdy. Obrona przeciwraketowa jutro może się okazać zdolna do za-

pewnienia niezawodnego przechwytywania jądrowych głowic bojowych uderzenia odwetowego nieprzyjaciela na środkowych lub nawet początkowych odcinkach toru ich lotu. Lasery, urządzenia działające na zasadzie wykorzystania energii promieni, pilotowane kosmiczne pojazdy przechytujące wyposażone w elektroniczne środki obrony przeciwrakietowej — te i podobne urządzenia spowodują raczej całkowitą zmianę dzisiejszych wyobrażeń o skuteczności środków obronnych³.

Ale i Baldwin nie był w tym przypadku prekursorem. Powtórzył publicznie to, co jeszcze przed nim, na początku lat sześćdziesiątych, powiedział w Kongresie jeden z organizatorów operacji atomowego bombardowania Hiroshimy i Nagasaki, generał Curtis LeMay. Wiele osób — mówił on wtedy — występuje przeciwko pomysłowi stworzenia kosmicznych rodzajów broni sądząc, że przeniesienie wyścigu zbrojeń w kosmos nie zmieni istniejącej na Ziemi równowagi sił. Postępując jednak w ten sposób mimo woli absolutyzują broń jądrową. Tymczasem zaś przyszłe losy świata najprawdopodobniej będą zależeć od rozwoju nowych — ale też nie „absolutnych”! — rodzajów broni. Możliwe, że pozwolą one zneutralizować wszystkie międzykontynentalne rakiety nieprzyjaciela bazujące na Ziemi. Nie wyklucza się, że pozwolą one zadawać mu uderzenia z prędkością światła, w porównaniu z którą prędkość rakiet jest śmiesznie mała. Neutralizując zaś siły rakietowo-jądrowe nieprzyjaciela, zwycięskie mocarstwo może dyktować mu swoje warunki pokoju⁴.

3

Te przewidywania wizjonerów pozostawały do czasu nie dostrzeżone. I nie tylko dlatego, że „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”.

Były czasy, zresztą niezbyt odległe, kiedy w środowisku generalicji amerykańskiej w ogóle uważano niemal za nieprzyzwoitość poważne traktowanie możliwości wykorzystania w wojskowości naukowych i technicznych badań podstawowych. Resort wojskowy na przykład przez długie lata ignorował prace amerykańskiego pioniera w dziedzinie budowy rakiet Roberta Goddarda i zmienił swój stosunek do rakietowych środków przeno-

szenia ładunków bojowych dopiero pod koniec drugiej wojny światowej — po pojawieniu się niemieckich V-2. Nie mniej sceptyczny stosunek cechował przedstawicieli Pentagonu — jak już mówiliśmy — co do możliwości stworzenia broni jądrowej. Mogłoby się zdawać, że konserwatyzm ten został przewyżniony w latach monopolistycznego władania przez Stany Zjednoczone tą bronią. Ale, uwierzywszy w nowego idola, soldateska amerykańska w istocie niewiele się zmieniła. Przedstawiciele Pentagonu na przykład nie lubią wspominać, że zaledwie parę lat przed wybuchem wojny w Korei dowództwo sił powietrznych nadal uważało śmigłowiec za „całkowitą niedorzeczność z punktu widzenia wszelkich praw aerodynamiki” i energicznie sprzeciwiało się przyjęciu go do wyposażenia twierdząc, że próba wykorzystania go do zwiększenia mobilności wojsk jest mniej więcej tym samym, co próba uniesienia się w powietrze na sznurówadłach własnych butów. Nic tedy dziwnego, że marzenia o jakichś „pozajądrowych” rodzajach broni wcale nie wywołały entuzjazmu w Pentagonie, tym bardziej że na początku „wizjonerzy” nie mogli zaproponować nic prócz marzeń. A jeśli nawet i wysuwano konkretne projekty, to nie były one poparte odpowiednimi możliwościami technicznymi. Na przykład pierwsze sukcesy Stanów Zjednoczonych w dziedzinie podboju kosmosu dały natchnienie niektórym co gorliwszym militarystom, którzy zdobyli się na odwagę i proponowali „zepchnąć” na terytorium Związku Radzieckiego odpowiedniej wielkości asteroid; taki „maluch” o średnicy, powiedzmy, pięciu mil mógłby zastąpić aż milion bomb jądrowych. A jeszcze lepiej byłoby umieścić na orbicie satelitę wyposażonego w gigantyczne lustro metalowe, żeby korzystając z niego jak z soczewki wielkoludów skierować na radzieckie miasta spopielający żar Słońca, „spalić lub usmażyć” tam wszystko, co żyje. Senator Barry Goldwater przerwał oklaski kolegów, surowo i bezapelacyjnie żądając umieszczenia w kosmosie takich rodzajów broni, które pozwoliłyby w ciągu kilku sekund zetrzeć ZSRR z powierzchni Ziemi.

Zresztą później pojawiały się jeszcze pikantniejsze propozycje. Między innymi niejedna „światła” głowa została opanowana przez pomysł dotyczący kontrolowania pogody nad terytorium Związku Radzieckiego i rozpętania przeciwko niemu wojny kli-

matologicznej. Stojący w ciągu kilku lat na czele Komisji do spraw Kontroli Pogody Richard Orville sądził, że wyniki takiego napadu pod względem skutków mogą przewyższać nawet wszystkie potworności wojny jądrowej. A występujący w tej samej sprawie przed senacką Podkomisją Gotowości Wojskowej Edward Teller z zadowoleniem podkreślił jeszcze jedną zaletę wojny klimatologicznej: gdy przeciwnik zda sobie sprawę, że dokonano na niego napaści, będzie już za późno — przegra wojnę nie usłyszawszy i nie oddawszy ani jednego strzału. Kontrolowanie pogody — marzył wiceprezydent Lyndon Johnson — zapewni „władcom wszechświata” władzę bardziej nieograniczoną i niepodważalną niż ta, którą zamierzano osiągnąć za pomocą broni jądrowej lub wojsk okupacyjnych⁵.

Nęciły również perspektywy wojny geofizycznej. Emitowany przez Słońce strumień promieni nadfioletowych nie zabija na Ziemi wszystkich żywych istot tylko dlatego, że jest pochłaniany w górnych warstwach atmosfery przez otoczkę z ozonu. Znalezienie możliwości sztucznego rozrywania tej warstwy nad określonym obszarem może być wykorzystane jako „totalna” i niezawodna broń. Pewne badania, prowadzone w Stanach Zjednoczonych potwierdziły, że jest to w pełni możliwe. Niektóre związki chemiczne, rozsiane na ogromnych obszarach oraz w górnych warstwach atmosfery, na przykład w postaci spalin silników odrzutowych, wywołują rozpad cząsteczek ozonu. Emitowane w odpowiednich ilościach mogą spowodować powstanie „okien” w jego warstwie i pozwolić promieniowaniu nadfioletowemu przeniknąć przez nie na powierzchnię Ziemi.

Brano pod uwagę także możliwości broni chemicznej i bakteriologicznej. Na jednym ze spotkań grupy członków Kongresu z przedstawicielami Pentagonu potwierdzono, że zdolność rażenia bojowych środków chemicznych i biologicznych zbliżona jest do możliwości broni jądrowej, a ich zapasy osiągnęły wielkości, które wielokrotnie przewyższają ilość niezbędną do niezawodnego „superzabójstwa wszystkich potencjalnych celów”. Prasa amerykańska informowała na przykład, że jedna uncja (28,3 grama) bojowego środka chemicznego o działaniu drgawkowo-paralitycznym może w pewnych przypadkach okazać się wystarczającą do uśmiercenia kilkudziesięciu milionów ludzi,

a mała łyżeczka botuliny (jadu kiełbasianego) — do uśmiercenia całej ludzkości. Miliony ludzi mogą być zakażone najzłośliwszymi mikroorganizmami wywołującymi schorzenia epidemiczne. Jeśli takie zakażenie następuje za pomocą odpowiednio wyhodowanych szczepów, to przeciwko nim bezsilna będzie zarówno odporność organizmu ludzkiego, jak i istniejące metody leczenia, a także środki zwalczania takich schorzeń.

4

Wszystkie te i podobne projekty, zdaniem Pentagonu, były bardzo nęcące. Mimo wszystko jednak nie rozwiązywały problemu podstawowego — przewyżczenia „pata jądrowego”, czyli neutralizacji radzieckiego odwetowego uderzenia raketowo-jądrowego. Niezależnie od tego, jakimi nowymi sposobami i środkami usiłowano dokonać „totalnej napaści” na ZSRR, jego strategiczne siły odwetu, z czego doskonale zdawali sobie sprawę również „wizjonerzy”, zachowałyby — przynajmniej w ciągu potrzebnego na to czasu — zdolność wyrządzenia Stanom Zjednoczonym kolosalnych strat. A co ważniejsze, między marzeniami o zadaniu Związkowi Radzieckiemu „totalnej porażki” za pomocą klimatologicznych, geofizycznych, chemicznych, bakterio-logicznych czy jakichkolwiek innych środków rażenia a praktycznymi możliwościami posiadania takich środków leżała olbrzymia przepaść.

Uzmysłowienie przez Waszyngton tej prawdy nie spowodowało oczywiście zmniejszenia liczby opracowywanych projektów „perspektywicznych”. Co więcej, ich krąg nadal się rozszerzał. Do poprzednich programów dochodziły nowe, w tym również takie, których zadaniem było wykorzystanie do celów wojskowych zjawisk: anihilacji, antygravitacji, pól i promieniowań energetycznych, oraz różnorodnych środków oddziaływania na mózg i psychikę człowieka.

Na tle jednak całego tego pstrego obrazu, w amerykańskim myśleniu wojskowo-politycznym zaczęły krystalizować się również bardziej konkretne wyobrażenia o tym, na jakich kierunkach należy skupić poszukiwania nowych, „pozajądrowych” rodzajów broni strategicznej. Podstawowym z nich stało się planowe opanowanie kosmosu w celach wojskowych.

O tym, że nadejdzie taki czas, już w 1958 roku mówili autorzy pierwszego oświadczenia rządowego na temat celów i zadań amerykańskich badań kosmicznych. Kosmiczne aparaty latające — podkreślano w nim — mogą znaleźć „ważne zastosowanie wojskowe”, a opanowanie przestrzeni kosmicznej z tego punktu widzenia otwiera zasadniczo nowe możliwości⁶. Również prezydent Johnson mówił o tym, że do zwrócenia uwagi na kosmos zmusiły Stany Zjednoczone „nieustanne poszukiwania” nowej broni⁷.

Ale co konkretnie robić w kosmosie w imię osiągnięcia sformułowanych w ten sposób celów, duchowi mentorzy nowego programu początkowo wyobrażali sobie dosyć mgliście. W ich głowach roily się jakieś nieokreślone asocjacje. Przypominali sobie na przykład, że w dawnych czasach „władczyni mórz”, Wielka Brytania, zarządzała połową świata. A może teraz rozciągnięcie amerykańskich wpływów wojskowych na kosmos pozwoli Stanom Zjednoczonym ustanowić swoje panowanie nad całym światem?

Ci, którzy myśleli w podobny sposób, podchodzili do sprawy stopniowo, bez pośpiechu, usiłując nagromadzić najpierw określone doświadczenie, nim się wtargnie do mało znanej przestrzeni. Byli to ludzie solidni, o dostatecznie „szerokich” horyzontach. Twierdzili, że tylko daleko idące przewidywanie, zerwanie z czysto pragmatycznym traktowaniem sprawy wojskowego wykorzystania osiągnięć nauki i techniki w dziedzinie opanowania kosmosu może doprowadzić do realnego i liczącego się postępu w tworzeniu nowych zbrojeń. Toteż już wtedy faktycznie występowali przeciwko ślepej czołobitności wobec strategii jądrowej, przewidując lub przeczuwając nieuchronny krach jej założeń. Oni właśnie opracowali tak zwaną koncepcję dywidend, to jest teorię, że gromadzony w toku badań kosmicznych „kapitał” naukowy i techniczny wcześniej czy później zacznie przynosić zyski wojskowe. Dobrze zdawali sobie sprawę, że między poczynaniami Narodowej Agencji do Spraw Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej (*National Aeronautics and Space Administration* — NASA) oraz Pentagonu nie istnieje jakakolwiek trudna

do przebycia przepaść i że w istocie rzeczy wszystkie amerykańskie badania kosmiczne mogą być, bez zbędnego afiszowania się, podporządkowane potrzebom wojskowym. Praktyczne wyniki działalności NASA w ciągu pierwszego dziesięciolecia — podkreślano na przykład we wnioskach opiekującej się nią podkomisji Kongresu — w dużym stopniu sprzyjały i sprzyjają osiągnięciu ostatecznych celów wojskowych Stanów Zjednoczonych. Realizując swój program NASA konstruowała i produkowała rakiety nośne wielkiej mocy, doskonale technicznie statki kosmiczne, wyrzutnie doświadczalne i startowe.

Uzyskano także wartościowe dane o możliwościach działania człowieka w kosmosie. Wszystko to oczywiście wносиło bezcenny wkład w tworzenie przyszłych rodzajów broni. Z tego samego punktu widzenia należy rozpatrywać również projekt wysłania człowieka na Księżyc, który też ma bezpośrednie znaczenie wojskowe⁸.

Była to prawda. Wszak nawet projekt lotu na Księżyc — *Apollo* — w rzeczywistości został opracowany przez Pentagon. Otrzymałszy odpowiednie wskazówki prezydenta Kennedy'ego, sekretarz obrony Robert McNamara wezwał do siebie dyrektora NASA Jamesa Webba i kilka innych osób, które pod jego kierownictwem opracowały ten program⁹. Program ów — jak szeroko informowała prasa amerykańska — traktowano jako jeszcze jedno poczynanie naukowo-techniczne zmierzające do gromadzenia owego kapitału, który w okresie późniejszym przyniosłby określone dywidendy.

„Koncepcja dywidend” nie wywarła jednak ani decydującego, ani długotrwałego wpływu na charakter amerykańskich badań kosmicznych. Osiągnęła ona szczyt swoich wpływów w chwili zaakceptowania przez ekipę prezydenta Kennedy'ego programu *Apollo*, a wkrótce, wraz z pojawieniem się sławetnego „pata jądrowego”, zaczęła nieuchronnie staczać się po równi pochyłej.

6

Nasilająca się krytyka „koncepcji dywidend” wcale nie oznaczała odrzucania stawianych przez nią celów ostatecznych. Była ona jedynie odzwierciedleniem niecierpliwości tych najbardziej

pragmatycznie usposobionych kół militarystycznych, które pragnęły rozwiązać problem „pata jądrowego” w najkrótszym czasie dzięki „śmiałości” przeniknięciu do przestrzeni kosmicznej, stawiając sobie przy tym „wyraźne” cele wojskowe.

Jeden z największych apologetów tych poglądów, senator Goldwater, wysunął pojęcie „przestrzeni aerokosmicznej”, rozumiejąc przez to całą powietrzną i kosmiczną przestrzeń dookołaziemską i wyciągnął wniosek: „Kto kontroluje aerokosmos — ten rządzi światem”. Wylądowanie człowieka na Księżycu — pisało popierające ten punkt widzenia czasopismo „Air Force Magazin” — przyniesie jedynie dalsze gromadzenie wiedzy naukowej i technicznej o kosmosie, która, być może, nie będzie nawet miała żadnej praktycznej przydatności wojskowej. Jednocześnie, skupiając swoje wysiłki na ustanowieniu amerykańskiej kontroli wojskowej w przestrzeni aerokosmicznej, Stany Zjednoczone mogą osiągnąć niezaprzeczalną dominację wojskową¹⁰.

W połowie lat sześćdziesiątych teoretycy „konceptu dywidend”, usiłując osłabić w jakiś sposób ton kierowanej pod ich adresem krytyki, znacznie zmodyfikowali jej założenia. Poprzednio uznawano, że amerykański program kosmiczny zawiera w sobie również pewne „cywilne” projekty, mające za cel uzyskanie wiedzy naukowej i technicznej, której znaczna część może być później wykorzystana przez resort wojskowy przy opracowywaniu konkretnych rodzajów uzbrojenia. Teraz natomiast wysunięto i uzasadniano żądanie przejścia do takiego planowania badań kosmicznych, żeby po ich zakończeniu NASA zawsze miała możliwość przekazania Pentagonowi opracowanych już ostatecznych „konstruktywnych komponentów”, nadających się do bezpośredniego wykorzystania w określonym rodzaju broni. Taka właśnie zasada legła u podstaw wielostronnego programu NASA i Pentagonu dotyczącego intensywnego rozwoju i doskonalenia kosmicznych systemów obsługi broni strategicznej. Przekazywane przy tym przez NASA resortowi wojskowemu „komponenty” nie tylko były włączane jako ostatecznie opracowane już elementy do różnych projektów wojskowych, lecz często również były wykorzystywane przez Pentagon jako gotowe systemy wojskowe.

Niemniej jednak zaproponowany kompromis jako całość nie

został przyjęty przez krytyków „koncepcji dywidend”. Twierdzili oni, że najdoskonalszy nawet zestaw „komponentów” nie może być w krótkim czasie przekształcony w produkt końcowy. Potrzebne będą miesiące, a może nawet lata — argumentował Kennan — żeby, powiedzmy, przekształcić te komponenty w satelity lub kosmiczne statki bojowe i nauczyć się skutecznie je wykorzystywać. Wykpiwając oświadczenia zwolenników „koncepcji dywidend”, że siły zbrojne mogą zawsze wykorzystywać do swoich celów opracowywane przez NASA projekty kosmiczne, proponował postępować wręcz odwrotnie — skupić wszystkie wysiłki na opracowaniu i budowie systemów i obiektów wojskowych, pozostawiając projektom i programom o charakterze ogólnonaukowym egzystowanie dzięki „resztkowym komponentom” owych wysiłków. Administracja — z nie mniejszym sarkazmem wykpiwał obietnice Pentagonu dotyczące „komponentów” senator Goldwater — obiecuje, że cywilne projekty kosmiczne mogą być w każdej chwili przekształcone niemal w gotowy system broni. Jest to jednak pospolite kłamstwo i rząd Kennedy’ego z jego rozważaniami o Księżycu dawno już przekształcił się w lunatyków. *Apollo* uznany został przez przeciwników „komponentów” za „bękarta”, który tak samo nie może się przekształcić w statek wojskowy, jak ciężarówka — w czołg¹¹.

Znacznemu wzmocnieniu pozycji jawnych militarystów w ich ataku na projekt *Apollo*, a tym samym i na całą „koncepcję dywidend”, sprzyjało także pewne niezdecydowanie i inercja jaką przejawiał rząd prezydenta Kennedy’ego przy obronie „cywilnego” programu kosmicznego, ograniczając się faktycznie do zapewnień o wojskowej przydatności projektu. Dochodziło niemal do przeprosin. Nikt spośród członków rządu nie zamierza twierdzić — oświadczył na przykład w Kongresie wspomniany zastępca sekretarza obrony — że Stany Zjednoczone nie powinny się zajmować opracowywaniem daleko idących wojskowych projektów kosmicznych. Wszystkie jednak niezbędne wysiłki w tej dziedzinie są już podejmowane, a krytycy powinni by okazać chociaż trochę więcej zaufania tym, którzy ponoszą rzeczywistą odpowiedzialność za obronę kraju¹².

Tymczasem coraz lepiej było widać, że realizacja projektu *Apollo* nie zostanie ukończona w zaplanowanym czasie. We wrześniu 1963 roku projekt był już opóźniony o przeszło półtora roku. Początkowy plan zakończenia projektu do 1967 roku został poważnie zagrożony. Wszystko to zmuszało prezydenta Kennedy'ego do poszukiwania jakiegoś sensownego wyjścia z położenia. Należy przypuszczać, że wtedy właśnie wpadł na pomysł zorganizowania wspólnej, amerykańsko-radzieckiej wyprawy na Księżyc. W przypadku dojścia tego pomysłu do skutku mógł od razu rozwiązać kilka problemów. Przekazanie projektu do realizacji powołanej do tego organizacji międzynarodowej uwolniłoby rząd Kennedy'ego od przyjętych zobowiązań, zażegnałoby nawisające niebezpieczeństwo nowego bolesnego ciosu w naukowo-techniczny prestiż Stanów Zjednoczonych. Ponadto umożliwiłoby to przekazanie znacznej części pieniędzy przydzielonych na realizację projektu *Apollo* bezpośrednio resortowi wojskowemu, a tym samym zaspokojenie jego wciąż zwiększającego się apetytu na opanowanie kosmosu do celów czysto wojskowych. Wreszcie współpraca ze Związkiem Radzieckim miała zapewnić istotną korzyść przede wszystkim samym Stanom Zjednoczonym. Jak sądziło wielu ekspertów wojskowych, mogły one uzyskać nader ważne informacje o radzieckich silnikach rakietowych, o możliwości działania człowieka w kosmosie i innych wynikach radzieckich badań kosmicznych.

Wysuwano również odmienne uzasadnienie motywów, jakimi kierował się prezydent Kennedy podejmując taką decyzję. Przypatrując się dziejom amerykańskiej współpracy międzynarodowej w okresie poprzednim łatwo można zauważyć, że Stany Zjednoczone niezmiennie usiłowały narzucić swoje kierownictwo w organizacjach powołanych do koordynacji wspólnej działalności różnych krajów w dziedzinie badań przestrzeni kosmicznej. Obserwacje te dawały licznym komentatorom amerykańskim powód do przypuszczeń, że Kennedy również nie mógł poważnie traktować pomysłu jakiegokolwiek znaczniejszego rozszerzenia takiej współpracy z ZSRR, zwłaszcza zaś propozycji wspólnego wysłania człowieka na Księżyc. Podkreślano również, że zgodnie

z informacjami pochodzącymi z wiarygodnych źródeł, zaledwie na dwa dni przed wystąpieniem Kennedy'ego w ONZ problem ewentualnej wspólnej z ZSRR wyprawy na Księżyc był rozpatrywany w Białym Domu. Pomysł ten oceniono tam jako czysto utopijny. Wychodząc z tych założeń, wyciągano wnioski, że rząd Kennedy'ego wystąpił z tą propozycją mając na względzie bardzo określone zamiary. Zakładając z góry, że może ona wywołać negatywną reakcję w Kongresie i Pentagonie, Kennedy zamierzał wykorzystać to, by zagrawszy na uczuciach antysowietyzmu, popchnąć Stany Zjednoczone do kontynuacji „wyścigu księżycowego”.

Czy były to jedyne przyczyny — jak twierdzą źródła amerykańskie — którymi kierował się Kennedy wysuwając propozycję w sprawie śmiałego rozszerzenia współpracy z ZSRR w opanowaniu kosmosu? Całkiem możliwe. Nie można jednak wykluczać prawdopodobieństwa tego, że w związku z perspektywami, otwierającymi się wraz z podpisaniem porozumienia o zasadach działalności państw w dziedzinie badania i wykorzystania przestrzeni kosmicznej, a także dążąc do prowadzenia amerykańskiej polityki zagranicznej na bardziej realnej podstawie, Kennedy traktował swoją propozycję bardziej serio, niż mogli sobie wyobrazić ludzie z jego bliskiego otoczenia.

Niezależnie jednak od tego, co myślał prezydent w związku ze wspomnianą propozycją, był on przygotowany do reakcji, wywołanej tym posunięciem. Opowiedziawszy się publicznie za współpracą w kosmosie ze Związkiem Radzieckim, Kennedy dał militarystom upragniony pretekst do oskarżenia go o to, że program *Apollo* rzekomo nie ma znaczenia wojskowego. W opinii licznych kongresmanów — jak pisało czasopismo „*Aviation Week and Space Technology*” — żądane przez NASA sumy, traktowane poprzednio przez nią jako bezwzględnie uzasadnione bardzo ważnymi celami wojskowymi, przekształcały się obecnie niemal w budżet amerykańskiej „pomocy” Rosji. Inicjatywa Kennedy'ego — z satysfakcją stwierdzało czasopismo — zadała projektowi *Apollo* i całej „konceptji dywidend” tak mocne uderzenie, że nic nie może się z nim równać¹³.

W Kongresie gwałtownie wzmożła się krytyka projektu *Apollo*, który, utraciwszy aureolę wojskową, utracił tam również sta-

tus „świętej krowy”. Izba Reprezentantów przyjęła nawet uchwałę zakazującą NASA wydatkowania dowolnej części kwot przeznaczonych na realizację projektu na finansowanie wyprawy na Księżyc we współpracy z krajami „komunistycznymi lub znajdującymi się pod wpływem komunistycznym”.

Istnieją podstawy do przypuszczeń, że w atmosferze stałej poprawy życia politycznego w kraju i wzmagającego się nacisku militarystów, amerykański program kosmiczny uległby znacznym zmianom, gdyby prezydent Kennedy nie został zamordowany. Abstrahując jednak od przypuszczeń należy uznać, że przejęcie uprawnień prezydenckich przez Lyndona Johnsona niewątpliwie sprzyjało przyśpieszeniu procesu coraz wyraźniejszej militaryzacji. Jak podkreślała z zadowoleniem prasa amerykańska, nowy prezydent zawsze i w stopniu większym niż Kennedy zdawał sobie sprawę z „bezwarunkowej konieczności” szerokiego wojskowego przeniknięcia w przestrzeń kosmiczną. Zdecydowanie opowiadał się za tym jeszcze jako senator i wiceprezydent, wychodząc z założenia, że zachowanie przez Stany Zjednoczone światowego przodownictwa w znacznym stopniu zależy od zapewnienia amerykańskiej przewagi wojskowej w kosmosie. Zgodnie z powszechną opinią właśnie Johnson, pełniąc funkcje dyrektora NASA, dopiął tego, że wojskowym wyznaczono poważną rolę w opracowywaniu programu badań kosmicznych.

Pokusa „dywidend” została pogardliwie odrzucona, a amerykańskie dowództwo wojskowe rozpoczęło „śmiało” przenikanie do przestrzeni kosmicznej.

8

Dlaczego jednak właśnie kosmos okazał się najbardziej przyciągającym magnesem dla tych amerykańskich wojskowych, którzy w ten czy inny sposób zmierzali do jedyne go celu — przezwyciężenia „pata jądrowego” poprzez wejście na nowe, „pozajądrowe” wyżyny?

Oczywiście, określoną rolę odegrały tutaj nieobce amerykańskim strategom „romantyczne” marzenia o zapewnieniu sobie możliwości militarnych w nowej sferze przestrzennej. Istniały

jednak i przyczyny o charakterze bardziej rzeczowym, oparte na stopniowo krystalizujących się ogólnych wymaganiach wobec „pozajądrowych” systemów broni.

Przed wszystkim, biorąc pod uwagę posiadany już ogromny arsenał rakietowo-jądrowy, od nowych, „pozajądrowych” systemów nie należało wymagać, w każdym bądź razie w dającej się przewidzieć przyszłości, przyjęcia na siebie wszystkich funkcji broni strategicznej. Ich najbliższym zadaniem miało być spełnianie funkcji jedynie drugiego elementu „broni zintegrowanej”, to jest funkcji „obronnej”.

Samo jednak spojrzenie na skalę tej „obrony” uległo bardzo istotnej zmianie. Teraz chodziło już nie o obronę przed „nielicznymi lub nawet pojedynczymi” rakietami odwetowego uderzenia nieprzyjaciela, które — jak zakładano poprzednio — mogłyby mu pozostać po amerykańskim ataku rakietowo-jądrowym. Bardziej realistyczne poglądy, jakie wymieniły stare złudzenia, zmuszały do przyznania, że skuteczna może być jedynie taka obrona, która potrafi się przeciwstawić bardzo znacznemu pod względem siły uderzeniu odwetowemu. Dlatego rozlokowanie jej elementów rażenia powinno mieć charakter globalny. Warunek ten podyktowany był faktem, że żaden inny system obrony — niezależnie, czy przekształciłby się w „rozwiniętą” na terytorium Stanów Zjednoczonych, czy polegał na tworzeniu coraz odleglejszych od kontynentu amerykańskiego „wysuniętych rubieży” (na przykład w wyniku rozmieszczenia jego elementów na pokładach okrętów nawodnych i podwodnych) — nie mógłby wykroczyć poza ramy obrony obliczonej na przechwycenie atakujących głowic bojowych nieprzyjaciela dopiero na końcowym lub, w najlepszym przypadku, na środkowym odcinku lotu. Przy takiej zaś organizacji obrony, jak już podkreślaliśmy, nie można było liczyć na rychłe osiągnięcie niezbędnego poziomu jej skuteczności.

W przeciwieństwie do tego, globalne pod względem skali rozmieszczenie elementów rażenia obrony przeciwrakietowej stworzyłoby nowe, zupełnie unikalne możliwości przechwytywania i niszczenia strategicznych rakiet uderzenia odwetowego nieprzyjaciela na początkowych odcinkach toru ich lotu, kiedy ich prędkości są jeszcze stosunkowo niewielkie, a wraz z nimi mogą być

również zniszczone wszystkie znajdujące się na pokładzie głowice bojowe. Przy tym przestaje mieć znaczenie również ta okoliczność, podważająca poprzednie koncepcje „pierwszego uderzenia”, że większa część tych rakiet — jeśli przyjąć jako oczywiste, że spośród ogólnej liczby posiadanych przez nieprzyjaciela rakiet uderzenia odwetowego, w czasie „prewencyjnego” ataku na niego ucierpią głównie rakiety bazujące na lądzie — będzie odpalana z okrętów podwodnych, które w chwili rozpętania wojny z ZSRR mogą znajdować się w dowolnym, patrolowanym przez nie, rejonie oceanu światowego. Przejście do niszczenia rakiet uderzenia odwetowego na początkowych odcinkach toru ich lotu pozwoliłoby także rozwiązać — a ściślej — ominąć również tak trudny dla radiolokacyjnych urządzeń obrony przeciw-rakietowej problem, jak identyfikacja celów prawdziwych i pozornych.

Ale prawdziwie globalne rozwinięcie dowolnego systemu broni możliwe jest jedynie wraz z wyjściem w przestrzeń kosmiczną. Dlatego właśnie kosmos stał się dla Waszyngtonu symbolicznie równoznaczny z pojęciem „broni pozajądrowej”.

9

Pozostało tylko rozwiązać problem, w jakie właśnie środki rażenia należy wyposażać przyszłe „pozajądrowe” systemy broni.

Problem ten nie należał do łatwych. Wysuwane w pierwszych etapach opanowywania kosmosu plany stworzenia kosmiczno-jądrowych rodzajów broni szybko traciły swoją atrakcyjność. Nie tylko dlatego, że nie rozwiązywały problemu neutralizacji środków odwetowego uderzenia nieprzyjaciela, lecz również z tej przyczyny, że mimo dowolnego ich doskonalenia, wykorzystywana w tych systemach broni zasada rażenia atakujących głowic bojowych w najlepszym nawet przypadku obliczona była jedynie na względne zbliżenie się do celu i stworzenie na jego drodze również tylko względnie niemożliwej do pokonania, „śmiertelnej” dla niej strefy promieni emitowanych przez wybuch jądrowy. Taki schemat nigdy nie będzie w stu procentach skuteczny, ponieważ jak gdyby z góry zakłada określony procent „niezadziałania”.

Powstała niezwykła sytuacja. Przy przechodzeniu od zwykłej broni do rakietowo-jądrowej nowe środki rażenia w postaci bomby jądrowej i termojądrowej pojawiły się wcześniej niż międzykontynentalne rakiety balistyczne. Innymi słowy, w chwili stworzenia jakościowo nowych dla owych czasów środków przenoszenia broni, nowe środki rażenia już istniały. Proces kształtowania się kosmicznych systemów broni przebiega jednak w diametralnie przeciwnych kierunkach.

Można by tu mówić jedynie o pojawieniu się zasadniczo nowych środków przenoszenia — satelitów i statków kosmicznych, podczas gdy środki rażenia nowej generacji jeszcze nie powstały. Jakiegokolwiek byłyby te nowe środki rażenia, miały one być wolne od „wad” broni jądrowej. Tak na to patrzono w Pentagonie. Włączone do systemu obrony przeciwrakietowej — przed radzieckim uderzeniem odwetowym — miały nadać jej „absolutną” skuteczność, a zadawane przez nie uderzenia miały być celne, błyskawiczne, superdokładne.

Żądania te może i nie były zawyżone. Lecz wśród speców z Pentagonu samo ich wymienienie powodowało zmartwienia. Wielu wydawało się, że wszystko to przypomina raczej wymysły autorów powieści fantastycznych o „promieniach śmierci”. Jakże wielki był ich zachwyt, kiedy te baśniowe promienie zabłysły początkowo w ośrodkach naukowo-badawczych, a następnie i w wojskowych laboratoriach Stanów Zjednoczonych. Rodząca się broń laserowa od razu uznana została za godnego partnera przeznaczonych dla niej kosmicznych środków rozwinięcia. Trzeba było tylko poczekać, aż dziecię podrośnie...

10

Przyspieszenie tempa rewolucji naukowo-technicznej — pisał w 1970 roku wywodzący się z kręgów biznesu aerokosmicznego pewien „wizjoner” — Robert Salkeld — daje podstawę do myślenia, że pojawienie się nowych, „pozajądrowych” rodzajów broni, wykorzystujących energię ukierunkowanego promieniowania, czyli laserów, staje się realną rzeczywistością. Oczywiście, ich stworzenie będzie wymagało rozwiązania wielu trudnych problemów technicznych, w sensie teoretycznym jednak nic nie

przeszkadza osiągnięciu tego celu. Lasery, jak je widzimy dzisiaj, mogą mieć najszersze zastosowanie wojskowe, zwłaszcza w górnych warstwach atmosfery i w kosmosie, gdzie rozchodzenie się promienia świetlnego praktycznie jest niczym nie ograniczone. Dzięki temu laserowe rodzaje broni będą miały bezprecedensowy zasięg, co pozwoli rozmieszczać je w odpowiedniej odległości od Ziemi. Będą także zdolne niemal błyskawicznie przenieść do celu niszczącą energię, dysponując przy tym wysokim stopniem dokładności rażenia. Ich pojawienie się można będzie traktować jako jedną z największych rewolucji w dziedzinie wojskowości¹⁴.

Idealnie zogniskowany i wzmocniony promień lasera potrafi, prawie nie rozszerzając się, pokonywać ogromne przestrzenie, tworząc w ciągu miliardowej części sekundy w punkcie swego upadku temperatury kilka tysięcy razy przewyższające temperaturę występującą na powierzchni Słońca. Teoretycznie pod ich wpływem każdy obiekt może być przekształcony w rozżarzony obłok gazu. Energia przekazywana metodą ukierunkowanego promieniowania niekoniecznie musi mieć postać światła; emitowany przez generator promień może mieć postać wiązek naładowanych lub obojętnych cząstek — jonów, elektronów, protonów, neutronów rozpędzonych do wielkich energii za pomocą odpowiednich akceleratorów. Jedyną realną przeszkodą na drodze stworzenia broni zarówno laserowej, jak i promieniowej pozostają na razie wielkie wymiary i znaczna masa współczesnych urządzeń, a także stosunkowo niewielka moc emitowanego przez nie promienia.

W Stanach Zjednoczonych od samego początku pracom nad uzyskaniem broni laserowej nadano wielki rozmach. Pod koniec lat sześćdziesiątych opracowywaniem laserów i niezbędnych dla ich wykorzystania urządzeń zajmowało się co najmniej 400 różnych instytucji. Jednocześnie w wielu wojskowych ośrodkach naukowo-badawczych prowadzono prace nad urządzeniami emitującymi wielkie energie przydatne do rażenia celów w kosmosie lub z kosmosu.

Nie ograniczano również środków: wielkość przyznanych kwot określana była rozmiarami zapotrzebowania resortu wojskowego. Doskonałą ilustracją tego może być chociażby ta okoliczność,

że — jak twierdziła prasa amerykańska — Kongres ani razu nie zmniejszył sum żądanych przez Pentagon na opracowanie broni laserowej. Wybiegając do przodu można również przypomnieć, że pod koniec 1980 roku amerykańscy ustawodawcy przydzielili na ten cel — jako dodatek do wydatkowanych już miliardów — jeszcze 15 miliardów dolarów, a realizacja zrewidowanego za kadencji prezydenta Reagana programu tworzenia laserów kosmicznych pochłonie, według niektórych ocen, dodatkowo 40—60 miliardów dolarów.

Łączyły się z tym i wielkie oczekiwania. Wysoko postawieni przedstawiciele Pentagonu byli pełni nadziei zarówno co do terminów stworzenia nowej „superbroni”, jak i jej skuteczności. Twierdzono, że Stany Zjednoczone będą potrzebowały maksimum dziesięciu lat na rozwiązanie tego problemu. A kiedy to nastąpi — pisała według słów jednego z kierowników programu laserowego „The New York Times” — amerykańska obrona przed odwetowym uderzeniem radzieckim otrzyma do dyspozycji środki momentalnego niszczenia w kosmosie i w atmosferze szybko poruszających się celów. Umożliwi to pozbycie się istniejącej zawsze niepewności co do dokładności określenia punktu wyprzedzenia rakiety nieprzyjaciela, a tym samym i skuteczności samego systemu obrony¹⁵. Przy tym — podkreślał asystent sekretarza sił powietrznych Grant Hansen — radzieckie rakiety uderzenia odwetowego można będzie zniszczyć jeszcze nad terytorium ZSRR lub nad tymi rejonami oceanu światowego, w których będą odpalane z pokładów okrętów podwodnych¹⁶.

Realia, jak zawsze, podziały otrzeźwiająco. Dziesięciolecie, jakie upłynęło po tych oświadczeniach, nie przyniosło decydujących sukcesów.

Pierwsze próby z prototypami broni laserowej — na razie jeszcze w postaci wielkich, ciężkich urządzeń naziemnych — udało się przeprowadzić dopiero w ostatnich miesiącach 1979 roku. Ale prace posuwały się do przodu. W ciągu następnego roku siły powietrzne Stanów Zjednoczonych w kilku przypadkach uzyskały porażenie za pomocą promieni laserowych nisko lecących śmigłowców, samolotów, a nawet rakiet. Począwszy od roku 1981 podobne eksperymenty prowadzono już z laserami montowanymi na pokładach wielkich samolotów transportowych KS-135.

Pojawiły się doniesienia o sukcesach osiągniętych w opracowywaniu innych typów broni opartej na wykorzystaniu wiązki promieniowania laserowego. W lutym 1981 roku Teller, który został jednym z zaufanych doradców prezydenta Reagana do spraw naukowych, poinformował na przykład Kongres o przeprowadzonej w Nevadzie podziemnej próbie jednego z takich urządzeń. Wykorzystując jako źródło energii wybuch jądrowy małej mocy udało się uzyskać ukierunkowane promieniowanie rentgenowskie o olbrzymiej mocy niszczycielskiej. W latach 1982—1983 również ukazały się informacje o prowadzonych w amerykańskich laboratoriach, biurach konstruktorskich i na poligonach intensywnych pracach związanych z opracowywaniem i wypróbowywaniem coraz to nowych typów broni laserowej.

Na porządku dziennym stanęła sprawa kosmicznych środków jej przenoszenia.

11

Pojawienie się w perspektywie — niechaj nawet bardzo odległej — broni laserowej, włączenie problemów jej opracowania i rozwinięcia do planów strategicznych Pentagonu niepomniernie wzmocniło pozycję zwolenników jawnego wojskowego przeniknięcia w kosmos. Cały program kosmiczny NASA, jak zresztą i samego Pentagonu, uległ radykalnej korekcie. Wyłączono z niego wszelkie stare projekty lotów załogowych, w tym również zakładające umieszczenie na orbitach okołoziemskich stacji kosmicznych *Skylab*, zachwalanych poprzednio przez zwolenników „dywidend” jako „fizycznie istniejących komponentów” przyszłych kosmicznych sił zbrojnych. Zamiast tego wszystkie wysiłki skupiono teraz na opracowaniu aerokosmicznych aparatów latających, których wykorzystanie miało zapewnić Stanom Zjednoczonym zmasowane wojskowe opanowanie przestrzeni kosmicznej.

W rozwiązywaniu tego problemu postawiono na skonstruowanie nowego typu aparatów latających, które w odróżnieniu od zwykłych raketowych środków przenoszenia broni nadawałyby się do wielokrotnego wykorzystania w celu dostarczania ładunków wojskowych na orbity okołoziemskie. Ponieważ aparaty te

miały spełniać funkcje podobne do członka krosien tkackich albo promu, kursującego na rzece tam i z powrotem, zaczęto je nazywać angielskim odpowiednikiem tych pojęć — *Shuttle*, a cały program ich rozwinięcia — programem tworzenia promów kosmicznych, czyli *Space Shuttle*.

W czasie trwających latem 1971 roku debat w Kongresie o losach rezolucji dotyczącej przyznania kredytów na realizację programu *Space Shuttle* zadecydowało faktycznie jednogłośnie uznanie jego „celowości” wojskowej. Dyskutanci szczególnie podkreślali, że stworzenie promów kosmicznych całkowicie odpowiada żywotnym interesom Stanów Zjednoczonych, ponieważ tylko one zapewnią im „bezpieczeństwo” poprzez rozwinięcie w kosmosie niezbędnych do tego systemów broni. Organ Narodowego Stowarzyszenia Menedżerów Amerykańskich, „NAM Reports”, ściśle związany z kompleksem wojskowo-przemysłowym, poświęcił analizie debat na temat promów kosmicznych artykuł wstępny, w którym bardzo pozytywnie ocenił decyzje ustawodawców, widząc w programie *Shuttle* klucz do zrealizowania planowanego szerokiego wojskowego opanowania kosmosu. *Shuttle* — podkreślało to czasopismo — w chwili obecnej szczególnie potrzebny jest wojskowemu w celu przekonania się o tym, że opracowywane przez nich projekty stworzenia systemów broni kosmicznej nie zostaną ponieczone tylko dlatego, iż Stany Zjednoczone nie będą miały odpowiednich możliwości umieszczenia w kosmosie wielkich mas ładunków¹⁷.

Wobec najszerzej społeczności konieczność przyjęcia nowego programu motywowano jego rzekomą ekonomicznością, możliwością znacznego obniżenia kosztów przerzucania odpowiedniego ładunku pożytecznego w kosmos. Na pierwszy rzut oka twierdzenia te były zupełnie przekonujące. Co prawda znaczne sukcesy w tej dziedzinie osiągnięto już dzięki udoskonaleniu rakiet — nosicieli broni, ich silników i paliw. O ile w początkach ery kosmicznej koszty umieszczenia na orbicie jednego kilograma ładunku pożytecznego wynosiły miliony, a nawet dziesiątki milionów dolarów, o tyle na początku lat sześćdziesiątych spadły one do poziomu zaledwie około 100 tysięcy dolarów, na początku lat siedemdziesiątych — do 10 tysięcy dolarów, a na początku lat osiemdziesiątych — do 1500 dolarów. Mimo wszystko jednak

nawet owe 1500 dolarów, biorąc pod uwagę zwłaszcza masę ładunków wojskowych, które Pentagon zamierzał transportować w kosmos, tworzyły bardzo znaczne sumy. System *Shuttle* zaś — jak twierdziły autorytety — mógł obniżyć te koszty do 250—300 dolarów. Skala opanowania kosmosu — pisał wtedy kierownik programu promów załogowych NASA — z konieczności jest limitowana wciąż jeszcze wysokimi kosztami umieszczania ładunków na orbitach oraz praktyczną niemożliwością powrotu na Ziemię raz wystrzelonych tam aparatów latających. Kolejny krok w dziedzinie możliwości działania w kosmosie lub z kosmosu można będzie uczynić dopiero wtedy, gdy zostaną stworzone — korzystne pod względem ekonomicznym — formy łączności z obiektami typu stacji orbitalnych¹⁸. Dokładnie te same argumenty, że wahadłowce *Shuttle*, dzięki niskim kosztom ich eksploatacji, dokonają prawdziwego przewrotu w dziele opanowania kosmosu do celów wojskowych, zostały powtórzone później przez prezydenta Nixona w jego oświadczeniach na korzyść projektu.

Zresztą gdyby nie przyczyny czysto propagandowe, Biały Dom i Pentagon nie przejmowałyby się nazbyt tym problemem. Należy raczej wątpić, że myślano tam serio o oszczędności. Już pierwsze loty wahadłowców *Shuttle* potwierdziły pod wieloma względami, że wspaniałe obietnice były zwykłym bluffem. Koszty umieszczenia na orbicie jednego kilograma masy pożytecznej wyniosły ponad 1800 dolarów, przekraczając w ten sposób nawet wskaźniki osiągnięte przy użyciu rakiet. O ile jednak w zachwalających program *Shuttle* oświadczeniach amerykańskich polityków i wojskowych na temat „ekonomiczności” były twierdzenia na wskroś fałszywe, o tyle wypowiedziana w nich troska o przyspieszenie wojskowego przenikania do przestrzeni kosmicznej rzeczywiście stała się podstawą opracowania tego programu. Jedynie system *Shuttle*, którego wahadłowce, dzięki możliwości ich wielokrotnego wykorzystania, miały kursować niemal według rozkładu tygodniowego, zapowiadał rozwiązanie odpowiednich problemów. Specjaliści obliczali, że o ile potencjalne możliwości Stanów Zjednoczonych dotyczące umieszczania ładunków w kosmosie za pomocą rakiet nośnych na początku lat osiemdziesiątych nie przekraczały 20 ton rocznie, o tyle z chwilą urucho-

mienia tego systemu miały one wzrosnąć w połowie dziesięciolecia do 600 ton i w ostatecznym wyniku umożliwić Pentagonowi przerzucenie w kosmos do końca dziesięciolecia mniej więcej 3000 ton ładunków wojskowych. A takie właśnie i — gdyby to od niego zależało — jeszcze wyższe tempo powiększania tych możliwości było absolutnie niezbędne Pentagonowi do wcielenia w życie, w dającej się przewidzieć przyszłości, planów wojskowego „wdarcia się” Stanów Zjednoczonych do przestrzeni kosmicznej.

12

Nie mając dostępu do sejfów Pentagonu, nie można wyrobić sobie odpowiedniego wyobrażenia o tych planach. Ale nawet tych wynurzeń, jakie można spotkać w oficjalnych sprawozdaniach jego kierownictwa dla Kongresu, oświadczeń dla prasy, ukartowanych — w celu wysondowania opinii publicznej — „przecieków informacji” i inspirowanych przez różne instytucje publikacji o takich czy innych projektach opracowanych rzekomo z własnej inicjatywy, wystarczy w zupełności, by wyrobić sobie pojęcie o różnych zamiarach. Już wiosną 1981 roku ustawodawcom ze Wzgórza Kapitolńskiego zaproponowano rozpatrzenie możliwości zatwierdzenia projektu resortu wojskowego dotyczącego orbitalnego systemu obrony przeciwrakietowej. W specjalnie opracowanym sprawozdaniu Pentagonu stwierdzano, że Stanom Zjednoczonym wystarczy umieścić w kosmosie około dziesięciu wojskowych stacji orbitalnych wyposażonych w setkę generatorów „promieni śmierci”, żeby za pomocą tego systemu zapewnić „gwarantowaną” obronę przed radzieckim uderzeniem odwetowym, nawet gdyby po amerykańskim napadzie jądrowym na ZSRR, był on w stanie kontratakować zmasowanym uderzeniem tysiąca swych międzykontynentalnych rakiet balistycznych. Kolejny projekt zgłosił generał w stanie spoczynku Gordon Graham, były szef zarządu rozpoznawczego Departamentu Obrony, a następnie współprzewodniczący Koalicji na Rzecz Pokoju poprzez Siłę (*Coalition for Peace Through Strength*). Zaproponował on wykorzystanie aparatów *Shuttle* do umieszczenia w kosmosie wszystkich niezbędnych konstrukcji, z których można by

zbudować stanowisko dowodzenia oraz port dla pilotowanych myśliwców kosmicznych; mogłyby one unieszkodliwiać radzieckie rakiety uderzenia odwetowego bezpośrednio po ich starcie z wyrzutni bazujących na lądzie lub pod wodą. Następną w kolejce okazała się zbliżona do Białego Domu arcykonserwatywna Fundacja Dziedzictwa (*Heritage Foundation*). Opracowany pod jej egidą projekt kosmicznej obrony przeciwrakietowej zakłada umieszczenie w kosmosie już 432 platform, na których planuje się rozlokować 21 600 rakiet z urządzeniami wyposażonymi w układy naprowadzenia na zasadzie podczerwieni, podobne do tych, jakie znajdują się na myśliwcach F-15 i wypróbowywane są przez Zjednoczone Dowództwo Obrony Powietrznej Ameryki Północnej (*North American Air Defense Command* — NORAD).

Pentagon śpieszył się. Jeszcze przed powzięciem ostatecznych decyzji, już w trakcie pierwszych lotów wahadłowca aerokosmicznego *Columbia* w ramach programu *Shuttle*, zgodnie z projektem *Talon*, przeprowadzono serię wstępnych badań celownika do laserowych środków rażenia w kosmosie i z kosmosu. Z punktu widzenia specjalistów, eksperymenty te mogą pod wieloma względami okazać się decydujące, ponieważ umieszczony na orbicie laser musi być zdolny do dokładnego nakierowywania emitowanego promienia świetlnego na rakiety i bombowce strategiczne nieprzyjaciela, które mogą być oddalone od niego setki, a nawet tysiące kilometrów.

Prasa amerykańska jest pełna zachwytych z powodu otwierających się perspektyw. Zresztą nie tylko prasa. Jak twierdzą niektóre źródła informacji, prezydent Reagan powiedział już kilku senatorom, że w nim też wywołują one poczucie optymizmu. Co więcej, w przemówieniu wygłoszonym w bazie sił powietrznych Edwards, gdzie odbyła się ceremonia powitania załogi, która wykonała czwarty lot na pokładzie wahadłowca *Columbia*, Reagan oświadczył wprost, że jego rząd będzie się przygotowywał do prowadzenia wojny w kosmosie¹⁹.

Słowa nie odbiegają od czynów. Z opracowanej przez Białą Dom dyrektywy o nowej polityce Stanów Zjednoczonych w dziedzinie badania i wykorzystania kosmosu na przyszłe dziesięciolecie wynika, że przygotowania do takiej wojny stają się jednym z najważniejszych zadań narodowych kraju. W celu ułat-

wienia prezydentowi powzięcia „we właściwym czasie odpowiednich decyzji” w tej dziedzinie, powołano tak zwaną międzyresortową komisję koordynacyjną do spraw kosmosu. Jej pierwszym przewodniczącym został pomocnik prezydenta do spraw bezpieczeństwa William Clark, a stałymi członkami — kierownicy i odpowiedzialni przedstawiciele Departamentu Obrony, Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, Centralnej Agencji Wywiadowczej i Departamentu Stanu. Gdzieś na końcu tej listy zagubiła się NASA, która w coraz większym stopniu zatracala, nawet formalnie, status samodzielnej instytucji. Wystarczy na przykład powiedzieć, że po dojściu do władzy ekipy prezydenta Reagana, na stanowisku zastępcy dyrektora jego gabinetu znalazł się były sekretarz sił powietrznych Hans Mark, a kierownikiem projektu *Shuttle* został generał James Abrahamson — były kierownik projektu budowy myśliwca F-16.

Podjęto również kilka innych kroków organizacyjnych w siłach zbrojnych. Od 1 września 1982 w składzie sił powietrznych pojawiło się „dowództwo kosmiczne”, którego obowiązkiem jest między innymi sprawowanie kurateli nad realizacją programu *Shuttle*, a także nad innymi projektami dotyczącymi rozwinięcia różnych rodzajów broni w kosmosie. Zakłada się, że w późniejszym okresie dowództwo to zostanie przekształcone w „połączone” — obejmujące armię, marynarkę wojenną i lotnictwo. Do Kongresu wpłynął nawet projekt ustawy o powołaniu do życia — na bazie amerykańskich sił powietrznych — wojskowych sił kosmicznych.

Ostatnim złowieszczym pociągnięciem pędzla na tym obrazie przygotowań do prowadzenia wojny z kosmosu stało się złożone pod koniec marca 1983 roku oficjalne oświadczenie prezydenta Reagana o dalekosiężnych planach Waszyngtonu dotyczących stworzenia zakrojonej na wielką skalę i bardzo skutecznej obrony przeciwrakietowej. Komentując owo oświadczenie prezydenta Reagana Jurij Andropow w wywiadzie dla czasopisma „Der Spiegel” powiedział, że „awanturnictwo i niebezpieczeństwo całego tego zamiaru polega na tym, że liczy się w tym przypadku na bezkarność, na to, żeby zadać pierwsze uderzenie w nadziei, iż można się zabezpieczyć przed uderzeniem odwetowym. Stąd

niedaleko już i do pokusy wyciągnięcia ręki do przycisku startowego”.

U amerykańskich militarystów odruchowa chęć strącania radzieckich satelitów zrodziła się jednocześnie z pojawieniem się tych obiektów na orbicie. Przypomnijmy, że propozycje zniszczenia pierwszego satelity radzieckiego wysuwały pewne osoby w Stanach Zjednoczonych natychmiast po jego wystrzeleniu. W tymże 1957 roku Kongres przeznaczył pierwsze kwoty na realizację programu dotyczącego zbadania możliwości stworzenia satelity przechwytyjącego. Do roku 1961 staraniem sił powietrznych opracowany został prototyp takiego satelity, którego nazwa — *Saint*, to jest „Święty” — została później z powodu protestów teologów zamieniona na bardziej prozaiczną: 621A lub *Program 706*. Według oświadczenia prezydenta Johnsona, jeden z pierwszych eksperymentalnie działających systemów przechwytywania obiektów kosmicznych został wypróbowany przez Pentagon jesienią 1964 roku. Na początku 1968 roku sekretarz obrony McNamara potwierdził, że Stany Zjednoczone „do pewnego stopnia” mają możliwość przechwytywania i niszczenia satelitów radzieckich. Podobne oświadczenia składali również odpowiedzialni przedstawiciele Pentagonu i w późniejszych latach. Brak jednak jakiegokolwiek szczegółowej informacji o rzeczywistej sytuacji w dziedzinie budowania systemów antysatelitarnych pozwalał wtedy tylko w przybliżeniu sądzić o ich parametrach wojskowo-technicznych. Można jedynie przypuszczać, że początkowe pomysły niszczenia obiektów kosmicznych przeciwnika, na przykład za pomocą wyrzuconych drobnych stalowych kulek lub innych twardych ciał na przeciwnych orbitach, ustąpiły później miejsca projektom dotyczącym wyposażenia satelitów przechwytyjących w laserowe środki rażenia lub specjalną aparaturę elektroniczną, która mogłaby kontrolować bądź neutralizować funkcjonowanie aparatów przeciwnika. Satelity przechwytyjące mogą być umieszczane na orbitach zbliżonych do orbit obiektów strony przeciwnej lub nawet cumować do nich, nie wywierając przy tym dostrzegalnego wpływu na ich charakterystyki lokacyjne lub orbitalne. Wykorzystując te ich właściwości — podkreślają specjaliści amerykańscy — operacja, której zadaniem jest „wyłączenie” satelitów radzieckich, to jest faktyczne

ich zniszczenie, może być prowadzona w taki sposób, że owe unieruchomienie będzie sugerowało raczej defekt z przyczyn zupełnie naturalnych.

Oznaki podobnej „delikatności” w amerykańskim traktowaniu tych problemów zachowały się przez pewien czas i później. Na początku kwietnia 1977 roku do prasy przedostała się wiadomość o tym, że Pentagon przedłożył Kongresowi sprawozdanie o realizowanym przez niego supertajnym programie dotyczącym stworzenia doskonalszych środków niszczenia satelitów radzieckich. Biorąc pod uwagę zwiększające się znaczenie kosmosu dla prowadzenia operacji wojskowych — podkreślano w sprawozdaniu — realizacja tego programu będzie przebiegała tak szybko, żeby pierwsze próby z nowym systemem można było przeprowadzić na początku lat osiemdziesiątych i rozwinąć go w operacyjnie działający w pierwszej połowie nowego dziesięciolecia. Przy tym wszystkim przedstawiciele Pentagonu, będąc zapewne trochę skrzępowani faktem, że jawnie naruszają swymi poczynaniami literę i ducha układu o zasadach postępowania państw w dziedzinie badania i wykorzystania przestrzeni kosmicznej, pod którym widnieje również podpis Stanów Zjednoczonych, równocześnie radzili ustawodawcom, by „dla dobra polityki narodowej” nie rozpowszechniać owych wiadomości²⁰.

Wkrótce jednak po tej dwoistości nie pozostało nawet śladu. Za kadencji prezydenta Cartera przerwano rokowania ze Związkiem Radzieckim w sprawie ograniczenia lub zakazu budowania systemów antysatelitarnych. Natomiast rząd prezydenta Reagana w programie wojskowym oraz w dyrektywie o nowej polityce w dziedzinie opanowania kosmosu, jednym z „narodowych zadań” Stanów Zjednoczonych, otwarcie ogłosił zamiar wszczęcia przygotowań do prowadzenia tam działań wojennych — również na poziomie systemów antysatelitarnych! W związku z tym sekretarz obrony Weinberger, między innymi, wydał zarządzenie siłom powietrznym Stanów Zjednoczonych „przyjąć” w ciągu najbliższych pięciu lat do uzbrojenia system broni antysatelitarnej, który — jak podkreślał — pozwoliłby neutralizować lub niszczyć wybrane obiekty kosmiczne nieprzyjaciela. W okresie pokojowym — wyjaśniała prasa amerykańska — Stany Zjednoczone mogą „ograniczyć się” do zwykłej

inspekcji radzieckich „podejrzanych” satelitów wprost na orbicie lub w specjalnych ośrodkach. W tym celu będą one dostarczane na Ziemię w ładowniach statków *Shuttle*. W czasie czwartego lotu *Columbii* astronauta Thomas Mattingly i Henry Hartfield przeprowadzili pierwsze próby ze zdalnym manipulatorem — „mechaniczną ręką”, z której pomocą zapewne zamierza się wykonywać podobne operacje. Trafność tego przypuszczenia została potwierdzona również w czasie lotu innego statku typu *Shuttle* — *Challenger*. W czerwcu 1983 roku jego załoga za pomocą tego manipulatora „zdjęła” z orbity jednego z własnych, amerykańskich satelitów.

Tak więc za dopiero rozpoczętym przez Stany Zjednoczone nowym zwojem spirali zbrojeń w kosmosie, który przybiera coraz konkretniejsze kształty materialne, widnieje następny — tworzenie broni przeznaczonej do niszczenia radzieckich rodzajów broni — przeznaczonych do niszczenia amerykańskich rodzajów broni — też przeznaczonych do neutralizacji radzieckich systemów broni uderzenia odwetowego...

Cały ten łańcuszek zdaje się nie mieć końca, i to nie tylko na papierze. Jeśli papier nawet wytrzyma, to czy świat zechce nie-skończenie długo znosić tę diabelską karuzelę — oto jest pytanie, na które na razie nie ma jeszcze odpowiedzi.

Waszyngtońscy
„miłośnicy pokoju”

WESTYNDON

WESTYNDON

VII. Ograniczenie zbrojeń strategicznych i coś jeszcze

1

Czytelnik zapewne zauważył, że analizując rozwój amerykańskich koncepcji wojskowo-politycznych oraz wysiłki zmierzające do wcielenia ich w życie, nie zajmowaliśmy się tą stroną polityki zagranicznej Waszyngtonu, która dotyczy jego udziału w opracowywaniu i określaniu międzynarodowych, przede wszystkim amerykańsko-radzieckich zobowiązań w dziedzinie ograniczenia zbrojeń strategicznych.

To jest zrozumiałe. Powszechnie wiadomo, że Stany Zjednoczone zgadzały się na podpisywanie podobnych porozumień pod silnym naciskiem światowej opinii publicznej, kiedy sytuacja międzynarodowa stanowczo wymagała od Waszyngtonu zdemontowania jego „umiłowania pokoju”. Nie było na przykład przypadkiem, że przeważająca większość amerykańsko-radzieckich porozumień dotyczących wstrzymywania i ograniczania zbrojeń strategicznych, w tym również porozumienia moskiewskie z 1972 roku, podpisane zostały przez Stany Zjednoczone w latach amerykańskiej agresji w Wietnamie.

Daty podpisania licznych porozumień zbiegają się z okresami kampanii wyborczych, kiedy to znajdujący się u władzy prezydenci pragnęli wyrobić sobie w oczach wyborców opinię „miłośników pokoju”, żeby ponownie uzyskać mandat na zajęcie fotela w Białym Domu lub zapewnić przyjsię do niego kolejnego kandydata z ramienia swojej partii.

Zazwyczaj ten sposób postępowania — z poprawką na to, że podpisanie takiego czy innego układu przyrzekano po dojściu do władzy — cechował również kandydatów wysuwanych przez partię opozycyjną. Tradycja ta została naruszona w toku przedostatnich wyborów, w których kandydat z ramienia partii repu-

blikańskiej — Ronald Reagan — zaczął torować sobie drogę do Białego Domu w stylu jawnie militarystycznym.

Ale powiedzieć tylko tyle — to powiedzieć bardzo mało.

2

Ideologiczne podstawy pryncypialnej niedopuszczalności dla Waszyngtonu pokojowego współistnienia z krajami socjalizmu, a tym samym i porozumień z nimi o wzajemnym rozbrojeniu lub kontroli zbrojeń, sformułowane zostały już w pierwszych latach powojennych w dyrektywie NSC-20/1 — *Amerykańskie cele w odniesieniu do ZSRR*. Pokojowe współistnienie i współpraca „świata niekomunistycznego” z suwerennymi i niezawisłymi rządami komunistycznymi — pisali jej autorzy — nie są możliwe, ponieważ w ostatecznym wyniku nie odpowiadają one interesom żadnej ze stron. Stan konfliktu na szczeblu stosunków międzynarodowych uznawano za nieuchronny po wszystkie czasy — aż do odniesienia zwycięstwa wojskowego nad ZSRR; nawet przypadkowe przyjazne stosunki łączące osoby prywatne z krajów „wolnego świata” z ludźmi „świata komunistycznego” były surowo potępiane jako zjawisko negatywne, „nie sprzyjające postępowi ludzkości”¹. Do rokowań w sprawie kontroli zbrojeń z „potencjalnym nieprzyjacielem”, to jest ze Związkiem Radzieckim, dochodziło w zasadzie dopiero później, poczynając od lat pięćdziesiątych, ale to też traktowane było jako środek zapewniający zdobycie poparcia społeczeństwa dla programów zbrojeniowych lub uzyskanie formalnego i prawnego „odstąpienia” ZSRR od jego „pretensji” do parytetu zbrojeniowego ze Stanami Zjednoczonymi². Wychodzono z założenia, że poza tymi ramami stan pokojowego współistnienia, jak również odprężenia, może służyć jedynie interesom ZSRR, stać się jego najsukuczniejszą taktyką „ofensywną”, najlepszym środkiem „podkopywania istniejącej struktury” Zachodu³.

Imperializm amerykański nigdy nie poszedłby na podpisanie ze Związkiem Radzieckim układów czy porozumień odpowiadających zasadom jednakowego bezpieczeństwa stron, gdyby w pewnym okresie nie wymagały tego jego własne interesy nie tylko polityczne, lecz i wojskowe. Te właśnie motywy legły

u podstaw poczynił rząd prezydenta Nixona, za którego kadencji zanotowano największe osiągnięcia w opracowaniu i podpisaniu amerykańsko-radzieckich porozumień w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych.

Wymuszona rezygnacja Stanów Zjednoczonych z nadziei na zapewnienie sobie dominacji militarnej poprzez osiągnięcie zwykłej przewagi ilościowej w rakietach o przeznaczeniu strategicznym oraz rewizja programu zbrojeń zgodnie z wymogami koncepcji „broni pierwszego uderzenia”, a następnie również „broni zintegrowanej” spowodowały, że Waszyngton — poczynając od połowy lat sześćdziesiątych — stopniowo tracił zainteresowanie nieustannym ilościowym powiększaniem swego arsenału raketowo-jądrowego a zaczął myśleć o zapewnieniu sobie możliwości „spokojnego” skupienia się na opracowywaniu i rozwinięciu nowych, doskonalszych rodzajów broni strategicznej.

W tych warunkach politykom waszyngtońskim potrzebna była gwarancja, że ZSRR nie uruchomi produkcji seryjnej swoich, aczkolwiek uzbrojonych w pojedyncze głowice, ale wypróbowanych już rakiet uderzenia odwetowego. Tego właśnie obawiał się Waszyngton.

Jeszcze mocniejsze było pragnienie uzyskania podobnych gwarancji w odniesieniu do rozwinięcia raketowo-jądrowych środków obrony przeciwraketowej. Mimo że właśnie Stany Zjednoczone były inicjatorem rozpętania wyścigu zbrojeń w tym kierunku, doznawszy niepowodzenia w realizacji swoich planów stworzenia „broni zintegrowanej” poprzez włączenie do niej systemu *Safeguard*, pragnęły teraz uwolnić się od wiszącego nad nimi niczym nieznośny ciężar, kosztownego i pozbawionego perspektywy programu.

Prowadzenie rokowań i podpisanie układu z ZSRR w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych w tamtych latach powinno było ponadto, jak już wspominaliśmy, stać się piorunochronem przeciwko dojrzewającemu w całym świecie, a także w samych Stanach Zjednoczonych, nadzwyczaj niebezpiecznemu dla Waszyngtonu ruchowi potępiającemu amerykańską agresję w Wietnamie. Propagując i wyolbrzymiając przejawy swego „umiłowania pokoju” we wspólnym z ZSRR rozwiązaniu pro-

blemu ograniczenia zbrojeń strategicznych, Biały Dom miał nadzieję, która się w pewnym stopniu spełniła, spowodować stan niepewności i wahań w szeregach swoich krytyków.

3

Ale nawet będąc realnie zainteresowanym — wskutek wspomnianych już okoliczności — podpisaniem konkretnych porozumień dotyczących ograniczenia zbrojeń strategicznych, Waszyngton nie zamierzał oczywiście przekształcić ich w niewygodny dla siebie hamulec w tych dziedzinach wyścigu zbrojeń, które uważał za „perspektywiczne”.

Już przed przystąpieniem do rokowań opracowane zostały założenia teoretyczne usprawiedliwiające takie stanowisko.

Podstawowym postulatem stało się w tym przypadku nieoparte na niczym twierdzenie, że wszelkie porozumienia w sprawie ograniczenia zbrojeń skazane są na nieuchronną dezaktualizację, niekiedy nawet przed nabraniem przez nie mocy prawnej. Szybki rozwój wiedzy naukowej i technicznej — pisało, broniąc tej teorii, takie solidne czasopismo, jak „Foreign Affairs” — z zaskakującą prawidłowością prowadzi do pomniejszania lub nawet całkowitej bezsensowności najdalej nawet idących układów w sprawie kontroli zbrojeń. Porozumienia tego rodzaju — czytamy dalej — ze względu już na swoją istotę nie są w stanie przewidzieć pojawienia się nowych, nieznanych jeszcze rodzajów broni, a tym samym przeszkodzić ich opracowaniu i rozwinięciu⁴. Wiadomo, że wspinanie się Henry Kissingera po drabinie kariery służbowej też zaczęło się od wysunięcia przez niego licznych założeń wojskowo-teoretycznych, usprawiedliwiających wyścig zbrojeń, w tym również twierdzenia, że tempo rewolucji naukowo-technicznej i — jako jej skutku ubocznego — rewolucji wojskowo-technicznej będzie niezmiennie i nieuchronnie wyprzedzać tempo uzgadniania i podpisywania międzynarodowych układów dotyczących ograniczenia zbrojeń strategicznych.

Rozwój i uzasadnianie tych teorii stało się ulubionym zajęciem również licznych wydawnictw i czasopism wojskowych. Na przykład oficjalny organ sił powietrznych Stanów Zjednoczonych „Air Force Magazin” dochodził do wniosku, że wyścig

zbrojeń ma fatalistyczny charakter. Wszelkie próby zatrzymania go na takim czy innym zwoju wydłużającej się spirali mogą się okazać nie tylko niemożliwe, lecz nawet niebezpieczne, ponieważ nie można zahamować wyścigu zbrojeń, o ile nie zahamuje się również samego postępu naukowo-technicznego. Jedynym możliwym rozwiązaniem tego problemu mogłoby być, oczywiście, powszechne i całkowite rozbrojenie. Ale — z żalem podkreślało czasopismo — podobne plany zawsze pozostaną utopią, dopóki istnieją kraje komunistyczne i dopóki ZSRR „zagraża” samemu istnieniu Stanów Zjednoczonych i wszystkich pozostałych krajów „wolnego świata”⁵.

Te oceny ewentualnej roli porozumień w sprawie ograniczenia zbrojeń pozostały praktycznie niezmiennie również w późniejszych latach. One właśnie były wykorzystywane przez Waszyngton do uzasadniania dalszej intensyfikacji wyścigu zbrojeń strategicznych również po podpisaniu układu moskiewskiego w 1972 roku. Wielu znanych amerykańskich teoretyków i komentatorów wojskowych wyrażało nawet opinię, że znaczenie tych porozumień polega wcale nie na tym, że coś ograniczają, lecz na tym, że absolutnie nie przeszkadzają i nie przeszkadzają Stanom Zjednoczonym w ich dążeniu do zapewnienia sobie niezaprzeczalnej przewagi militarnej. Co więcej — twierdzili — porozumienia moskiewskie będą stymulować walkę o wyprzedzanie strony przeciwnej w tworzeniu i rozwijaniu doskonalszych systemów broni strategicznej. Wszak ograniczając ilościowe wskaźniki niektórych rodzajów broni strategicznej, które mogą mieć w swych arsenałach sygnatariusze owych porozumień, tym samym skierują ich wysiłki na drogę jakościowego wyścigu zbrojeń.

Nic więc dziwnego, że negatywne stanowisko Waszyngtonu wobec odprężenia, wyrażające się w wyraźnie zaznaczonym pragnieniu zachowania sobie „prawa” do wyścigu zbrojeń w ramach ograniczeń uzgodnionych z ZSRR, zaczęło później rozciągać się również na same ograniczenia, które traktowano z coraz większym lekceważeniem.

Zacznijmy chociażby od tego, że podjęta przez Pentagon wkrótce po podpisaniu porozumienia SALT I realizacja programów budowy i rozwinięcia zmodyfikowanych systemów strate-

gicznej broni zaczepnej już od samego początku nie mogła nie prowadzić do sprzeczności między leżącymi u ich podstaw planami przebudowy struktury arsenału raketowo-jądrowego Stanów Zjednoczonych a przestrzeganiem warunków owych porozumień. Na przykład decyzja w sprawie budowy nowego rodzaju raket bazujących pod wodą — *Trident* — nieuchronnie musiała prowadzić do znacznego wzrostu ogólnej liczby amerykańskich podwodnych środków ich przenoszenia, co z kolei wymagałoby zrewidowania lub doprowadziłoby do naruszenia, ustalonego dla nich w porozumieniach moskiewskich, pułapu liczbowego.

Obietnice Białego Domu dotyczące zarządzenia temu poprzez demontaż odpowiedniej liczby przestarzałych okrętów podwodnych typu *Polaris* i *Poseidon* były absolutnie nieprzekonywające, co potwierdziło zresztą spotkanie we Władywostoku. Z całą oczywistością przejawiało się wówczas dążenie Waszyngtonu do dalszego zapewnienia sobie swobody w powiększaniu strategicznych sił zaczepnych bazujących pod wodą, mniej narażonych na odwetowe uderzenie radzieckie i dlatego, zdaniem Waszyngtonu, bardziej przydatnych do praktycznej realizacji nowych koncepcji dotyczących prowadzenia „ograniczonych kontrsiłowych” wojen jądrowych przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Dlatego właśnie we Władywostoku podkreślono, że strony uzyskują prawo posiadania w przyszłości w swych arsenalach ustalonych przez nie ilości środków przenoszenia broni jądrowej dowolnego rodzaju bazowania, w tym również podwodnego, przy zachowaniu jedynie uzgodnionego ogólnego pułapu liczebności wyrzutni takiej broni.

Ale nawet ten podstawowy warunek wszystkich porozumień dotyczących ograniczenia zbrojeń strategicznych — jak wyszło później na jaw — został naruszony przez Waszyngton jeszcze przed spotkaniem we Władywostoku. Z inicjatywy sekretarza obrony Lairda, jako prawną podstawę jego obejścia wykorzystano pomysł dotyczący wykorzystania jako dublerów strategicznych środków przenoszenia pocisków manewrujących nowych typów, których program budowy został bez rozgłosu zatwierdzony przez Waszyngton. Laird również jako pierwszy wypowiedział myśl o tym, że w okresie późniejszym, kiedy uzna się

to za stosowne, Stany Zjednoczone będą mogły wykorzystać wprowadzenie tych rakiet do uzbrojenia, żeby móc gruntownie stordedować proces odprężenia.

Jak wiadomo, takie właśnie rozwiązanie polityczne przyjęte zostało przez ekipę prezydenta Forda. Wśród innych obstrukcyjnych poczynań Waszyngtonu było ono jedną z poważnych przyczyn, w wyniku których rokowania SALT II ciągnęły się prawie pięć lat, a w okresie późniejszym — z chwilą przyjęcia przez stronę amerykańską planów rozmieszczenia pocisków manewrujących i rakiet balistycznych *Pershing-2* na terytorium sojuszników zachodnioeuropejskich — stały się głównym powodem niezgody na drodze do odprężenia.

Zresztą w Waszyngtonie już wcześniej zaczęto z lekceważeniem mówić o ograniczeniu zbrojeń strategicznych. Podpisanie porozumień moskiewskich w żadnym stopniu nie zmieniło formułowania oficjalnie wysuwanych pretensji do zapewnienia sobie przewagi militarnej — nie bacząc na ograniczenie czy nieograniczenie zbrojeń strategicznych. Można przypomnieć, że natychmiast po powrocie z Moskwy, w czerwcu 1972 roku prezydent Nixon wystąpił przeciwko „niekompetentnym” radom amerykańskich zwolenników odprężenia, opowiadających się za zmniejszeniem wydatków wojskowych lub, w skrajnym przypadku, za pozostawieniem ich na dotychczasowym poziomie. Podobne propozycje — oświadcza prezydent — gdyby zostały przyjęte przez rząd, pociągnęłyby za sobą staczanie się Stanów Zjednoczonych na pozycje „drugorzędnego” mocarstwa.

Broniąc tej tezy, Nixon posunął się tak dalece, że solidaryzował się nawet z senatorem Henry Jacksonem, który ogłosił „krucjatę” przeciwko ratyfikacji układu z ZSRR. Odcinając się publicznie od tej akcji z przyczyn „etycznych”, prezydent oświadczył jednak, że „w zasadzie” podziela opinię Jacksona o konieczności „kompensacji szkód”, jakie obronności Stanów Zjednoczonych wyrządziło podpisanie układu moskiewskiego, przez podwojenie wysiłków w dziedzinie zwiększania potęgi militarnej.

Proponował wprowadzić, by nie przekraczać w tym przypadku „wystarczającego” poziomu. Nie było to jednak niczym nowym: zastępca sekretarza obrony David Packard konfidenckoalnie zwierzył się dziennikarzom, że w Białym Domu wynaleziono

„wystarczalność” dlatego, że jest to bardzo wygodne słowo, a w rzeczywistości „nic ono nie znaczy”.

Ale to też niezupełnie tak. W rzeczywistości, zgodnie z prawdziwym sensem wkładanym przez polityków waszyngtońskich w to słowo, „wystarczalność” była pojmowana przez nich jako osiągnięcie i podtrzymywanie przez Stany Zjednoczone zupełnie oczywistej przewagi. A powzięte w Moskwie przez Amerykanów zobowiązania — twierdzili — w żadnym wypadku nie mogą przeszkadzać w osiągnięciu tego celu.

To samo w imieniu rządu szczerze powiedział w Kongresie sekretarz obrony Laird, który domagał się od ustawodawców jak najszerzego poparcia nowego programu wojskowego Pentagonu dotyczącego opracowania i rozwinięcia wielu dodatkowych rodzajów broni strategicznej. Obawiając się, że Kongres zareaguje na to nawoływanie niezbyt entuzjastycznie, Laird zagroził nawet storpedowaniem ratyfikacji układu moskiewskiego. Do tego nie doszło, ale można być pewnym, że tak by się stało, gdyby podejrzenia sekretarza obrony były chociaż w małym stopniu uzasadnione.

Według senatora Williama Fulbrighta, był on bardzo wstrząśnięty, kiedy obserwując poczynania Lairda przekonał się, że rząd Nixona traktuje porozumienia moskiewskie nie jako początek końca wyścigu zbrojeń, lecz jako jego kontynuację na nowym, jeszcze wyższym poziomie⁶.

Chcąc nie chcąc potwierdził to również sam prezydent Nixon. Na konferencji prasowej w Białym Domu oświadczył dziennikarzom, że jest przekonany o słuszności twierdzenia swego sekretarza obrony. Powracając do problemu listu otwartego do przywódców obu frakcji w Senacie pisał, że jego zdaniem, wszelkie nie usprawiedliwione przez jakieś obiektywne trudności wstrzymywanie się Stanów Zjednoczonych od opracowania i rozwinięcia takich rodzajów broni strategicznej, które potrafią stworzyć, mogą je drogo kosztować dziesięć czy piętnaście lat później, kiedy się okaże, że utraciły zdolność do obrony swych interesów „z pozycji siły”⁷.

Mimo wszystko jednak podpisanie porozumień moskiewskich przyczyniło się do polepszenia stosunków amerykańsko-radzieckich. W łonie zaś samego społeczeństwa amerykańskiego nie mogło to nie prowadzić do pewnego „rozmiękczenia” ideologii antysowietyzmu. Już to jedno wystarczyło, żeby „zmowę” z Moskwą imperializm amerykański zaczął traktować jako poważny błąd polityczny Nixona, a jego kariera była przesądzona. Nie chodziło bynajmniej o nieprzydatność personalną prezydenta, bo przedłożony przez jego rząd nowy program wojskowy został nawet oceniony jako w pełni zadowalający. Udział jednak Nixona w podpisaniu porozumień SALT I nie mógł nie ograniczyć jego możliwości wskrzeszenia kursu „zimnej wojny”, a to czyniło jego dalszy pobyt w Białym Domu niepożądanym. Próby walki o władzę jedynie przyspieszyły jego upadek, aczkolwiek niekoniecznie musiało do tego dojść w wyniku afery *Watergate*. „Przekleństwo” ograniczenia zbrojeń strategicznych przesła-
dowało także prezydenta Forda. Usiłując uwolnić się od niego, namawiał proces odprężenia, przewlekał rokowania SALT II, zdecydował się na jawne niemal naruszenie uzgodnionej zasady, by nie dążyć do osiągnięcia przewagi militarnej, zwłaszcza że zdobywa się ją poprzez pogwałcenie przyjętych przez strony zobowiązań. Co prawda przyczyny natury wewnętrzzpolitycznej partyjnej zmusiły Forda do wzięcia udziału w spotkaniu we Władywostoku w 1974 roku, ale pośpieszył on zademonstrować swoje faktyczne niezaangażowanie wobec politycznego spadku do Nixona. Rozpoczął od wysunięcia formuły „pokój oparty na wzajemności”, a zakończył ogłoszeniem decyzji rządowej o przystąpieniu do produkcji pocisków manewrujących. I gdyby nie fala protestów ze strony światowej i amerykańskiej opinii publicznej, która zmusiła go do zrewidowania tej decyzji, rokowaniom dotyczącym ograniczenia zbrojeń strategicznych zadano by fatalny cios jeszcze w tym samym czasie.

Wszystko to pozwoliło Fordowi uniknąć własnego *Watergate*, ale nadzieje na jego ponowny wybór na fotel prezydencki, na co mógł poważnie liczyć, również się nie ziściły. Nie dlatego, że pod jakimś względem nie odpowiadał tym, od których to za-

leżało, lecz dlatego, że owi „ci” woleli widzieć w Białym Domu człowieka nawet pośrednio nie mającego nic wspólnego z „niefortunnymi zygzakami” Nixona. Dlatego właśnie w Owale Gabinetu pojawił się mało komu znany i zupełnie „niczym nie skrępowany” prezydent Carter.

5

Taka gwałtowna zmiana kursu Stanów Zjednoczonych w odniesieniu do osiągniętych z ZSRR porozumień w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych spowodowana została jeszcze jedną istotną przyczyną. Porozumienia moskiewskie nie zapewniły pożądanых „gwarancji”, że Związek Radziecki będzie dreptał na osiągniętym już poziomie zbrojeń, podczas gdy Stany Zjednoczone zaczęły w szybkim tempie podążać ku osiągnięciu przewagi militarnej, podnosząc się coraz wyżej wzdłuż spirali jakościowego doskonalenia broni strategicznej. A bez tego przyjęte w Moskwie zobowiązania były jedynie ciężarem i coraz bardziej irytowały amerykańskich imperialistów, zwłaszcza że wraz z zakończeniem wojny w Wietnamie w znacznym stopniu odpadła potrzeba wykorzystania rokowań w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych jako „pokojuwej” maski. Wraz z prezydenckim mandatem na Cartera spadło również bezapelacyjnie wysuwane żądanie: położyć kres powstałym sprzecznościom, odrodzić ducha „zimnej wojny” i jeśli nawet nie zrywać jawnie i ostatecznie z ideą ograniczenia zbrojeń strategicznych, to wykorzystać dalsze rokowania jedynie do celów, które, jak przekonaliśmy się, były wyraźnie określone w odniesieniu do zasad współistnienia i odprężenia już w pierwszych latach powojennych.

Prezydent Carter rzeczywiście uczynił wszystko, na co było go stać, żeby naprawić „błędy” swych poprzedników. Ta zbagienna okoliczność, że nie należał do ich partii, pozwoliła mu — „nie tracąc twarzy” — podjąć próbę natychmiastowego odżegnania się od zobowiązań wziętych na siebie przez stronę amerykańską we Władystoku. Stany Zjednoczone — oświadczył Carter — mogą uznać jedynie „poszczególne elementy” owych zobowiązań, ponieważ w swoim całokształcie przeczą one ich

interesom bezpieczeństwa i zostały „narzucone” stronie amerykańskiej przez Moskwę jedynie wskutek przejawionego przez prezydenta Forda „braku charakteru”.

Podjęty w ślad za tym „siłowy” wojaż sekretarza stanu Cyrusa Vance’a wiosną 1977 roku do Moskwy w ogóle postawił pod znakiem zapytania dalsze rokowania SALT II. Według doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego, Brzezińskiego, nie miał on zresztą innego zadania. Planując jego podróż do Moskwy, w Białym Domu wychodzono z założenia, że przekazane przez Vance’a propozycje po prostu nie mogą być przyjęte jako podstawa do rokowań przez żadne jako tako szanujące się państwo.

Jednocześnie odmowa strony radzieckiej prowadzenia rokowań na takich warunkach wykorzystana została przez prezydenta Cartera do wypowiedziania „wątpliwości” co do rzeczywistej gotowości ZSRR do pomyślnego zakończenia rokowań SALT II, a te „wątpliwości” z kolei — do uzasadniania decyzji dotyczących produkcji broni neutronowej i pocisków manewrujących. Demonstracyjne obranie przez Waszyngton kursu na stordowanie odprężenia wkrótce zostało potwierdzone również w memorandum prezydenta nr 10, zawierającym koncepcję „ograniczonej wojny jądrowej” przeciwko ZSRR. W ciągu całego okresu późniejszego, aż do spotkania na wysokim szczeblu w Wiedniu, zmiany zachodzące w stanowisku Waszyngtonu wobec rokowań SALT II nadal miały charakter wyraźnie negatywny. Kulminacyjnym punktem tego procesu stało się wystąpienie prezydenta w Wake Forest, w którym mówił o „istotnym przewartościowaniu” amerykańskiej strategii wojennej. W odniesieniu do SALT II istota jego przewartościowania została wyjaśniona później przez sekretarza obrony Browna. Sprowadzało się ono do tego, że ograniczenie zbrojeń strategicznych Waszyngton przestawał nawet oficjalnie traktować jako swój jedyny lub główny cel w prowadzeniu takich rokowań i że z dniem dzisiejszym wszelkie osiągnięte w ich toku porozumienia z ZSRR przede wszystkim muszą odpowiadać najważniejszym wobec nich wymogom — zapewnić Stanom Zjednoczonym przewagę militarną⁸.

Nadejście kampanii wyborczej z jej troskami o zachowanie fotela w Białym Domu przyniosło jednak chwilową zmianę de-

koracji. Przyczyny tego były bardzo banalne, a dyktowała je prezydentowi Carterowi zwykła konieczność osłabienia narastającej krytyki oficjalnego kursu wojskowego i zapewnienia sobie za pomocą jakiegoś pokojowego kroku poparcia również tych wyborców, których świadomość nie zdążyła jeszcze w odpowiednim stopniu „powrócić do normy” pod wpływem zmasowanego militarystycznego i antyradzieckiego urabiania ideologicznego. W ten sposób nieoczekiwanie okazało się, że zakończenie rokowań SALT II nie jest aż takim beznadziejnym przedsięwzięciem. W ciągu dosłownie kilku dni rozmów na wysokim szczeblu w Wiedniu problemy „nie do rozwiązania” zostały uzgodnione. Wynikiem tego było podpisanie porozumienia w sprawie ograniczenia strategicznych zbrojeń zaczepnych — SALT II.

Człowiekowi prostolinijnemu mogłoby się nawet zdawać, że taki zwrot w biegu wydarzeń szczerze ucieszył również samego prezydenta Cartera. W każdym bądź razie pod adresem porozumienia i samego siebie — za jego podpisanie — wypowiedział aż za dużo komplementów. Jednakże owa swoista taktyka „obrony” porozumienia, jakiej używał Carter, raczej nie mogła sprzyjać ratyfikacji SALT II.

Carter przywdział nową maskę — „zaniepokojonego szermierza pokoju”. Z jednej strony wielokrotnie powtarzał, że SALT II stanowi najbardziej szczegółowy, najdalej idący i wszechogarniający układ, jaki został zawarty w ciągu całego okresu prób ustanowienia kontroli nad zbrojeniami; układ, który uczyni życie na Ziemi bezpiecznym dla obydwu stron, zmniejszy możliwość wybuchu wojny jądrowej, stanie się warunkiem, by przejść do głębszych i poważniejszych redukcji zbrojeń strategicznych w ramach SALT III. Ale wraz z tymi dytyrambami pod adresem układu Carter w sposób coraz bardziej stanowczy propagował znane już hasła o konieczności „modernizowania i umacniania” amerykańskiej potęgi militarnej, dążenia do osiągnięcia przewagi nad ZSRR i postępowania wobec niego z pozycji siły. O ile pierwsze nawoływania pozostają praktycznie niczym nie popartymi, retorycznymi zawirowaniami powietrza, o tyle drugie przybierają bardzo konkretną formę: rząd dał „zielone światło” programom MX i *Trident*, organizowaniu różnych prowokacji antyradzieckich typu sfabrykowanego „problemu” przebywania ra-

dzieckiego personelu wojskowego na Kubie, czy też energicznego narzucania europejskim sojusznikom planów rozmieszczenia na ich terytoriach amerykańskich pocisków manewrujących oraz rakiet balistycznych średniego zasięgu.

Można przypuszczać, że postępując w ten sposób Biały Dom liczył, iż obrana przez niego taktyka wywrze zdecydowanie negatywny wpływ na przebieg debat dotyczących układu SALT II w Kongresie i ustawodawcy nie zechcą go ratyfikować. Wówczas, pozostając na uboczu, prezydent Carter mógłby świętować zwycięstwo, nie narażając w najmniejszym stopniu na szwank swojej reputacji „zwolennika pokoju”. Nieoczekiwanie dla niego senacka komisja zajmująca się wstępną analizą założeń układu przyjęła z pewnych przyczyn decyzję, by zalecić Kongresowi zaaprobowanie go. Dalszy bieg wydarzeń mógł się okazać bardziej nieprzewidziany, toteż Carter nie mógł ryzykować. Musiał się wtrącić. Wykorzystując jako pretekst wydarzenia w Afganistanie, zarządził, by odłożyć na pewien czas ostateczne rozpatrywanie układu.

W związku z tym, że pokojowe motywy zaczęły teraz brzmieć zupełnie fałszywie, prezydent w ogóle przestał się nimi interesować. Niemal natychmiast po wydaniu zarządzenia o odłożeniu debat nad ratyfikacją SALT II w Kongresie, oświadczył o powzięciu przez rząd nowej decyzji w sprawie dalszego zwiększania amerykańskiej potęgi militarnej i ogłosił „prawo” Stanów Zjednoczonych do zbrojnej ingerencji w dowolnym regionie świata. Początek ostatniego roku swej prezydentury Carter zaczął od orędzia do narodu, w którym oświadczył, że Stany Zjednoczone ponownie biorą na siebie „kierowniczą” rolę w świecie i należy być przygotowanym do zapłacenia każdej ceny, by pozostać „najsilniejszym”. Oceniając swój własny wkład w osiągnięcie tego celu z satysfakcją podkreślił, że w czasie jego prezydentury nie było takiego roku, w którym by nie zwiększano kwot przeznaczanych na potrzeby wojskowe. Do Cartera należała także „genialna” idea nadania w przyszłości temu wzrostowi charakteru „planowego”, wykluczając w ten sposób jakiegokolwiek niepożądane przypadki. Wreszcie wykorzystując faktycznie swoją funkcję państwową, mimo że sprawy walki wyborczej prawie nie pozostawiały mu czasu na cokolwiek innego, zdołał dopilno-

wać opracowania i podpisać dyrektywę nr 59, cynicznie przekreślającą osiągnięte poprzednio porozumienia w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych, a przede wszystkim zgodę Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego na rezygnację z dążenia do zapewnienia przewagi militarnej.

6

Przyjście do władzy ekipy prezydenta Reagana zbiegło się z rozwinięciem już wówczas, jawnym natarciem imperializmu amerykańskiego na odprężenie, wzmożeniem właściwej mu agresywności i awanturnictwa w polityce międzynarodowej. Dawało o sobie znać także ogólne „ochłodzenie” klimatu międzynarodowego. W tej dziedzinie wstępne przygotowania, tak gorliwie prowadzone przez poprzedników Reagana, zaczynały wreszcie wydawać owoce, co też ułatwiało mu torowanie drogi do Białego Domu, nie pocąc się pod zawsze nieprzyjemną dla niego maską kolejnego „zwolennika pokoju”. Platforma wyborcza republikanów okazała się na tyle militarystyczna, że demokraci, ulegając pokusom, usiłowali nawet wykorzystać to do swoich celów twierdząc, że były aktor filmowy, jak przystoi na przedstawiciela bohemy, nadal żyje w świecie fantazji, nie dostrzegając zmian, jakie zaszły w światowym układzie sił z chwilą utraty przez Stany Zjednoczone monopolu na broń jądrową. Ale było już za późno, ponieważ na takiego właśnie kandydata „pracował” w czasie swej prezydentury sam Carter. Teraz pozostało mu tylko cieszyć się z tego i witać nowego, czterdziestego z kolei prezydenta Stanów Zjednoczonych, wkraczającego przy warkocie werbli do Białego Domu.

7

Jedną z cech życia społecznego w Stanach Zjednoczonych jest to, że politycy amerykańscy pozostawszy bez zajęć zaczynają czasem wypowiadać mądre sady. Oczywiście, niekiedy kryją się za tym względy partyjne lub po prostu karierowiczowskie, lecz istota sprawy od tego się nie zmienia. Przez całe 20 lat — powiedział przed kolejnymi wyborami do Kongresu były wicepre-

zydent Walter Mondale — Ronald Reagan zdecydowanie występował przeciwko wszelkim porozumieniom w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych. Był przeciwko układowi o zakazie prób z bronią jądrową, przeciwko SALT I, porozumieniom i układowi SALT II. Od czasu gdy znalazł się w Białym Domu, rząd nie zdecydował się na żadne poważne omówienie z ZSRR problemów ograniczenia zbrojeń strategicznych. Jednocześnie rozmowy o możliwości odniesienia zwycięstwa w wojnie jądrowej, o ograniczonej wojnie jądrowej i o prewencyjnych uderzeniach stały się rzeczą zwykłą. U podstaw wszystkich tych wstrząsających oświadczeń leżą takie pseudoargumenty, jak twierdzenia, że Stany Zjednoczone pozostają w tyle za Związkiem Radzieckim w powiększaniu swego potencjału militarnego, że powinni w związku z tym wygrać wyścig zbrojeń, że Rosjanie w ogóle nie zasługują na to, by prowadzić z nimi rokowania, że wreszcie broń jądrowa, jeśli spojrzeć na to szerzej, nie jest aż tak niebezpieczna. Wszystkie te pseudoargumenty Mondale poddał druzgocącej krytyce i łatwo dowiódł ich bezpodstawności.

W czasopiśmie „Foreign Affairs” pojawił się także bardziej wyczerpujący, akademicki artykuł, pod którym znalazły się nazwiska George’a Kennana, McGeorge’a Bundy’ego i Roberta McNamary. Wyrazili w nim żal, na który nigdy nie jest za późno, że Stany Zjednoczone w ciągu całego okresu powojennego opracowywały plany, dążyły do tego, by „być pierwszymi — pierwszymi w zadaniu uderzenia jądrowego”⁹. Czas już przyznać — pisali byli politycy — że nikomu nie udało się dowieść, iż użycie broni jądrowej — niechaj nawet w najmniejszej skali — może rzeczywiście zostać „ograniczone”. Prowadzone w minionym ćwierćwieczu gry wojskowe lub poważniejsze analizy tego problemu ukazały coś wręcz odwrotnego: każde tak zwane ograniczone użycie tej broni pociągnęłoby za sobą niezliczone ofiary i zniszczenia.

Stawiając siebie za przykład, nieżyczliwie skomentował stosunek prezydenta Reagana do SALT II były prezydent Nixon. Nawet były prezydent Carter nazwał politykę Reagana wykoślawioną, uważał się, że wywołuje ona strach wśród sojuszników i przyznał, że sam był zawsze przekonany, iż radzieccy przywódcy chcą żyć ze Stanami Zjednoczonymi w pokoju.

A co mówiliby owi politycy, gdyby prezydent Reagan rzeczywiście zaczął działać zgodnie z ich radami? Należy przypuszczać, że to samo. Ale w dzisiejszej sytuacji nie sposób to sprawdzić. Jeszcze przed swym zaprzysiężeniem na prezydenta Reagan dał wyrażnie do zrozumienia, że osłabienie napięcia — jego zdaniem — to ni mniej ni więcej jak tylko „ulica o ruchu jednokierunkowym”, a obowiązujące na niej zasady poruszania się zostaną wykorzystane przez Moskwę do osiągnięcia jej tajemnych celów zmierzających do stworzenia „światowego państwa socjalistycznego lub komunistycznego”. Temu motywowi pozostał wierny i później. Już jako pełnoprawny prezydent na pierwszej swojej konferencji prasowej w Białym Domu uznał ratyfikację układu SALT II za sprawę drugorzędną. Powiedział, że układ ten może zasługiwać na uwagę tylko w tym przypadku, jeśli Moskwa wyrazi zgodę na przyjęcie wielu żądań politycznych. Przemawiając pod koniec maja 1981 roku w czasie promocji oficerów w West Point, mówił do stojących na baczność słuchaczy, że kiedyś, przed wielu laty, przeczytał książkę swego dobrego przyjaciela, Laurence'a Beilensona *The Treaty Trap* (*Pułapka układu*) i przeraził się, że tak dokładnie odzwierciedla ona jego własne przekonania, iż wszelkie zobowiązania wynikające z układów stanowią zaledwie „świszki papieru”. Na pożegnanie poradził nowo upieczonym oficerom amerykańskich wojsk lądowych, od których w przyszłości, być może, zależeć będzie przekroczenie lub nie „progu” wojny jądrowej choćby w Europie, by przeczytali również nowe dzieło Beilensona: *Survival and Peace in Nuclear Age* (*Przetrwanie i pokój w epoce nuklearnej*).

Do książki tej powinni zajrzeć nie tylko słuchacze West Point. Beilenson uważa bowiem, że „powstrzymywanie komunizmu” nie potrwa długo. Wojna wybuchnie i trzeba się do niej przygotowywać. Nie widzi zresztą w tym nic strasznego. Według niego, lanca wcale nie jest przyjemniejsza od bomby jądrowej. W ostatecznym wyniku amerykańsko-radzieckie starcie jądrowe — to jeszcze nie katastrofa światowa: „zginie część ludności planety, lecz nie doprowadzi to do całkowitego zniszczenia cy-

wilizacji”¹⁰. Nie zmartwiło go to, że — według jego własnych obliczeń — zginie od 100 do 160 milionów Amerykanów. Pouczająca książka!

Na miarę przyznanych im możliwości podkopywali SALT II również sekretarz stanu Alexander Haig i sekretarz obrony Caspar Weinberger. Haig nonszalancko przyrzekał dziennikarzom, że rokowania amerykańsko-radzieckie mogą się rozpocząć „gdzieś tam w przyszłym roku” lub nawet w ogóle „nie widział możliwości” ich wznowienia. Jeśli jednak mimo wszystko dojdzie do rokowań — oświadczył w senackiej Komisji Sił Zbrojnych, to Stany Zjednoczone zdecydowane są zawierać następne porozumienia „z pozycji zapewnionej i niezawodnej potęgi militarnej”¹¹. Weinberger kokietował otoczenie odzyskaną żołnierską bezpośredniością. Zaczął od prymitywnej i kłamliwej argumentacji, że SALT II rzekomo „jest nie zrównoważony i nie sprzyja stabilizacji”, po czym otwarcie oświadczył, że jeśli odprężenie stanowi postęp w porównaniu z „zimną wojną”, to Stany Zjednoczone „nie mogą sobie więcej pozwolić na taki postęp”¹².

Niemniej jednak w Waszyngtonie ogłoszono nominacje na różne stanowiska osób, które jak gdyby powinny były wziąć w swoje ręce dalsze losy tego postępu. Ku zdumieniu wielu ludzi, dyrektorem tak zwanej Agencji Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia (*Arms Control and Disarmament Agency*) został profesor Eugene Rostow. Ten sam Rostow, którego — rzecz niespotykana! — po zajmowaniu przez niego stanowiska podsekretarza stanu i zdobyciu skandalicznej sławy „wietnamskiego jastrzębia”, nie chciał mieć u siebie żaden ze znanych uniwersytetów amerykańskich. Kierując Komitetem Współczesnego Zagrożenia (*Committee on the Present Danger*) Rostow zaciekle atakował SALT II. A uzyskawszy możliwość czynienia tego już w charakterze dyrektora wspomnianej Agencji, wprowadził w zdumienie nawet Pentagon oświadczając, że atomowe bombardowania Hiroshimy i Nagasaki nie przeszkodziły Japonii „nie tylko wyżyć, lecz nawet osiągnąć rozkwit”¹³.

Jednakże nawet Rostow, przedstawiciel partii demokratycznej, nie nadawał się do Białego Domu, którego gospodarz woli równać do reakcjonistów i arcymilitarystów należących do prawego skrzydła republikanów. Już w połowie stycznia 1983 roku Ro-

stow musiał opuścić stanowisko dyrektora Agencji na polecenie samego prezydenta Reagana.

Czy po tym należy się dziwić, że Agencja Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia ostatecznie przekształciła się w swoje przeciwieństwo, a „jastrzębie” teraz z podziwem i zawiścią spoglądają jak ta Agencja, wysforowawszy się do przodu, stawia Moskwie już ostrzejsze wymagania.

9

Osiemnastego listopada 1981 roku prezydent Reagan w waszyngtońskim Narodowym Klubie Prasy wygłosił przemówienie, które zawczasu zostało rozreklamowane przez amerykańskie środki masowego przekazu jako „najważniejsza inicjatywa” rządu w rozwiązywaniu problemu rozmieszczenia broni jądrowej średniego zasięgu w Europie. „Inicjatywa” ta była nie tylko próbą czysto demagogicznego oddziaływania na umysły mieszkańców Europy Zachodniej, wyrażających coraz większe obawy, że patologiczny pociąg Waszyngtonu do broni jądrowej jako jedyne narzędzia polityki wobec ZSRR stanowi dominujący motyw również w jego dążeniu do rozmieszczenia nowych jej rodzajów w Europie, gdzie będzie wykorzystywana „nie jako środek zastraszenia, lecz jako środek prowadzenia wojny”¹⁴. Idąc na to Waszyngton stawiał także pierwszy krok na drodze do jawnej konfrontacji z ZSRR — na razie jeszcze na poziomie niewojennym.

W podpisanym w Wiedniu w czasie spotkania na wysokim szczeblu wspólnym oświadczeniu przywódców Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego stwierdzono, że jednym z kierunków dalszych rokowań powinno być rozwiązanie problemów zawartych w protokole do układu SALT II. A jednym z nich była kwestia rozmieszczenia w Europie pocisków manewrujących bazujących na lądzie. W całym okresie ważności protokołu, to jest do 31 grudnia 1981 roku, strony zobowiązały się nie podejmować żadnych działań zmierzających do instalowania takich rakiet i omówić związane z tym problemy w toku dalszych rokowań. Powziąwszy decyzję o dodatkowym rozmieszczeniu w Europie Zachodniej broni jądrowej średniego zasięgu, Wa-

Wasyngton naruszył to porozumienie. Teraz, na miesiąc przed upływem terminu ważności protokołu, prezydent Reagan proponował Związkowi Radzieckiemu „polubowną” zgodę na wy-suwany przez niego tak zwany zerowy wariant rozwiązania problemu. Istota „wariantu zerowego” lub „opcji zerowej”, według samego prezydenta, polegała na tym, że ZSRR powinien był zde-montować w europejskiej części i nawet we wschodnich rejonach kraju wszystkie swoje środki jądrowe średniego zasięgu, podczas gdy amerykańskie środki jądrowe „wysuniętego bazowania” pozostałyby nietknięte. W zamian za to Waszyngton wielkodusznie zgadzał się zrezygnować z planowanego rozmieszczenia w Europie Zachodniej pocisków manewrujących i rakiet balistycznych średniego zasięgu. Przy istniejącym parytecie w środkach jądrowych średniego zasięgu, będących w dyspozycji zarówno Paktu Północnoatlantyckiego, jak i Związku Radzieckiego w granicach regionu europejskiego, wcielenie w życie „wariantu zerowego” Reagana oznaczałoby, że liczebność takich środków po stronie ZSRR zmniejszyłaby się więcej niż o połowę, strona przeciwna natomiast miałaby więcej niż dwukrotną przewagę pod względem liczebności rakiet i trzykrotną — w li-czebności ładunków do nich.

Związek Radziecki faktycznie byłby rozbrojony także na wschodzie — w Azji. Wszak dobrze wiadomo — powiedział na początku kwietnia 1983 roku na konferencji prasowej minister spraw zagranicznych ZSRR, Andriej Gromyko — jak gęstym pierścieniem amerykańskich baz wojskowych otoczony jest Związek Radziecki. Wypełnione bronią jądrową są: Japonia i oblewające ją wody, Korea Południowa i Okinawa, Ocean Indyjski — a zwłaszcza baza Diego Garcia — oraz Zatoka Perska. Z rejonów tych można wykonać uderzenia bronią średniego zasięgu na całą azjatycką część Związku Radzieckiego, nawet jej najbardziej wysunięty na północ półwysep Tajmyr. Jeśli jeszcze do tego dodać, że w prasie amerykańskiej co i rusz pojawiają się doniesienia o zamiarze zainstalowania rakiet średniego zasięgu na Alasce, to dążenie Waszyngtonu do rozbrojenia ZSRR staje się zupełnie oczywiste.

Zdumiewająca nawet doświadczonych polityków zachodnioeuropejskich bezpardonowość tych propozycji, jak zresztą i cały styl reaganowskiego traktowania problemów odprężenia, wywołała nie spotykany jeszcze pod względem masowości ruch narodów na rzecz zaprzestania wyścigu zbrojeń jądrowych. Znalazło to swój wyraz również w tym, że w Kongresie Stanów Zjednoczonych zrodziły się poważne nastroje opozycyjne przeciwko rządowym programom produkcji nowych rodzajów broni strategicznej. Senatorzy Edward Kennedy i Mark Hatfield jako pierwsi wystąpili z projektem rezolucji o zamrażaniu arsenałów jądrowych — 10 marca 1982 roku dokument ten w postaci wspólnej uchwały Senatu pod numerem 163 został wniesiony do rozpatrzenia przez izbę wyższą. Analogiczny projekt uchwały nr 434 zgłoszony został przez deputowanych do Izby Reprezentantów, kongresmanów Edwarda Marckey'a, Silvio Conte'a i Jonathana Binghama.

Dzięki kontruchwale senatorów Henry Jacksona i Johna Warnera, której sens — zdaniem wielu gazet amerykańskich — sprowadzał się do formuły: „Najpierw musimy się dozbroić, a potem dopiero będziemy zamrażać!”, Biały Dom z trudem zdołał przezwyciężyć powstałą sytuację kryzysową. Nastroje antynuklearne jednak nadal narastały, zbliżał się także termin zaplanowanej przez Biały Dom podróży prezydenta do Europy, a tam — uprzedzali komentatorzy — żadna policja nie potrafi ustrzec go od demonstrantów.

Trzeba było coś przedsięwziąć, i to niezwłocznie. Jednakże podjęta przez prezydenta próba użycia zwykłego tricku — ukazania narodom kolejnej „pokojuowej” maski — okazała się niezbyt skuteczna. Na próżno Reagan zwracając się do narodu zapewniał teraz, że jest z tymi, którzy wyrażają protest przeciwko wojnie jądrowej, że żaden z prezydentów amerykańskich — w tym również on sam — nie wierzył nigdy w możliwość osiągnięcia zwycięstwa w takiej wojnie, że takiej wojny nie można rozpoczynać. Nie wierzono mu. Reagan czuł się mocno dotknięty. Gdzie więc mógł liczyć na współczucie, jak nie w murach *college'u*, w którym spędził młode lata? I oto 9 maja 1982 roku

prezydent Reagan znalazł się w swoim byłym college'u Uriah w stanie Illinois. Początkowo co prawda jakoś odruchowo skłonił się w stronę wywołujących już oskomę nawoływań do „przebrożenia” Stanów Zjednoczonych. Zmitygowawszy się jednak oświadczył wreszcie, że Waszyngton jest gotów wyrazić zgodę na radzieckie propozycje dotyczące wznowienia rokowań na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych.

Czy rzeczywiście była to zgoda? Warunkujące ją ograniczenia — podkreślali zachodni komentatorzy polityczni i wojskowi — godzą w proces odprężenia, nie mogą stanowić podstawy porozumienia, zmierzają do sabotowania rokowań w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych. Nie była to przesada. Wysłunięte w Uriah przez prezydenta Reagana „nowe podejście” do ograniczenia zbrojeń strategicznych Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego otwarcie, a nawet demonstracyjnie po-deptało zasadę jednakowego bezpieczeństwa stron.

Przede wszystkim, zgodnie z nowym stanowiskiem Waszyngtonu, zakładającym etapową redukcję zbrojeń strategicznych, w pierwszej fazie podlegałyby jej tylko rakiety balistyczne bazujące na lądzie i na morzu. O broni jądrowej bazującej w powietrzu, jak zresztą i całym jądrowym arsenale broni „wysuniętego bazowania” w Europie, nawet nie wspomniano. Dopiero w nieokreślonej przyszłości, w drugim etapie, mogła być mowa o jakimś bliżej nie sprecyzowanym „ustanowieniu pułapów również dla innych komponentów strategicznych sił jądrowych”. Ponadto sam schemat redukcji ракет balistycznych bazujących na lądzie i na morzu w pierwszym etapie pomyślany był w ten sposób, że po jego zakończeniu istniejący amerykańsko-radziecki parytet w zbrojeniach jądrowych zostałby poważnie naruszony na niekorzyść ZSRR. Zbrojenia strategiczne obu mocarstw nie są jednakowe pod względem ich struktury. W ciągu dziesięcioleci rozwijały się one w odmiennych kierunkach. W ZSRR tradycyjnie oraz wskutek wielu obiektywnych warunków rozwijano przede wszystkim międzykontynentalne rakiety balistyczne bazujące na lądzie, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych — rakiety balistyczne bazujące pod wodą i lotnictwo strategiczne. W ZSRR na międzykontynentalne rakiety balistyczne przypada około 70% ogólnej liczby głowic jądrowych, podczas gdy w Sta-

nach Zjednoczonych — zaledwie około 20%. Za to na pokładach amerykańskich rakiet balistycznych bazujących pod wodą i ciężkich bombowców lotnictwa strategicznego rozmieszczono 80% bojowych głowic jądrowych, to jest kilkakrotnie więcej niż na podobnych nosicielach znajdujących się w składzie radzieckich sił strategicznych. Wykorzystując owe różnice w strukturze zbrojeń strategicznych, prezydent Reagan proponował teraz dokonanie takiej redukcji, która objęłaby w zasadzie wyrzutnie radzieckich międzykontynentalnych rakiet balistycznych bazujących na lądzie, natomiast w nieporównywalnie mniejszym stopniu dotyczyłaby zbrojeń amerykańskich. Przy przejściu na konkretny język liczb oznaczałoby to zredukowanie mniej więcej 50—60% głowic bojowych na radzieckich międzykontynentalnych rakietach balistycznych oraz większej części samych wyrzutni raketowych. Co się zaś tyczy Stanów Zjednoczonych, to po zredukowaniu pewnej liczby głowic bojowych w wyniku wycofania z uzbrojenia kilku przestarzałych okrętów podwodnych, wyposażonych w broń raketowo-jądrową, uzyskałyby one możliwość nawet powiększenia liczby jądrowych głowic bojowych do naziemnych międzykontynentalnych rakiet balistycznych, instalując w tym celu najnowsze rodzaje rakiet, nie mówiąc już o tym, że takie zmasowane powiększanie liczby głowic bojowych odbywa się również w wyniku wprowadzenia do uzbrojenia bazujących pod wodą rakiet *Trident-2*.

Innymi słowy, gdyby plan Reagana został zrealizowany, radziecki strategiczny potencjał jądrowy pod względem liczby tworzących go głowic bojowych okazałby się trzykrotnie mniejszy od amerykańskiego, nie wspominając o tysiącach pocisków manewrujących wszystkich rodzajów bazowania, a także o przeznaczonych do „dozbrojenia” Europy nowych rakietach balistycznych średniego zasięgu, które Stany Zjednoczone zamierzają tam zainstalować w najbliższej przyszłości. Ponadto, przyjąwszy nowe propozycje amerykańskie, ZSRR musiałby nie tylko radykalnie zredukować własny potencjał strategiczny, lecz także gruntownie przebudować swoje strategiczne siły jądrowe, podczas gdy Stany Zjednoczone bez przeszkód kontynuowałyby powiększanie własnych zbrojeń strategicznych poprzez planowe instalowanie nowych międzykontynentalnych rakiet balistycz-

nych MX, bazujących pod wodą *Trident-1* i *Trident-2*, bombowców strategicznych B-1B i pocisków manewrujących dalekiego zasięgu.

Obiektywnie oceniając takie podejście Waszyngtonu do rokowań genewskich w sprawie ograniczenia zbrojeń strategicznych, Jurij Andropow podkreślił, że nie świadczy ono o pragnieniu strony amerykańskiej, by na serio zająć się rozwiązywaniem problemów ograniczenia i redukcji zbrojeń strategicznych. „Obecnie w amerykańskiej stolicy zajęci są czym innym: uruchomieniem taśmowej produkcji wciąż nowych i nowych rodzajów tego uzbrojenia. A w kolejce czekają takie ich rodzaje, które mogą w sposób radykalny zmienić wyobrażenia o stabilności strategicznej i o samej możliwości skutecznego ograniczenia i redukcji zbrojeń jądrowych”¹⁵.

Od „wariantu zerowego” mało czym różni się tak zwany wariant pośredni Reagana. Nie wycofując, lecz odsuwając na plan dalszy „wariant zerowy”, Stany Zjednoczone wysuwają „rozwiązanie pośrednie”: jeśli Moskwa zgodzi się zredukować swoje rakiety średniego zasięgu, to Waszyngton będzie gotów do rozmieszczenia teraz w Europie, jako uzupełnienia posiadanej tam przez nie i przez kraje Paktu Północnoatlantyckiego broni jądrowej średniego zasięgu, nie planowanej uprzednio liczby nowych rakiet średniego zasięgu, lecz „nieco mniej”. Zgodnie z nową propozycją, rozmieszczenie tych rakiet ma być „dawkowane”, to jest przebiegać etapami. Siły jądrowe Wielkiej Brytanii i Francji nadal pozostają poza nawiasem reaganowskiej „równowagi sił”, tak samo jak i setki amerykańskich samolotów — środków przenoszenia broni jądrowej. Innymi słowy, ZSRR nie tylko musiałyby się zgodzić na zredukowanie swego arsenału broni jądrowej średniego zasięgu w Europie, lecz pobłogosławić także rozmieszczenie w tej Europie nowych rakiet amerykańskich wycelowanych w sojuszników Związku Radzieckiego. Charakteryzując „wariant pośredni”, Andropow — na prośbę czasopisma „Der Spiegel” — oświadczył: „Dokonana niedawno przez Waszyngton zmiana jego propozycji, która w swej poprzedniej postaci była nie do przyjęcia, obłudnie nazwana »opcją zerową«, nie zmienia postaci rzeczy; administracja Stanów Zjednoczonych trwa nadal na swych poprzednich jedno-

stronnych pozycjach, nie przejawiając najmniejszej nawet chęci brania pod uwagę słusznych interesów drugiej strony, osiągnięcia uczciwego porozumienia, korzystnego dla obu stron. W każdym bądź razie, wysuwając swoje propozycje USA dążą — i to jest najważniejsze — przede wszystkim do narażenia na szwank bezpieczeństwa Związku Radzieckiego, naruszenia na swoją korzyść istniejącej równowagi”¹⁶.

11

Pod koniec sierpnia 1983 roku, w przededniu nowej rundy rokowań amerykańsko-radzieckich na temat ograniczenia zbrojeń jądrowych w Europie, nie pojawiły się żadne nowe nadzieje na ruszenie z miejsca. Mimo zapewnień Waszyngtonu o czymś wręcz przeciwnym, Stany Zjednoczone nadal trwały na stanowisku cynicznie przedstawionym przez sekretarza stanu George'a Shultza w jego wystąpieniu przed senacką Komisją Spraw Zagranicznych w połowie czerwca 1983 roku: Stany Zjednoczone nie zamierzają zmieniać swego kursu politycznego, Związek Radziecki natomiast ma możliwość wyboru: albo zmienić swoje postępowanie w sprawach międzynarodowych i wewnętrznych, albo być przygotowanym na to, że stan stosunków amerykańsko-radzieckich będzie nadal ulegać pogorszeniu.

Znalazło to swoje potwierdzenie również w przemówieniu prezydenta Reagana na XXXVIII sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych pod koniec września 1983 roku. O czym właściwie była mowa? Czyżby prezydent doszedł do wniosku o konieczności rezygnacji z rozmieszczenia nowych rakiet amerykańskich w Europie?

Nic podobnego. Stany Zjednoczone nadal proponowały rozmowy jedynie o tym, na ile mają być zredukowane radzieckie rakiety średniego zasięgu i ile rozmieścić rakiet amerykańskich jako uzupełnienia arsenału jądrowego będącego w dyspozycji Paktu Północnoatlantyckiego. Co więcej, Waszyngton nadal kategorycznie sprzeciwiał się wliczeniu do ogólnego potencjału brytyjskich i francuskich rakiet oraz samolotów przenoszących broń jądrową.

„Elastyczność” polegała na czym innym. Jak wiadomo, prócz

nierealistycznej, prezentowanej jakby specjalnie w celu blokowania rokowań pozycji w odniesieniu do dwóch podstawowych problemów, Waszyngton pretendował także do rozmieszczenia w Europie tylu nowych rakiet, ile jest ich nie tylko w europejskiej, lecz również w azjatyckiej części ZSRR. W takim stawianiu problemu nie było oczywiście żadnej logiki, ponieważ znajdujące się we wschodnich rejonach ZSRR rakiety średniego zasięgu nie mają żadnego związku z Europą, a do rozmieszczenia ich tam istnieją inne przyczyny. Tę właśnie oczywistą niedorzeczność, nazywaną „podejściem globalnym”, postanowiono nieco zakamuflować. Teraz zamiast „podejścia globalnego” zaczyna się mówić o „globalnych limitach”. Oznacza to, że Stany Zjednoczone również w tym przypadku zastrzegają sobie „prawo” do rozmieszczenia — jako uzupełnienie istniejących już amerykańskich środków wysuniętego bazowania w rejonach Europy i Azji — tylu nowych rakiet średniego zasięgu, ile ma ich Związek Radziecki na całym swym terytorium. Cała nowość i elastyczność nowego stanowiska polega na tym, że teraz Waszyngton „wielkodusznie” obiecał rozmieścić w Europie nie wszystkie rakiety, lecz „tylko określoną ich część”, pozostałe zaś — jak oświadczył prezydent — zostaną rozlokowane „gdziekolwiek”. Z wyjaśnień oficjalnych przedstawicieli amerykańskich wynikało, że zostaną one umieszczone w pobliżu terytorium ZSRR.

I jeszcze jedno „ustępstwo”. W dzisiejszych planach Waszyngtonu zakłada się rozmieszczenie w Europie ogółem 572 rakiet jądrowych średniego zasięgu: 108 typu *Pershing-2* oraz 464 pociski manewrujące bazujące na lądzie. Teraz właśnie uroczyście oświadczone, że w przypadku jeśli ZSRR zgodzi się na rozmieszczenie w Europie i w innych przylegających do niej regionach powiedzmy „zaledwie” 450 rakiet amerykańskich, swoje zaś rakiety zgodzi się odpowiednio zredukować, to Waszyngton zgodzi się nawet, żeby rozpatrzyć problem — w jakiej proporcji instalować swoje rakiety dwóch wspomnianych typów.

Pomijając już to, że u podstaw takiego stanowiska leży wciąż ta sama, niemożliwa do przyjęcia, przesłanka — Związek Radziecki musi redukować swoje rakiety, Stany Zjednoczone zaś, odwrotnie, będą instalować nowe — we frazeologii owych

„ustępstw” używa się bardzo mglistych sformułowań, pozostawiających Waszyngtonowi wolną rękę w określaniu liczby rakiet *Pershing-2*, które chciałby rozmieścić w Europie Zachodniej. I to wbrew rozpowszechnianym na Zachodzie pogłoskom, że Waszyngton jakoby może w ogóle zrezygnować z instalowania tych właśnie rakiet.

Wreszcie jeszcze jeden niuans zademonstrowanej przez prezydenta Reagana „elastyczności”. Poprzednio Stany Zjednoczone żądały, by każde porozumienie dotyczące ograniczenia zbrojeń jądrowych w Europie dotyczyło jedynie rakiet średniego zasięgu bazujących na lądzie, oponując, bez jakichkolwiek podstaw, przeciwko obejmowaniu tym porozumieniem samolotów średniego zasięgu przenoszących broń jądrową, żeby zachować przewagę Paktu w tej dziedzinie. Teraz zaś, traktując to niemal jako „przysługę” wyświadczaną Związkowi Radzieckiemu, wyrażały gotowość rozpatrzenia problemu objęcia porozumieniem także lotniczych środków przenoszenia ładunków jądrowych. Tę swoją „gotowość” jednak obwarowały szeregiem warunków niemożliwych do przyjęcia przez ZSRR.

Przed wszystkim Związek Radziecki musiałby się zgodzić ze stanowiskiem Waszyngtonu dotyczącym rakiet, włącznie z instalowaniem nowych rakiet amerykańskich w Europie oraz w innych rejonach. Już samo to wystarczało, żeby dezawuować rzekome *novum* w tym stanowisku dotyczącym lotniczych środków przenoszenia broni jądrowej. Ponadto ograniczeniem opartym na porozumieniu byłyby objęte nie wszystkie samoloty średniego zasięgu, lecz tylko według dowolnego wyboru strony amerykańskiej. Nie robiono przy tym tajemnicy, jaki byłby to wybór: porozumieniem miały być objęte wszystkie typy samolotów radzieckich o odpowiednim zasięgu. Zarazem wyłączono by z niego setki amerykańskich samolotów średniego zasięgu, bazujących zarówno w Europie Zachodniej, jak i na pokładach lotniskowców znajdujących się u jej brzegów, a także wszystkie siły lotnicze sojuszników z Paktu Północnoatlantyckiego.

Demaskując te manewry ekipy Reagana Andropow w swym oświadczeniu z 29 września 1983 roku powiedział, że w ciągu dwóch poprzednich lat wyszło na jaw, iż amerykańscy przedstawiciele uczestniczą w rokowaniach w Genewie bynajmniej nie

w celu osiągnięcia porozumienia. Ich zadaniem jest przewlekanie rokowań, po czym przystąpi się do rozmieszczenia w Europie Zachodniej rakiet balistycznych *Pershing-2* i pocisków manewrujących dalekiego zasięgu. Zresztą nie ukrywają tego specjalnie. Oslaniają się jedynie rozważaniami na temat jakiejś „elastyczności” Stanów Zjednoczonych w prowadzeniu tych rokowań. „Kolejna dawka takiej »elastyczności« dopiero co zmaterializowała się. I tym razem wyszło na jaw zamierzone oszustwo. Jeśli podarujemy sobie szczegóły, to istota tak zwanego nowego podejścia w stanowisku zajmowanym przez Amerykanów, reklamowanym jako »wspaniałe«, sprowadza się do propozycji, by nadal prowadzić rokowania na temat: na ile zredukować radzieckie rakiety średniego zasięgu i ile rozmieścić w Europie nowych amerykańskich rakiet jako uzupełnienie potencjału jądrowego posiadanego już przez Pakt Północnoatlantycki.

Innymi słowy, proponuje się nam prowadzenie rozmów o tym, jak pomóc blokowi NATO naruszyć na jego korzyść istniejącą w Europie równowagę w dziedzinie środków jądrowych średniego zasięgu”¹⁷.

Papierkiem lakmusowym prawdziwych zamiarów Waszyngtonu w odniesieniu do odprężenia stała się jego odmowa pójścia śladami ZSRR i przyjęcia na siebie zobowiązania, by nie użyć jako pierwszemu broni jądrowej, a także powtarzające się groźby anulowania podpisanego jeszcze w toku rokowań moskiewskich porozumienia o ograniczeniu środków obrony przeciwraкетowej i oświadczenie Białego Domu o ostatecznej decyzji niewznawiania rokowań z ZSRR i Wielką Brytanią o całkowitym i powszechnym zakazie prób z bronią jądrową. Wszystko to, oczywiście, nie napawa radością. Byłoby jednak grubym błędem mniemanie, że ZSRR chodzi z wyciągniętą ręką żebrząc o odprężenie. Pozostaje prawdą absolutną to, że z punktu widzenia interesów bezpieczeństwa, w nie mniejszym stopniu jest ono potrzebne również Stanom Zjednoczonym. Podkreślając, że dzisiejsza polityka Waszyngtonu doprowadziła do skrajnego zaostrożenia sytuacji międzynarodowej, Andropow w referacie z okazji 60-lecia Związku Radzieckiego uprzedził administrację amerykańską, że „na wyzwanie strony amerykańskiej będziemy

zmuszeni zareagować rozwinięciem odpowiednich własnych rodzajów broni”¹⁸.

15 listopada 1983 roku na lotnisku brytyjskiej bazy wojskowej w Greenham Common wylądował wojskowy samolot transportowy amerykańskich sił powietrznych *Starlifter*. Z jego pojemnych trzewi wylądowano pociski manewrujące — pierwsze z tych, które mają się znaleźć w Europie Zachodniej.

Był to początek oficjalnie demonstrowanego rozmieszczania nowych amerykańskich rodzajów broni jądrowej średniego zasięgu skierowanej przeciwko ZSRR i znajdującej się w pobliżu jego terytorium. Jednocześnie w Waszyngtonie oświadczono o jeszcze jednym, „nowym” podejściu ekipy prezydenta Reagana do rozwiązania problemu ograniczenia zbrojeń jądrowych w Europie. Zresztą nawet formalnie nie usiłowano odnawiać starego szablonu, zdając sobie sprawę, że dla Moskwy nie ma to już żadnego znaczenia.

Mimo wszystko jednak, należy przypuszczać, Waszyngton był wielce zdumiony reakcją Związku Radzieckiego. Opublikowane w „Prawdzie” z 25 listopada 1983 roku oświadczenie Andropowa położyło kres wciąż jeszcze pokutującym złudzeniom, że Związkowi Radzieckiemu zależy na kontynuacji rokowań na dowolnych warunkach. Ogłoszone w oświadczeniu kontrposunięcia o charakterze wojskowym, jakie ZSRR oraz inne kraje członkowskie Układu Warszawskiego mają podjąć w odpowiedzi na poczynania Waszyngtonu, będą nie mniej skuteczne, a gdyby w Białym Domu rzeczywiście myślano o bezpieczeństwie własnego kraju, to dawno już postarano by się uniknąć takiego finału.

VIII. „Niebezpieczeństwo radzieckie”

1

Chodzenie krętymi ścieżkami zawsze wymaga usprawiedliwień. Tym większych, im mniej ci, którzy nimi chodzą myślą się co do rzeczywistego znaczenia swych postępów.

Imperializm amerykański z jego świątobliwym pretendowaniem do roli Mesjasza naszych czasów jest bardzo wyczulony także na obraz tworzony przez niego w cudzej świadomości. Ale w usprawiedliwianiu przez niego wyścigu zbrojeń powoduje nim troska nie tylko o czystość szat świętych. W tym przypadku Waszyngtonowi idzie o coś większego, ponieważ maska „stróża pokoju” jest jedyną rzeczą, która pozwala mu jeszcze cieszyć się określonym zaufaniem zarówno własnego narodu, jak i sojuszników politycznych czy wojskowych. Utrata tego zaufania oznaczałaby dla niego katastrofę nie tylko moralną, lecz także polityczną. Wówczas szaleńczy bieg maratoński pod wciąż zwiększającym się brzemieniem zbrojeń okazałby się po prostu nie do pomyślenia, a tym samym runęłyby także długo pieszczone przez Waszyngton marzenia o ostatecznym ustanowieniu jego panowania nad światem.

Czy można jednak zapobiec przejrzeniu na oczy, sparaliżować rozsądne myślenie całego narodu lub nawet narodów? Historia dowodzi, że najskuteczniejszym sposobem osiągnięcia takiego stanu rzeczy jest zaszczepienie ludziom wszechogarniającego strachu w obliczu niebezpieczeństwa własnej zagłady, strachu, który pozbawia ich nie tylko rozsądku, lecz i właściwego człowiekowi humanitaryzmu.

Tej starej recepty Waszyngton zaczął używać już w pierwszych latach po rewolucji październikowej w Rosji, ale nigdy

jeszcze tego „leku” nie aplikowano ani krajowi, ani światu w tak potwornie wielkich dawkach, po które Waszyngton zaczął sięgać z chwilą nadejścia epoki jądrowej.

2

Jak w każdym dziele, zdarzały się tu, oczywiście, początkowe „trudności”.

Trudno było na przykład dowieść, że ZSRR, który poniósł wielkie straty w dopiero co zakończonej wojnie i nie mający broni jądrowej, szykuje się do wojny z uzbrojonymi w bomby jądrowe Stanami Zjednoczonymi. Rzecz charakterystyczna, twierdziła tak nie tylko oficjalna propaganda obliczona na przeciętnego Amerykanina. Określony nacisk na rząd wywierała pod tym względem również Centralna Agencja Wywiadowcza, której tajne meldunki, kierowane do prezydentów, były przepełnione „dowodami” istnienia radzieckich planów zadania uderzenia zbrojnego Europie Zachodniej lub bezpośrednio Stanom Zjednoczonym. Przejawiało się w tym dążenie instytucji wywiadowczej, by nie tylko zaopatrywać Białą Dom w pożądaną przez niego informację, lecz oddziaływać także na jego politykę i wzmacniać narastające w niej niczym kula śniegowa przejawy patologicznego antysowietyzmu.

Były kadrowy pracownik Centralnej Agencji Wywiadowczej, generał Corson, w opublikowanych niedawno wspomnieniach podjął próbę usprawiedliwienia tych poczynań tłumacząc, że nie jest ona bynajmniej instytucją pozbawioną oblicza — apolityczną — a kierujący nią „ludzie silnej woli” nie stoją poza polityką i nie zawsze przejawiają ślepa gotowość do potulnego podporządkowania się decyzjom podejmowanym przez rządzącą górę. Jeśli — zdaniem takich „ludzi silnej woli” — polityka państwowa staje się „krótkowzroczna” lub wytyczane przez nią cele wydają się być określone nie dość właściwie — wyjaśnia Corson — ulegają oni „naturalnej pokusie” naprawienia tego zła, kierując się własnym punktem widzenia. Mimo że Harry Truman, który w kwietniu 1945 roku dostał w spadku fotel prezydencki, najmniej potrzebował ośmielania go do zagęszczania atmosfery konfrontacji zbrojnej z ZSRR, Agencja nie mogła nie

wnieść swego wkładu, uprzejmie lecz stanowczo zalecając mu, by nie przeciągał okresu przygotowań do „prewencyjnej” napaści zbrojnej na swego byłego sojusznika wojskowego¹.

Biały Dom, owszem, nie przeciągał. Nie było jednak rzeczą prostą natychmiast po drugiej wojnie światowej wystąpić z jawnymi nawoływaniami do rozpętania wojny z ZSRR, zapewnić sobie w tym sympatię i poparcie narodu amerykańskiego. Zresztą doskonale zdawali sobie z tego sprawę również politycy amerykańscy. Przypomnijmy, że nawet taki uznany wówczas autoritet w „sprawach rosyjskich”, jak ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie, George Kennan, nie mógł podpowiedzieć żadnego pretekstu odpowiadającego wymogom propagandy.

Kennan nie żywił najmniejszej sympatii dla ZSRR i władzy radzieckiej. Obserwowany przez niego obraz olbrzymich trudności powojennych, z jakimi borykał się naród radziecki, nie przeszkadzał mu, by w sprawozdaniach kierowanych do Waszyngtonu bezwarunkowo ostrzegać przed udzielaniem ZSRR jakiegokolwiek pomocy ekonomicznej, ponieważ, jego zdaniem, komunizm i bez tego stawał się zbyt pociągający dla wielu narodów, poszukujących właściwej drogi w nie ustabilizowanym świecie powojennym. Mimo to jednak Kennan też przyznawał, że rząd radziecki nie pragnie i nie oczekuje wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Nie ma więc żadnych podstaw do obaw — donosił Departamentowi Stanu — że Stany Zjednoczone wbrew ich woli zostaną wciągnięte w konflikt zbrojny z ZSRR².

W porównaniu z prostującymi skrzydła amerykańskimi „jastrzębiami”, stanowisko Kennana można było zaliczyć do „humanitarnych”. Waszyngtońscy militaryści, w odróżnieniu od amerykańskiego ambasadora w Związku Radzieckim, usiłowali dowieść, że idzie tu nie o odległe, lecz bardzo realne niebezpieczeństwo. Podstawowe założenia tej tezy sformułowane zostały przez grupę badawczą powołaną w 1949 roku przez Departament Obrony i Departament Stanu. Opracowane przez nią sprawozdanie rysowało potworny obraz działań, jakie zostaną podjęte przez Moskwę, gdy tylko znajdzie się w jej rękach broń jądrowa. Cechująca te wnioski „głębia myśli” okazała się na tyle przekonywająca, że sprawozdanie przyjęte zostało przez Krajową Radę Bezpieczeństwa jako podstawa teoretyczna, na

której miały być oparte wszystkie późniejsze rozważania o nieuchronności konfrontacji zbrojnej z ZSRR, Związkowi Radzieckiemu całkowicie odmawiano właściwej innym mocarstwom zdolności działania na arenie międzynarodowej nie tylko za pomocą siły. Moskwie przypisywano myślenie wyłącznie totalno-ekspansjonistyczne. Należało więc wszczepić w świadomość przeciętnego Amerykanina nienawiść do ZSRR — bezwzględna, nie cofająca się nawet przed uznaniem konieczności zniszczenia milionów obywateli radzieckich.

3

Lata „zimnej wojny” pod tym względem również zrobiły wiele, nawet bardzo wiele. Mimo wszystko zaistniała konieczność dokonania czegoś nadzwyczajnego, czegoś naprawdę zastraszającego, żeby przekonać kraj i światową opinię publiczną, z którą trzeba było się liczyć, iż przygotowując się do wojny „prewencyjnej” z ZSRR Stany Zjednoczone działają jedynie w ramach „rozsądnie pojętej samoobrony” i w żadnym przypadku nie zasługują na pomawianie o agresywność. Takim nadzwyczajnym posunięciem stało się „stwierdzenie” ich rzekomego „lotniczego nienadążania” za ZSRR i związanego z tym „niebezpieczeństwa” radzieckiej napaści jądrowej.

15 lutego 1954 roku czasopismo „Aviation Week” zamieściło dostarczone redakcji przez jakieś tajemnicze osoby zdjęcia dwóch samolotów „radzieckich”. W artykule redakcyjnym, komentującym zdjęcia, podkreślano, że jeden z samolotów prawdopodobnie jest nowym międzykontynentalnym bombowcem strategicznym nadającym się do zadania uderzenia jądrowego.

Te same tajemnicze osoby, które odwiedziły redakcję miesiąc później, potwierdziwszy przypuszczenie czasopisma, poinformowały dodatkowo, że rozpoczęto produkcję seryjną tego bombowca i ZSRR najprawdopodobniej dysponuje już kilkoma setkami takich samolotów.

Rozpoczęta przez „Aviation Week” i dobrze kierowana przez kogoś kampania zmierzająca do zagęszczenia atmosfery strachu przed „niebezpieczeństwem radzieckim”, podchwyczona została również przez inne wydawnictwa, które w swych domniema-

niach dochodziły do jeszcze bardziej fantastycznych zmyśleń. Kongres też nie pozostał na uboczu. Wpływowy senator Stuart Symington piastujący w gabinecie Trumana stanowisko sekretarza sił powietrznych, zażądał poczynienia pilnych kroków w celu zbadania i zlikwidowania tak nieoczekiwanie stwierdzonego „nienadążania”, które oczywiście, nie może nie zagrażać bezpieczeństwu Stanów Zjednoczonych. Jeśli przytaczane przez prasę fakty potwierdzą się — pisał — będzie to oznaczało, że kraj w każdej chwili może stać się ofiarą zaskakującej napaści radzieckiej.

Nie tylko Symington wpadł w panikę. To samo czasopismo „Aviation Week”, wielce zachwycone wrażeniem, jakie wywarła zamieszczona w nim sensacja, donosiło, że istnienie ogromnej armady radzieckich międzykontynentalnych bombowców strategicznych mocno wstrząsnęło nawet najlepiej poinformowanymi przedstawicielami Pentagonu. Jeszcze większy szok musiała wywołać podana pod koniec 1955 roku przez wywiad sił powietrznych Stanów Zjednoczonych informacja, że on także uzyskał z pewnych wiarygodnych i tak samo tajemniczych źródeł „przekonywające” dane, iż liczebność radzieckich międzykontynentalnych bombowców strategicznych już dwukrotnie przewyższa liczbę podobnych samolotów amerykańskich.

Całe to profesjonalne przedstawienie pozwoliło rządowi prezydenta Eisenhowera oświadczyć, nie wywołując jakiegokolwiek krytyki ze strony opozycji, o ogromnym rozszerzeniu planów budowy lotnictwa strategicznego i gwałtownym zwiększeniu budżetu sił powietrznych, traktowanych wówczas przez Pentagon jako podstawowe narzędzie do zadania ZSRR uderzenia jądrowego.

4

I nagle cały dalszy scenariusz zostaje przekreślony. Dzieje się coś nieprawdopodobnego — cała ogarnięta militarystycznym cza-dem prasa zaczyna bić w inne dzwony, a to z powodu zupełnie innego „nienadążania” — tym razem raketowego.

Okazuje się, że Moskwa traktowała stworzenie lotnictwa strategicznego zaledwie jako pośredni krok na drodze do opanowa-

nia produkcji skuteczniejszych i niemożliwych do odparowania środków zadania uderzenia jądrowego. Nie tylko skupiła ona potajemnie cały swój wysiłek na budowie raketowych środków przenoszenia ładunków jądrowych, lecz także uciekła się do „podstępnych chwytów”, żeby wprowadzić w błąd wywiad amerykański i zmusić Waszyngton do uwierzenia, że ZSRR rzekomo całkowicie zajęty jest lotnictwem strategicznym i nie myśli nawet o czymkolwiek innym. Innymi słowy, bajońskie wydatki Pentagonu na budowę lotnictwa strategicznego uznane zostały teraz za co najmniej nieuzasadnione, a winą za to spadała, oczywiście, na Moskwę.

I nie tylko na Moskwę. O ile w kampanii przewycięzania „nienadążania” w dziedzinie lotnictwa Biały Dom, Pentagon, Centralna Agencja Wywiadowcza i cały dwupartyjny system polityczny kraju działał w całkowitej zgodności, o tyle teraz sytuacja uległa zmianie.

5

Kampanię w związku z „nienadążaniem” w dziedzinie lotnictwa podjął Waszyngton po to, by uzasadnić przyjęcie programu niewspółmiernego powiększenia strategicznego potencjału lotniczego, który miał być wykorzystany do zadania ZSRR „pierwszego uderzenia”, zanim zostanie stworzony i rozwinięty amerykański lub radziecki system broni raketowo-jądrowej. Przypomnijmy, że na tym między innymi oparta była również logika rozumowania autorów planu *Dropshot*.

Wystrzelenie pierwszego sputnika radzieckiego stało się uprzedzeniem o nieziszczalności tych nadziei i konieczności przesunięcia akcentów w budownictwie wojskowym z lotniczych na raketowe środki przenoszenia broni jądrowej. Dla rządu prezydenta Eisenhowera, zaangażowanego już w realizację szerokiego programu lotniczego, taka zmiana orientacji pociągnęłaby jednak za sobą nieprzejmne skutki.

Staraniem demokratów zorganizowano w Kongresie „dochodzenie” przyczyn nowego „nienadążania”. Cała ta ciągnąca się przez wiele miesięcy farsa walki międzypartyjnej przekształciła

się w rękach demokratów w dogodne narzędzie nacisku wewnątrzpolitycznego na administrację. Eisenhowera obwołano prezydentem niezdolnym do kierowania krajem, gotowym — w imię taniej popularności — do poświęcenia interesów bezpieczeństwa narodowego. Dochodziło do tego, że podejrzewano go o zgniły liberalizm lub nawet — strach powiedzieć! — o sympatyzowanie z komunistami.

W tej nagonce na Eisenhowera pomagała, jak tylko mogła, również tak zwana liberalna prasa, która — włączywszy się do kampanii rodmuchiwania hysterii antyradzieckiej — gotowa była teraz mieszać z błotem swego byłego idola. Eisenhower — pisał na przykład znany komentator polityczny Walter Lippmann — nigdy już nie będzie owym sztandarem, wokół którego jednoczy się naród, a nie mając autorytetu jest on skazany na płynięcie z prądem ku czekającej go katastrofie.

Mogłoby się zdawać, że prezydent potrafiłby łatwo dowieść całej niedorzeczności stawianych mu zarzutów. Przyspieszone rozwijanie lotnictwa strategicznego w żadnym stopniu i nigdy nie przekształcało się przy nim, jak twierdzono później, w jakiegokolwiek „lekceważenie” potrzeb programu raketowego; ani razu nie stawiano nawet problemu jakiegokolwiek ograniczenia wielkości przeznaczanych na to środków. Wystarczy wspomnieć, że przed rokiem 1957, to jest na kilka miesięcy przed wystrzeleniem pierwszego satelity radzieckiego, realizacją programu raketowego zajmowało się ponad sto tysięcy ludzi. Na osobiste polecenie Eisenhowera program był zaliczony do priorytetowych, o znaczeniu ogólnonarodowym.

Ale każda podjęta przez prezydenta jawna próba wystąpienia w obronie własnej oznaczałaby, że niezależnie od swych zamiarów znalazłby się w położeniu człowieka zaprzeczającego istnieniu amerykańskiego „nienadążania” w dziedzinie realizacji programu raketowego. Wobec powyższego aż do końca nie zdecydował się na to. Usiłując jednak jakoś się usprawiedliwić, początkowo chronił się przybierając „postawę spokoju”, a następnie — kiedy krytyka osiągnęła nieznosny dla niego poziom — podjął nieśmiałe kroki pragnąc dowieść, że sprawa nie przedstawia się aż tak źle. Ale na Wzgórzu Kapitolińskim mimo wszy-

stko nie chciano mu wierzyć. Wówczas, w odruchu desperacji, wezwał na świadka Centralną Agencję Wywiadowczą powołując się na posiadane przez nią dane.

6

Dane te rzeczywiście potwierdzały, że radziecki program rakietowy nie wykracza poza ramy wysiłków zapewniających krajowi zdolność do wykonania obronnego uderzenia jądrowego. Kiedy jednak senacka Podkomisja Gotowości Bojowej już pod koniec stycznia 1959 roku przystąpiła do kolejnej rundy słuchania sprawy rakietowego „nienadążania” Stanów Zjednoczonych, jej członkowie wciąż jeszcze znajdowali się w stanie niewiedzy co do istnienia tych bardzo istotnych dowodów. Co więcej, wywiad trzymał je w tajemnicy nawet przed przewodniczącym senackiej Komisji Spraw Wojskowych Symingtonem, a także, jawnie naruszając ukształtowaną już tradycję, przed oficjalnymi kandydatami na prezydenta z ramienia obu wielkich partii.

Zamiast tego do notatek służbowych wywiadu zawierających oceny radzieckiego programu rakietowego z całą powagą włączono najbardziej niedorzeczne wymysły, napływające niekiedy z nieodpowiedzialnych lub anonimowych źródeł. Wynikało z nich, że ZSRR opanował już produkcję międzykontynentalnych rakiet balistycznych „drugiej generacji” i wytwarza je w tempie co najmniej kilkudziesięciu sztuk miesięcznie. Dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, Allen Dulles, występując w Kongresie też nie omieszkał potwierdzić, że osiągnięta przez Moskwę „przewaga” w zbrojeniach rakietowych w najbliższym czasie zostanie przez nią wykorzystana do wyparcia Stanów Zjednoczonych z niestabilnych regionów „świata niekomunistycznego” i rozciągnięcia na nie swego własnego wpływu politycznego i ideologicznego.

John Kennedy, jako najpoważniejszy kandydat na prezydenta, poddany został szczególnie intensywnemu urabianiu w tym duchu. Kierownictwo wywiadu, wykazując bardzo wzruszającą troskę, zaopatrzyło go nawet w kopię tak zwanego referatu Haytera, aczkolwiek oficjalnie referat ten, przygotowany przez grupę najbardziej militarystycznie nastawionych ekspertów woj-

skowych i cywilnych, istniał w dwóch zaledwie egzemplarzach — tylko dla prezydenta i Krajowej Rady Bezpieczeństwa. Przyczyna takiej usłużności była aż nadto oczywista: nawet z punktu widzenia ówczesnego kierownictwa waszyngtońskiego referat wyróżniał się nadmierną agresywnością swych zaleceń oraz patologicznym antysowiectwem.

W atmosferze kampanii wyborczej wszystko to w pełni urządziło Kennedy'ego. W dramatycznych tonach ostrzegając kraj, że egzystuje on na skraju wulkanu i że nie likwidując rakietowego „pozostawania w tyle” nie można liczyć na zachowanie niezawisłości państwowej, żądał „przywrócenia siły” za wszelką cenę, by z jej pomocą dowieść całemu światu, że czas i bieg dziejów pracuje bynajmniej nie na korzyść komunizmu. Dla osiągnięcia tego wysuwano znane już recepty: jeśli naród amerykański będzie „dobrze informowany”, to w imię szczęścia i życia własnych dzieci zgodzi się poświęcić wiele, poprze także zwiększenie wydatków wojskowych i sam wyścig zbrojeń.

7

Rządowi Eisenhowera, rzuconemu przez Centralną Agencję Wywiadowczą na pożarcie krytykom, nie pozostawało nic innego, jak tylko wkroczyć na samobójczą dla niego drogę nadmuchiwania mitu o radzieckim „niebezpieczeństwie rakietowym”. Po wystrzeleniu w październiku 1957 roku pierwszego radzieckiego sztucznego satelity Ziemi połowa całego parku bombowców strategicznych na polecenie prezydenta Eisenhowera utrzymywana była w stanie stałej gotowości bojowej. Część bombowców B-52, wyposażonych w broń jądrową, prowadziła przez całą dobę loty patrolowe w pobliżu granic radzieckich. Zwracając się w radiu i telewizji do nastraszonych tymi środkami „ostrożności” obywateli, Eisenhower wezwał ich do zaciśnięcia pasa i gotowości do rozpoczęcia następnej rundy wyścigu zbrojeń, która będzie kosztować „wiele, bardzo wiele pieniędzy”³.

Wszystko to nie mogło już, oczywiście, uratować sytuacji lub rozgrzeszyć z błędów popełnionych przez republikanów. W walce ze swym rywalem z ramienia partii demokratycznej, kandydat republikanów na prezydenta, Richard Nixon, musiał pójść na

bezprecedensowy krok — krytykę sprawującego władzę rządu wywodzącego się z jego własnej partii, a także na składanie obietnic, że po wkroczeniu do Białego Domu skończy z „niefrasobliwością” swego poprzednika i nie zadowolony się niczym innym, jak tylko osiągnięciem przez Stany Zjednoczone „decydującej” przewagi nad ZSRR pod względem potęgi rakietowo-jądrowej.

Mimo wszystko zbyt ciężkie było brzemię „grzechów” rządu Eisenhowera, a Nixona nie było stać na zatkanie wyrw, jakie powstały w stosunkach z Centralną Agencją Wywiadowczą. Kiedy pod koniec 1959 roku w Białym Domu oświadczone, że Eisenhower weźmie udział w planowanej na maj następnego roku w Paryżu konferencji na szczycie z udziałem byłych sojuszników z koalicji antyhitlerowskiej, kierownictwo wywiadu też na swój sposób włączyło się do przygotowań.

Na krótko przed wyznaczonym terminem zaczęło ono coraz bardziej stanowczo żądać od Eisenhowera zgody na dokonanie lotu szpiegowskiego nad terytorium ZSRR.

Pierwszego maja 1960 roku pilot U-2, Powers, musiał spędzić w kabinie samolotu długie godziny, jak mu się zdawało, nim nadeszła z Waszyngtonu zgoda na lot, uzyskana od coraz bardziej tracącego pewność siebie prezydenta. Następnie upłynęły cztery godziny lotu, zanim Powers w rejonie Swierdłowska został zestrzelony przez radzieckie wojska obrony powietrznej kraju. Skandal międzynarodowy, wywołany przez to wydarzenie, spowodował całkowitą utratę zaufania politycznego do rządu Eisenhowera.

8

Znalazłszy się w Białym Domu Kennedy niedługo pozostawał w stanie niewiedzy co do rzeczywistego charakteru „niebezpieczeństwa radzieckiego”. Co więcej, właśnie niedocenywanie radzieckich możliwości przeciwstawienia się szantażowi jądrowemu Stanów Zjednoczonych stało się jedną z przyczyn, które spowodowały ogłoszenie przez niego blokady Kuby w czasie kryzysu w basenie Morza Karaibskiego.

Zdumienie budzi fakt, że ten krok prezydenta został nie-

zwłocznie i z zapalem poparty przez kierownictwo Centralnej Agencji Wywiadowczej, które nie czuło się wcale zażenowane, że nieco wcześniej twierdziło coś wręcz odwrotnego. Zdaniem wielu kompetentnych badaczy amerykańskich, Kennedy nie zdecydowałby się na ryzyko konfrontacji zbrojnej z ZSRR, która groziła wtrąceniem świata w otchłań wojny jądrowej.

Jednakże stosunki między „silnymi osobowościami” z wywiadu a Kennedym nigdy nie były bezchmurne. A zapoczątkowane po kryzysie karaibskim „schodzenie prezydenta na lewo” wywoływało ich jawną irytację, stopniowo przemieniającą się w tłumioną nienawiść. Przedwczesne byłoby ferowanie ostatecznych sądów o skutkach, jakie wywarły te animozje na losy samego prezydenta, ponieważ historia jego zabójstwa wciąż jeszcze zawiera wiele niewiadomych. Jeśli nawet rola amerykańskiego wywiadu w tej sprawie pozostanie na zawsze nie wyjaśniona, nikt jednak nie może negować, że to właśnie on usiłował wykorzystać śmierć prezydenta do zrealizowania jeszcze jednej akcji antyradzieckiej, mającej za cel sprowokowanie konfliktu zbrojnego między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim.

Ledwo przebrzmiały fatalne strzały w Dallas, powodujące w całym kraju stan panicznego napięcia, a już z Centralnej Agencji Wywiadowczej zaczęły napływać „absolutnie wiarygodne” informacje o tym, że przywódcy Związku Radzieckiego jeden za drugim tajemniczo znikają z Moskwy. Wnioski nasuwały się same przez się: „władcy kremłowscy” postanowili skorzystać z panującego w kraju po śmierci prezydenta chaosu i zadać Stanom Zjednoczonym uderzenie jądrowe. Opuszczają więc teraz swoją stolicę, by nie znaleźć się wśród ofiar, jeśli Moskwa zostanie mimo wszystko zniszczona za pomocą rakiet amerykańskich, jakie pozostaną nietknięte po „totalnej napaści radzieckiej”. Z Waszyngtonu nadszedł rozkaz o ogłoszeniu stanu powszechnego „czerwonego niebezpieczeństwa”. Odpowiedzenie ambasady amerykańskiej w Moskwie przez przywódców radzieckich nazajutrz po zabójstwie prezydenta pokrzyżowało grę rozpoczętą przez Agencję. Stan zaniepokojenia trwał jednak jeszcze kilka dni, w ciągu których możliwość rozpętania wojny jądrowej — jak mówił wspomniany Corson — była „nader realna”.

Dopiero później, w toku badania działalności Centralnej Agencji Wywiadowczej przez Kongres, wyszło na jaw, że nie napływały do niej żadne informacje o zniknięciu przywódców radzieckich z Moskwy. Jej kierownictwo usiłowało zatuszować skandaliczne zdemaskowanie go twierdzeniem, że napływające z Moskwy meldunki w sposób niezrozumiały jakoś „zawieruszały się” w wirze wielokrotnie zwiększonego w okresie kryzysu strumienia doniesień. Nie potrafiło jednak wyjaśnić, w jaki sposób „zawieruszona” informacja z Moskwy przemieniła się w bardzo konkretne wiadomości o tak niebezpiecznej treści. Zresztą wskutek cechującej jej krytyków delikatności, nie usiłowali oni wyjaśnić do końca tej niezwyklej okoliczności.

9

Wysunięcie strategii „pierwszego uderzenia” w czasie, kiedy w pamięci Amerykanów świeże jeszcze były wspomnienia kryzysu w basenie Morza Karaibskiego, wymagało gruntownych starań, by móc ją „sprzedać” propagandowo. Do kampanii włączyła się nie tylko cała prasa amerykańska, lecz także liczni antysowietyści z dziedziny nauki. Najwyżej oceniono wystąpienia: analityka wojskowego Thomasa Wolfe’a za dzieło pod tytułem *Soviet Strategy at the Crossroads* (*Strategia radziecka na rozdrożu*), a także pracowników korporacji RAND, Arnolda Horelicka i Myrona Rusha, którzy w 1976 roku na zlecenie Pentagonu opracowali obszerne sprawozdanie *Strategic Power and Soviet Foreign Policy* (*Broń strategiczna a radziecka polityka zagraniczna*). Wnioski tej trójki nie pozostawiały wątpliwości, że radziecka doktryna wojenna to przede wszystkim doktryna wojny i agresji, toteż Moskwa dąży do rozciągnięcia swej władzy lub wpływów na wszystkie niekomunistyczne regiony świata.

Nie było więc nic dziwnego w tym, że Stany Zjednoczone gotowe były zasłonić Zachód piersią, to jest „prewencyjnym” uderzeniem jądrowym przed niebezpieczeństwem nadciągającym ze Wschodu. Pod koniec września 1967 roku czasopismo „Life” opublikowało sensacyjny wywiad z sekretarzem obrony McNamara. Z jego słów wynikało, że mimo wszystkich poprzednich zapewnień Pentagonu o czymś wręcz przeciwnym, Stany Zjednoczone

przystąpiły już — i szybko osiągają sukcesy w tej dziedzinie — do tworzenia jakościowo nowego rodzaju strategicznej broni zaczepnej — MIRV. Waszyngton — twierdził McNamara — musiał postąpić w ten sposób wskutek szybkiego i zastraszającego swymi rozmiarami narastania „niebezpieczeństwa radzieckiego”. Oczywistym potwierdzeniem tego faktu — według niego — było wykrycie przez organa wywiadu amerykańskiego, przede wszystkim przez Centralną Agencję Wywiadowczą, realizowanych przez Związek Radziecki przedsięwzięć zmierzających do stworzenia w rejonie Moskwy obrony przeciwrakietowej, co powodowało w wątpliwość zdolność amerykańskich sił strategicznych do dalszego spełniania funkcji środka wstrzymującego radzieckie „dążenia agresywne”. Zatem rozwijanie przez Stany Zjednoczone systemów rakietowych MIRV — konkludował McNamara — należy traktować jako posunięcie o znaczeniu wyłącznie obronnym, które, przywracając im zdolność do zadania „uderzenia odwetowego”, przywróci tym samym również ich zdolność do „powstrzymywania” „zaskakującej i nie sprowokowanej” radzieckiej „napaści” rakietowo-jądrowej.

W tym wyjaśnieniu — gdyby odpowiadało prawdzie — można byłoby dostrzec określoną logikę. Lecz istnieje równie ciekawe oświadczenie Herberta Yorka, który stał przy kołysce wszystkich niemal projektów amerykańskich systemów broni strategicznej epoki jądrowej. Wysunięcie pomysłu stworzenia wielogłowicowych systemów rakietowych — pisał on — można z pełnym uzasadnieniem odnieść do roku 1958. Do tego czasu Stany Zjednoczone zgromadziły już odpowiednie doświadczenie w pracy nad różnymi projektami obrony przeciwrakietowej. Niektóre z nich wydawały się być tak bardzo obiecujące, by w perspektywie pojawiła się możliwość stworzenia takiego systemu obrony przeciwrakietowej, który byłby zdolny do przechwytywania pojedynczych głowic bojowych, typowych dla istniejących wtedy międzykontynentalnych rakiet balistycznych pierwszej generacji. Wszystko to zmuszało kierownictwo wojskowe, by na serio zastanowić się nad stworzeniem zaczepnych systemów rakietowo-jądrowych, zdolnych do pokonywania obrony przeciwrakietowej. Sprzyjały temu również pojawiające się później wiadomości o radzieckich planach stworzenia obrony przeciw-

rakietowej. Tak powstał początkowo projekt budowy wielogłowicowego rakietowego środka przenoszenia broni jądrowej (MRV), a następnie również wieloczołowego rakietowego systemu przenoszenia ładunków bojowych o niezależnym naprowadzaniu ich na cel (MIRV) ⁴.

Pozostawmy na sumieniu Yorka dopuszczoną przez niego — mówiąc łagodnie — niezgodność między twierdzeniami, że z jednej strony zrodzenie się pomysłu MIRV stanowiło swoistą reakcję amerykańskich wojskowych na opracowywane przez nich samych projekty obrony przeciwrakietowej, a drugiej, że swoje narodziny pomysł ten zawdzięczał otrzymanym znacznie później informacjom o analogicznych badaniach rozpoczętych w ZSRR. Ważne jest przede wszystkim podkreślenie bardzo cennego świadectwa, zawartego w tej wypowiedzi: czas rozpoczęcia prac nad wieloczołowymi głowicami do rakiet — to koniec lat pięćdziesiątych, a nie rok 1966, kiedy — według McNamary — Stany Zjednoczone po raz pierwszy dowiedziały się o radzieckich pracach w tej dziedzinie.

Co się zaś tyczy rzeczywistych motywów, jakie legły u podstaw ich rozpoczęcia w Stanach Zjednoczonych, to powiedział o nich dosyć otwarcie szef oddziału perspektywicznych opracowań Departamentu Obrony John Foster. Wiosną 1969 roku, w czasie składania sprawozdań w Kongresie, odpowiadając na pytanie senatora Michaela Mansfielda, czy można uznać za wiarygodne, że projekt MIRV był reakcją na stworzenie przez ZSRR obrony przeciwrakietowej w rejonie Moskwy, Foster cynicznie zauważył, że wszystko to miało „nieco inny przebieg”. Pomysł stworzenia systemu MIRV — wyjaśnił Foster senatorowi — zawdzięcza swoje pojawienie się nie zatroskaniu Departamentu Obrony problemami pokonywania obrony przeciwrakietowej, lecz dążeniu jego kierownictwa do zapewnienia siłom strategicznym Stanów Zjednoczonych zdolności rażenia możliwie największej liczby celów na terytorium ZSRR w przypadku powzięcia decyzji o zadaniu mu „prewencyjnego” uderzenia rakietowo-jądrowego. Dopiero później — oświadczył Foster — względnie przypadkowo stwierdzono, że systemy MIRV mogą być z powodzeniem użyte również i do pokonania obrony przeciwrakietowej nieprzyjaciela ⁵.

Jeszcze bardziej zagmatwane były poglądy dotyczące planów stworzenia „broni zintegrowanej pierwszego uderzenia”. Ponieważ rozwijanie pierwszego elementu takiej broni, to jest zaczepnych systemów strategicznych MIRV, było w pełnym toku, walka namietności rozgorzała wokół projektów i programów budowy obrony przeciwrakietowej.

W Waszyngtonie dobrze zdawano sobie sprawę, że jawne rozpoczęcie nowej rundy wyścigu zbrojeń w toku niepopularnej awantury wietnamskiej oznaczałoby zwalenie na rząd nowej, niebezpiecznej fali krytyki antymilitarystycznej. Pewne trudności mogły także wyniknąć w stosunkach wzajemnych z innymi krajami Paktu Północnoatlantyckiego, gdzie rozległy się już głosy o tym, że jeśli Stany Zjednoczone będą dysponowały „parasolem” przeciwrakietowym, to mogą zaryzykować rozpętanie światowej wojny jądrowej, biorąc pod uwagę jedynie swoje własne interesy i niezbyt obciążając siebie troską o ewentualne losy partnerów europejskich. Wszystkie te względy powodowały, że Waszyngton nie śpieszył się z powzięciem decyzji o budowie systemu przeciwrakietowego pod pretekstem konieczności dodatkowego zbadania problemów technicznych, sprawdzenia schematu rozwinięcia systemu i powiązania projektu z obszerniejszym programem dotyczącym zmniejszenia strat wskutek „napaści” jądrowej.

W kołach wojskowych i wojskowo-przemysłowych takie stanowisko rządu nie mogło nie wywołać niezadowolenia. Działająca w ich interesach grupa w łonie Kongresu zademonstrowała swoje wpływy przyjmując ustawę o dodatkowym wyasygnowaniu środków na realizację wielkiego programu budowy obrony przeciwrakietowej. Potężne siły — uprzedzał senator Young — wywierały i będą wywierać kolosalny nacisk na rząd i Kongres, żądając jak najszybszego zaspokojenia swych żądań dotyczących stworzenia systemu obrony przeciwrakietowej. Wystarczy powiedzieć, że rozwinięciem nawet „ograniczonego” wariantu takiego systemu było bezpośrednio zainteresowanych około trzydzieści wielkich korporacji przemysłowych, których przedsiębiorstwa znajdowały się w 42 stanach kraju. Uwzględniając zaś

pokrewne gałęzie przemysłu oraz podwykonawców, liczba zainteresowanych firm sięgała astronomicznej liczby 15 000.

Wszystko to zmusiło rząd do energicznych poszukiwań najefektywniejszego propagandowego uzasadnienia, kolejnego „sprzedania” opinii publicznej nowej broni. Podjęte przez Biały Dom próby „antychińskiej” aranżacji projektu *Sentinel* zakończyły się całkowitym niepowodzeniem. Nie licząc już na to, że jakiekolwiek argumenty przyczynią się do osiągnięcia lepszych wyników propagandowych w odniesieniu do nowego systemu — *Safeguard*, którego koszty, według niektórych ocen, mogły oscylować wokół 400 miliardów dolarów, prezydent Nixon w połowie marca 1969 roku uczynił nierozważny krok. Powołując się na swój intuicyjny niepokój o bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych i całego świata, oświadczył, że musi wziąć na siebie osobistą odpowiedzialność i zdecydować o rozwijaniu systemu obrony przeciwrakietowej na wypadek ewentualnej „napaści radzieckiej”⁶.

Wywołany przez tę decyzję wybuch krytyki rządu szybko podpowiedział Waszyngtonowi, że intuicja prezydenta nie jest najlepszym argumentem w stawianiu na wyścig zbrojeń. W związku z powyższym Biały Dom, nie tracąc czasu, uciekł się do znanej mu i niezawodnej taktyki natarcia pod osłoną „niebezpieczeństwa radzieckiego”. Jeszcze przed upływem tegoż miesiąca sekretarz obrony Laird — według gazet amerykańskich — „detonuje bombę”, oświadczając na wspólnym posiedzeniu Komisji Sił Zbrojnych i Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu, że rząd tym razem dysponuje nowymi informacjami wywiadowczymi o radzieckich planach zadania Stanom Zjednoczonym „pierwszego uderzenia”. Do okresu 1972—1973 — rozwijał on tę tezę w kolejnych wystąpieniach — ZSRR uzyska już możliwość niszczenia nie tylko amerykańskich międzykontynentalnych rakiet bazujących na lądzie, lecz także uzbrojonych w rakiety okrętów podwodnych, w dodatku w tak znacznym procencie, że Stany Zjednoczone utracą zdolność do „odwetu”, a tym samym i chroniącą ich zdolność do „powstrzymywania” napaści radzieckiej — jeszcze przed taką napaścią. Pokrzepiony na duchu prezydent Nixon potwierdził, że tak jest w rzeczywistości. O ile poprzednio powzięta przez niego decyzja o rozwi-

nięciu systemu obrony przeciwrakietowej nie mogła być oparta na nowych danych wywiadowczych — oświadczył — o tyle teraz takie dane istnieją, a krytycy mogą się przekonać o słuszności jego przewidywań⁷.

Zgłoszony przez rząd falsyfikat nie wzbudził jednak zaufania. Jeden z senatorów przypomniał wówczas w Kongresie, że — jak mu wiadomo — zaledwie kilka miesięcy temu Departament Obrony sądził, że ZSRR pragnie zapewnić sobie możliwość zadania uderzenia odwetowego, a nie „pierwszego”. Trudno sobie wyobrazić — oświadcza Stone — jakie muszą być tak zwane dane wywiadowcze, żeby rzeczywiście mogły obalić kształtujące się w ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci wyobrażenie o obronnym charakterze radzieckich zbrojeń strategicznych.

Wywiad wojskowy i Centralna Agencja Wywiadowcza podkreślał senator Millard Tydings — od wielu lat wiedziały o istnieniu radzieckich międzykontynentalnych rakiet balistycznych uzbrojonych w potężne ładunki bojowe, lecz były one zawsze traktowane jako część sił odwetowego uderzenia ZSRR. Nieoczekiwanie i bez jakichkolwiek wyjaśnień sekretarz obrony Laird ogłosił je bronią „pierwszego uderzenia”. Niedorzeczność takich oświadczeń była oczywista.

11

Taki rozwój wydarzeń, zwłaszcza zaś coraz wyraźniejsze przechodzenie do obozu przeciwników projektu *Safeguard* wielu znanych prawicowych działaczy politycznych, powinno było wzmocnić czujność rządu prezydenta Nixona. Wydawało się jednak, że utracił on wszelką zdolność orientowania się w sytuacji. Występując na posiedzeniu Komisji Budżetowej Izby Reprezentantów sekretarz obrony, Laird, nie wymyślił nic lepszego, jak tylko to, by bezsensownie powtarzać faktycznie zdemaskowane już twierdzenia, że budowa systemu *Safeguard* jest koniecznością ze względu na realnie istniejące niebezpieczeństwo zapewnienia sobie przez Związek Radziecki zdolności zadania Stanom Zjednoczonym „pierwszego uderzenia”, co jakoby potwierdzają nie budzące żadnych wątpliwości dane wywiadowcze.

Na pierwszy rzut oka takie rutynowe przegrywanie przez rząd

tej samej płyty nie powinno było doprowadzić do jakichkolwiek niespodzianek. Tym razem jednak chwyt ów stał się dla niego prawdziwym koszmarem.

13 czerwca 1969 roku na posiedzeniu senackiej Komisji Budżetowej wystąpił Symington. Przypomniawszy swym kolegom jak często naiwnie przyjmowali na wiarę wszelkie oświadczenia rządu o „niebezpieczeństwie radzieckim”. Na początku lat pięćdziesiątych — powiedział senator — były to domniemania dotyczące budowy przez Związek Radziecki tysięcy bombowców strategicznych przeznaczonych do zadania uderzenia jądrowego. W rzeczywistości czegoś podobnego nie było, nawet w przybliżeniu. Ale zanim wyszło to na jaw, Kongres mimo woli odegrał żalosną rolę pomocnika Pentagonu we wzmaganiu wyścigu zbrojeń. Mimo to pod koniec tych samych lat pięćdziesiątych rzadko kto nie dał się złapać na wędkę Pentagonu, który tym razem stwierdził raketowe „nienadążanie” Stanów Zjednoczonych. Wymieniane wtedy fantastyczne liczby wzrostu radzieckiego arsenału raketowego zostały później przez niego samego pomniejszone minimum o 96,5%. Ale do tego czasu nowy straszak znów zdążył odegrać wyznaczoną mu rolę. Powtórzenie czegoś podobnego w chwili obecnej jest po prostu niedopuszczalne, a Kongres powinien już przestać wpadać w panikę tylko dlatego, że ktoś tam ponownie usiłuje wywołać taki stan za pomocą starego chwytu — zastraszenia go „radzieckim niebezpieczeństwem”. Kongres ma prawo i powinien znać prawdę.

Przewodniczący senackiej Komisji Spraw Zagranicznych, Fulbright, całkowicie popierając to żądanie poprosił Lairda o dokładne wyjaśnienie, na jakie właściwie informacje Centralna Agencja Wywiadowcza powoływała się w swym wystąpieniu. Wyczuwszy niebezpieczeństwo zdemaskowania Laird zażądał, by jego oświadczenie w tej sprawie zostało wysłuchane na zamkniętym posiedzeniu i żeby jednocześnie mógł złożyć oświadczenie również dyrektor Agencji Jesse Helms.

Posiedzenie takie odbyło się 23 czerwca 1969 roku. Oświadczenie Helmsa jednak zawiodło oczekiwania Lairda, toteż w toku przygotowywania protokołu z posiedzenia do opublikowania zażądał, żeby zostało ono usunięte z tekstu. Również w opublikowanym „wyjaśniającym” piśmie sekretarz obrony usiłował

nięciu systemu obrony przeciwrakietowej nie mogła być oparta na nowych danych wywiadowczych — oświadczył — o tyle teraz takie dane istnieją, a krytycy mogą się przekonać o słuszności jego przewidywań⁷.

Zgłoszony przez rząd fałszyfikat nie wzbudził jednak zaufania. Jeden z senatorów przypomniał wówczas w Kongresie, że — jak mu wiadomo — zaledwie kilka miesięcy temu Departament Obrony sądził, że ZSRR pragnie zapewnić sobie możliwość zadania uderzenia odwetowego, a nie „pierwszego”. Trudno sobie wyobrazić — oświadcza Stone — jakie muszą być tak zwane dane wywiadowcze, żeby rzeczywiście mogły obalić kształtujące się w ciągu dwóch ostatnich dziesięcioleci wyobrażenie o obronnym charakterze radzieckich zbrojeń strategicznych.

Wywiad wojskowy i Centralna Agencja Wywiadowcza podkreślał senator Millard Tydings — od wielu lat wiedziały o istnieniu radzieckich międzykontynentalnych rakiet balistycznych uzbrojonych w potężne ładunki bojowe, lecz były one zawsze traktowane jako część sił odwetowego uderzenia ZSRR. Nieoczekiwanie i bez jakichkolwiek wyjaśnień sekretarz obrony Laird ogłosił je bronią „pierwszego uderzenia”. Niedorzeczność takich oświadczeń była oczywista.

11

Taki rozwój wydarzeń, zwłaszcza zaś coraz wyraźniejsze przechodzenie do obozu przeciwników projektu *Safeguard* wielu znanych prawicowych działaczy politycznych, powinno było wzmocnić czujność rządu prezydenta Nixona. Wydawało się jednak, że utracił on wszelką zdolność orientowania się w sytuacji. Występując na posiedzeniu Komisji Budżetowej Izby Reprezentantów sekretarz obrony, Laird, nie wymyślił nic lepszego, jak tylko to, by bezsensownie powtarzać faktycznie zdemaskowane już twierdzenia, że budowa systemu *Safeguard* jest koniecznością ze względu na realnie istniejące niebezpieczeństwo zapewnienia sobie przez Związek Radziecki zdolności zadania Stanom Zjednoczonym „pierwszego uderzenia”, co jakoby potwierdzają nie budzące żadnych wątpliwości dane wywiadowcze.

Na pierwszy rzut oka takie rutynowe przegrywanie przez rząd

tej samej płyty nie powinno było doprowadzić do jakichkolwiek niespodzianek. Tym razem jednak chwyt ów stał się dla niego prawdziwym koszmarem.

13 czerwca 1969 roku na posiedzeniu senackiej Komisji Budżetowej wystąpił Symington. Przypomniawszy swym kolegom jak często naiwnie przyjmowali na wiarę wszelkie oświadczenia rządu o „niebezpieczeństwie radzieckim”. Na początku lat pięćdziesiątych — powiedział senator — były to domniemania dotyczące budowy przez Związek Radziecki tysięcy bombowców strategicznych przeznaczonych do zadania uderzenia jądrowego. W rzeczywistości czegoś podobnego nie było, nawet w przybliżeniu. Ale zanim wyszło to na jaw, Kongres mimo woli odegrał żalosporną rolę pomocnika Pentagonu we wzmaganiu wyścigu zbrojeń. Mimo to pod koniec tych samych lat pięćdziesiątych rzadko kto nie dał się złapać na wędkę Pentagonu, który tym razem stwierdził rakietowe „nienadążanie” Stanów Zjednoczonych. Wymieniane wtedy fantastyczne liczby wzrostu radzieckiego arsenału rakietowego zostały później przez niego samego pomniejszone minimum o 96,5%. Ale do tego czasu nowy straszak znów zdążył odegrać wyznaczoną mu rolę. Powtórzenie czegoś podobnego w chwili obecnej jest po prostu niedopuszczalne, a Kongres powinien już przestać wpadać w panikę tylko dlatego, że ktoś tam ponownie usiłuje wywołać taki stan za pomocą starego chwytu — zastraszenia go „radzieckim niebezpieczeństwem”. Kongres ma prawo i powinien znać prawdę.

Przewodniczący senackiej Komisji Spraw Zagranicznych, Fulbright, całkowicie popierając to żądanie poprosił Lairda o dokładne wyjaśnienie, na jakie właściwie informacje Centralna Agencja Wywiadowcza powoływała się w swym wystąpieniu. Wyczuwszy niebezpieczeństwo zdemaskowania Laird zażądał, by jego oświadczenie w tej sprawie zostało wysłuchane na zamkniętym posiedzeniu i żeby jednocześnie mógł złożyć oświadczenie również dyrektor Agencji Jesse Helms.

Posiedzenie takie odbyło się 23 czerwca 1969 roku. Oświadczenie Helmsa jednak zawiodło oczekiwania Lairda, toteż w toku przygotowywania protokołu z posiedzenia do opublikowania zażądał, żeby zostało ono usunięte z tekstu. Również w opublikowanym „wyjaśniającym” piśmie sekretarz obrony usiłował

usprawiedliwić swoje poczynania tym, że było to niezbędne dla zachowania w tajemnicy metod działania wywiadu używanych przy zbieraniu inkryminowanych ZSRR informacji. Ale zdaniem Fulbrighta — które przedstawił w liście otwartym stanowiącym odpowiedź Lairdowi — rzeczywistym motywem posunięcia tego ostatniego była chęć ukrycia faktu, że w łonie wywiadu istnieją poważne rozbieżności w ocenach radzieckich planów wojskowych i już to jedno podaje w wątpliwość wiarygodność oświadczeń rządu o istnieniu „niebezpieczeństwa radzieckiego”.

Cała ta skandaliczna historia nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości co do tego, że tym razem podjęta przez kierownictwo resortu wojskowego próba skorzystania z poparcia Centralnej Agencji Wywiadowczej w dziele przedstawienia kolejnych domniemań o „niebezpieczeństwie radzieckim” zawiodła i Helms nieoczekiwanie odmówił „współpracy” w tej sprawie z Lairdem, a także z rządem prezydenta Nixona. W tym dziwnym na pierwszy rzut oka konflikcie, jak w kropli wody odbiły się istniejące w owym czasie różnice poglądów między różnymi amerykańskimi ugrupowaniami politycznymi i wojskowymi dotyczące dalszych dróg wzmagania wysiłku zbrojeń i osiągnięcia „decydującej” przewagi militarnej.

Na „zdradę” Helmsa Nixon zdążył jeszcze zareagować jego późniejszym odwołaniem ze stanowiska dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej, lecz jego własny los też został przesądzony. Niedaleki był już czas, w którym miał pójść w ślady Helmsa, ale w znacznie bardziej nieprzyjemnych okolicznościach.

12

Zrealizowanie akcji *Watergate*, jak to coraz bardziej wychodzi obecnie na jaw, byłoby raczej niemożliwe, gdyby za jej kulisami nie stała Centralna Agencja Wywiadowcza. Ale ten „sukces” nie mógł już zmienić faktu, że również prestiż jej samej został poważnie nadwątlony przez poprzednie batalie z rządem. Dlatego właśnie rząd prezydenta Forda, ponownie wyprowadzający okręt państwowy na toń „zimnej wody”, nie mógł od razu oprzeć się na Agencji w ujawnieniu potrzebnych mu jeszcze bardziej niż poprzednikom „dowodów” świadczących o „niebez-

pieczeństwie radzieckim". Chcąc wyjść z tego położenia postanowiono zaangażować do wykonania tej wzniosłej misji różne „organizacje społeczne”. Na polecenie prezydenta Forda stworzona została między innymi tak zwana „Grupa B” (*Team B*), której właśnie „powierzono” wydanie beznamietnego sądu o istniejących ocenach poziomu „niebezpieczeństwa radzieckiego”.

Uwzględniając fakt, że doboru członków „Grupy B” dokonano na najwyższym szczeblu, można uważać za prawidłowość włączenie do niej najbardziej antyradziecko nastawionych „prywatnych osób amerykańskich”, w tym również byłego podsekretarza w Departamencie Obrony, milionera Paula Nitze oraz profesora Richarda Pipesa, którzy stali się później jednymi z najbardziej wpływowych członków reakcyjnego Komitetu Współczesnego Zagrożenia. A mając takich ludzi „Grupa B” nie mogła zawieść pokładanych w niej nadziei. Konkluzja opracowanego przez nią referatu sprowadzała się do tego, że surowa rzeczywistość polega na nie budzącym żadnej wątpliwości kursie Moskwy na zmasowane zwiększanie swego potencjału strategicznego, aby wykorzystać go do napaści lub wywarcia nacisku militarnego na Stany Zjednoczone i inne państwa „wolnego świata”.

13

„Zaniepokojona społeczność” okazała się dogodnym narzędziem napędzania strachu przed „niebezpieczeństwem radzieckim” również w okresie późniejszym. Nie minęło kilka dni od wyboru Jimmy Cartera na prezydenta Stanów Zjednoczonych, a Komitet Współczesnego Zagrożenia już zwołał konferencję prasową, na której jego kierownictwo zaznajomiło dziennikarzy z „radzieckimi planami” ustanowienia panowania nad światem i realizowanym w tym celu przez Moskwę „nie mającym precedensu” zwiększaniem swoich sił zbrojnych. Zwracając się do Cartera, który nawet nie zdążył jeszcze wprowadzić się do Białego Domu, Komitet zaklinał nowego prezydenta, by podjął wszelkie kroki dla ratowania państwa od oczekującego je losu. A los ten, jak wyjaśnił jego przewodniczący — Nitze, rzeczy-

wiecie był nie do pozazdroszczenia: po zadaniu przez ZSRR niewielką częścią jego sił strategicznych uderzenia raketowo-jądrowego, kilka setek ocalałych rakiet amerykańskich byłoby żalną zabawką wobec zachowanej przez Moskwę zdolności skierowania na Stany Zjednoczone jeszcze przeszło dziesięciu tysięcy megaton swoich ładunków jądrowych i zlikwidowania ich w ten sposób jako cywilizowanego państwa. Niebezpieczeństwo takiego rozwoju wydarzeń — pisało czasopismo „Foreign Affairs”, które zapewne zrezygnowało z reputacji solidnego wydawnictwa naukowego — szczególnie wzrosło w połowie lat osiemdziesiątych, ponieważ warunki zakładane w porozumieniach o ograniczeniu zbrojeń strategicznych pozwolą Związkowi Radzieckiemu stworzyć potencjał wystarczający do zniszczenia większości jeśli nawet nie wszystkich amerykańskich międzykontynentalnych rakiet balistycznych w wyniku pierwszego uderzenia rozbijającego⁸. W odpowiedzi na te sygnały określone instytucje państwowe uzyskały teraz wszelkie podstawy do przygotowania swoich bardziej szczegółowych referatów. Autorom jednego z nich udało się nawet z matematyczną dokładnością określić, że zadane Stanom Zjednoczonym w połowie lat osiemdziesiątych nagłe radzieckie uderzenie raketowo-jądrowe zniszczy 90% amerykańskich międzykontynentalnych rakiet balistycznych bazujących na lądzie.

Ale jeszcze przed nadejściem połowy lat osiemdziesiątych, pod koniec pierwszej dekady listopada 1979 roku, północnoamerykański system obrony powietrznej NORAD wykrył mknące w kierunku kontynentu amerykańskiego radzieckie rakiety. Ogłoszono alarm jądrowy. Bazy raketowe w całym kraju postawiono w stan gotowości bojowej. W powietrze uniosły się bombowce. I chociaż — jak się później okazało — całe to zamieszanie wynikło z błędu komputera, incydent stał się „dowodem”, że dla Stanów Zjednoczonych, nadszedł czas zmiany punktu widzenia na strategię wojenną i rozwinięcia takich systemów broni, które pozwoliłyby w przyszłości „powstrzymać” agresywne dążenia Moskwy w sposób bardziej radykalny — poprzez zadanie Związkowi Radzieckiemu „rozbijającego” uderzenia raketowo-jądrowego. We właściwym czasie gotowe było także naukowe uzasadnienie tego pomysłu. Honor do-

konania w tej dziedzinie obywatelskiego czynu bohaterskiego należał w tym przypadku do Rogera Speeda, który w 1979 roku opublikował książkę natychmiast dźwigniętą na szczyty propagandy amerykańskiej: *Strategic deterrence in the 1980s* (*Powstrzymywanie strategiczne w latach osiemdziesiątych*).

Zdumiewająca przenikliwość! Wszak nie upłynie nawet rok, jak do takiego samego wniosku dojdzie również rząd prezydenta Cartera, utrwalając go we wspomnianej dyrektywie nr 59. Jak gdyby wszystko stanęło na swoim miejscu. Lecz mimo to obrazowi narastającego „niebezpieczeństwa radzieckiego” — przynajmniej rysowanemu przez Waszyngton — brakowało siły przekonania. W rzeczy samej, nawet zakładając, że jedna z części składowych triady amerykańskich sił strategicznych — międzykontynentalne rakiety balistyczne bazujące na lądzie — mogła być narażona na całkowite niemal zniszczenie w wyniku zaskakującej „napaści” radzieckiej, trudno było zaprzeczyć oponentom, że pozostałych dwóch części, to jest uzbrojonych w rakiety okrętów podwodnych i bombowców strategicznych, w zupełności wystarczy do zadania ZSRR bardziej niż dotkliwego uderzenia „odwetowego”, a więc i do zapobieżenia takiej „napaści”.

Szykując się do przekazania steru władzy swym następcom rząd prezydenta Cartera postarał się naprawić ten błąd. W roku 1980 w rocznym sprawozdaniu dla Kongresu sekretarz obrony Brown wyjaśnił, że Stany Zjednoczone powinny oceniać „niebezpieczeństwo radzieckie” wychodząc nie z realnego stosunku sił, lecz uwzględniając perspektywy, a także powinny przewidzieć czas, kiedy amerykańskie siły strategiczne, niezależnie od rodzaju ich bazowania, okażą się bezbronne w obliczu tego samego „niebezpieczeństwa radzieckiego”.

14

W połowie trzeciego miesiąca kadencji nowego gospodarza Białego Domu, Ronalda Reagana, strzela do niego „prawdopodobnie tajny agent Moskwy”. Okazuje się jednak, że był to swawolny synek milionera, niejaki John Hinckley. Na razie jednak, w kłębowskiu ciał szamocze się nieodłączny towarzysz prezydenta,

którego ręka jest zawsze zaciśnięta na uchwycie czarnej walizeczki zawierającej portatywny dalekopis — właśnie ten czynnik inicjujący, który może uruchomić mechanizm wojny rakietowo-jądrowej! Ale — o potworności! — opancerzona limuzyna prezydenta z rannym Reaganem już znika za zakrętem i upłynie co najmniej pół godziny, zanim identyczna walizeczka wręczona zostanie wiceprezydentowi. A tymczasem radzieckie rakiety mogą już być w powietrzu i szybko podążać ku brzegom Ameryki! W owej chwili Stany Zjednoczone są zupełnie bezbronne i nawet nie ma komu wydać rozkazu o wykonaniu uderzenia odwetowego na agresora! Zresztą nie jest to ściśle. Pentagon nie śpi i gdy tylko do mieszczącego się w jego kondygnacji piwnicznej narodowego ośrodka dowodzenia dociera wiadomość o tym, co zaszło — wszystkim dowódcom rodzajów sił zbrojnych przekazuje się rozkaz być w gotowości do wydarzeń „potencjalnie ciężkich” dla bezpieczeństwa narodowego. A takie wydarzenia mogłyby nastąpić, gdyby w ciągu tej pół godziny jakimś komputerowi NORAD znów się przywidziały radzieckie rakiety. Wszystko to przypominało nieudane przedstawienie rozegrane przez Centralną Agencję Wywiadowczą po zabójstwie prezydenta Kennedy’ego, ale kto może zaręczyć, że w podobnych okolicznościach nie zostanie odegrane do końca?

Ani prezydent Reagan, ani jego ekipa nie planowała oczywiście takiego zwrócenia uwagi amerykańskiej opinii publicznej na „niebezpieczeństwo radzieckie”. Ale to wydarzenie, które wywarło silne wrażenie w kraju, dopóki towarzyszące mu okoliczności nie były jeszcze znane, stało się przysłowiowym prochem na panewce służącym rozwinięciu nowej kampanii wzmacniania strachu przed takim „niebezpieczeństwem”. Nie tracono więc czasu. Prezydent Reagan był jeszcze rekonwalescentem, a jego sekretarz obrony Weinberger już zapowiadał „totalne” zbrojenie się do walki z „niebezpieczeństwem radzieckim”, jakie zawisło nie tylko nad krajem, lecz zagrażało również interesom Stanów Zjednoczonych w całym świecie.

Potwierdził to sam Reagan, gdy tylko zaczął się pokazywać publicznie. Bezcenna okazała się teraz logika zdymisjonowanego sekretarza obrony Browna. Opierając się na niej łatwo było uzasadnić, na przykład, program budowy systemu rakietowego MX

troską o zmniejszenie wrażliwości na uderzenia jednego z komponentów amerykańskiej triady jądrowej, a rozwinięcie systemu *Trident* — rozsądnymi posunięciami zmierzającymi do zmniejszenia tego niebezpieczeństwa. Krytyków, którzy w taki sam sposób jak były dyrektor Agencji Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia, Paul Warnke mówili o całkowitej niedorzeczności oświadczeń, iż Stany Zjednoczone rzekomo okazały się wrażliwe na „pierwsze uderzenie” Rosjan, do jakiego oni się przygotowują, zaatakowano przygotowaną przez Pentagon pod koniec września hurrapatriotyczną broszurą — *Radziecka potęga militarna*. Każdy, kto ją przeczytał, zaczynał zdawać sobie sprawę, że to nie Warnke ma rację. Moskwa z jej „tradycyjnymi ciągotami do militarizmu” i dysponując olbrzymią przewagą w zaczepnej mocy jądrowej nie mogła, oczywiście, nie snuć planów zadania Stanom Zjednoczonym „pierwszego uderzenia”.

Gospodarz Białego Domu z nową siłą rzucał Moskwie bezpardonowe oskarżenia o „agresywność” i „powiększanie radzieckiej potęgi jądrowej”. Prezydent rozpałił się do tego stopnia, że nie oszczędził nawet swych poprzedników, którzy w latach siedemdziesiątych ośmielili się zrezygnować z polityki „z pozycji siły” i prowadzić rokowania z ZSRR z zachowaniem zasady jednakowego bezpieczeństwa, co właśnie doprowadziło do nieprzewidzianego wzrostu „zagrożenia radzieckiego”.

Sądząc zapewne, że dla zastraszenia własnego kraju i świata tym „zagrożeniem” zrobiono już wiele, Waszyngton wkrótce zdecydował się — traktując to jako sondaż opinii publicznej — na „przeciek” tajnej informacji o przygotowywaniu się — ale nie Związku Radzieckiego, lecz Stanów Zjednoczonych — do „przewlekłej” wojny jądrowej.

Nieoczekiwana dla Waszyngtonu reakcja panicznego strachu, jakim kraj zareagował na takie zaiste śmiertelne niebezpieczeństwo, zmusiła go do chwilowego poszukiwania obrony przed krytyką pod osłoną tego samego, wypróbowanego „zagrożenia radzieckiego”. Sekretarz obrony Weinberger, który niezwłocznie wystąpił przed kamerami telewizji, pośpieszył zapewnić swych rodaków, że to ZSRR zajęty jest przygotowaniami potencjału do prowadzenia przewlekłej wojny jądrowej i Moskwa zapewne liczy na odniesienie w niej zwycięstwa.

Ale nikt w to nie uwierzył. Jednakże politycy amerykańscy zrobieni są z mocnego materiału. I w murach parlamentu brytyjskiego, i z trybuny Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, na konferencjach prasowych i w wywiadach udzielanych dziennikarzom bez przerwy rozlegają się zapamiętałe zaklęcia Reagana i jemu podobnych, pragnących zahipnotyzować, otumanić rozum oraz zdławić wolę tych, którzy nie chcą wojny, widmem „zagrożenia radzieckiego”.

A dla zwiększenia siły przekonania, że sprawa rzeczywiście wygląda poważnie, rząd prezydenta Reagana tak samo, jak zrobiono to pewnego razu również za prezydenta Kennedy’ego, przyjmuje i demonstracyjnie realizuje program posunięć, których celem jest zorganizowanie tak zwanej obrony cywilnej. Ma ona zadziałać po dokonaniu przez ZSRR „napaści” jądrowej na Stany Zjednoczone. Dwóm trzecim ludności kraju przyrzeka się ewakuację w „bezpieczne rejony” i do schronów. Wzruszająca troska!

Jak wobec tego wytłumaczyć ukazanie się tajnego memorandum WW-7405-26, sporządzonego na zamówienie Departamentu Energetyki, do którego kompetencji należy produkcja wszystkich zapasów amerykańskiej broni jądrowej? Wszak stwierdza się w nim wprost, że jeśli w toku „przewlekłej” wojny jądrowej wyłoni się konieczność poszukiwania przez ludzi wody czy pożywienia, to należy do tego kierować tych, którym „pozostało już niewiele życia” — starców, chorych, wycieńczonych. Tak się zamierza z nimi postąpić później, dzisiaj natomiast, strasząc „zagrożeniem radzieckim”, wymaga się od nich „ofiarności” i cichej wiary w mądrość polityków, którzy dążą do rozpętania tej właśnie „przewlekłej” wojny jądrowej.

15

Niełatwo było również mieszkańcom Europy Zachodniej, zwłaszcza że Waszyngton wołałby prowadzić wojnę jądrową właśnie w Europie. Sekretarz stanu Haig, który w początkach maja 1981 roku przebywał w Rzymie na sesji Rady Paktu Północnoatlantyckiego, powrócił do domu zaniepokojony pierwszymi oznakami nadciągającej tam burzy antywojennej. Postano-

wiono na serio zająć się przygotowaniem obliczonej specjalnie na kraje Europy Zachodniej kampanii propagandowej, której celem miało być „adekwatne do wymogów sytuacji” przekonanie jej krnąbrnych mieszkańców, że Rosjanie rzeczywiście stanowią olbrzymie zagrożenie pokoju w Europie, jak mówi prezydent Reagan.

Przygotowywano się starannie i dokładnie. Minęło lato, zanim prezenter sieci telewizyjnej ABC mógł wreszcie zawiadomić, że Stany Zjednoczone są przygotowane i lada dzień przystąpią do prowadzenia takiej kampanii w „nie mającej precedensu, masowanej” skali. Jako jej straż przednią wypuszczono sekretarza obrony Weinbergera. Jeśli kraje Europy Zachodniej — oświadczył w wywiadzie dla czasopisma „Der Spiegel” — nie odpowiedzą wraz ze Stanami Zjednoczonymi na rzucone wyzwanie radzieckie, to nikt nie może ręczyć za zachowanie w przyszłości pokoju i stabilności. Europa musi się zbroić. W dodatku irytuje to, że radziecka przewaga militarna w niemalym stopniu opiera się na korzystaniu z działającej na całej kuli ziemskiej sieci agenturalnej: Rosjanie „albo kupują, albo kradną” krajom zachodnim tę doskonałą technikę wojskową, w jaką wyposaża się później siły zbrojne ZSRR.

Dopóki w Europie Zachodniej dziwiono się z tego własnego prostactwa, w Departamencie Stanu zdążono przygotować i wydać książkę: *Aktywne przedsięwzięcia Związku Radzieckiego: fałszowanie dokumentów, dezinformacja, operacje polityczne*. Przytaczane w niej „dowody” pozwalały uzmysłwić jeszcze jedną, może nawet straszniejszą „gafę” polityków zachodnioeuropejskich, którzy masowy ruch antywojenny w swych krajach brali za czystą monetę, podczas gdy w rzeczywistości było to dziełem podstawionych organizacji „wykonujących zamówienia Moskwy”. Występując na spotkaniu z redaktorami prowincjonalnych gazet amerykańskich 17 października 1981 roku prezydent Reagan uroczyście potwierdził, że europejski ruch bojowników o pokój — to wynik owej długofalowej aktywności wywrotowej, za którą wyraźnie widać „pazur” Związku Radzieckiego. Wszystkie te demonstracje — dodał później przed kamerami PBC — inspirowane są przez jakąś Światową Radę Pokoju, przekupioną i opłacaną przez Związek Radziecki^o.

Europa Zachodnia wreszcie też przejrzała na oczy. W początkach maja 1982 roku sekretarz Organizacji Paktu Północnoatlantyckiego, Josef Luns, zorganizował w siedzibie jej kierownictwa w Evere konferencję prasową, na której zaproponowano nową broszurę o stosunku sił między tym blokiem a Układem Warszawskim. Według Lunsa, specjaliści Paktu mozolnie trudzili się nad nią ponad sześć miesięcy i teraz z uzasadnioną dumą mogli powiedzieć, że prezydent Reagan miał stuprocentową rację mówiąc, iż kraje Układu Warszawskiego rzeczywiście dysponują olbrzymią przewagą we wszystkich rodzajach zbrojeń. Potrzebna jest więc nie redukcja, lecz powiększanie zbrojeń własnych. Inicjatywa ta została wysoko oceniona w Białym Domu, skąd nadeszła wiadomość, że prezydent gratuluje wniesionego w ten sposób wkładu w „lepsze zrozumienie przez społeczność” Europy Zachodniej rzeczywistego stosunku sił w świecie. Wiadomo jednak, że realna, a nie wymyślona społeczność krajów Europy Zachodniej nie ma z tym nic wspólnego.

Z chwilą przyjscia do władzy ekipa Reagana w swym pragnieniu dowiedzenia rzeczy nie poddających się dowodzeniu, czyli zaszczepienia przekonania o zagrażającym światu „niebezpieczeństwie radzieckim”, zmienia taktykę. Przekonawszy się o małej skuteczności demagogicznego zastraszania tym „niebezpieczeństwem” światowej opinii publicznej, przechodzi do organizowania bezczelnych prowokacji, które jej zdaniem, mają zademonstrować „krwiożerczość komunizmu radzieckiego”. Postępuje się przy tym w ten sposób, by niezależnie od wyniku mieć wygraną.

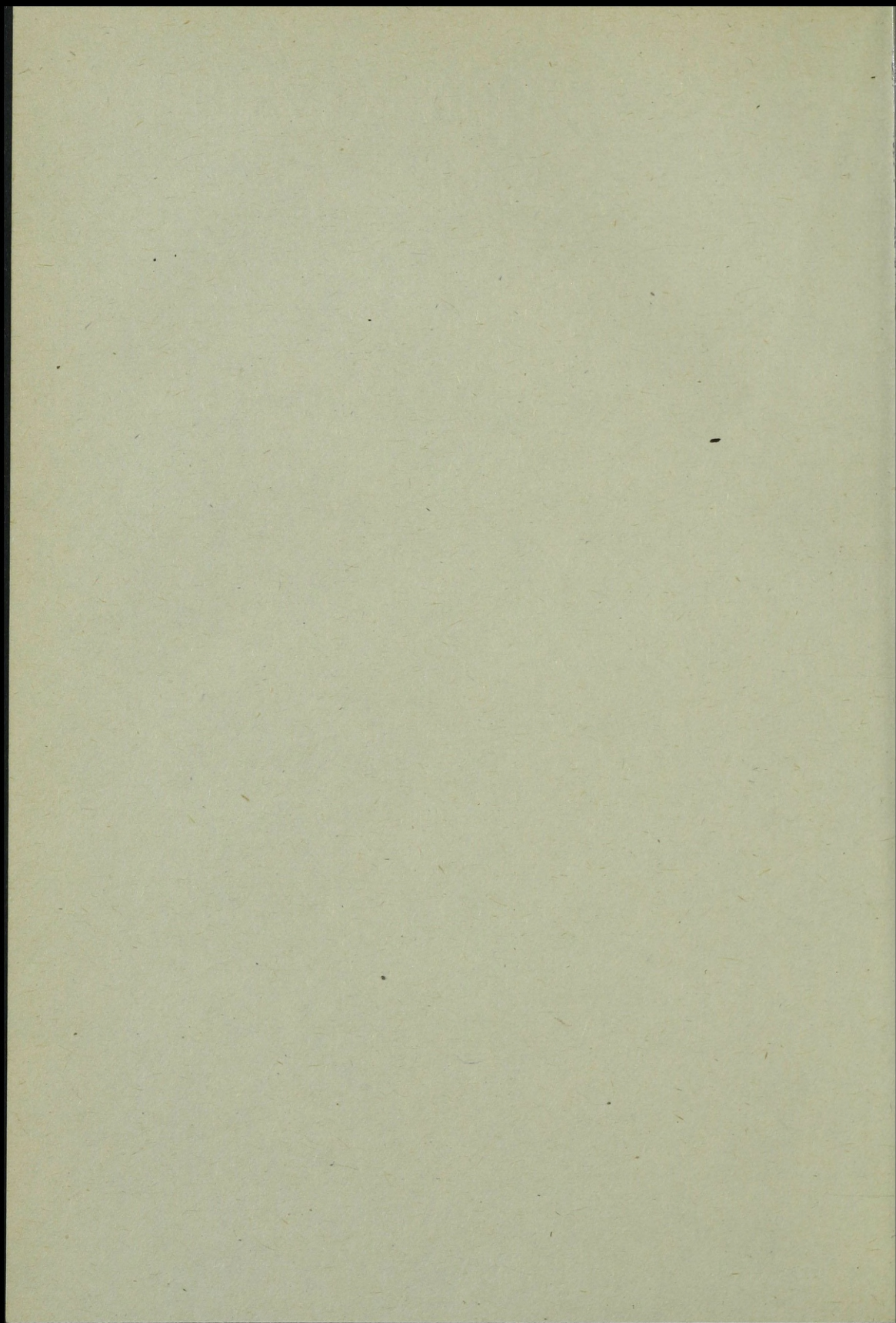
Tragicznym tego przykładem może być incydent z południowokoreańskim samolotem Boeing-747 (we wrześniu 1983 roku — *przyp. red. pol.*). Postawiono na kartę życie nie podejrzewających o grożącym im śmiertelnym niebezpieczeństwie pasażerów. Waszyngton nie mógł nie wiedzieć, że oczywiście i bezczelnemu prowadzeniu obserwacji wywiadowczej nad terytorium radzieckim zostanie położony kres, w dodatku z użyciem siły, jeśli załoga samolotu nie podporządkuje się żądaniu wylądowania na wskazanym jej lotnisku. Tak się też stało, ponieważ pilot południowokoreański przejawiał „zdecydowanie” przy wykonywaniu instrukcji Centralnej Agencji Wywiadowczej. Piękny finał. Po-

zwoził on prezydentowi Reaganowi nie tylko zaprezentować zaciekłość przy odgrywaniu przygotowanej dla niego roli humanisty wstrząśniętego radzieckim „zwierzęcem szczerzeniem zębów”, lecz i udaremnić przyjazd do Nowego Jorku na XXXVIII sesję Zgromadzenia Ogólnego NZ przywódcy delegacji radzieckiej, ministra spraw zagranicznych ZSRR Gromyki. W dodatku mógł przy tym poćwiczyć wykraczający poza wszelkie granice zwykłej przyzwoitości patologiczny antysowietyzm.

A gdyby Związek Radziecki przejawiał małoduszność i nie położył kresu temu niemożliwemu do przyjęcia przez żadne suwerenne państwo bezczelnemu szpiegostwu? Powstałby precedens do rozszerzenia go na wielką skalę. I nie można wątpić, że kiedyś Moskwa mimo wszystko nie wytrzymałaby! A wtedy byłby pretekst do jeszcze większego hałasu.

Pomysł rzeczywiście był jak gdyby niezły. Ale nadzieje na dłuższe chowanie szydła w worku zawsze rozczerwają. Jak wiadomo, stało się tak i tym razem. Kiedy rozwiała się wywołana przez Reagana i jemu podobnych mgła demagogii, świat dojrzał „zwierzęce szczerzenie zębów”, ale nie Moskwy, lecz samego Waszyngtonu.

„Broń zwykła”



IX. „Syndrom wietnamski”

1

Dni kryzysu kubańskiego jesienią 1962 roku na zawsze pozostały jednym z „najczarniejszych piątek” imperializmu amerykańskiego. Przyniosły one ostateczny, uzmysłowiony wreszcie krach strategii „zmasowanego odwetu”, a wraz z nim — poczucie własnej bezsilności. Waszyngton, który w ciągu wielu lat wierzył w stworzoną przez niego samego fikcję wszechmocy groźby jądrowej, musiał teraz przyznać, że umacnianie potęgi militarnej nie tylko nie sprzyjało zwiększeniu możliwości jej wykorzystania, lecz przeciwnie — położyło kres owym błogosławionym czasom, w których automatycznie, jak sądzono w Waszyngtonie, przemieniała się ona we wpływy. Był to „pat jądrowy”, a dla wielu osób z amerykańskiego kierownictwa — również w dziedzinie polityki zagranicznej.

Nie oznaczało to oczywiście, że w Waszyngtonie gotowano się pogrzebać również samą myśl o wojnie jądrowej. Pozostała ona częścią składową przyjętej przez rząd prezydenta Kennedy’ego nowej strategii „elastycznego reagowania” w charakterze skrajnego, katastroficznego środka. Co więcej, w okresie późniejszym wyobrażenia o katastroficznosci takiej wojny znów zostały poddane zasadniczej rewizji. Teza o niemożliwości przewyciężenia „pata” została wyklęta, a postulaty „zmasowanego odwetu” odrodzone w postaci założeń dotyczących zdolności do zadania „pierwszego uderzenia” dzięki jakościowemu udoskonaleniu systemów raketowo-jądrowych i stworzeniu zasadniczo nowych typów broni.

Wszystko to jednak było potem. Ponadto, nawet gdyby podupadli na duchu militaryści dostrzegli te perspektywy już w latach „pata jądrowego”, nie stanowiłoby to wielkiego pocieszenia.

Wymagały one bowiem realizacji długoterminowych programów wojskowych, nie gwarantując przy tym ostatecznego osiągnięcia pożądaných wyników. A tymczasem potrzeby i cele polityki amerykańskiej wymagały niezwłocznego rozwiązania problemu przywrócenia potędze militarnej właściwej jej poprzednio roli uniwersalnego narzędzia polityki imperialistycznej.

2

Jedyną możliwą alternatywą mógł być powrót do broni konwencjonalnej, którą z nadejściem epoki jądrowej zaczęto lekceważyć. Ale ta droga była również wątpliwa. Niezachwycające były doświadczenia powojennego wykorzystania broni niejądrowej. Jedyną nauką, przyswojona przez Stany Zjednoczone w toku takich wojen, polegała na tym, że niezależnie od skali uczestnictwa, szanse odniesienia zwycięstwa z użyciem zwykłej broni nigdy nie będą po stronie amerykańskiej. Wspominając wojnę w Korei, prezydent Eisenhower pisał, że zarówno on sam, jak i Krajowa Rada Bezpieczeństwa dlatego właśnie postanowili przyjąć strategię „zmasowanego odwetu”, że uznając małą skuteczność prowadzenia wojen peryferyjnych, pozwalała ona skupiać wysiłki na przygotowywaniu uderzenia „w głowę siły komunistycznej”¹. Angażowanie się w nowe konflikty zbrojne z użyciem sił konwencjonalnych — uprzedzał także generał Mac Arthur — może doprowadzić jedynie do nieustannego i nie określonego co do czasu trwania przelewu krwi bez odniesienia jakiegokolwiek zwycięstwa nad nieprzyjacielem, a Stany Zjednoczone nie będą miały wystarczającego potencjału militarnego, by położyć kres konfliktowi w najkrótszym czasie i z najmniejszymi stratami. A działo się to przecież w czasach, kiedy w Waszyngtonie panowała wiara w możliwości bezpośredniego lub pośredniego odniesienia zwycięstwa za pomocą konwencjonalnych sił zbrojnych, opierając się na odstraszałającej roli broni jądrowej. Zresztą już generał Omar Bradley słusznie podkreślił, że próba korzystania z takiego oparcia mogła mieć dla Waszyngtonu przykre skutki, ponieważ wciągnęłaby „nie do tej wojny, nie w tym miejscu, nie w tym czasie i nie z tym nieprzyjacielem”.

Innego wyjścia jednak nie było, a ukazująca się już wzrokowi Waszyngtonu odwrotna strona medalu „pata jądrowego” kazała przypuszczać, że „rozsądne” wykorzystanie jego potencjalnych możliwości może być możliwym do przyjęcia wyjściem z powstałej sytuacji.

Opracowując strategię „elastycznego reagowania”, prezydent Kennedy wysunął, zapomniany później przez wiele lat, pomysł stworzenia bardzo mobilnych, doborowych sił, zdolnych do zadawania błyskawicznych i druzgocących uderzeń, aczkolwiek — jak wtedy myślał — siły te w zasadzie miały być przeznaczone do udzielania wsparcia wojskom reżimów proamerykańskich. Jednakże bardziej go pociągała druga strona wspomianej już często doktryny „antypowstańczej”. Utrzymana w konwencji myślenia rycerzy „płaszcz i szpady”, faktycznie korespondowała z filozoficznymi wynurzeniami Thomasa Lawrence’a, nazwanego Arabskim. „Szary generał” wywiadu brytyjskiego traktował masy, między innymi masy azjatyckie, jako pewien bezwolny tłum, niezdolny do przejawiania własnej aktywności. Uczestniczące w walce siły — twierdził — zawsze są nieliczne, toteż wystarczy zdobyć poparcie odpowiedniej części tych sił, by z ich pomocą zapewnić sobie niepodważalne wpływy oraz kontrolę nad rozwojem wydarzeń w takim czy innym kraju pozaeuropejskim.

Prognozując charakter sił wyzwolenia narodowego czy społecznego w różnych regionach świata na przyszłe dziesięciolecie, Kennedy również liczył, że będą one prowadziły chaotyczne starcia wewnętrzne, w których walczące strony będą wspierane i inspirowane przez dwa „supermocarstwa” jądrowe. Nie będzie przekraczających granice wojsk, nie będzie otwartych walk. Wszystko to zastąpi pewna tajna, ukryta przed wzrokiem, powstańcza i przeciwpowstańcza „aktywność paramilitarna”.

3

Jednym z pierwszych i największych poligonów, na których miała być sprawdzona nowa teoria, stały się Indochiny. Już pod koniec lipca 1941 roku prezydent Roosevelt w rozmowie z tym samym admirałem Leahy’em, który kiedyś nie chciał uwierzyć w bombę atomową, marzycielsko, lecz z właściwym mu zdecy-

dowaniem w podejmowaniu decyzji, powiedział, że jeśli w tej wojnie zwyciężą sojusznicy, to Stany Zjednoczone wezmą sobie Indochiny. To dążenie do wyparcia stamtąd Francuzów nie opuszczało Roosevelta i później, toteż niejednokrotnie omawiał taką możliwość z Churchillem. Na prośbę Francji w sprawie udzielenia jej pomocy wojskowej w wyzwoleniu Indochin spod panowania Japończyków, Waszyngton odpowiedział odmownie. Z chwilą jednak rozszerzenia się w tym regionie ruchu narodowowyzwoleńczego sytuacja uległa zmianie. „Wyzwanie komunistyczne” zmusiło Waszyngton do zapomnienia na pewien czas o rywalizacji międzyimperialistycznej. Ósmego maja 1950 roku, to jest jeszcze przed rozpoczęciem się wojny w Korei, prezydent Truman skierował do Indochin amerykańską misję wojskową w celu utrzymywania łączności z francuskim dowództwem wojskowym.

Przystąpienie do wojny w Korei, a następnie powiększenie tam skali agresji amerykańskiej nieco odwróciło uwagę Waszyngtonu od wydarzeń w Indochinach. Jednakże w okresie bitwy o Dien Bien Phu, kiedy sytuacja oblężonego garnizonu stała się krytyczna, Biały Dom zaproponował rządowi francuskiemu udzielenie pomocy poprzez wykonanie z powietrza uderzenia jądrowego na Demokratyczną Republikę Wietnamu. Rząd francuski gotów był przyjąć ofertę, ale ostatecznie zrezygnowano z tego pomysłu, gdyż wówczas radziecki potencjał strategiczny osiągnął już taki poziom, że „Stany Zjednoczone musiały się liczyć z ewentualnością eskalacji wojny, gdyby uciekły się do użycia taktycznej broni jądrowej”². Zamiast tego przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów admirał Arthur Radford wraz z sekretarzem stanu Dullesem opracował plan operacji *Gryf*, przewidujący nalot bombowy 60 samolotów B-29 z bazy lotniczej Clark Fields położonej w pobliżu Manili, pod osłoną 150 myśliwców z lotniskowców amerykańskich, które płynąc w rejsie szkoleniowym, „szczęśliwie” znalazły się na Morzu Południowochińskim. Trzeciego kwietnia 1954 roku przywódcą Kongresu przekazano wyrażone przez prezydenta Eisenhowera życzenia konieczności przyjęcia wspólnej uchwały Senatu i Izby Reprezentantów, zezwalającej na wykorzystanie amerykańskich sił powietrznych i morskich w Indochinach. Jednak-

że — jak oświadczył zaproszony wraz z innymi na naradę do Departamentu Stanu senator Johnson — przyjęcie takiej lub podobnej uchwały, która będzie oznaczała, że Stany Zjednoczone rozpoczynają nową wojnę, powinno być przynajmniej poprzedzone uzyskaniem zapewnienia sojuszników, iż będą „dostarczać ludzi do jej prowadzenia”, a Dulles postąpi rozsądniej, jeśli na razie zajmie się tą właśnie sprawą.

Ale nie zdecydowawszy się na bezpośrednią interwencję zbrojną w Azji Południowo-Wschodniej w owym czasie, do czego w niemałym stopniu przyczyniło się również „doświadczenie” koreańskie, Waszyngton mimo wszystko usiłował odciągnąć Paryż od wszelkiego politycznego rozwiązania konfliktu, do którego tamten się skłaniał tym bardziej, im bardziej oczywiste stawały się oznaki nadciągającej całkowitej klęski wojskowej. Stany Zjednoczone zagroziły nawet Francji, że jeśli ta pogodzi się z „zagarnięciem Indochin przez komunistów”, może to doprowadzić do zrewidowania jej statusu jako pełnoprawnego członka „Wielkiej Trójki”. Jednocześnie Krajowa Rada Bezpieczeństwa zalecała prezydentowi ponowne rozpatrzenie ewentualności amerykańskiej interwencji zbrojnej w celu udaremnienia porozumienia pokojowego z Indochinami i odniesienia tam zwycięstwa militarnego „nad komunistami”.

Motyw przeciwstawienia się zagrożeniu komunistycznemu zeterminował także późniejsze poczynania Waszyngtonu w stosunku do Azji Południowo-Wschodniej. Stany Zjednoczone odmówiły złożenia swego podpisu pod układami genewskimi, a Krajowa Rada Bezpieczeństwa na pierwszym swym posiedzeniu po zakończeniu prac konferencji w Genewie uchwaliła dyrektywę żądającą podjęcia wszelkich możliwych kroków, żeby zapobiec „zwycięstwu komunistycznemu” — tym razem poprzez wybory ogólnowietnamskie.

Szczególną wagę przywiązywano do tego problemu, gdyż całkowitą „utrata” Indochin zaczęto wówczas traktować niemal jako katastrofę globalną. Bardzo obrazowo poglądy te wyraził prezydent Eisenhower w tak zwanej teorii domina. Jeśli wyobrażymy sobie — mówił Eisenhower — szereg postawionych na sztorc kostek, to łatwo się domyślić, co się stanie, jeśli ktoś potrąci jedną z nich: padając potrąci ona następną. W wyniku ta-

kiej reakcji łańcuchowej żadna z nich nie uniknie upadku. Tak samo wystarczy, by komuniści zagarnęli Indochiny, a w ich ślady pójdą: Birma, Syjam (obecnie Tajlandia — *przyp. red. pol.*), Malaje (obecnie Malezja — *przyp. red. pol.*), Indonezja, a potem Japonia, Filipiny i, być może, Australia i Nowa Zelandia.

Owe strachy były również podgrzewane dostarczającymi przez Centralną Agencję Wywiadowczą odpowiednimi „wiarygodnymi” danymi o sytuacji w tym regionie. Także kontrolowanie sytuacji w Indochinach powierzono początkowo tejże samej Agencji. Natychmiast po podpisaniu układów genewskich do Wietnamu Południowego skierowana została pierwsza, dosyć liczna, grupa pracowników wywiadu nazwana sajgońską misją wojskową.

Na jej czele stanął, mający doświadczenie w tłumieniu ruchu rewolucyjnego na Filipinach, pułkownik Edward Lansdale. O metodach działania misji można sądzić na podstawie opublikowanych później zapisków jej członków. Organizowano akty dywersji i sabotażu, wspierane przez tak zwane natarcie psychologiczne na komunizm: rozpowszechnianie pogłosek o nieuchronnej dewaluacji, o odebraniu przez rząd w Hanoi pieniędzy osobom prywatnym, o aresztowaniu i fizycznym zlikwidowaniu wszystkich przedstawicieli klas posiadających przez „agentów komunistycznych”. Rozdawano nawet wydrukowane w Stanach Zjednoczonych almanachy astrologiczne zawierające przepowiednie katastrofalne dla Wietnamu Północnego.

Jedna z grup, dowodzona przez amerykańskiego majora, który dziesięć lat później będzie kierował przewrotem generalskim przeciwko Ngo Dinh Diemowi w Sajgonie, pod pretekstem udzielenia pomocy uciekinierom udała się do Wietnamu Północnego. Werbowano tam, spośród ludzi chwiejnych i wrogich socjalizmowi, agentów, których kierowano na przeszkolenie do tajnych ośrodków zorganizowanych w Wietnamie Południowym, a następnie przerzucano na Północ, gdzie lokowali się na różnych wysokich stanowiskach. W październiku 1954 roku, kiedy w Hanoi ostatecznie utwierdzał się nowy, ludowy rząd, agenci Lansdale’a, udając komunistów, prowadzili złośliwą operację w celu sparaliżowania w mieście całego transportu społecznego; w tym celu do zbiorników z paliwem wsypywali odpowiednie związki chemiczne.

Centralna Agencja Wywiadowcza jednak nie była w stanie zmienić biegu wydarzeń również w Wietnamie Południowym. Udarremnieniu, przewidywanych układami genewskimi, wyborów ogólnowietnamskich jedynie przyspieszyło rozwój ruchu na rzecz ustanowienia władzy ludowej, który objął cały naród. Nawet dosyć swawolny w interpretowaniu faktów wywiad amerykański przyznawał w swych doniesieniach, że wojna w Wietnamie Południowym wybuchła nie jako mityczna „infiltracja komunistyczna” do kraju, lecz jako powstanie ludowe przeciwko reakcyjnemu reżimowi Ngo Dinh Diema. Waszyngton zaś, chcąc nie chcąc, musiał decydować — czy może i powinien przeciwdziałać temu sile.

Znajdujący się w tym czasie u władzy rząd Kennedy’ego, który zdążył już uzbroić się w idee dotyczące skuteczności „paramilitarnej” działalności w walce z ruchami ludowymi, zaaprobował opracowany dla Wietnamu Południowego „plan przeciwpartyzancki”. Stawiano na wyszkoloną już przez amerykańską misję wojskową w Sajgonie i wyposażoną w broń amerykańską armię południowowietnamską oraz zwiększanie pomocy wojskowej dla rządu Ngo Dinh Diema. Wszystkie informacje agenturalne o wysokim poziomie zorganizowania i sile bojowej ruchu partyzanckiego, masowym popieraniu go przez ludność były celowo ignorowane. „Plan przeciwpartyzancki” nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do tego, że po upływie dokładnie 18 miesięcy „komunizm” w Wietnamie poniesie całkowitą klęskę.

Potrzeba było jednak tylko połowy tego czasu, by całkowicie rozwiać te nadzieje. Do jesieni 1961 roku zasięg walki ludu o wolność i niezawisłość przyjął takie rozmiary, że podano w wątpliwość dalsze istnienie samego reżimu Ngo Dinh Diema. Wysłani do Sajgonu specjaliści emisariusze Białego Domu, Maxwell Taylor i Walt Rostow, powrócili przekonani, że dla zachowania swych pozycji Stany Zjednoczone powinny zmienić rolę „strony doradzającej” na rolę „ograniczonego partnera” Sajgonu w walce zbrojnej z *Vietkongiem*. W tym celu proponowali skierować do Wietnamu Południowego dziesięć tysięcy żołnierzy amerykańskich, którzy powinni pokazać tamtejszym wojskom

„jak się to wszystko robi”. Jednocześnie zakładano rozszerzenie agresji przeciwko Wietnamowi Północnemu — Demokratycznej Republice Wietnamu.

Zalecenia Taylora i Rostowa wywołały w prezydencie zdecydowanie negatywną reakcję. Odbiegały bowiem od założeń jego doktryny „przeciwpowstańczej”. Kennedy nadal twierdził, że wojna w Wietnamie może być wygrana jedynie pod warunkiem, iż amerykańskie siły zbrojne nie będą w niej uczestniczyły bezpośrednio. Przekształcenie jej natomiast w „wojnę białego człowieka z Azjatami” w najlepszym przypadku doprowadzi do powtórzenia indochińskiego doświadczenia Francji sprzed dziesięciu lat. Ale ponieważ wydarzenia w Wietnamie rozwijały się nadal niezależnie od założeń „przeciwpowstańczej” teorii Kennedy’ego, zaproponowany przez Taylora i Rostowa plan ostatecznie został przyjęty i Stany Zjednoczone wkroczyły na drogę rozszerzania interwencji zbrojnej w Wietnamie.

Na krótko przed swoją tragiczną śmiercią Kennedy zdobył się na gest, który można interpretować nie tylko jako przejaw zwykłej dla amerykańskich polityków skłonności do składania demagogicznych oświadczeń, lecz również jako desperacką próbę powstrzymania dalszego wpełzania w wojnę. Zapowiedziano bowiem zmniejszenie liczebności amerykańskich sił zbrojnych w Wietnamie Południowym. Po dwuletnim milczeniu Kennedy ponownie podkreślił, że Stany Zjednoczone nie zamierzają wojnować tam samotnie. Mówiąc o władcach sajgońskich, w wystąpieniu przed kamerami telewizji w początkach września 1963 roku, szczególnie podkreślał, że jest to „ich wojna”, a Amerykanie mogą tylko pomagać, dawać broń i doradców wojskowych, lecz „oni sami powinni wygrać tę wojnę”³.

Nawet jeśli to oświadczenie rzeczywiście odpowiadało umacniającemu się przekonaniu prezydenta o niewłaściwości kursu na interwencję zbrojną w Wietnamie, należy bardzo wątpić, że potrafiłby obronić swoje stanowisko przed narastającym dążeniem imperializmu amerykańskiego działając w ten właśnie sposób. Nie mając możliwości skorzystania z broni jądrowej, coraz bardziej widział w rozszerzającej się agresji — jak powie później prezydent Johnson — nie tyle nie usprawiedliwione wtrącanie się do wojny domowej, wstrząsającej tym lub innym spo-

łączeństwem, ile bezpośrednią konfrontację zbrojną z „praktykującym ten nowy rodzaj agresji komunizmem światowym”. Można przypomnieć i o tym, że na odbytej praktycznie tuż przed zabójstwem prezydenta Kennedy’ego naradzie wyższych wojskowych i dyplomatów amerykańskich w Honolulu nikt z jej uczestników nie powiedział nawet słowa o jego oświadczeniu, zaś w przyjętych zaleceniach akcent położono na konieczność osiągnięcia „zwycięstwa nad komunizmem”, a w tym celu — wzmożeniu amerykańskiej interwencji zbrojnej w Wietnamie.

Tego wreszcie żądali od Kennedy’ego również najbardziej wpływowi członkowie jego własnego rządu — sekretarz obrony McNamara i sekretarz stanu Dean Rusk. We wspólnym memorandum skierowanym do prezydenta, wyjaśniając formułowane przez nich zalecenia dotyczące rozszerzania ze wszelkich miar agresji amerykańskiej w Wietnamie, twierdzili, że utrata Wietnamu Południowego nie tylko stworzy impuls „reakcji domina” w Azji i zachwieje wiarą w solidność amerykańskich zobowiązań wobec innych regionów świata, lecz będzie również stymulować wzrost sprzeczności politycznych wewnątrz samych Stanów Zjednoczonych, ponieważ „elementy ekstremistyczne” niewątpliwie wykorzystają to do wywołania rozłamu w kraju i podważenia prawowitej działalności rządu.

5

Wydawało się, że Johnson, gdy zajął fotel prezydencki, był człowiekiem, który powinien, odrzuciwszy wszelkie wątpliwości, natychmiast przystąpić do realizacji wszystkich tych zaleceń. Jednakże jego chęć działania w tym kierunku dalece nie odpowiadała możliwościom. A to, wbrew jego pragnieniu, nie mogło nie sprzyjać powstawaniu poważnych sprzeczności na wyższych szczeblach władzy.

Amerykańskie dowództwo wojskowe, jak wiadomo obecnie z materiałów Pentagonu, sądziło, że na powodzenie zbrojnego wtargnięcia do Wietnamu można liczyć tylko w tym przypadku, jeśli Stany Zjednoczone będą gotowe od razu sformować i wysłać tam korpus ekspedycyjny liczący co najmniej 800 tysięcy żołnierzy. W przeciwnym przypadku, oświadczała wojskowi, woj-

ny nie warto zaczynać, ponieważ nie będąc w stanie odnieść szybkiego i zdecydowanego zwycięstwa nad słabym, na razie, nieprzyjacielem, amerykańskie siły zbrojne po prostu „ugrzną” w jeszcze jednej nie kończącej się i beznadziejnej wojnie azjatyckiej.

Nowy przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, Taylor, w memorandum przygotowanym dla nowego prezydenta również opowiadał się za gotowością do podjęcia „śmiałych działań”: jawnego najazdu zbrojnego na Wietnam Południowy i — jako minimum — „zdecydowanego wtargnięcia” na terytorium Wietnamu Północnego, przeciwko któremu jednocześnie powinny być rozpoczęte również działania wojenne z powietrza i od strony morza.

Ale prezydent Johnson nie mógł jeszcze pozwolić sobie na takie „śmiałe działania”. Po pierwsze, obejmując swoje stanowisko publicznie przyrzekł, że w swej polityce będzie wierny ideom nieżyjącego już Kennedy’ego, a zbrojne wtargnięcie do Wietnamu na taką skalę najmniej odpowiadałoby „paramilitarnej”, „przeciwpowstańczej” działalności, jaką wyobrażał sobie Kennedy. Składane przez Johnsona obietnice, iż nie będzie „wysyłać naszej młodzieży, aby umierała w Azji”, doskonale pracowały na niego również w rozpoczynającej się kampanii wyborczej przeciwko Barry Goldwaterowi z jego „jastrzębią” reputacją. Jako najwyższy zwierzchnik sił zbrojnych, nie chciał również jawnie rozpoczynać takiej wojny, nie uzyskawszy od Kongresu mandatu na swobodę działań, a świeże wspomnienia o wojnie w Korei jakoś nie mogły natchnąć do tego kongresmanów.

Na razie wzięto kurs na rozszerzenie tajnych działań wojennych przeciwko Wietnamowi Północnemu. Na początku lutego 1964 roku na polecenie prezydenta Johnsona uruchomiono *Plan operacyjny 34 A*, zakładający zadanie DRW dotkliwych strat i osłabienie jej stabilności państwowej. W tym celu zamierzano prowadzić sabotaż, wysadzać mosty kolejowe i drogowe, zrzucać desanty spadochronowe, ostrzeliwać terytorium od strony morza.

6

Tymczasem zaś, w sposób niewidoczny dla amerykańskich wyborców, dla których prezydent Johnson, gwoli zmiękczenia ich

serc, zawsze fotografował się w otoczeniu domowników i ulubionych psów, trwały intensywne przygotowania do otwartej wojny z narodem wietnamskim. Do maja 1964 roku Departament Stanu zakończył opracowywanie projektu uchwały o zapewnieniu prezydentowi uprawnień do wykorzystania sił zbrojnych w celu przeciwstawienia się „agresji komunistycznej” w Wietnamie. Uchwałę tę miał przyjąć jeszcze niczego nie podejrzewający Kongres. W sierpniu zaś tegoż roku odegrano farsę „nie spowodowanej napaści” DRW na Stany Zjednoczone.

Robota była toporna, ale stawiano na to, że w Kongresie znajdzie się niewielu chętnych do podawania w wątpliwość faktu takiej „napaści” i zyskania w ten sposób opinii „rzeczników komunistów”. Zgodnie z wersją rządową, nad którą wiele natrudził się wywiad, w dniu 2 sierpnia jeden z amerykańskich okrętów wojennych patrolujących wody Zatoki Tonkijskiej — niszczyciel „Maddox” — stał się ofiarą „napaści północnowietnamskich kutrów torpedowych”. Mimo to „napadnięty” niszczyciel nie przerwał patrolowania i w nocy z 3 na 4 sierpnia, znajdując się już w towarzystwie drugiego niszczyciela amerykańskiego, został ponownie zaatakowany. Podczas gdy między sekretarzem obrony McNamara i dowódcą Floty Pacyfiku admirałem Ulyssesem Sharpem, który nagle zaczął powątpiewać w wiarygodność tego zajścia, odbywała się wymiana radiogramów, prezydent Johnson zdążył już wydać rozkaz o bombardowaniu Wietnamu Północnego i wystąpić w radiu i telewizji z utyskiwaniami, że Stany Zjednoczone „zmuszone” są do chwycenia za broń w imię „obrony własnej”.

Z każdym miesiącem skala tej „obrony” szybko się powiększała. Począwszy od lutego 1965 roku z inicjatywy McNamary amerykańskie siły powietrzne przystąpiły do realizacji wielkiej operacji lotniczej *Rolling Thunder* („Przetaczający się grzmot”), w czasie której bombowce strategiczne, stosując „dywanową” metodę bombardowania, to jest nie celując, burzyły i niszczyły wszystko na ogromnych obszarach kraju. Wtedy właśnie kandydat na gubernatora stanu Kalifornia, Ronald Reagan, zaproponował „wyasfaltowanie Wietnamu Północnego i wyrysowanie na tym parkingu miejsc dla samochodów”.

Pierwszego kwietnia 1965 roku rząd prezydenta Johnsona pod-

jął wreszcie tak długo oczekiwaną przez Pentagon decyzję o skierowaniu amerykańskich wojsk lądowych do Wietnamu Południowego w celu prowadzenia operacji bojowych przeciwko *Vietkongowi*. Wkrótce do Sajgonu przybył pierwszy kontyngent amerykańskich wojsk interwencyjnych liczący 20 tysięcy żołnierzy sił lądowych i piechoty morskiej. Do końca roku ich liczebność w Wietnamie osiągnęła 200 tysięcy żołnierzy.

Ale jesienią następnego, 1966 roku, kiedy liczebność tych wojsk wzrosła już przeszło dwukrotnie, sekretarz obrony McNamara powracał z Sajgonu bardzo przygnębiony. Zamiast buchalteryjnych bilansów, do których był przyzwyczajony, dotyczących dynamiki wysyłania wciąż nowych kontyngentów żołnierzy za ocean i zdolności ich do „przemiału” tylu a tylu „vietkongowców” w ciągu miesiąca, pisał tym razem do prezydenta Johnsona, że nawet i 600 tysięcy żołnierzy chyba nie będzie w stanie uczynić więcej, niż powstrzymywać natarcie nieprzyjaciela. Dlatego jednocześnie z wnioskiem o płonności nadziei na odniesienie zwycięstwa poprzez zwiększanie skali natarcia powietrznego, zaproponował rezygnację z dalszego powiększania amerykańskiej obecności wojskowej w Wietnamie. Stany Zjednoczone — konkludował — nie powinny więcej liczyć na odniesienie szybkiego zwycięstwa, lecz uznać konieczność prowadzenia długotrwałej lub nawet przewlekłej wojny, podejmując przy tym poszukiwania również politycznego zażegnania konfliktu.

7

Przyjęto więc politykę przewlekłej wojny na określonym poziomie, w oczekiwaniu na niewojenne zażegnanie konfliktu, aczkolwiek McNamara dobrze zdawał sobie sprawę, że Stany Zjednoczone dysponowały jeszcze znacznymi możliwościami dalszego powiększania swojej potęgi militarnej w Wietnamie. Czy oznaczało to utratę wiary w odniesienie zwycięstwa militarnego? Tak wtedy sądzili i oskarżali o to McNamarę jego przeciwnicy w Pentagonie. Ale rzeczywiste rozwiązanie tego problemu przyszło dopiero po dymisji McNamary ze stanowiska sekretarza obrony. W swoim ostatnim memorandum do prezydenta Johnsona z maja 1967 roku zwracał on uwagę na to, że obraz „największego

supermocarstwa" pragnącego rzucić na kolana mały, zacofany kraj i zajmującego się wyniszczeniem jego ludności cywilnej, wywołuje w całym świecie narastające oburzenie i wygląda „niezbyt pociągająco”. Ale nie to w rzeczywistości niepokoiło McNamarę. Istnieje granica — z niepokojem uprzedzał prezydenta — na której przekroczenie raczej nie pozwolą Stanom Zjednoczonym „liczni Amerykanie oraz większość ludzi na świecie”⁴.

Tego niebezpieczeństwa nie chciała i wciąż jeszcze nie mogła pojąć wojskowa góra Pentagonu. Październikowe memorandum McNamary przyjął z oburzeniem Połączony Komitet Szefów Sztabów i, lekceważąc zasady subordynacji, zażądał od swego przełożonego, by zaznajomił prezydenta z „odmiennym zdaniem” wojskowych. Z opublikowanych później tajnych dokumentów Pentagonu wynika, że to odmienne zdanie sprowadzało się do żądania odniesienia zwycięstwa w wyniku nieograniczonego użycia potęgi militarnej. Komitet żądał rezygnacji z rządowej polityki „przewlekającej się eskalacji”, ponieważ pozbawia ona Stany Zjednoczone owoców ich wysiłku militarnego, pozwala nieprzyjacielowi uniknąć całego ciężaru „moralnego i politycznego szoku strony obezwładnianej” i umożliwia przystosowanie się go do powolnie zwiększanego nacisku militarnego. Jako alternatywny program-minimum proponowano przeprowadzenie mobilizacji rezerwistów, żeby — w przypadku konieczności — powiększyć liczebność amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego w Wietnamie do miliona żołnierzy i jednocześnie zadać „druzgocące uderzenie” Wietnamowi Północnemu, wykorzystując do tego wszystkie, będące wówczas w dyspozycji dowództwa, siły powietrzne i morskie.

Koniec 1966 i wiosna 1967 roku upłynęły na podejmowanych przez dowódcę amerykańskich sił zbrojnych w Wietnamie, generała Williama Westmorelanda, i przewodniczącego Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, generała Earle’a Wheelera, nieustających próbach przekonania prezydenta, by usłuchał tych rad. Johnson jednak się wahał. Wątpliwości, jakie ośwładnęły McNamarę, nie ominęły również jego. Nie tylko „druzgocące uderzenie”, lecz nawet dalsza „eskalacja” zaczęły mu się wydawać niebezpieczne, ponieważ poprzednie doświadczenie przekonywało go,

że rozszerzenie ram konfliktu wcale nie jest równoznaczne i nawet — w określonych okolicznościach — jest przeciwstawne odniesieniu w nim zwycięstwa militarnego.

8

Jednakże w najbliższych już miesiącach los ugotował „miedzianym hełmom” z Pentagonu oraz ich wojowniczym kolegom na Wzgórzu Kapitołińskim upragniony upominek. W czerwcu 1967 roku Izrael, bez wypowiedzenia wojny, zaatakował Zjednoczoną Republikę Arabską, Syrię i Jordanię. W agresji udział wzięła 300-tysięczna armia mająca w uzbrojeniu 400 samolotów, 1000 czołgów i setki dział. Biorąc pod uwagę ogólny potencjał militarny Izraela, użyte do prowadzenia działań wojennych siły stanowiły praktycznie wszystko, co posiadał. Było to typowe odrodzenie się hitlerowskiej koncepcji „wojny błyskawicznej”, przedsięwziętej z użyciem konwencjonalnych sił zbrojnych w warunkach epoki jądrowej.

Izraelskie „doświadczenie” wojenne natychmiast stało się przedmiotem wnikliwej uwagi militarystów amerykańskich. Prasa, odzwierciedlająca poglądy kompleksu wojskowo-przemysłowego, przemówiła teraz pełnym głosem o ciężającej na Białym Domu „winie” za niepowodzenie awantury wojennej w Wietnamie. Gdyby wojna prowadzona była w sposób zdecydowany, a działania lotnictwa nie ulegały stałym ograniczeniom — pisał oficjalny organ amerykańskich sił lądowych „Armed Forces” — to odniesienie zwycięstwa byłoby w pełni możliwe. Z podobną krytyką rządu wystąpiły również inne organy informacji armii Stanów Zjednoczonych, aczkolwiek — oczywiście — każdy z nich podkreślał szczególne znaczenie reprezentowanego przez niego rodzaju sił zbrojnych.

„Niezdecydowany” charakter działań rządu prezydenta Johnsona poddany został ostrej krytyce i w murach Kongresu. Izraelici — podkreślali dyskutanci — nie pozwalali sobie na to, by na ich decyzje wywierały wpływ opinie strony trzeciej; nie tracili czasu na jałowe gadulstwo dyplomatyczne lub na wysłuchiwanie nieskończonych dywagacji w ONZ; najpierw zabezpieczyli swoje interesy, a dopiero potem zaczęli rozmawiać. Jest to

przykład godny naśladowania⁵. W dokumencie, przygotowanym na polecenie Kongresu, który stał się znany pod nazwą *Dan Smoot Report*, ten punkt widzenia został wyrażony jeszcze bardziej kategorycznie. W czasie kampanii 1967 roku — pisali jego autorzy — Izrael wspaniale zademonstrował decydujące znaczenie zasady, którą jak liczą na to wszyscy Amerykanie, będzie w późniejszym czasie i w podobnych okolicznościach naśladować również ich własny rząd — że zdecydowawszy się rozpocząć wojnę, należy ją prowadzić jako błyskawiczną, bezpardonową i totalną, stawiając sobie wyraźny cel odniesienia całkowitego zwycięstwa w najkrótszym czasie⁶.

Zachłystująca Stany Zjednoczone nowa fala odurzenia militarystycznego uniosła na swoim grzbiecie wszystkie najreakcyjniejsze elementy. W miesiącach, jakie nadeszły po „doświadczeniach izraelskich”, elementy te z wciąż narastającym fanatyzmem żądały przestawienia całego kraju na położenie wojenne, zadawania Wietnamowi Północnemu uderzeń przy wykorzystaniu całej, będącej w dyspozycji, potęgi militarnej, wypowiedzenia mu wojny, wtargnięcia na jego terytorium, zablokowania Hanoi i innych portów i zatapiania wszystkich obcych statków, które będą usiłowały naruszyć tę blokadę.

W sierpniu 1967 roku prezydent Johnson, pod naciskiem żądań wojska i kongresowych „jastrzębi”, rozszerzył listę celów, jakie mają być bombardowane i usankcjonował wzmożenie działań wojennych. Nie mogło to już jednak zadowolić Pentagonu. Pragnął on — mówiąc jego żargonem — zmusić prezydenta Johnsona do „nagryzienia kuli” również w odniesieniu do powzięcia decyzji o mobilizacji rezerwistów. W imię tego Połączony Komitet Szefów Sztabów zdecydował się nawet na fałszerstwo. Otóż jego przewodniczący, generał Wheeler, zażądał od generała Westmorelanda przedstawienia wygórowanego zapotrzebowania na uzupełnienia w ludziach tak, aby można je było zaspokoić tylko kosztem armii regularnej.

9

Wysadzenie budynku ambasady amerykańskiej w Sajgonie i rozpoczęte w ślad za tym szerokie natarcie na wszystkich frontach

przez siły wyzwolenicze Wietnamu Południowego stało się „ciężkim i paraliżującym szokiem” dla dowództwa amerykańskiego. Do wniosków, wyciągniętych z „doświadczenia izraelskiego”, trzeba było wnieść określone korekty. Ogłoszono, że wojna wietnamska przekroczyła stadium, w którym możliwe było wykorzystanie tego doświadczenia, ponieważ dotychczasowe metody pozwoliły już *Vietkongowi* rozwinąć swoje siły, umocnić infrastrukturę, zgromadzić doświadczenie bojowe i zorganizować zaopatrzenie we wszystkie rodzaje broni; innymi słowy, przekształcić się w silnego i wytrwałego przeciwnika. Walka z nim — stwierdzała „Indochina Chronicle” — w warunkach klimatu tropikalnego, szaty roślinnej i rzeźby terenu właściwej Wietnamowi, nie może być dalej z powodzeniem prowadzona przez naziemne siły zbrojne Stanów Zjednoczonych⁷.

Drugą, nie wymienioną, lecz bardzo istotną przyczyną wniesienia korekt do polityki Waszyngtonu było uzmysłowienie sobie przez amerykańskie kierownictwo wojskowe niebezpieczeństwa powstania potężnych, niekontrolowanych wystąpień antyrządowych w samych Stanach Zjednoczonych. W dokonanej przez Połączony Komitet Szefów Sztabów analizie sytuacyjnej została wysunięta i jednomyślnie poparta myśl, że na porządku dziennym staje niebezpieczeństwo „szeroko zakrojonych zaburzeń wewnętrznych” i że wojskowe oraz cywilne kierownictwo kraju powinno się wstrzymać od akcji, które mogą spowodować, iż w kraju zabraknie odpowiednich kontyngentów sił zbrojnych niezbędnych do sprawowania kontroli nad tymi rozruchami⁸.

Takie przewartościowanie ewentualnej skuteczności dalszego udziału amerykańskich sił zbrojnych w wojnie w Wietnamie przygotowało praktyczne przejście Waszyngtonu do polityki „deeskalacji” konfliktu. Ona też uwarunkowała powrót do hasła: „wojować w Azji rękoma Azjatów”, które zostało ostatecznie sparafrazowane i przekształcone w „wietnamizację”. Wiosną i latem 1968 roku Waszyngton przyjął wiele nowych programów dotyczących umocnienia południowowietnamskich sił zbrojnych. Jawnie powątpiewający w możliwości wojsk sajgońskich generał Westmoreland został zastąpiony bardziej „elastycznym” generałem Creightonem Adamsem, któremu zlecono obowiązek szkolenia i przezbrajania „sił ludowych” Wietnamu Południowego. Miano

przy tym na względzie, że siły te — jak oświadczył Johnson — w coraz większym stopniu będą brać na siebie podstawowy ciężar prowadzenia operacji bojowych.

10

Prezydent Nixon wojnę w Wietnamie zastał w takiej fazie jej rozwoju, kiedy nie można już było uniknąć jej szerokiej „wietnamizacji”. Dla niego osobiście jednak równało się to w jakimś stopniu tragedii osobistej. To przecież nikt inny, jak tylko wiceprezydent Nixon jeszcze w kwietniu 1954 roku znajdował się w pierwszych szeregach tych, którzy opowiadali się za podjęciem przez Stany Zjednoczone otwartej interwencji zbrojnej w Indochinach. On też w lutym 1968 roku, w przededniu wyborów nowego prezydenta, pospołu z generałem Westmorelandem, żądającym od Białego Domu zwiększenia liczebności amerykańskich sił zbrojnych w Wietnamie o kolejne 200 tysięcy żołnierzy, oświadczał, że zgodnie z jego najgłębszym przekonaniem Stany Zjednoczone muszą za wszelką cenę odnieść tam zwycięstwo. Nixon stał na tym stanowisku aż do chwili przyścia do Białego Domu, kiedy jako szef administracji uzyskał pełny dostęp do danych o realnym stanie rzeczy w Wietnamie. Ale nawet wtedy musiało upłynąć jeszcze kilka miesięcy, nim jego poprzednie poglądy uległy radykalnej zmianie.

W lipcu 1969 roku prezydent Nixon odbył tak zwane *tourné* azjatyckie. Ci, którzy nadal widzieli w nim „poprzedniego Nikki”, spodziewali się, że w czasie tej podróży zademonstruje „twarde zdecydowanie” Stanów Zjednoczonych odniesienia zwycięstwa militarnego w Wietnamie. Przed podróżą prezydenta republikanie w Senacie organizowali nawet manifestacyjne poparcie tego kursu, a przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów, generał Wheeler, który dopiero co powrócił z czterodniowej inspekcji z Sajgonu, w sprawozdaniu dla prezydenta mówił o „poprośczeniu się sytuacji” w Wietnamie i o gotowości dowództwa amerykańskiego trzymania się taktyki „maksymalnego nacisku” na nieprzyjaciela.

Dla towarzyszących prezydentowi dziennikarzy tym bardziej zaskakująca była pierwsza w trakcie podróży konferencja pra-

sowa, jaka odbyła się 25 lipca w klubie oficerskim amerykańskich sił powietrznych na wyspie Guam. Nixon mówił o głębokim rozczarowaniu Amerykanów wojną wietnamską, o narastającym we wszystkich krajach azjatyckich negatywnym stanowisku wobec amerykańskiego ingerowania w ich sprawy wewnętrzne, o coraz bardziej oczywistej niemożliwości dla Waszyngtonu samotnego „podtrzymywania pokoju na całym świecie”. Komentatorów, co prawda, wprawiło w zdumienie oświadczenie prezydenta, że jeśli w przyszłym roku zwróci się do niego rząd jakiegokolwiek kraju azjatyckiego z prośbą o pomoc w odparciu wewnętrznej lub zewnętrznej „agresji komunistycznej”, to trudno będzie odpowiedzieć odmownie. Ogólnie jednak biorąc, ogłoszona przez Nixona zasada: „Pokój w Azji musi być utrzymywany rękoma Azjatów” przyjęta została niemal przez wszystkich w Stanach Zjednoczonych, a także przez ich sojuszników, jako dowód na powzięcie przez Waszyngton decyzji o wstrzymywaniu się w przyszłości od bezpośredniego ingerowania w konflikty regionalne.

Nowa doktryna początkowo uzyskała miano „doktryny guamskiej”, a później — „doktryny Nixona”. Jej poszczególne założenia później precyzowano i rozwijano, nie zmieniło to jednak jej zasadniczej istoty: tłumienie ruchów rewolucyjnych lub narodowowyzwoleńczych w krajach trzeciego świata powinno być w stopniu możliwie maksymalnym prowadzone siłami tychże krajów.

11

Wyniki podejmowanych przez Pentagon wysiłków zmierzających do jak najszybszej „wietnamizacji” wojny w Wietnamie — przyspieszone szkolenie i przezbrajanie w nowy sprzęt bojowy armii sajgońskiej — przyczyniały się do pozornego wzrostu wiary w skuteczność takiej polityki. Orędzie prezydenta dla Kongresu o stanie państwa doskonale odzwierciedlało tę ewolucję. W roku 1970, kierując takie samo orędzie na Wzgórzu Kapitoluńskie, prezydent Nixon pisał, że jeden z zasadniczych problemów widzi w braku jakichkolwiek gwarancji zasadniczej zmiany w sytuacji również w odniesieniu do zrealizowania programu „wietnamiza-

cji". W orędziu z roku 1971 problem ten widział on już bardziej optymistycznie. Południowi Wietnamczycy — pisał — w znacznym stopniu wzięli na siebie ciężar prowadzenia wojny, i mimo że „poważne niebezpieczeństwo komunistyczne” istnieje nadal, zapewne zdołają przeciwstawić się mu w przyszłości. Jednak prezydenta nadal niepokoił niski poziom zawodowy sajgońskiego kierownictwa wojskowego i przeszkadzająca „wietnamizacji” korupcja, w związku z czym uprzedzał Kongres, że jest za wcześnie, by mówić o całkowitym zaniechaniu amerykańskiego udziału w konflikcie. Orędzie w roku 1972 było jeszcze bardziej optymistyczne. Prezydent informował Kongres, że przekazał już południowowietnamskim siłom zbrojnym „podstawowy ciężar prowadzenia nadziemnych działań bojowych” i zarazem twierdził, że „wietnamizacja” może być teraz rozpatrywana jako zupełnie skuteczny środek położenia kresu amerykańskiemu udziałowi w tej wojnie.

To oficjalne stanowisko narastającego optymizmu popierane było przez, pojawiające się jedno po drugim, oświadczenie amerykańskich odpowiedzialnych przywódców politycznych. Pogardliwy stosunek do wojaków sajgońskich, wyrażający się niekiedy w używaniu do ich określenia brukowych nawet epitetów, zaczęto zastępować chwalebnyymi ocenami ich walorów bojowych i moralnych. Szerzącej się nadal dezercji, zamieszek i buntów w jednostkach wojskowych „nie dostrzegano” lub je wyraźnie ignorowano. Dochodziło do kuriozów. Chcąc zaspokoić potrzeby chwili, waszyngtońskie czasopismo „United States News and World Report” w jednym z majowych numerów 1972 roku zabrnęło tak daleko, że dostrzegło wzrost ducha moralnego i bojowego wojaków sajgońskich w tym, iż nawet w czasie panicznej ucieczki z pola walki teraz — zdarza się — nie porzucają broni osobistej.

Ogólnie jednak prasa amerykańska nie mogła nie uznać trwającej nadal bezwarunkowej zależności sajgońskich sił zbrojnych od wsparcia amerykańskiego. Udział lotnictwa amerykańskiego w działaniach bojowych — pisała z niepokojem w artykule redakcyjnym „Washington Post” z 5 kwietnia 1972 roku — jest nadal absolutnie niezbędny dla pozostawania u władzy dzisiejszego rządu sajgońskiego. Było to i pozostaje zupełnie oczywiste,

niezależnie od wyników „wietnamizacji”. Jesienią fala pesymizmu ponownie osiągnęła szczyt. Ocena sytuacji z wojskowego punktu widzenia — dochodziło na przykład do wniosku czasopismo „Time” — świadczy, że „sytuacja komunistów obecnie wydaje się być lepsza”, niż kiedykolwiek od 1969 roku począwszy. „Zwietnamizowane” siły zbrojne w ostatecznym wyniku okazały się niezdolne do wzięcia na siebie całego ciężaru prowadzenia działań wojennych przeciwko południowowietnamskim siłom wyzwolenia narodowego, tak samo jak i barbarzyńskie naloty amerykańskiego lotnictwa strategicznego — do złamania woli ludności Demokratycznej Republiki Wietnamu. Klęska militarna Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, pogłębiając przeżywany przez nie kryzys polityczny, zmusiła wreszcie Waszyngton do powrotu na salę rokowań.

12

Niepowodzenie agresji amerykańskiej w Wietnamie, zdawało się, spowodowało poważne zmiany w poglądach Waszyngtonu na możliwość wykorzystania konwencjonalnych sił zbrojnych i zbrojeń do osiągnięcia ich celów w polityce międzynarodowej. Wszystkie wspomniane zmiany zaczęto nazywać „syndromem wietnamskim”, to jest swego rodzaju nieprzyjmowaniem przez Waszyngton jakichkolwiek nowych planów zbrojnego ingerowania w przebieg konfliktów regionalnych. Jednakże taka ocena „syndromu wietnamskiego”, nie mówiąc o jej naiwności, okazała się krótkotrwała.

X. Od „szybkiego reagowania” do „szybkiego rozwinięcia”

1

Na początku października 1973 roku Kongres Stanów Zjednoczonych absolutną większością głosów uchwalił ustawę o ograniczeniu pełnomocnictw wojskowych prezydenta. Wykorzystywanie przez niego amerykańskich sił zbrojnych poza granicami własnego kraju do prowadzenia działań bojowych, bez wyraźnej zgody Kongresu, ograniczono na przyszłość do jednego miesiąca. Był to szczyt „syndromu wietnamskiego”, kiedy wszędzie rozbrzmiewało hasło dnia: „Żadnych nowych Wietnamów!”

Jednomysłność ta jednak była tylko formalna. Hasło „Żadnych nowych Wietnamów” — twierdził jeden z doświadczonych dyplomatów — mogło równie dobrze wyrażać opinię „jastrzębi”, że Stany Zjednoczone nie powinny stosować ograniczeń w użyciu siły militarnej przy prowadzeniu wojen podobnych do wietnamskiej, zapewniać całkowitą swobodę wojskowym. Politycy amerykańscy także nie zamierzali rezygnować z owych przyszłych Wietnamów. Wietnam — lubił powtarzać prezydent Johnson — „nie jest odizolowanym epizodem historii Ameryki; jest to jeszcze jeden wielki krok na drodze realizacji tej polityki, którą Stany Zjednoczone konsekwentnie wcielają w życie od chwili zakończenia drugiej wojny światowej”¹. Wietnam — mówił także prezydent Nixon — „to nie tylko nasza przeszłość, lecz również przyszłość. Żaden prezydent nie może gwarantować, że przyszłe konflikty nie będą wymagały udziału w nich amerykańskich sił zbrojnych. Stany Zjednoczone nie mogą zrezygnować z obrony własnych interesów, niezależnie od stopnia ich zagrożenia w dowolnym punkcie kuli ziemskiej”. Charakterystyczne jest to, że nawet przemawiając w maju 1973 roku do jeńców wojennych, którzy powrócili z niewoli wietnam-

skiej, prezydent uważał za stosowne mówić nie o ograniczeniu możliwości użycia siły we współczesnych warunkach, lecz o nieprzemijającej, zwiększającej się roli siły. „Spójrzcie — nawoływał — co się dzieje na świecie: spośród wolnych narodów tylko Stany Zjednoczone dysponują odpowiednią potęgą militarną, która sprawia, że mogą stać na straży pokoju światowego. Potęga ta koncentruje się tu — w Owalnym Gabinetcie Białego Domu. Tu również pozostanie, niezależnie od tego, kto w przyszłości będzie gospodarzem owego gabinetu”².

Do symbolu urasta fakt, że przedsięwziąwszy jeszcze w toku wojny wietnamskiej zamianę starej strategii „elastycznego reagowania” na nową — „realistycznego powstrzymywania” lub „zastraszania” — Waszyngton, jak podkreślał sekretarz obrony Laird, nie zapomniał włączyć do niej także założenia o zwiększaniu gotowości i możliwości działania za pomocą siły. Poprzednia strategia — wyjaśniał w sprawozdaniu dla Kongresu sens owej idei — miała charakter odwzajemniający, odruchowy; nowa strategia opiera się na inicjatywie, aktywności. Poprzednia skupiała się na powstrzymywaniu i przystosowywaniu się; nowa kładzie nacisk na „współmierne i odpowiedzialne wciąganie się” do konfrontacji z komunizmem³.

Strategia „realistycznego powstrzymywania” w celu zwiększenia zdolności do „współmiernego i odpowiedzialnego wciągania się” do walki zbrojnej z ruchami rewolucyjnymi i narodowo-wyzwoleńczymi, wymagała, prócz doskonalenia arsenału strategicznego, istotnego powiększania amerykańskiego potencjału militarnego również w odniesieniu do broni konwencjonalnej. Uzasadniając ten kurs, prezydent Nixon i jego sekretarz obrony twierdzili, że w istniejącej sytuacji amerykańsko-radzieckiego parytetu jądrowego prawdopodobieństwo wybuchania konfliktów na poziomach „niższych od światowej wojny jądrowej lub zwykłej” będzie wzrastać i że jeśli amerykańskie siły zbrojne nie osiągną niezbędnej zdolności skutecznego oddziaływania na rozwój konfliktów, to zamiast nich taką zdolność osiągną „kraje komunistyczne”. Przyznając nawet, że podpisanie układów moskiewskich dotyczących ograniczenia zbrojeń strategicznych niewątpliwie sprzyjało stabilizacji sytuacji międzynarodowej, prezydent Nixon wyciągał z tego wniosek, że powodzenie w osiągnię-

nięciu tych porozumień jedynie podkreśla konieczność utrzymywania innych sił służących „powstrzymaniu komunizmu” na poziomie, który zapewni wykonanie tego zadania.

Brak jawnego konfliktu zbrojnego między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, a nawet polepszenie stosunków między nimi — pisał Hans Morgenthau — w znacznym stopniu nie są wynikiem tego, że tym dwóm mocarstwom udało się rozwiązać dzielące je sporne problemy lub że nie ma więcej przyczyn, które mogłyby doprowadzić do wybuchu takiego konfliktu. Oznacza to, że Stany Zjednoczone obecnie po prostu nie są w stanie przeciwstawić się rozszerzaniu „sfery oddziaływania radzieckiej siły militarnej”. To, co naiwnemu lub nieobiektywnemu obserwatorowi wydawało się być nowym harmonijnym okresem rozwoju stosunków między dwoma mocarstwami, jest zaledwie ubocznym produktem militarnego zaangażowania się Waszyngtonu w Wietnamie. Dopóki materiałowe i ludzkie zasoby Stanów Zjednoczonych będą składane na ołtarzu wojny wietnamskiej, stosunki ze Związkiem Radzieckim pozostaną — jak sądzi wielu — „dobre”. Ale gdy tylko Waszyngton upora się z tą wojną a amerykańska polityka militarna odzyska swoje racjonalne oparcie, Stany Zjednoczone mogą się znaleźć w stanie konfrontacji militarnej ze Związkiem Radzieckim ⁴.

Podobne poglądy znajdowały tym bardziej szerokie rozpowszechnienie, że w amerykańskim kierownictwie politycznym i wojskowym coraz bardziej szerzyło się przekonanie o swobodzie podejmowania, pod osłoną „parasola jądrowego”, operacji wojskowych na wielką skalę. Większość autorów ukazujących się w owym czasie teoretycznych badań tego problemu nie widziała w tym żadnego ryzyka. Traktowana z perspektywy historycznej zdolność do prowadzenia wojny jądrowej — pisał stojący wtedy na czele Instytutu Badań Polityki Zagranicznej Uniwersytetu Pensylwanii William Kintner — jest zaiste unikatowa. Ale dysponujące tą bronią państwa — będąc zmuszone do unikania konfliktu jądrowego — w ostatecznym wyniku zachowują się na arenie międzynarodowej z każdego innego punktu widzenia tak, jak gdyby nadal tkwiły w XVIII wieku.

Wysoką ocenę kierownictwa amerykańskiego uzyskała wspomniana już książka Baldwina, na której karcie tytułowej zazna-

czono, że jej autor wyraża także punkt widzenia Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie. Treścią książki było dowiedzenie „nieuchronności” przyszłych wojen. Opierając się na doświadczeniu przeszłości oraz na tym, co wiemy o naturze człowieka — pisał Baldwin — nie należy wątpić, że w takiej czy innej formie starcia zbrojne między społecznościami ludzkimi będą trwałe aż do najodleglejszej przyszłości; możliwe, że nawet dopóty, dopóki istnieje człowiek. Baldwin kpił z nadziei na nadejście okresu pokojowego po wojnie wietnamskiej, ponieważ, jego zdaniem, wojna ta była zaledwie epizodem skomplikowanego i pełnego sprzeczności procesu rozwoju świata, jednym z problemów w ich nieskończonym szeregu — nie mniej skomplikowanych i nie mniej wybuchowych ze względu na ich naturę. Przewidując taki rozwój wydarzeń na arenie światowej, autor sądził, że Stany Zjednoczone powinny przede wszystkim nauczyć się sztuki prowadzenia wojen lokalnych nie ograniczając użycia swej potęgi militarnej; siła wymaga wstrzeźliwości, ale jeśli już została uruchomiona i jeśli ma służyć odniesieniu zwycięstwa, jej użycie powinno być zmasowane i zdecydowane⁵.

Wszystkie te wariacje na temat „nieuchronności nowych Wietnamów” stawały się dyżurnym materiałem również na łamach licznych wpływowych wydawnictw amerykańskich. Dosyć wnikliwe badanie rozwoju sytuacji w świecie — pisało na przykład czasopismo „Foreign Affairs” — nie pozostawia wątpliwości co do tego, iż nie sposób wskazać jakiegokolwiek regionu geograficznego, w którym wydarzenia będą miały na tyle lokalny charakter, że żaden odpowiedzialny rząd w Waszyngtonie nie stanie w obliczu konieczności powzięcia decyzji o zbrojnej ingerencji w ich rozwój na poziomie broni konwencjonalnej.

Kształtowaniu się takich nastrojów w znacznym stopniu sprzyjały wypowiedziane przez polityków waszyngtońskich, korzystne dla Stanów Zjednoczonych, oceny stosunku amerykańskich i radzieckich możliwości wywierania bezpośredniego nacisku militarnego na rozwój sytuacji konfliktowych w krajach trzecich. Szeroko rozpowszechniło się sformułowane przez Brzezińskiego twierdzenie o jakoby bezsprzecznym i całkowicie dokonanym przejściu Stanów Zjednoczonych z kategorii apokaliptycznej siły

jądrowej do kategorii dominującej siły globalnej na poziomie broni konwencjonalnej. W kołach oficjalnych taki punkt widzenia po raz pierwszy został wypowiedziany przez sekretarza obrony McNamare, który bardzo pewnym tonem oświadczył, że gdyby Związek Radziecki nawet najusilniej pragnął dorównać Stanom Zjednoczonym pod względem zdolności działania opartego na niejądrowej potędze militarnej w odległych regionach świata, jego możliwości pod tym względem nadal pozostaną bardzo ograniczone. Oświadczenie to, złożone jeszcze w toku wojny wietnamskiej, kiedy Waszyngton zaabsorbowany był zupełnie innymi troskami, przeszło niemal bez echa i wydawało się, że zostało zapomniane. Kiedy jednak w kwietniu 1973 roku sekretarz obrony Elliot Lee Richardson skierował do Kongresu referat o nowym budżecie wojskowym, znalazły się w nim prawie dosłownie powtórzone wspomniane założenia McNamary.

2

W dziejach i praktyce ekspansji imperialistycznej ustanowienie i podtrzymywanie panowania w różnych regionach świata zawsze utożsamia się z „obecnością militarną”. Ponieważ jednak jej trwałość i stałość zazwyczaj niezawodnie zapewniana była przez posiadanie tam baz wojskowych, dążenie do ich zakładania lub nabycia stało się swoistą, obowiązującą tradycją dla konkurujących ze sobą państw imperialistycznych. Pojawienie się po drugiej wojnie światowej nowych rodzajów broni strategicznej, zastąpienie całego szeregu podstawowych doktryn wojskowo-politycznych nowymi, ogólna zmiana stosunku sił między dwoma systemami światowymi wywarły, oczywiście, swój wpływ na stosunek Stanów Zjednoczonych do tej tradycyjnej koncepcji, choć ich przywiązanie do niej jest nadal bardzo mocne. Nie można tego tłumaczyć wyłącznie „przyzwyczajeniem”. W Waszyngtonie dobrze zdawano sobie sprawę z narastających politycznych, ekonomicznych i innych trudności związanych z dysponowaniem bazami na obcych terytoriach. Może o tym świadczyć pewne zmniejszenie ich liczby ogólnej poprzez zlikwidowanie mniej ważnych, przy jednoczesnym wyposażeniu w najnowszy sprzęt bojowy pozostałych, przenoszenie ich na słabo zaludnione lub

zgoła nie zaludnione wyspy. Dokładniejsze stały się także oceny oraz przygotowania wojskowo-polityczne poprzedzające wybór miejsca i budowę nowych baz wojskowych w regionach, które w taki czy inny sposób kojarzą się Waszyngtonowi z „życiowo ważnymi” interesami Stanów Zjednoczonych.

Jednakże podtrzymywanie obecności militarnej opartej na bazach, nie mówiąc nawet o związanych z tym trudnościach ubocznych, nie stanowiło już idealnego rozwiązania problemu. Z czysto wojskowego punktu widzenia stałe przebywanie przeszło pół miliona żołnierzy amerykańskich w rozrzuconych po całym świecie bazach wojskowych wyraźnie osłabiało możliwość zmasowanego użycia przez Pentagon swoich sił zbrojnych tam, gdzie w określonej chwili powstała pilna „konieczność”. Stawało się coraz bardziej oczywiste, a zrozumieć to powinni także wojskowi — pisał Baldwin — że legiony amerykańskie, jak w swoim czasie legiony rzymskie, są za bardzo rozproszone. A przy takim stanie rzeczy podbój świata lub ustanowienie kontroli nad nim za pomocą amerykańskiej potęgi militarnej przestaje być możliwy⁶. Wyjście z tego położenia widziano jedynie w stworzeniu takiej struktury amerykańskiej obecności militarnej, która pozwoliłaby realizować tę „obecność” w znacznym stopniu bez owej „obecności”. W swoim doskonalszym sformułowaniu pomysły te zdobyły prawo obywatelstwa i stały się znane jako koncepcja „obecności na dystans”.

3

W poszukiwaniu sposobów zapewnienia takiej obecności początkowo entuzjazmowano się siłami morskimi (dał tu o sobie znać również uwarunkowany „syndromem wietnamskim” lęk przed przewlekłą wojną na lądzie). Zastępując pojęcie „obecności na dystans” bardziej ograniczoną „obecnością morską”, zwolennicy tego pomysłu wysuwali tezę „wyjścia na morze”. Wcielając w życie tę koncepcję — twierdzili — Stany Zjednoczone będą mogły w każdym wypadku działać z pozycji siły. Będą mogły stosować ingerencję zbrojną według własnego wyboru, zadawać uderzenia w dowolnym rejonie świata, stosować blokadę powietrzną i morską, bronić swoich punktów oparcia za oceanem,

tworzyć nowe przyczółki wszędzie tam, gdzie można wykorzystać mobilność i elastyczność potęgi morskiej. Wojskowe siły morskie — niejednokrotnie mówiono z trybuny Kongresu — mają tę ogromną przewagę, że dają Waszyngtonowi niczym nie skrępowany wybór ewentualnych działań popierających amerykańską politykę zagraniczną w dowolnej części kuli ziemskiej. Marynarka może być wysunięta w najbardziej odległe regiony świata, w dodatku nie wymaga to zawierania jakichkolwiek porozumień międzynarodowych lub brania pod uwagę wewnętrznej sytuacji politycznej w takim czy innym kraju. W przedłożonym senackiej Komisji Spraw Wojskowych referacie szefa sztabu sił morskich admirała Elmo Zumwalta o stanie i perspektywach rozbudowy amerykańskiej floty wojennej na lata siedemdziesiąte podkreślano także, że korzystając z prawa wolności żeglugi na wodach międzynarodowych, może ona stale znajdować się w pobliżu nieprzyjaciela, stwarzać groźbę użycia siły i w każdej chwili ją urzeczywistnić, mając przy tym możliwość wyboru czasu, miejsca i skali akcji. Wychodząc z tego założenia — pisał Zumwalt — flota może stać się jedyną siłą, zdolną do szybkiego i skutecznego wykonywania zadań wojskowych niezależnie od posiadania wysuniętych baz, czy możliwości wykorzystania obszaru powietrznego lub lotnisk w krajach trzecich, a także jakichkolwiek innych warunków określanych przez stosunki i układy sojusznicze⁷.

Uzasadnienia tych pomysłów sprowadzały się przede wszystkim do tego, że w okresie powojennym flota właśnie okazała się najbardziej elastycznym środkiem obezwładniania nieprzyjaciela z powietrza. Przypominano na przykład, że w czasie amerykańskiej interwencji zbrojnej w Libanie w 1958 roku, lotniskowce i bazujące na nich myśliwce w ciągu dwóch miesięcy — do chwili, kiedy siły powietrzne były już w stanie wziąć te obowiązki na siebie, zapewniały osłonę z powietrza amerykańskim oddziałom ekspedycyjnym. W czasie wojny w Wietnamie w działaniach bojowych uczestniczyło już ponad 200 okrętów bojowych; w tym 6 lotniskowców, a także ponad 700 samolotów bojowych ze składu 7 Floty i korpusu piechoty morskiej. W latach 1965—1968 prawie 5% wszystkich tak zwanych samolotolotów bojowych — około 45 000 miesięcznie — przypadało na lotnictwo

morskie. W lutym 1972 roku z samego tylko lotniskowca „Enterprise” wykonano około 1700 samolotolotów.

W amerykańskich kierowniczych kołach wojskowych lotniskowce zaczynano coraz bardziej traktować jako swego rodzaju mobilne lotniska, w pełni przydatne do wykorzystania lotnictwa w celu zadawania uderzeń w naziemne obiekty nieprzyjaciela. Obliczono, że samoloty bazujące na lotniskowcach teoretycznie dają marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych możliwość wykonywania uderzeń na terytoria (z wyjątkiem ZSRR) zamieszkiwane przez około 95% ludności świata. Oczywiście, samoloty danego lotniskowca w każdej określonej chwili mają tę zdolność tylko pod warunkiem odpowiedniego umiejscowienia okrętu. Przemieszczanie lub przegrupowywanie lotniskowców nie wymaga jednak wiele czasu, ponieważ „pozostawiając za rufą około 500 mil przestrzeni wodnej dziennie” lotniskowiec — mający na pokładzie samoloty o zasięgu do 1000 mil — może maksimum w ciągu trzech dni, płynąc na przykład z dowolnego punktu na Oceanie Indyjskim, zająć pozycję umożliwiającą wykonywanie uderzeń wzdłuż całego obwodu od Suez do Singapuru, a trzech kolejnych dni wystarczy mu na to, żeby przybyć w rejon położony nie opodal teatru działań wojennych.

Szybkie ześrodkowanie lotniskowców w odpowiednim czasie i miejscu, jak zakładano, miało umożliwiać Stanom Zjednoczonym branie pod skuteczną kontrolę rozwoju „niebezpiecznych sytuacji” typu wietnamskiego. Jest całkiem możliwe — mówiono w Kongresie — że można było w zarodku zdławić ruch narodowowyzwoleńczy w Wietnamie, gdyby udało się we właściwym czasie ześrodkować dziesięć czy dwanaście lotniskowców z siłami ekspedycyjnymi koło jego brzegów. Sam widok tej „działającej na wyobraźnię” siły militarnej zmusiłby Hanoi do „innego spojrzenia na sprawę”.

Opowiadając się za „wyjściem w morze”, zwolennicy takiej „obecności na dystans” posuwali się jeszcze dalej twierdząc, że siły morskie będą miały przewagę również w tych przypadkach, kiedy ponownie pojawi się problem konieczności bezpośredniego udziału amerykańskich sił zbrojnych w prowadzeniu operacji bojowych na lądzie. Sukces militarny — mówili — uwarunkowany jest przede wszystkim zdolnością sił ekspedycyjnych do

zapewnienia niezbędnych do tego warunków w rejonie konfliktu. Z tego punktu widzenia marynarka i piechota morska nadal zachowują bezsprzeczną przewagę. W odróżnieniu od desantów wojsk lądowych, zmuszonych — jednocześnie z prowadzeniem walki — organizować swoją infrastrukturę (między innymi zdobywać lub budować lotniska, na których mogłyby bazować samoloty osłaniające i wspierające z powietrza wojska lądowe), piechota morska przystępuje do działań mając już trwałe, dobrze zorganizowane i stojące na wysokim poziomie technicznym „tyły”. Ważne jest również to, że „tyły” te zawsze znajdują się tuż obok teatru działań wojennych. Bazujące na lotniskowcach samoloty szturmowe i myśliwskie docierają do rejonu prowadzenia działań bojowych w bardzo krótkim czasie, praktycznie z pełnymi zbiornikami paliwa, będąc w stanie najwyższej gotowości bojowej i technicznej.

Biorąc pod uwagę współczesną sytuację międzynarodową — mówił w tych dniach w Kongresie dowódca korpusu piechoty morskiej — Stany Zjednoczone nie mogą liczyć na powiększenie we właściwym czasie swojej fizycznej obecności wojskowej na obcych terytoriach. Mogą jednak pójść inną drogą, to jest drogą organizowania interwencji z użyciem broni w rejonach powstania konfliktów. Należy jednak pamiętać, że marynarka i piechota morska stanowią tę jedyną siłę, która potrafi wykonać takie zadania⁸.

Na jakiś czas oddziaływanie owych idei na umysły poruszone przez „syndrom wietnamski” było znaczne. W sprawozdaniu jednej z komisji Kongresu uznano na przykład, że życiowe interesy Stanów Zjednoczonych wymagają, by amerykańskie siły morskie były w stanie spełniać powierzoną im misję „obrony narodowej” w dowolnym regionie świata i w dowolnym czasie. Stanowisko to zostało w pełni poparte przez rząd prezydenta Nixona. Już w pierwszym swym wywiadzie, w jakim poruszono ten temat, oświadczył, że wierzy w „silną niejądrową flotę”, która pomoże Stanom Zjednoczonym spełnić spoczywającą na nich misję „stróżów pokoju”.

Sprowadzenie pojęcia „obecności wojskowej na dystans” wyłącznie do obecności morskiej, jak to czynili jej zwolennicy, nie mogło oczywiście być uważane przez czas dłuższy za zadowalające rozwiązanie problemu przez kogokolwiek z kierownictwa politycznego i wojskowego w Waszyngtonie, z wyjątkiem przedstawicieli dowództwa samych sił morskich, do których roli, zgodnie z takim traktowaniem problemów, przywiązywano wyjątkowo wielką wagę.

Nie tylko druga wojna światowa, lecz tenże sam Wietnam dobitnie zaświadczył, że samo lotnictwo wojskowe nie potrafi nie tylko utrwalić powodzenia, lecz nawet zadać nieprzyjacielowi decydującego uderzenia, zwłaszcza w tych przypadkach, kiedy stosował on partyzancką taktykę prowadzenia działań bojowych. Krytycy idei „wyjścia w morze” słusznie podkreślali, że aczkolwiek w czasie wojny w Wietnamie zrzucono tam w sumie więcej ton bomb, niż zrzucili ich sojusznicy zachodni w ciągu całej drugiej wojny światowej na wszystkich teatrach działań wojennych, nie przyniosło to Amerykanom zwycięstwa. Nie ostały się także stare, pochodzące z czasów „polityki kanonierek”, wyobrażenia o tym, że marynarka wojenna i piechota morska potrafią samodzielnie przesądzić wynik konfliktów zbrojnych poprzez stosowanie taktyki desantów morskich. Mimo bezprecedensowej liczebności sił ekspedycyjnych w Wietnamie, ich doskonałego wyposażenia technicznego, piechota morska nie zademonstrowała na polu walki większej skuteczności niż inne rodzaje wojsk. W warunkach nowego przypływu walki narodowowyzwoleńczej ulubiona taktyka „godzenia tubylców” za pomocą zastraszania nie zdała egzaminu. Jedną z najtragiczniejszych dla ludności Wietnamu Południowego operacji stał się plan *Phoenix*, realizowany w ciągu wielu lat pod kierownictwem przyszłego dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej Williama Colby’ego. Sprowadziła się ona do masowego, realizowanego z zimną krwią niszczenia bezbronnej ludności, przewyższając pod tym względem niesławnej pamięci hitlerowskie obozy zagłady. W ostatnich latach wyszło na jaw, że w ciągu całej operacji Colby osobiście określał miesięczne „kwoty” osób cywilnych podlegających uśmierceniu,

które musiały być obowiązkowo osiągnięte przez dowództwo amerykańskie w Wietnamie przede wszystkim przy pomocy „zielonych beretów” i piechoty morskiej. Ale nawet operacja *Phoenix*, zaliczona później nawet przez prasę amerykańską do rzędu „nie usprawiedliwionego bestialstwa” (zresztą natychmiast usprawiedliwionego jako zjawisko „charakterystyczne dla wszystkich wojen”) nie przyniosła sukcesów wojskowych interwentom amerykańskim, niosąc ze sobą jedynie wzrost nienawiści do nich wśród wszystkich warstw ludności Wietnamu Południowego.

Przy tym, zwłaszcza pod koniec wojny wietnamskiej, stan osobowy korpusu piechoty morskiej, jak zresztą i innych jednostek, uzupełniany antywojennie nastrojoną młodzieżą, coraz bardziej tracił zaufanie Waszyngtonu. Przeprowadzone pod jego egidą liczne badania naukowe zmuszały do wyciągnięcia wniosku, że armia masowa, złożona w większości z osób powołanych do służby na podstawie ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym, znajduje się w opozycji wobec interwencyjnej polityki imperiaizmu amerykańskiego. Świat — pisała „Washington Post”, komentując te „objawienia” — nigdy na przykład nie dowiedziałaby się o krwawej rzezi w My Lai urządzonej przez porucznika Williama Calleya, gdyby jedynych jej świadków stanowili żołnierze, których kariera i wysokość żołdu uzależnione były całkowicie od gorliwego pełnienia służby w amerykańskich siłach zbrojnych.

Marynarka wojenna wreszcie nie mogła zadowolić strategów amerykańskich również z punktu widzenia głównego atutu jej dowództwa — mobilności. Podkreślano na przykład, że o ile dostawa ładunków wojskowych do Wietnamu drogą powietrzną zajmowała przeciętnie 20 godzin, o tyle morzem — około 16 dni. A takie tempo było zupełnie nie do przyjęcia przy ingerowaniu w konflikty już w pierwszych godzinach ich rozwoju. Gdyby Stany Zjednoczone — pisał w swych wspomnieniach były dowódca sił powietrznych, premier i wiceprezydent rządu sajgońskiego Nguyen Cao Ky — mogły odnosić zwycięstwa, mówiąc obrazowo, w ciągu jednej nocy, to dym bitewny rozwiałyby się szybciej, niż naród amerykański przestałby przecierać oczy i Waszyngton nie musiałby przeżywać goryczy porażki⁹.

Zarysowujące się nowe poglądy wymagały więc poszukiwania środków i dróg, które pozwoliłyby Stanom Zjednoczonym doko-

nywać interwencji zbrojnej w formie „błyskawicznych” operacji dzięki „zdecydowanym” działaniom opartym na względnie nie-licznych, lecz specjalnie wyszkolonych, wysoce mobilnych i dobrze wyposażonych zawodowych siłach zbrojnych.

Przejsście do najemnych sił zbrojnych było jednak zbyt skomplikowane, toteż po dokonaniu ich reorganizacji pozostawało tylko rozwiązać problem przydzielania „nowym Wietnamom” formacji oraz metod ich wykorzystania do tłumienia ruchów rewolucyjnych i narodowowyzwoleńczych.

5

Wielkie zdumienie wielu ludzi, nawet z Pentagonu, wzbudził fakt, że takie formacje chyba już istnieją. Był to sformowany w 1965 roku 125-tysięczny korpus armijny *Strike*, który miał pozostawać w stałej gotowości bojowej do wyprawy za ocean w celu prowadzenia tam działań bojowych.

Strike był spadkiem po nieboszczyku, prezydencie Kennedym i odpowiadał wyznawanej przez niego konieczności polegania nie tylko na „paramilitarnych i przeciwpowstańczych” metodach przeciwdziałania ruchom ludowym, lecz także na podnoszeniu gotowości do „reagowania na komunistyczne wyzwania” również za pomocą potężnych i wysoce mobilnych sił przygotowanych do prowadzenia szybkich operacji.

W owym czasie jednak rozwiązanie tego problemu praktycznie przekraczało możliwości Pentagonu. Meldując o swoim pierwszym wrażeniu, nowy sekretarz obrony McNamara informował, że znalazł w Pentagonie, jako rozwiązanie wszystkich problemów wojskowych i politycznych, „jedynie strategię zmasowanego odwetu” obok całkowitej obojętności na to, że siły niejądrowe są słabe z punktu widzenia posiadania dywizji gotowych do walki i możliwości przerzucenia ich drogą powietrzną. Kennedy nawet sam był „zdumiony i oszołomiony”, kiedy po upływie kilku dni od zamieszkania w Białym Domu zainteresował się, ile potrzeba czasu na przerzucenie do Azji Południowo-Wschodniej drogą powietrzną jednej tylko dywizji wojsk lądowych. Dowiedział się, że operacja taka potrwa 25—30 dni. Później, analizując nauki kryzysu w rejonie Morza Karaibskiego, dowództwo amerykań-

skiego lotnictwa wojskowego musiało przyznać, że przerzucenie sił kontrrewolucyjnych na Florydę, gdzie odbywało się ich ześrodkowanie, wymagało największego wysiłku, mimo nieznacznych odległości i przydzielenia dodatkowo 400 cywilnych samolotów transportowych.

Ten stan rzeczy można było zmienić — zdawał sobie sprawę Kennedy — tylko za pomocą jak najenergiczniejszej interwencji na najwyższym szczeblu. Dlatego właśnie już w pierwszym orędziu do Kongresu o stanie państwa za jeden z najważniejszych problemów ogólnonarodowych uznał zwiększenie możliwości przerzucenia drogą powietrzną amerykańskich sił zbrojnych, łącząc to z koniecznością powiększenia zdolności Stanów Zjednoczonych do wywierania skutecznego wpływu na przebieg wojen ograniczonych „w znacznie oddalonych od siebie częściach świata”.

Wszystko to jednak wymagało czasu, toteż dopiero w drugiej połowie 1963 roku Pentagon uznał się za dostatecznie przygotowanego do prowadzenia wielkich ćwiczeń dotyczących przerzucania wojsk przez ocean. Zakładano, że w toku takiej operacji, której nadano kryptonim *Big Lift*, wojskowe lotnictwo transportowe będzie musiało w ciągu mniej więcej trzech dób przerzucić do Europy dywizję pancerną stacjonującą w bazie Fort Hood w Teksasie.

Operacja ta, mimo jesiennej pogody, trwała bez przerwy, dzień i noc, z maksymalnym wyłączeniem sił. Były chwile, kiedy na całej trasie mostu powietrznego z Ameryki do Europy znajdowało się jednocześnie ponad sto samolotów. Jednakże, wbrew wielkim rozmiarom przedsięwzięcia, eksperci wojskowi ocenili je bardzo powściągliwie. *Big Lift* — podkreślali — zademonstrował znaną już prawdę: dotkliwy brak samolotów transportowych rzeczywiście przydatnych do realizacji podobnych operacji. Wykorzystane w jej toku samoloty tłokowe *Globmaster* były powolne, a ponadto w drodze ze Stanów Zjednoczonych do Europy musiały dwukrotnie lądować (na Labradorze i w Anglii) w celu uzupełnienia paliwa. W warunkach skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, jaka zwykle powstaje w czasie trwania realnych konfliktów, te wady *Globmasterów* mogłyby się okazać fatalne dla powodzenia operacji. Co więcej, sama praktyczna skutecz-

ność operacji *Big Lift* z punktu widzenia nabytej już przez Stany Zjednoczone zdolności do „obecności na dystans” w jej czyściej postaci, również rozczarowała. Jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że masa będącego w jej uzbrojeniu ciężkiego sprzętu bojowego, przerzuconego wraz ze stanem osobowym dywizji, wyniosła zaledwie 50%, pozostałą zaś broń uzyskano z amerykańskich magazynów wojskowych w Europie, to stawało się oczywiste, jak wiele jeszcze trzeba zrobić, żeby zapewnić możliwość „obecności na dystans” chociażby w skali przerzutów stosunkowo niewielkich kontyngentów wojskowych.

Dopiero w 1965 roku siły powietrzne zaczęły otrzymywać samoloty C-141 *Starlifter* — pierwsze odrzutowe wojskowe samoloty transportowe zaprojektowane specjalnie dla międzykontynentalnych przerzutów wojsk i sprzętu bojowego. Jednakże możliwości *Starlifterów* były jeszcze bardzo ograniczone. Przy maksymalnym ciężarze startowym 140 ton samolot taki mógł przerzucić na odległość 10 tysięcy kilometrów ciężar użyteczny wynoszący zaledwie 16,5 tony. Ponadto wymiary kadłuba *Starlifterów* nie pozwalały na wykorzystanie ich do przerzucania najcięższych i wielkowymiarowych typów sprzętu bojowego. Znacznie lepsze dane taktyczno-techniczne miał przekazany siłom powietrznym w grudniu 1969 roku, jako doświadczalny na razie wzorzec, transkontynentalny samolot transportowy C-5A *Galaxy*. Przemawiając na uroczystości z tej okazji, prezydent Johnson uznał za stosowne podkreślić, że wraz z pojawieniem się *Galaxy* Stany Zjednoczone po raz pierwszy zapewniają sobie realną możliwość szybkiego i skutecznego przerzucania sił zbrojnych i sprzętu bojowego w dowolny punkt kuli ziemskiej, w którym „będą zmuszone” bronić swych „interesów życiowych”. Komentując to wystąpienie prezydenta, czasopismo „Military Review” pisało wówczas, że samoloty typu *Galaxy* umożliwią Stanom Zjednoczonym występowanie na arenie światowej w nowej roli swego rodzaju międzynarodowej gwardii, a Waszyngton nie będzie więcej musiał łamać sobie głowy, jak spełniać „nadzór policyjny” nad rozrzuconymi po całym świecie niebezpiecznymi i niespokojnymi regionami opierając się wyłącznie na siłach rozproszonych w bazach wojskowych¹⁰.

Proroctwa te jednak okazały się przedwczesne. Nie mówiąc

już o szybko ujawnionych wadach konstrukcyjnych, samoloty *Galaxy* przy lotach na większe odległości okazały się nie przystosowane do zabierania zapasu paliwa potrzebnego na drogę powrotną. Tak więc, bez uprzedniego dostarczenia paliwa w rejon konfliktu za pomocą innych środków transportowych, wykorzystanie *Galaxy* umożliwiało stworzenie, mówiąc obrazowo, nie mostu powietrznego, lecz trampoliny dla jednorazowego transkontynentalnego skoku niewielkiego kontyngentu wojsk. W warunkach wojny wietnamskiej, kiedy przewozy ładunków wojskowych drogą powietrzną nigdy przeciętnie nie przekraczały 2% ich ogólnej masy, owe i tak już skromne możliwości *Galaxy* w ogóle traciły swoją pożyteczność. Wszystko to zadecydowało, że pod koniec wojny w Wietnamie, kiedy problem zorganizowania „obecności na dystans” przekształcił się w problem palący i niecierpiący zwłoki, nikt nawet nie wspomniał o istnieniu przeznaczonego do osiągania tych celów korpusu *Strike*, a całą uwagę Waszyngtonu na jakiś czas zaabsorbowały miraż „wyjścia w morze”.

6

Dokonywane przy wykorzystaniu przede wszystkim lotnictwa transportowego ponowienie prób stworzenia wysoce mobilnych wojsk o szczególnej gotowości również ominęło zapomniany korpus. Zaczynano wszystko od nowa, wychodząc z założenia, że o ile *Strike* formowany był z żołnierzy zwykłych pododdziałów wojskowych, o tyle nowe wojska, specjalnie przygotowane do prowadzenia działań bojowych w specyficznych warunkach odległych regionów, muszą mieć szczególny charakter, nawet w porównaniu z nowymi, najemnymi siłami zbrojnymi Stanów Zjednoczonych.

W roku 1974 z wyższych sfer Waszyngtonu „przeciekają” do prasy pierwsze wiadomości o planach formowania jakichś „rezerwowych”, wysoce manewrowych kontyngentów, które odpowiadałyby tym wymogom. W marcu tegoż roku na konferencji prasowej sekretarz obrony James Schlesinger potwierdził te pogłoski dodając, że rząd rozpatrzył już możliwości stworzenia podobnych kontyngentów „dla Korei”. W przedstawionym Kon-

gresowi w 1975 roku referacie o budżecie wojskowym na rok finansowy 1976—1977, Schlesinger argumentował, że jeśli Stany Zjednoczone popełniły nawet w Wietnamie przed dziesięciu laty pewien błąd, to nie może on być przyczyną, aby nadal miały rezygnować z możliwości użycia siły, w dodatku szybkiego, w innych regionach świata.

Wraz z przyjściem do Białego Domu prezydenta Cartera pomysły te zostały w pełni przejęte przez nowy rząd, który skonkretyzował je początkowo w postaci formuły stworzenia „sił szybkiego reagowania za horyzontem” — w „sytuacjach nie-natowskich”, to jest przede wszystkim w strefie Zatoki Perskiej. Rząd — podkreślali amerykańscy komentatorzy polityczni — żywi nadzieję, że decyzje, jakie zostaną powzięte w tej dziedzinie, staną się potwierdzeniem uwolnienia się od „syndromu wietnamskiego”, odrodzenia gotowości wykorzystania siły militarnej do obrony „interesów narodowych” za oceanem. W sierpniu 1979 roku na zjeździe amerykańskiego Stowarzyszenia Badania Problemów Międzynarodowych wygłosił przemówienie doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Brzeziński. Potwierdził on, że rząd Cartera nie traktuje „doświadczenia wietnamskiego” jako dowodu nikczemności czy nawet zgubności uciekania się Stanów Zjednoczonych do siły militarnej w tego rodzaju konfliktach i jest w pełni zdecydowany uczynić wszystko, by zagwarantować możliwości oraz środki służące przerzucaniu sił w odpowiedniej formie i na odpowiednim poziomie intensywności tam, gdzie mogą być potrzebne. W wystąpieniu na forum Rady Przedsiębiorców 12 grudnia 1979 roku, uzasadniając nową doktrynę — „doktrynę Cartera” — głoszącą prawo do zbrojnej ingerencji praktycznie w dowolnym regionie globu ziemskiego, a także w styczniowym (1980 r.) orędziu do Kongresu o stanie państwa prezydent oficjalnie już mówił o powzięciu przez rząd decyzji w sprawie „szybkiego reagowania” na powstawanie okoliczności nadzwyczajnych wszędzie tam, gdzie mogą one „zagrozić” interesom Stanów Zjednoczonych. W tym celu w najbliższym czasie miano zacząć formowanie „sił szybkiego reagowania”.

Nie sposób jednak było nie zauważyć, że w poglądach Białego Domu na samą zasadę amerykańskiego „reagowania” zaszły już

istotne zmiany. Carter wyraźnie dawał do zrozumienia, że jego skala nie będzie ograniczona możliwościami specjalnie tworzonych do tego sił, że najczęściej będą one odgrywać rolę jedynie pierwszego rzutu najazdu zbrojnego. „Obecność na dystans”, wykorzystująca bazy wojskowe i flotę, teraz w pełni odzyskiwała swoje prawa i była włączona do „reagowania”. W związku z powyższym same siły szybkiego reagowania wolano nazwać siłami „szybkiego rozwinięcia”, a ich liczebność uległa zmianie. O ile na początku zamierzano ograniczyć się do 100—110 tysięcy żołnierzy, o tyle później zaczęto mówić o siłach liczących 200 tysięcy plus 100 tysięcy „przydzielanych” im żołnierzy rezerwy.

Wyjaśniając te nowe założenia, sekretarz obrony Brown, który 26 lutego 1980 roku wystąpił przed senacką Komisją Sił Zbrojnych, mówił, że — zdaniem rządu — w niespokojnych rejonach świata lub w pobliżu tych rejonów powinna być zapewniona „odpowiednia amerykańska obecność wojskowa”, zagwarantowana przez bazy wojskowe lub specjalnie przebudowane statki z rozmieszczonym na nich ciężkim sprzętem bojowym, a także lotniskowce i inne okręty bojowe. Jeśli zaś takiej obecności wojskowej z różnych przyczyn nie będzie można zapewnić w poszczególnych rejonach, to tam powinna ona być oparta na zdolności do przerzucania „sił szybkiego reagowania”, które w czasie wojny będą stanowiły rdzeń ześrodkowania amerykańskich sił ekspedycyjnych.

Zarysowująca się struktura sił szybkiego reagowania również odbiegała od wyobrażeń o jej wyłącznie aeromobilności. Co prawda plany Pentagonu zakładały budowę całej armady supernowoczesnych samolotów transportowych CX nadających się do globalnego przerzucania wojsk i sprzętu bojowego. Ale dochodził do tego również program budowy szybkich statków transportowych, w tym również poduszkowców, a także specjalnie skonstruowanych transportowców jako składów uzbrojenia. Ponadto, według oświadczenia Browna, zakładano, że również same siły szybkiego reagowania mogą mieć w swoim składzie zespoły lotniskowców oraz innych okrętów bojowych. Innymi słowy, sprawa sprowadzała się do tego, że „szybkie reagowanie”, przekształcając się w „szybkie rozwinięcie”, w istocie łączyło się już z „przedsyndromowymi” wyobrażeniami, że Stanom Zjednoczo-

nym wszystko jest dozwolone, że mogą używać siły militarnej bez jakiegokolwiek „samoograniczenia się”.

Chciano więc zapomnieć o trudnych dla imperializmu amerykańskiego czasach, rozluźnić się, kierować kaprysem, nonszalancko decydować o losach świata. Korzystając ze statusu „osoby prywatnej”, eks-prezydent Nixon tak właśnie postąpił. Kontemplacyjnie decydując o tym, jak postąpić z Iranem, w którym tak źle potraktowano jego osobistego przyjaciela — szacha, oddał się przyjemnym rozmyślaniom: dlaczego Stany Zjednoczone nie mogłyby wtargnąć do tego kraju i nie zrobić porządku z tymi, którzy sprawują władzę? Iran to słaby kraj, w którym brak wszelkiej moralności. Waszyngton ma do czynienia z nierozsądnymi ludźmi i nierozsądnym przywódcą państwa.

Biały Dom taktownie to przemilczał, ale dokładnie dwa tygodnie później, w toku jednej z pierwszych serii ćwiczeń sił szybkiego reagowania, żołnierze piechoty morskiej wjechali na brzeg czołgami ozdobionymi transparentami „Na Iran!”. W kwietniu zaś 1980 roku przewodniczący Połączonego Komitetu Szefów Sztabów David Jones oraz doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Brzeżiński, z błogosławieństwem Cartera, z zapalem rozegrali pierwszy amerykański „posyndromowy” debiut *Blue Light* — żałośnie zakończoną operację, której rzeczywistym celem było nie rozreklamowane uwolnienie zakładników amerykańskich, lecz zrealizowanie tak szczerze wyrażonego przez Nixona marzenia o zdławieniu rewolucji w Iranie.

7

Ekipa Reagana była chyba zadowolona z wykonanej przez jej poprzedników pracy związanej z organizacją sił szybkiego reagowania. Co prawda sekretarz obrony Weinberger skrytykował przy sposobności Cartera oświadczając, że tamten zbyt długo się namyślał, a w dodatku działał bez rozmachu, ale nie naprawianie tych „błędów” stało się główną troską nowego rządu.

Może pamiętając o ostrzeżeniu McNamary, a może dostatecznie odczuwając i bez tego narastający w świecie negatywny stosunek do wszelkich przejawów amerykańskiej polityki imperialistycznej, rząd prezydenta Reagana od samego początku skon-

centrował uwagę na politycznej i ideologicznej konsolidacji swych pozycji międzynarodowych, zastrzegając sobie i uzasadniając „prawo” do użycia siły militarnej.

Już na pierwszej konferencji prasowej, zwołanej po upływie tygodnia od chwili objęcia władzy przez nowego prezydenta, sekretarz stanu Haig oświadczył, że rząd za kamień węgielny polityki zagranicznej uważa walkę z „terroryzmem międzynarodowym”, przez co należy rozumieć przede wszystkim „tak zwane wojny narodowowyzwoleńcze”. Rzekomo inspirowane i organizowane przez Moskwę lub przy pomocy podstawionych przez nią osób, one doprowadziły do „wybuchu terroryzmu międzynarodowego”, który nabrał obecnie charakteru „głównego niebezpieczeństwa i źródła niepokojów” dla wszystkich odpowiedzialnych rządów. Mimo że później Biały Dom i Pentagon doszły do zgodnego wniosku, iż amerykańska interwencja zbrojna, jeśli będzie potrzebna, może być przedsięwzięta również bez wyrażenia na nią zgody nawet przez „zaprzyjaźnione rządy”¹¹, kazano im wierzyć, że tylko Stany Zjednoczone będą w stanie uwolnić je od owego „niebezpieczeństwa”.

Waszyngton wywarł znaczny nacisk na swych sojuszników zachodnioeuropejskich również w kwestii ich zgody na rozszerzenie „strefy odpowiedzialności” Paktu Północnoatlantyckiego. Ostatecznie w wyniku długotrwałych uzgodnień Komitet Planowania Obrony tego bloku na odbytym w połowie maja w Brukseli posiedzeniu przyjął dokument zawierający założenie, że wspólne cele mogą wymagać od sygnatariuszy paktu rozwinienia sił poza granicami tej strefy. Rok później, w maju 1982 roku, na zwołanym ponownie w Brukseli posiedzeniu Komitetu Planowania Wojskowego ministrowie obrony poszli jeszcze dalej, w istocie potwierdzając gotowość swych państw do wspierania ewentualnych działań amerykańskich sił szybkiego reagowania poza „strefą odpowiedzialności”.

Najbardziej jednak niebezpiecznym krokiem rządu prezydenta Reagana, z punktu widzenia rozszerzenia możliwych w przyszłości teatrów działań wojennych, stało się wysunięcie strategii swego rodzaju „zmasowanego odwetu” na poziomie niejądrowym. Strategia ta, nazwana potocznie koncepcją „eskalacji geograficznej”, opiera się na zasadzie, że przy konfrontacji zbrojnej

z ZSRR amerykańskie siły zbrojne nie będą się ograniczały jedynie do ram powstałego teatru działań wojennych, lecz rozszerzą go także na inne regiony, nasilając konflikt do poziomu wojny światowej. W celu zapewnienia niezbędnego do tego potencjału — podkreślił Weinberger — Stany Zjednoczone będą tworzyć specjalnie szkolone wojska oraz środki przerzucania ich w takiej skali, jaka będzie potrzebna dla zapewnienia możliwości prowadzenia wielkich wojen z dala od wybrzeży Ameryki, „w ciągu maksymalnie długiego czasu” po powstaniu sytuacji konfliktowej.

Światowa wojna niejądrowa... Wszak to już Baldwin pisał, że w dzisiejszych czasach Stany Zjednoczone mogą prowadzić takie wojny tylko pod warunkiem, że będą jednocześnie dysponować możliwością zadania ZSRR, w razie konieczności, takiego uderzenia swymi strategicznymi siłami rakietowo-jądrowymi, które potrafi „całkowicie zniszczyć całą jego potęgę militarną, polityczną i ekonomiczną”¹². A przecież właśnie z braku takiej możliwości Waszyngton snuje swoje nowe plany wojen na poziomie sił konwencjonalnych. Koło się zamyka.

Mimo wszystko jednak Waszyngton nie może się powstrzymać przed spełzaniem do przepaści poprzez „nowe Wietnamy”, które mogą się otworzyć dla niego wszędzie, gdzie ma zamiar lub już działa z użyciem siły — w Libanie, Salvadorze i Nikaragui oraz w wielu innych krajach Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej.

Na razie jednak, pragnąc zademonstrować światu swoje całkowite wyleczenie się z „syndromu wietnamskiego”, zrealizował „błyskawiczną operację” najazdu zbrojnego na Grenadę i po „całkowitym rozgromieniu tam doborowych wojsk rosyjskich” z zamaskowanym jako radziecki ambasador „czterogwiazdkowym generałem” na czele, odniósł wreszcie tak długo oczekiwane „zwycięstwo”.

XI. „Jak króliki...”

1

Przyjęto uważać za rzecz samą przez się zrozumiałą, że wojny konwencjonalne prowadzi się z użyciem konwencjonalnej broni. Jednakże słuszność tego twierdzenia w naszych czasach stopniowo sprowadza się jedynie do takiej cechy wyróżniającej tę broń, że jest ona niejądrowa. Poza tym obecnie wojna konwencjonalna ma niewiele wspólnego z rozumianym przez to pojęcie znaczeniem, jakie nadawano mu jeszcze kilkadziesiąt lat temu, w każdym bądź razie do chwili powstania sytuacji „pata jądrowego”.

Ubolewając nad smutnymi wynikami amerykańskiej agresji w Wietnamie, czasopismo „Newsweek” w numerze z 18 sierpnia 1975 roku wyciągało wnioski, że „najlepsza broń — to fizyczne zniszczenie zawczasu nosicieli idei rewolucyjnych”. Tam, gdzie jest to możliwe, Waszyngton pragnie postępować w ten właśnie sposób, dbając oczywiście, by nie brudzić własnych rękawiczek. Kiedy jednak czas zostaje bezpowrotnie stracony, powstaje problem — jak zabijać tych „nosicieli idei”, którzy już chwycili za broń? Problem jest o tyle poważny, że amerykański żołnierz najemny może i byłby gotów to robić z wystarczającym zapalem, ale tylko pod warunkiem, iż nie będzie to poważnie zagrażać jego własnemu życiu. Łatwo to zrozumieć, albowiem najemny morderca dlatego nim zostaje, że liczy na poprawienie w ten sposób własnej sytuacji materialnej, że będzie żyć „dobrze”, nigdy jednak na odwrót. Żołnierz — lubią w związku z tym powtarzać w Pentagonie — musi mieć pewność, że będzie mógł „zabijać ich jak króliki”. Wtedy wszystko będzie w porządku. Ba, ale jak to zrobić?

Latem 1966 roku w Instytucie Badań Obronnych, z którego okien można oglądać masywny pięciobok budynku resortu wojskowego, odbywało się niezwykle seminarium. Pomysł jego zwołania podsunął Instytutowi sekretarz obrony McNamara. Od uczestników seminarium oczekiwano zgłoszenia nowych, „nieortodoksyjnych i daleko idących” propozycji dotyczących dalszej technizacji amerykańskiej agresji w Wietnamie. W związku z powyższym zaproszenia na seminarium rozesłano tylko do tych uczonych, którzy zdaniem Pentagonu, dowiedli, że są gotowi „aktywnie i chętnie” współpracować w tworzeniu nowych rodzajów broni „zwykłej”.

Pod koniec sierpnia na biurku McNamary znalazł się opasły tom opracowanego przez nich sprawozdania. Na tych nielicznych osobach w Pentagonie, które miały możliwość zaznajomić się z jego treścią, początkowo wywarł przygnębiające wrażenie. Analizując amerykańskie możliwości osiągnięcia zwycięstwa w Wietnamie, autorzy sprawozdania praktycznie oceniali je na zero. Należy powiedzieć — podkreślali — że obecnie trudno jest orzec, czy istnieje w ogóle taki poziom wysiłku zbrojnego, który Stany Zjednoczone powinny przedsięwziąć dla odniesienia zwycięstwa, jeśli się okaże, iż nie są w stanie powiększyć wojskowo-technicznych możliwości prowadzenia konwencjonalnych działań wojennych.

Krytykując metody ich prowadzenia w Wietnamie, uczestnicy seminarium zaproponowali również własne rozwiązanie problemu. Sprawozdanie zawierało wiele drobiazgowo przemyślanych przedsięwzięć, z których pomocą należało „zautomatyzować” wojnę, osaczyć i „wyłapywać” nieuchwytnego przeciwnika za pomocą „sieci elektronicznych” równie łatwo i prosto, jak rybak wyciąga z głębin oceanu śmigłą rybę.

Wkrótce w korytarzach Pentagonu zaczęto szeptem mówić o projekcie „odłowu ryb”. Wieloznaczny kryptonim tego pomysłowego projektu faktycznie pozostał nieznany szerokiej amerykańskiej opinii publicznej. Kiedy pierwsze pogłoski o nim zaczęły przedostawać się do prasy, dziennikarze samowolnie ochrzczili go mianem „Wschodniej Linii Maginota”, a później —

„Elektronicznym parkanem”. Miał on przegrodzić cały Wietnam i tym samym położyć kres przenikaniu na południe „agresji komunistycznej”.

W swym wcieleniu praktycznym „parkan” miał stanowić ciągły pas „wysiewanych” z powietrza pól minowych o szerokości kilku kilometrów. Umieszczone na polach minowych czujniki elektroniczne detonowałyby miny przy próbach pokonania takiej strefy, oraz przekazywały informacje do odpowiednich ośrodków koordynujących wykonywanie z powietrza uderzeń bombowych i szturmowych na wykrytego nieprzyjaciela.

Losy tego projektu, jeśli opierać się na oficjalnej informacji, są niejasne. Na początku grudnia 1967 roku Pentagon oświadczył, że część „parkanu” już działa. W okresie późniejszym wciąż jakoś tak się składało, że funkcjonowaniu systemu przeszkadzały trudne do rozwiązania problemy techniczne. Wyjaśniając w Kongresie istotę tych „problemów”, szef wydziału opracowań technicznych i perspektywicznych generał Austin Betts nie znalazł nic lepszego, jak tylko poskarżyć się na to, że „parkan elektroniczny” już dawno byłby zbudowany, gdyby nieprzyjaciel pozwolił to uczynić.

W toku debat na temat asygnowań budżetowych na rok finansowy 1969 kierownictwo resortu wojskowego wolało udać, że gotowe jest zrezygnować z budowy „parkanu elektronicznego”, jeśli uzyska żądane środki na rozwinięcie strategicznych rodzajów broni. Mało kto z kongresmanów zwrócił wtedy uwagę na pewne dziwne sformułowania w zapotrzebowaniu, w którym stwierdzano, że program budowy „elektronicznej strefy zaporowej” w Wietnamie zostanie w tym przypadku odłożony jako samodzielny, aczkolwiek może być zintegrowany w ogólnotaktycznym systemie prowadzenia tam działań bojowych.

Zresztą to zbyt mądrze brzmiące określenie nie wypaczało nadmiernie prawdy. W chwili „likwidacji” projektu nie był on już jedynym, a nawet nie głównym projektem Pentagonu w planach rozwijania „elektronicznej” lub „zautomatyzowanej” wojny w Wietnamie. Podobnie jak środki przydzielone na jego realizację integrowały się z innymi pozycjami budżetu wojskowego, tak on sam stopniowo „stapiał się”, czyli integrował z podobnymi projektami o tak egzotycznych nazwach, jak na przykład:

„Dzika kotka”, „Podróżny koszyk”, „Podwójne ostrze”, „Mocna szczeka”, „Dyplomatyczne oko”, „Dziecko”, „Świerszczyk”, „Nóż sadowniczy”, „Uderzenie pioruna”, „Lodowy czum”.

O sukcesach Pentagonu w tej dziedzinie świadczy skandal, jaki rozegrał się w murach Kongresu, kiedy przeważająca większość jego członków, z wyjątkiem oczywiście tych, których sam Departament Obrony uważał za godnych informowania, nieoczekiwanie stwierdziła, że za ich plecami otwarcie realizuje się jeden z największych programów wojskowych Stanów Zjednoczonych.

Mimowolnym sprawcą tego skandalu okazał się generał Westmoreland. Dotknięty odwołaniem go ze stanowiska dowódcy amerykańskich sił zbrojnych w Wietnamie, a także narażony na ciągłe wypady przeciwko niemu — jako szefowi sztabu wojsk lądowych — ze strony „jastrzębi”, oskarżających dowództwo tego rodzaju sił o konserwatyzm, nieumiejętność i niechęć do korzystania z postępu naukowo-technicznego, Westmoreland czekał tylko na okazję, żeby obalić tak krzywdzące go podejrzenia. Ndarzyła się ona, gdy w połowie października 1969 roku Stowarzyszenie Armii zorganizowało w waszyngtońskim hotelu *Sheraton* swoje doroczne tradycyjne śniadanie. Westmorelanda poproszono o zabranie głosu.

Jeśli sądzić z doniesień militarystycznie nastawionych reporterów — a tylko tacy dopuszczeni zostali do stołu bankietowego — pałające posępnym ogniem oczy generała, obniżający się do dramatycznego szeptu głos, uroczyście-histeryczna gestykulacja nadawały mu wygląd Pytii wyrokującej o niezłomnej woli bogów. Skwitowanie jego wystąpienia owacjami nie pozostawiało wątpliwości: Westmoreland powiedział właśnie to, co chcieli usłyszeć od niego aktywiści oraz kierownictwo Stowarzyszenia.

Teraz nie ma już potrzeby analizować całego wystąpienia generała, którego główną tezą było wychwalanie polityki wykorzystania siły w stosunkach międzynarodowych. Nas interesują przede wszystkim te fragmenty, w których Westmoreland mówił o stanie realizacji programu automatyzacji wojny w Wietnamie i ukazał jej cele ostateczne.

Rozpoczął od łagodnie wyrażonego ubolewania z powodu ślepoty pewnych osób, które stojąc w obliczu cudu, nie odczuwają

jeszcze na sobie jego technienia. Tymczasem — twierdził generał — wystarczy uważnie się przyjrzeć, co dzieje się w Wietnamie, żeby dostrzec trwającą tam, lecz jeszcze przez wielu nie rozumianą, rewolucję w dziedzinie wojskowości.

Zrobiwszy krótką wycieczkę do historii rozwoju techniki wojсковej i wskazawszy, że przerwy między pojawieniem się nowych rodzajów broni stają się coraz krótsze, Westmoreland poinformował uważnie słuchające audytorium, że jeśli Stany Zjednoczone dołożą niezbędnych wysiłków, to już po upływie jakichś dziesięciu lat armia otrzyma wszechogarniający system kierowania ogniem. Będzie on oparty na najnowszych osiągnięciach w dziedzinie wywiadu, łączności, automatycznej analizy informacji i również automatycznego nakierowywania dział. Nabyta w ten sposób zdolność do „praktycznie gwarantowanego” zniszczenia nieprzyjaciela pozwoli z kolei uwolnić się od konieczności wprowadzania do działań własnych wojsk lądowych, ponieważ bezpośredni udział w przeciwdziałaniu nieprzyjacielowi utraci swoje poprzednie znaczenie. Wyobraźmy sobie — kontynuował generał stopniowo podnosząc głos — całe pola walki, całe rejony działań bojowych, które dzień i noc będą się znajdować pod nieustanną obserwacją elektroniczną. Wyobraźmy sobie, jak nieprzyjaciel ginie na nich pod niszczącym wszystko oddziaływaniem amerykańskiej siły ogniowej, uruchamianej niezwłocznie i automatycznie przy pierwszym sygnale o jego wykryciu¹.

Mowa Westmorelanda, jego wylewność na temat planów Pentagonu, aczkolwiek czynił to z najlepszymi zamiarami, wywołała wielkie niezadowolenie w kołach wojskowo-przemysłowych. Odzwierciedlające interesy monopoli przemysłowych czasopismo „Product Engineering” podkreślało na przykład, że dzięki wystąpieniu generała kongresmani nieoczekiwanie odkryli, iż jeszcze raz zwabieni zostali do pułapki finansowania kolejnego wielomiliardowego programu wojskowego, o którego rozmiarach, kosztach czy celach absolutnie nic nie wiedzą.

Ale nawet po tym zdarzeniu senator William Proxmire potrzebował ponad pół roku żmudnej pracy, by wyrobić sobie mniej lub bardziej pełny obraz rzeczywistości. Dopiero w połowie 1970 roku uznał się za dostatecznie przygotowanego do pierwszego ostrożnego wystąpienia w Kongresie z krytyką „automatyzacji”

wojny w Wietnamie z pozycji „ogólnohumanitarnych”, stwierdzając, że czujniki elektroniczne nie robią różnicy między partyzantami a kobietami, żołnierzami a dziećmi, a rozsiewanie z powietrza automatycznie działających urządzeń wybuchowych doprowadza do wyniszczania całych miejscowości.

Jednakże taki obraz odebrany został przez wielu słuchaczy jako „czerwony”, a Proxmire oskarżony o rozgłaszanie tajemnicy państwowej — niemal o zdradę stanu. Program dotyczący automatyzacji pola walki — oświadczył senator Goldwater — należy do tak wysokiego szczebla tajemnic państwowych, że przed wystąpieniem Proxmire’a nawet senacka Komisja Sił Zbrojnych nie miała możliwości zaznajomienia się z nim na swych zamkniętych posiedzeniach.

Goldwater jednak, tak samo jak i generał Westmoreland, był zbyt pewien wpływów kół militarystycznych, by poprzestać tylko na tym. Oświadczywszy, że wystąpienie Proxmire’a zwalnia go od obowiązku zachowywania milczenia, rzucił się do kontrataku. Apelując do patriotyzmu senatorów, do ich niewątpliwego dążenia, by ciężar wojny był coraz bardziej powierzany automatom, ratującym w ten sposób życie „prostych chłopaków amerykańskich”, opowiadał się za jawnym poparciem i rozszerzeniem programu „automatyzacji”.

W wyniku tych i późniejszych debat w Izbie Reprezentantów powzięto decyzję o powołaniu specjalnej podkomisji senackiej, której powierzono w trybie roboczym zapoznanie się z programem automatyzacji i przedłożenie końcowych wniosków. Nie ma chyba potrzeby mówienia, że do tej podkomisji, na której czele stanął senator Kennan, jako jej drugi członek wszedł nie Proxmire, lecz Goldwater. Departament Obrony, w pełni usatysfakcjonowany takim składem, już na pierwszym posiedzeniu zademonstrował owej podkomisji mnóstwo elektronicznych urządzeń bojowych i — cytując według sprawozdań prasy amerykańskiej — pokój nieoczekiwanie przemienił się w czarodziejski sklepik z zabawkami, wśród których czołgali się i baraszkowali oczarowani ich blaskiem chłopcy. Jeden z tych „chłopaczków” — senator Goldwater — natychmiast zażądał odnotowania w protokole: wzorce świadczą, że Stany Zjednoczone stoją na progu

jednej z największych przemian w dziedzinie wojskowości, porównywalnej chyba tylko z wynalezieniem prochu.

Spędziwszy w sumie trzy bite dni w „czarodziejskim sklepie”, podkomisja wydała pełną zachwyty opinię o realizowanym przez Pentagon programie „automatyzacji”. Nikt w Kongresie specjalnie nie oponował. Proxmire faktycznie pozostał sam.

3

Popatrzmy, czym były te nowe „zabawki” Pentagonu i jak zamierzali „bawić się” nimi inni „chłopcy” noszący amerykańskie mundury.

Pierwsze wojskowe systemy elektroniczne pojawiły się, gdy w warunkach walk z partyzantami w Wietnamie konieczne okazało się znalezienie skutecznych środków ostrzegania o nagłym ataku nieprzyjaciela.

Początkowo takie systemy sygnalizacyjne były bardzo prymitywne: wokół chronionego obiektu przeciągano cienki przewód, którego przerwanie uruchamiało specjalne urządzenie alarmowe. Później w systemach zabezpieczenia elektronicznego zaczęto wykorzystywać czujniki sejsmiczne i inne, które wykrywały zbliżanie się nieprzyjaciela z odległości kilku kilometrów, a system przekazywania sygnałów za pomocą przewodów zastąpiono automatyczną sygnalizacją radiową. Pod koniec wojny zaczęto produkować również inne systemy śledzenia nieprzyjaciela — liczne urządzenia i przyrządy umożliwiające widzenie w nocy (noktowizory), powodujące tysiąckrotne wzmacnianie impulsów świetlnych lub uzyskiwanie na ekranach telewizyjnych obrazu terenu w wyniku wykorzystania podczerwonego, radarowego, radiomikrofalowego i innych odcinków widma promieniowania elektromagnetycznego.

Większy stał się wybór również miniaturowych czujników elektronicznych służących do obserwacji terenu, przekazywania informacji bieżącej lub nagromadzonej. Takie czujniki wojska amerykańskie pozostawiały opuszczając pozycje. Umieszczali je również agenci wywiadu. Najszersze zastosowanie jednak znalazła metoda ich „rozsiewania” z powietrza, przede wszystkim wzdłuż linii komunikacyjnych nieprzyjaciela.

Typowe czujniki informujące pracują na zasadzie wylapywania i wzmacniania drgań akustycznych lub sejsmicznych. Nie zawsze jednak poziom szumów, jakie towarzyszyły poruszaniu się nieprzyjaciela, okazywał się dostatecznie wysoki, żeby czujniki akustyczne mogły łatwo je rejestrować. W celu rozwiązania wynikających problemów konstruktorzy amerykańscy proponowali tak zwane *crackery* — miniaturowe kulki ze specjalnie kruchej, łamliwej gumy lub tworzyw sztucznych. Pod nogą idącego człowieka *crackery* wydawały dźwięk wystarczająco głośny do zarejestrowania go przez czujniki akustyczne. Do wykrywania sprzętu bojowego służyły także czujniki magnetyczne i elektromagnetyczne reagujące na pracę układów zapłonowych silników spalinowych lub na zmiany naturalnego pola magnetycznego wywołane nawet przez stosunkowo niewielki przedmiot metalowy.

Tworząc „bariery elektroniczne”, amerykańscy konstruktorzy wojskowi stanęli przed problemem opracowania nowych typów min, specjalnie przeznaczonych do tych celów. Do dostatecznie gęstego zaminowania ogromnych, ciągnących się niekiedy na setki mil pół-pułapek, potrzebne były miny nie tylko odporne na uderzenia, lecz także tak miniaturowe, aby możliwe było ładowanie ich do pojemników samolotowych w ilości dziesiątków tysięcy sztuk.

Pentagon uznawał za swoją zasługę to, że opracowując konstrukcję takich min wykazał „nowe podejście” do rozwiązania problemu. Generalowie doszli bowiem do wniosku, iż nowe miny nie muszą powodować natychmiastowej śmierci — zranienie i utrata krwi w warunkach wojny partyzanckiej w dżungli mogą być równie skuteczne. W dodatku ranny w ciągu określonego czasu, może nawet długiego, będzie utrudniał swobodę działań pozostałym partyzantom. Oto dlaczego demonstrując w Kongresie te miny — „Żwir” i „Zęby smoka” — przedstawiciel Departamentu Obrony zwrócił szczególną uwagę na pewną ich osobliwość: nie uszkodzą one czołgu, ale urwą stopę partyzantowi, który nadeptnie na taką minę.

Później do tej dobranej rodziny doszły również tak zwane miny pajęczne, wyrzucające z siebie po „wylądowaniu” długie ny-

lonowe wąsiki. Wystarczy najlżejsze dotknięcie ich, żeby „zabawka” wybuchła.

Bombardowanie ukrywającego się w dżungli nieprzyjaciela wymagało opracowania również specjalnych środków rażenia. Skonstruowane zostały tak zwane „bomby zrzutu grupowego” lub, jak je ochrzczili sami Amerykanie, „bomboguziki”. Jeśli chodzi o zasadę działania, podobne są one do granatów ręcznych, ale znacznie górują nad nimi pod względem siły wybuchu. Do tych samych celów opracowany został również nowy typ rakiety powietrze-ziemia. Wybuchając tuż nad ziemią, wyrzuca ona ponad dziesięć tysięcy miniaturowych stalowych sześciątów, które, wielokrotnie rykoszetując przy przechodzeniu przez tkanki ciała, mogą przenikać do niego różnymi zygzakowatymi drogami. W wyniku tego człowiek albo ginie od razu z powodu szoku bólowego, albo — jeśli mimo wszystko pozostanie przy życiu — usunięcie takich sześciątów z ciała staje się praktycznie niemożliwe.

Wszystkie te nowe typy broni i sprzętu bojowego łączono w systemy o różnym poziomie automatyzacji. Typowy był na przykład szeroko używany w Wietnamie system „Lodowy czum”, opracowany przez siły powietrzne Stanów Zjednoczonych do „prowadzenia wojny na terytorium zamieszkanym przez całkowicie wrogą ludność”.

Każda kolejna partyzancka operacja bojowa zaczynała się zwykle o zmierzchu. W tym czasie gdzieś w ciemnościach dżungli z ukryć i podziemnych schronów wyjeżdżały naładowane amunicją i bronią samochody partyzanckiej armii narodowowyzwoleńczej. Poruszając się bez świateł, ryzykując w każdej chwili poderwanie się na amerykańskich minach, musiały w ciągu krótkiej nocy tropikalnej dojechać do następnej bazy przeładunkowej i powrócić, żeby nazajutrz móc powtórzyć rejs. Lecz oto ciężarówka mijają na swej drodze pierwszy, wetknięty ostrzem do ziemi i zamaskowany na badył byliny czujnik elektroniczny. Nadany przez niego sygnał jest odbierany przez aparaturę pokładową patrolującego samolotu bezpilotowego i przekazywany do ośrodka dowodzenia mieszczącego się w pobliżu Bangkoku. Tam sygnał trafia do komputera i na olbrzymim ekranie z naniesioną na niego mapą konturową terenu rozbłyśka punkt świetlny.

Upływa jeszcze trochę czasu i na ekranie ukazuje się już cała linia przerywana znacząca nocną trasę samochodów. W tej samej chwili na biurku oficera dyżurnego, obserwującego ekran, zaczynają się ukazywać na szerokiej taśmie papierowej „proponowane” przez komputer warianty wykonania uderzenia. Dając rozkaz o starcie samolotów oficer dyżurny najczęściej ogranicza się do wyboru jednego z nich. Rozkaz bojowy załogom samolotów stacjonujących na lotniskach Wietnamu Południowego, Tajlandii i lotniskowcach 7 Floty przekazuje się w postaci kart perforowanych wkładanych do komputerów pokładowych. Piloci faktycznie nie muszą się troszczyć o obliczanie kursu do celu — jest on automatycznie wykreślany przez komputer pokładowy, który w czasie lotu nadal odbiera z ośrodka dane o współrzędnych. W chwili gdy zgodnie z obliczeniami komputera samolot znajduje się nad celem, jego ładunek bombowy zrzucający jest automatycznie. Jeśli wykonujący zadanie samolot wyposażony jest w urządzenia noktowizyjne lub inne elektroniczne środki wykrywania nieprzyjaciela, pilot może się przekonać o obecności celu w obliczonym punkcie i ponownie powierzyć sterowanie komputerowi, który w tym przypadku bierze na siebie „obowiązek” naprowadzenia samolotu na kurs bojowy, celnego zrzucenia bomb i ostrzelania z działek i pokładowych karabinów maszynowych siły żywej i sprzętu nieprzyjaciela.

4

Pojawienie się w wyposażeniu amerykańskiego lotnictwa w Wietnamie innej kategorii elektronicznych środków prowadzenia działań bojowych — tak zwanych mądrych bomb — spowodowane zostało nie tyle pragnieniem otrzymania do dyspozycji broni niezawodnie porażającej cele, ile szybko zwiększającym się doświadczeniem i narastającą siłą obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela. Ogromne straty lotnictwa amerykańskiego, powodujące, że piloci amerykańscy coraz częściej woleli zrzucić bomby ze zbyt wielkich wysokości lub nawet na dalekich podejściach do celu, zmusiły Pentagon do szybkiego opracowania automatycznych środków nacelowania bombowego. Należą do nich prze-

de wszystkim środki naprowadzenia laserowego, montowane w przedniej części bomb specjalnych lub zwykłych. Po rozpoznaniu celu atakujący samolot kieruje nań promień lasera i jednocześnie zrzuca bombę. Urządzenia naprowadzające bombę rejestrują jaskrawe świetlne plamy-cele i kierują na nie spadające bomby.

Telewizyjny system naprowadzania bomb charakteryzuje się bardziej skomplikowanymi urządzeniami, zapewniają one jednak znacznie większą dokładność naprowadzenia, ponieważ pilot ma możliwości kierowania lotem bomby pozostając poza strefą działania większości środków obrony przeciwlotniczej bombardowanego obiektu. Niektóre systemy naprowadzenia telewizyjnego umożliwiają pilotowi „utrwalenie” na ekranie telekamery obrazu celu, po czym bomba kieruje się na niego automatycznie. Wykorzystanie bomb z naprowadzaniem telewizyjnym — jak niejednokrotnie podkreślał Pentagon — umożliwiło amerykańskim siłom powietrznym zniszczenie licznych ważnych obiektów na terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu, które poprzednio były nieosiągalne dla uderzeń lotnictwa amerykańskiego. Najnowsze bomby, wyposażone w układy naprowadzenia telewizyjnego, na przykład typu *Maverick*, faktycznie stanowią rakiety o małym zasięgu, zdolne dzięki temu do rażenia celów zarówno stacjonarnych, jak i ruchomych.

Podjęte zostały również pierwsze energiczne próby zastąpienia załogowych samolotów bojowych — myśliwskich i szturmowych — samolotami bezpilotowymi kierowanymi na odległość i zdolnymi do prowadzenia walki powietrznej bez groźby przegrania oraz do „oszałamiającej wyobraźni” dokładności w wykonywaniu uderzeń na cele naziemne.

Z technicznego punktu widzenia, pomysł stworzenia samolotu-roboty nie był nowy. Nieśmiałe próby podejmowano już w toku pierwszej i drugiej wojny światowej. W okresie powojennym zaczęto szeroko wykorzystywać samoloty-cele, kierowane przez radio z ziemi lub z pokładu samolotu-obserwatora. Po upływie dziesięciolecia udoskonalone odmiany tych zdalnie kierowanych celów pojawiły się, jako bezpilotowe samoloty rozpoznawcze, nad Kubą, krajami Azji Południowo-Wschodniej i Chinami. Wraz z rozszerzaniem się wojny w Indochinach, wzrostem strat lot-

nictwa amerykańskiego w Wietnamie, przejście na zdalne kierowanie również samolotami bojowymi zaczęło być traktowane niemal jednocześnie przez siły morskie, armię i lotnictwo Stanów Zjednoczonych jako zadanie priorytetowe i nie cierpiące zwłoki.

W początkach maja 1970 roku dowództwo sił powietrznych zorganizowało spotkanie robocze z pracownikami Korporacji RAND w Santa Monica, po czym, opierając się na autorytecie naukowym tej instytucji i na jeszcze bardziej ważkim — ludzi biznesu aerokosmicznego i elektronicznego, zwróciło się do Kongresu z prośbą o przydzielenie środków na stworzenie zdalnie kierowanego bombowca. Za przykładem sił powietrznych poszła także armia. Udało się jej nawet osiągnąć zatwierdzenie dwóch programów: stworzenia zdalnie kierowanego myśliwca bombardującego z laserowym układem naprowadzania bomb oraz zdalnie kierowanego bombowca jednorazowego użytku. Ten ostatni projekt wywołał zainteresowanie nawet w siłach morskich. Dowództwo marynarki wojennej nie zapomniało jeszcze o japońskich *kamikaze*. Ono też poprosiło o przydział środków na opracowanie takiego samolotu.

Tymczasem spotkania w Santa Monica kontynuowano. Teraz uczestniczyli w nich przedstawiciele nie tylko wszystkich trzech resortów wojskowych, lecz także licznych korporacji przemysłowych. Pojawił się problem prowadzenia wielkich prac w dziedzinie konstruowania i budowy prototypów zdalnie kierowanych samolotów o różnym przeznaczeniu. Biorąc to pod uwagę, w październiku 1971 roku w Pentagonie powzięto decyzję o powołaniu specjalnego komitetu koordynacyjnego.

Wkrótce rozpoczęły się próby z pierwszymi samolotami-robotami. Wiosną 1971 roku bezpilotowy myśliwiec *Fairby* odniósł pierwsze „zwycięstwo” nad pilotowanym *Phantomem*. Eksperyment odbył się w pobliżu sztabu ośrodka raketowego sił morskich, skąd sterowany był *Fairby*. Pilot-operator, siedząc w zaciemnionym pokoju przed ekranem telewizyjnym, mógł obserwować swego „przeciwnika” z większym spokojem, a także szybciej i trafniej reagować na sytuację. W dodatku jego lekki i bardzo zwrotny samolot potrzebował kilkakrotnie mniej czasu na wykonywanie trudnych figur wyższego pilotażu. W styczniu zaś 1972 roku również siły morskie zademonstrowały swój prototyp

bombowca bezzałogowego, którym kierowano z pokładu towarzyszącego mu samolotu.

Te i późniejsze doświadczenia z bezpilotowymi samolotami wywołały w Pentagonie przypływ nowych nadziei na przyszłe „wszechobezwładniające” oddziaływanie amerykańskiej wyższej techniki wojskowej na nieprzyjaciela. Wielu już wyobrażało sobie, jak stosunkowo ociążałe i niezwrotne samoloty przeciwnika atakowane są przez setki uzbrojonych w rakiety i działa laserowe myśliwców-robotów, które — niczym osy — zadają śmiertelne uderzenia swymi żądłami. Taki sam los czeka również naziemne obiekty nieprzyjaciela. W prognozach tych szczególnie nacisk kładziono na to, że wymiary i masa bezpilotowych samolotów bojowych mogą być znacznie zmniejszone, ponieważ odpada potrzeba montowania skomplikowanych układów zabezpieczenia i osłony pilota, manewrowanie zaś może się odbywać nawet przy takich przyśpieszeniach, które dla człowieka są śmiertelne. Podkreślano również, że w razie potrzeby samolot bezpilotowy może startować nie z lotniska, lecz być katapultowany za pomocą specjalnych wyrzutni, walczyć „do ostatniej kropli paliwa” i zdecydowanie taranować przeciwnika powietrznego lub cel naziemny.

Powołując się na autorytatywne źródła, amerykańskie środki masowego przekazu informowały, że pojawienie się zdalnie kierowanych samolotów bojowych będzie stanowiło zaledwie pierwszy etap „automatyzacji” wojny w powietrzu. W następnym — samolot bojowy ponownie będzie pilotowany, lecz nie przez człowieka, tylko przez komputer pokładowy, który będzie samodzielnie rozwiązywać zadania dotyczące poszukiwania, rozpoznawania i niszczenia wyznaczonych celów.

Innymi słowy, zdawało się, że marzenie o uzyskaniu przez amerykańskie siły zbrojne zdolności do rozprawiania się z nieprzyjacielem „jak z królikami” praktycznie staje się realne.

5

Analogia do królików jednak okazała się niezbyt trafna. Do pewnego stopnia zdawali sobie z tego sprawę również niektórzy amerykańscy specjaliści wojskowi. Przyznając, że Stany Zjednoczone

nie mogą liczyć na jakieś szczególne, „wyprzedzające” wyniki w rozwoju techniki wojskowej w porównaniu z ZSRR, niezbyt optymistycznie odnosili się także do nadziei na osiągnięcie przez „automatyzację” wojny „druzgocącej przewagi” nad ewentualnym mniej rozwiniętym pod względem technicznym nieprzyjacielem. Ich podstawowym argumentem było powoływanie się, że siły zbrojne ruchów rewolucyjnych i narodowowyzwoleńczych zwykle korzystają z poparcia ideologicznego, moralnego i materialnego krajów socjalistycznych, toteż udzielana im w wyniku tego pomoc wojskowa potrafi zniwelować amerykańską „przewagę” wojskowo-techniczną.

Zasadność tych wniosków została szczególnie dobitnie potwierdzona dwoma epizodami. Jeden z nich dotyczy wojny wietnamskiej, drugi — zaostrzonej sytuacji na Bliskim Wschodzie w październiku 1973 roku.

W pierwszym przypadku Pentagon przeżył „niesamowity strach” spowodowany nieoczekiwanym dla niego wynikiem gwałtownego rozszerzania wojny powietrznej przeciwko DRW z wykorzystaniem bombowców strategicznych B-52. Celem tej operacji było osłabienie woli narodu wietnamskiego do stawiania oporu agresji i zapewnienie sobie dobrej pozycji przetargowej w czasie rokowań pokojowych w Paryżu. Rzeczywistym jej wynikiem stała się jeszcze jedna demonstracja braku zdolności amerykańskiej maszyny wojskowej do zapewnienia Waszyngtonowi atutów dyplomatycznych czy politycznych.

Wydzielone do bombardowania B-52 zostały na krótko przedtem wyposażone w udoskonaloną aparaturę elektroniczną, która jak sądzono, miała zapewnić im niezawodną osłonę przed obroną przeciwlotniczą nieprzyjaciela, powodując tak zwane przekłamania w pracy jego systemów naprowadzania rakiet. Jednakże już w czasie pierwszych nalotów na rejony Hanoi i Hajfongu piloci amerykańscy przekonali się, że o „spokojnej pracy” nie może być mowy. Dostarczone DRW radzieckie rakiety przeciwlotnicze pewnie znajdowały swoje cele, a „niewrażliwe” B-52 jeden po drugim stawały się ich ofiarami. Straciwszy znaczną liczbę bombowców strategicznych Stany Zjednoczone musiały zrezygnować z ich dalszego zmasowanego wykorzystywania przeciwko obiek-

tom położonym w rejonach osłanianych przez wyrzutnie przeciwlotniczych pocisków rakietowych produkcji Związku Radzieckiego.

Inny przykład pogładowego potwierdzenia faktu, że radziecka elektronika w rękach kraju otrzymującego od ZSRR pomoc wojskową może nie tylko nie ustępować, lecz nawet przewyższać amerykańską, zdarzył się na Bliskim Wschodzie w październiku 1973 roku. Liczni amerykańscy komentatorzy polityczni i wojskowi nazwali to „sensacją o znaczeniu światowym”, która wywarła tym większe wrażenie, że po agresji izraelskiej w 1967 roku sami narzucali opinii publicznej przekonanie o pozostawianiu w tyle radzieckiej techniki wojskowej.

Ogromne straty izraelskich sił zbrojnych w czołgach i samolotach świadczyły, że stratedzy z Tel-Awivu okazali się nie przygotowani do „niespodzianek”, jakie oczekiwały ich na polu walki. Tak samo jak i w 1967 roku, izraelskie dowództwo wojskowe w 1973 roku opierało swoje rachuby na tym, że potrafi już w ciągu pierwszych godzin działań bojowych osiągnąć decydującą przewagę w powietrzu i opierając się na niej zadać szybką i druzgocącą klęskę siłom zbrojnym państw arabskich. Zgodnie z tymi planami lotnictwo izraelskie nie omieszkalo zaznaczyć na swoich mapach dokładnego rozmieszczenia wszystkich baterii arabskich wyrzutni rakiet przeciwlotniczych, uważając je za łatwe cele z powodu „wielkich wymiarów i nieskutecznego układu naprowadzania elektronicznego”. Baterie te jednak nieoczekiwanie okazały się nie tylko bardzo mobilne, lecz także zdolne do wykrywania i niszczenia naddźwiękowych samolotów izraelskich nawet na małych wysokościach.

Podobne „zaskoczenie” przeżyły także izraelskie jednostki pancerne. Ku zdumieniu ich załóg, okazało się, że Arabowie dysponują kierowanymi rakietami przeciwpancernymi, które odnajdywały swoje cele ze zdumiewającą dokładnością. Izraelskie czołgi — stwierdzała prasa amerykańska — stały się ofiarą „olbrzymiego i bezlitosnego pobjowiska”.

Lata wojny w Wietnamie — pisał, podsumowując jej wyniki, biuletyn „Indochina Chronicle” — dobitnie świadczą o tym, że Stany Zjednoczone mają teraz do czynienia nie z tubylcami czasów kształtowania się imperiów kolonialnych, lecz z „komuni-

stycznymi siłami zbrojnymi", które nie tylko otrzymują najnowocześniejsze rodzaje uzbrojenia, lecz także wspaniale posługują się tą bronią².

6

Częściowo dlatego właśnie przewyżczeniu „syndromu wietnamskiego” towarzyszył w Waszyngtonie nawrót do myśli o stworzeniu i wykorzystywaniu w wojnach niejądrowych różnych rodzajów broni o szczególnej sile niszczycielskiej. Uznana wcześniej za wyjście niezbyt perspektywiczne z punktu widzenia przewyżczenia „pata jądrowego”, broń taka zaczyna coraz bardziej zwracać na siebie uwagę jako wiele obiecujący środek prowadzenia działań bojowych w toku konfliktów „ograniczonych”, zwłaszcza w krajach Azji „z ich niezliczonymi milionami ludzi i pogardą dla życia”, gdzie — według amerykańskich teoretyków wojskowych — siły zbrojne Stanów Zjednoczonych zawsze znajdują się na pozycji przegranej, mimo wszelkiej „przewagi” technicznej, o ile tylko przewaga ta nie będzie się wyrażała w zdolności do supermasowego unicestwiania nieprzyjaciela.

Spośród istniejących wzorców takiej broni można na przykład wymienić wypróbowaną już w końcowym etapie wojny w Wietnamie bombę BL-U82 („Skok komandosa”). Pod względem mocy wybuch takiej bomby ustępuje jedynie wybuchowi jądrowemu, towarzyszy mu także powstanie ogromnego obłoku w kształcie grzyba. Posiadane informacje potwierdzają także jej niezwykłą siłę niszczycielską: potrafi zniszczyć wszystko, co żyje, w promieniu jednego kilometra. Amerykańskie dowództwo wojskowe postanowiło przeciąć jakiegokolwiek dalsze „przecieki” informacji o niej. Pewien przedstawiciel Pentagonu oświadczył, że resort wojskowy woli milczeć na jej temat, ponieważ obawia się niepożądanego niepokojenia opinii publicznej.

Jeden z oficerów amerykańskich sił powietrznych przekazał w ręce bojowników o pokój taśmę filmową, na której utrwalono doświadczalne bombardowanie z użyciem tak zwanych bomb paliwowo-powietrznych. Na ekranie widać, jak w lecących na wielkiej wysokości bombowcach strategicznych B-52 otwierają się komory bombowe i setki takich bomb mkną w dół. Po zetknięciu

się z ziemią każda z nich wyrzuca obłok substancji o szczególnym składzie. Obłoki te, łącząc się ze sobą, wkrótce tworzą spowijającą cały teren „mgłę”. Następnie ze specjalnego samolotu towarzyszącego zrzuceniu zostaje jeszcze bomba-zapalnik, w wyniku czego fale mgły momentalnie przekształcają się w morze płomieni, które ogarniają teren od horyzontu do horyzontu. Wydaje się, że nadszedł kres istnienia wszystkiego, co żyje. Tak się zresztą stało, jak dowiodły oględziny trupów owiec z przeznaczonego do uśmiercenia stada. Każdą z nich zaatakowała nie jedna, lecz kilka rodzajów śmierci naraz. Zabiła je fala uderzeniowa wybuchu, zabił je ogień, zabiło je uduszenie się, ponieważ wybuch „mgły” pochłoniął cały tlen z otaczającego powietrza. Zabiły je wreszcie tysiące pęknięć naczyń krwionośnych w ciele, będących skutkiem gwałtownego spadku ciśnienia atmosferycznego po wypaleniu się tlenu z powietrza. Zatem nie uratowałyby je żadne ukrycia czy osłony.

Coraz więcej jest dowodów na to, że broń laserową też przystosowuje się do prowadzenia wojny nie tylko w kosmosie lub z kosmosu. Dawno już minęły czasy, kiedy w Pentagonie marzono o karabinach i działach laserowych, które mogłyby oślepić na jakiś czas lub na zawsze żołnierzy nieprzyjaciela. Tworzona obecnie broń laserowa dla wojsk lądowych pretenduje do czegoś większego: strzał — i nieprzyjaciel „wyparował”, przekształcił się w „obłoczek dymu”, w dodatku w ciągu milionowej części sekundy. Do tego jeszcze daleko, ważne jest jednak, że w amerykańskich laboratoriach wojskowych dąży się właśnie do tego.

Mimo wszystko jednak prawdziwie wielkie nadzieje pokłada się w broni chemicznej i bakteriologicznej. W amerykańskich arsenałach już znajduje się ponad 3 miliony bomb, min i pocisków napełnionych mieszkanką gazów drgawkowo-paralitycznych, wyprodukowanych w minionych latach. Ich masa ogólna wynosi 150 000 ton. Wystarczy tego do czterokrotnego uśmiercenia całej ludności naszej planety. Waszyngtonowi jednak wydaje się, że tego jeszcze za mało. W każdym bądź razie 8 lutego 1982 roku prezydent Reagan oświadczył oficjalnie, że Stany Zjednoczone przystępują do produkcji na wielką skalę jeszcze jednego rodzaju broni chemicznej nowej generacji — binarnej, teoretycznie opracowanej jeszcze w latach, w których w Waszyngtonie na-

wet lubiono porozmawiać o możliwości rezygnacji z produkcji bojowych środków chemicznych „jako takich”. Ogólne koszty realizacji tego programu na lata 1983—1987 wyniosą ponad 10 milionów dolarów, a w arsenałach amerykańskich znajdzie się już 5 milionów jednostek różnych chemicznych środków rażenia.

Cechą szczególną binarnych chemicznych środków bojowych jest względna nieszkodliwość tworzących je komponentów, dopóki przechowywane są oddzielnie. Śmiercionośna mieszanka powstaje dopiero w czasie zrzucania z samolotu bomby napełnionej owymi komponentami. W czasie lotu bomby do celu znajdujący się w jej wnętrzu gazogenerator podnosi ciśnienie aż do momentu pęknięcia cienkich membran metalowych, oddzielających jądro bomby od otaczającej je cieczy. Następnie wmontowane do bomby specjalne urządzenie robi mieszanke, a gdy ta jest gotowa — miniaturowe ładunki wybuchowe umieszczone w kadłubie bomby „przestrzeliwują” otwory na wylot. Pod wpływem przenikającego przez nie powietrza z zewnątrz, mieszanka trująca jest wyrzucana do atmosfery, skąd spada na ziemię w postaci bardzo drobnych kropelek.

Niezależnie od tego, na co spadną podobne środki trujące, na przykład binarne środki paralityczno-drgawkowe typu WX, potrafią one uśmiercić miliony ludzi. Jeśli na skórę człowieka spadnie mikroskopijna nawet cząstka tej trucizny, nie będzie on długo żył. Zadyszka, obfite pocenie się, wymioty i utrata wzroku — oto pierwsze objawy zatrucia. Później następuje paraliż narządu oddychania i śmierć.

15 marca 1982 roku asystent sekretarza obrony Richard Wagner, przemawiając w senackiej Komisji Sił Zbrojnych, oświadczył, że rozwój masowej produkcji binarnych środków trujących oraz wypełnionej nimi amunicji chemicznej ma służyć podniesieniu gotowości amerykańskich sił zbrojnych do prowadzenia maksymalnie długotrwałych działań bojowych z użyciem chemii chemicznej również w Europie. I, oczywiście — jak wyraził się w wywiadzie dla oficjalnego organu sił lądowych, czasopisma „Armed Forces”, wysoki wojskowy George White — potrzebne to jest, aby mieć możliwość prowadzenia wojny na wielką skalę z krajami Układu Warszawskiego, które mogą „napaść” na sojusz-

ników amerykańskich w Europie. Cóż, znane motywy! Ciekawe jest tylko to, że według innego wysokiego urzędnika Pentagonu, Richarda Perle'a, Waszyngton zastrzega sobie prawo do podejmowania decyzji w tej sprawie według własnego uznania, bez uprzedniego konsultowania się ze wspomnianymi „sojusznikami”.

Broń bakteriologiczna, której użycie nie wymaga opracowywania i gromadzenia tak trudnych do ukrycia przed osobami niepowołanymi wojskowych środków technicznych, z reguły zwraca na siebie mniejszą uwagę światowej opinii publicznej. Jednakże skutki jej ewentualnego użycia mogą być równie tragiczne dla ludzkości.

Podobnie jak amerykańska technika raketowa rozwijała się na podstawie doświadczeń Niemiec hitlerowskich, przygotowania do wojny bakteriologicznej w zasadzie opierają się na doświadczeniu i praktyce oddziałów bakteriologicznych militarystycznej Japonii. Na wyraźne polecenie Waszyngtonu, amerykańskie władze okupacyjne nie tylko nie ścigały jako zbrodniarzy wojennych japońskich bakteriologów, którzy znaleźli się w ich rękach, lecz przyrzekły im, że nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności w zamian za „szczere ujawnienie wszystkich tajemnic”. Z punktu widzenia Pentagonu zaś, tajemnice te były tym bardziej cenne, że — jak mówili oceniający je specjaliści — nie mogły być odkryte w żadnym laboratorium amerykańskim z powodu przejawianej przez Zachód niepotrzebnej „skrupulatności” w odniesieniu do doświadczeń bakteriologicznych na żywych ludziach.

Do własnego, amerykańskiego „debiutu” bakteriologicznego doszło latem 1951 roku w czasie wojny w Korei. Lotnictwo amerykańskie zrzucało wówczas na Koreę Północną oraz północno-wschodnie Chiny bomby bakteriologiczne napełnione zarazkami febry songo. W czasie wojny w Wietnamie amerykańskie siły zbrojne również trzymały w pogotowiu broń bakteriologiczną w magazynach w Syjamie.

Z chwilą zakończenia wojny, w laboratoriach w Fort Detryc, a także w licznych innych tajnych amerykańskich ośrodkach bakteriologicznych, prace nabrały coraz większego rozmachu. Jednocześnie opracowywane są nowe, doskonalsze środki prze-

noszenia broni bakteriologicznej — rozpylacze samolotowe, bomby, rakiety o różnych nazwach i różnym zasięgu.

Opublikowane niedawno dokumenty potwierdzają, że w kilku przypadkach, jak na przykład na Kubie, Stany Zjednoczone już teraz usiłują używać broni bakteriologicznej. Mówił o tym w swym wystąpieniu pod koniec czerwca 1981 roku na wiecu w Victoria de las Tunas przewodniczący Rady Państwa Fidel Castro. Powiedział o zanotowanych w dwóch poprzednich latach niezwykle dla Kuby przypadkach chorób trzciny cukrowej i tytoniu, a także o epidemii dżumy afrykańskiej, która wyrządziła wielkie szkody w hodowli. W chwili obecnej — powiedział wtedy — na Kubie szerzy się epidemia *denge* — niebezpiecznej febry, której towarzyszy wysoka gorączka, krwotoki z ust i uszu. Tylko w ciągu minionych siedmiu tygodni — podkreślił Castro — zarejestrowano w kraju ponad 270 tysięcy przypadków zachorowań.

W wyniku starań Waszyngtonu współczesna broń niejądrowa w coraz większym stopniu przestaje być bronią „zwykłą”. Grożąca totalnym uśmierceniem wszystkich istot żyjących, wojna chemiczna i bakteriologiczna lub przetaczający się od horyzontu do horyzontu apokaliptyczny wał ogniowy! Czy będą się one bardzo różnić od apokalipsy jądrowej? A przecież to są pierwsze zaledwie szczeble owej nieskończonej drabiny zbrojeń, na której czubek zamierza się wdrapać Waszyngton.



Snując rozważania o losach wojny i pokoju Włodzimierz Lenin przewidział, że „nadejdzie taki czas, kiedy wojna stanie się na tyle niszczycielska, że w ogóle będzie niemożliwa”³. Szkoda, że ta wspaniała myśl, wyłożona w formie ustnej, nie uzyskała dalszego rozwoju w jego pracach filozoficznych i wojskowych. Wydaje się jednak, że niesłuszne byłoby traktowanie jej w sposób niedialektyczny, w oderwaniu od konkretnej sytuacji, przeciwko czemu zawsze protestował sam Lenin⁴.

W swoim czasie Fryderyk Engels, oceniając ewentualne skutki udoskonalenia broni palnej, jakie poprzedziło wojnę francusko-

-pruską, pisał z wielkim przekonaniem: „Broń została tak udoskonalcona, że nie jest już możliwy nowy postęp, który by miał jakiś rewolucyjny wpływ. Gdy się ma armaty, z których można trafić w batalion, jeżeli tylko jest on widoczny dla oka, i karabiny mogące w tych samych warunkach trafić w pojedynczego człowieka, karabiny, których ładowanie pochłania mniej czasu niż celowanie, to wszystkie dalsze postępy są już dla wojny polowej mniej lub bardziej obojętne. W zasadzie więc okres rozwoju jest od tej strony zakończony”⁵.

Używana na polu walki broń gwintowana, kiedy walczące armie stosowały jeszcze starą taktykę nacierania w szyku zwartym, na jakiś czas stworzyła w Engelsie przekonanie, że jest ona nadzwyczaj niszczycielska. Wystarczyło jednak zastosować osłonę w postaci okopu, by po przekonaniu tym nie zostało śladu. Tak więc zmiana jednego z czynników, określających skuteczność rażenia takiej czy innej broni — w tym przypadku wykorzystanie w obronie nowych metod i środków osłony — spowodowała gwałtowną zmianę samych możliwości bojowych tej broni.

Historia rozwoju techniki wojskowej obfituje i w inne podobne przykłady. W pamięci uczestników pierwszej wojny światowej zachowały się wspomnienia o jej charakterze okopowym, jakiego nabrała po pierwszym etapie — manewrowym. Tym razem przewaga była po stronie systemu obrony, nawet jeśli była ona „pasywna”. Pojawienie się jednak nowej broni zaczepnej — czołgów, ponownie zmieniło tę sytuację na niekorzyść broni obronnej.

Same przez się nasuwają się pewne paralele dotyczące obecnej możliwości zapobieżenia wojnie lub — odwrotnie — rozpętania jej.

Olbrzymia siła niszczycielska broni jądrowej i, co ważniejsze, brak jakiegokolwiek możliwości uniknięcia przez agresora absolutnie niepożądanego dla niego uderzenia odwetowego stanowiły do tej pory i stanowią może nie najlepszą, lecz oczywistą gwarancję, że wyniki rozpętania wojny jądrowej nie mogą być oceniane w innych kategoriach, jak tylko katastrofalnych również przez niego samego. A to jest całkowicie zgodne ze wspomnianym przewidywaniem Lenina.

W takiej sytuacji wraz z innymi przyczynami wybuchu wojny mogą odegrać swoją rolę również czynniki przypadkowe, których oczywiście, nie można lekceważyć. Mimo wszystko nie są one jednak określane przez założenia wojskowo-polityczne Waszyngtonu.

Już teraz założenie to zaczyna jednak niebezpiecznie zmieniać się na gorsze. W miarę tworzenia nowych, doskonalszych systemów broni rakietowo-jądrowej i kształtowania się w związku z tym w Waszyngtonie wyobrażeń o osiąganiu coraz wyższego poziomu „przeważającej” siły, zwiększają się także jego złudzenia co do możliwości prowadzenia w różny sposób „ograniczonych” wojen jądrowych. Na określonym etapie mogą one doprowadzić do powzięcia przez Biały Dom irracjonalnej decyzji o dokonaniu odpowiedniego „eksperymentu”. Bardziej odległe, lecz nieporównywalnie większe niebezpieczeństwo tkwi w przewidywanym pojawieniu się zasadniczo nowych systemów obronnej broni strategicznej. W rękach agresora może ona stać się ową tarczą, która nada mu pewności i doprowadzi do rozpętania powszechnej wojny jądrowej pod wpływem fałszywych wyobrażeń o nabyciu wreszcie zdolności do osiągnięcia zwycięstwa nad przeciwnikiem.

W przemówieniu z okazji obejmowania po raz pierwszy urzędu prezydenta Reagan buńczucznie oświadczył, że kiedy nadejdzie czas działania, Stany Zjednoczone nie przejawiają braku woli i przewidując to będą podtrzymywać swoją potęgę militarną na takim poziomie, który umożliwi „odniesienie zwycięstwa”⁶. Teraz już nie ulega wątpliwości, że cała późniejsza polityka Waszyngtonu okazała się całkowicie podporządkowana temu programowemu oświadczeniu.

„Strategia” Stanów Zjednoczonych stawia sobie zadanie zapewnienia „całkowitej i bezspornej” przewagi militarnej nad Związkiem Radzieckim oraz aktywnego przeciwstawiania się jemu we wszystkich regionach świata. Jest ona nastawiona na odniesienie zwycięstwa w wojnie jądrowej na wszystkich poziomach — od różnych stopni jej „ograniczenia” do zmasowanej konfrontacji. Wszystkiemu temu w dodatku towarzyszą najbardziej wulgarne i niewybredne wypadki przeciwko ZSRR w dziedzinie ideologii.

Lata odprężenia ustępują miejsca ponownie narzucanej ZSRR rywalizacji militarnej. Związek Radziecki będzie, jak i dotychczas, czynić wszystko, by przeciwdziałać tej tendencji. Nasze pragnienie pokoju jednak nie jest równoznaczne z gotowością pójścia na jednostronne rozbrojenie. Nie jesteśmy ludźmi naiwnymi. Czas już, by Waszyngton zrozumiał tę prostą prawdę.

Posłowie

Pierwszą sprawą, na jaką zapewne zwrócą uwagę czytelnicy książki Jurija Listwinowa, jest jej niezwykła aktualność. Niezwykła — ponieważ idzie nie o broszurę o jednodniowej aktualności czy o rozszerzony artykuł prasowy. Nie. Mamy przed sobą gruntowną pracę opartą na obszernym materiale faktycznym i historycznym obejmującym, w istocie rzeczy, cały powojenny okres w polityce wojskowej największego mocarstwa świata zachodniego. Szczególna aktualność tej książki wynika i stąd, że ukazuje się ona w takim okresie współczesnych dziejów świata, który może stać się przełomowy.

Jedną z charakterystycznych cech tego okresu jest realizacja przez Waszyngton planu rozmieszczenia w Europie Zachodniej nowych amerykańskich rakiet jądrowych średniego zasięgu, co spowoduje naruszenie strategicznej oraz regionalnej równowagi sił. Poczynania Amerykanów dają impuls do nowego, skrajnie niebezpiecznego zwoju spirali zbrojeń jądrowych.

Wojownicze zapędy opanowały Stany Zjednoczone. Przemówienia na temat konieczności przygotowań wojennych wspierane są odpowiednimi decyzjami i działaniami. Powertujmy prasę chociażby z jednego tygodnia jesieni 1983 roku. Oto poszczególne fragmenty doniesień, które mówią same za siebie.

Senat Stanów Zjednoczonych zaaprobował projekt ustawy o wydatkach wojskowych na rok finansowy 1983—1984 osiągających niespotykane wielką sumę — 252 miliardy dolarów¹. Kilka dni później ta sama izba głosowała za wyasygnowaniem w ramach budżetu wojskowego na rok bieżący ponad 124 milionów dolarów na produkcję binarnej amunicji chemicznej, napełnionej bojowymi środkami chemicznymi o działaniu paralitycz-

no-drgawkowym². Mniej więcej w tym samym czasie Senat zaprobował plany produkcji międzykontynentalnych rakiet balistycznych pierwszego uderzenia MX³. W związku z tym, że już wcześniej sprawa asygnowań na realizację projektu MX została poparta także przez Izbę Reprezentantów, wyniki tego ostatniego głosowania oznaczały, że Pentagon może już przystąpić do produkcji rakiet.

Wszystkie te informacje czyta się jako bezpośrednią kontynuację dokonanej przez Listwinowa analizy kursu polityki zagranicznej Waszyngtonu.

A oto jakie wnioski z takich i podobnych faktów wyciągnęli komuniści Stanów Zjednoczonych na zwołanym w listopadzie 1983 roku XXIII Zjeździe swojej partii: „Po raz pierwszy w walce między dwoma systemami światowymi — socjalizmem i kapitalizmem — stoimy w obliczu ogromnego niebezpieczeństwa, że wynik walki klasowej w skali światowej zostanie osiągnięty nie na drodze pokojowego współistnienia i współzawodnictwa. Imperializm amerykański w swym nierozsądnym dążeniu do panowania nad światem wkroczył na drogę prowadzącą do katastrofy konfrontacji jądrowej, do ponownej zmiany stosunku sił w świecie na korzyść imperializmu, do naruszenia istniejącej dziś równowagi militarnej, do ryzyka wojny jądrowej w imię osiągnięcia jego celów globalnych” — stwierdził w referacie sprawozdawczym sekretarz generalny Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych Gus Hall⁴.

Podkreślił on także, że podstawowym celem globalnym imperializmu amerykańskiego jest zniszczenie socjalizmu światowego, przede wszystkim zaś Związku Radzieckiego. Ten właśnie cel determinuje każdy krok i każdą decyzję ekipy Reagana. Jest to fundament, na którym opiera się jej szaleńcza doktryna pierwszego uderzenia jądrowego. To nakazuje jej ignorowanie żądań rozbrojenia, zamrożenia zbrojeń jądrowych i odprężenia wypowiedzianych przez dziesiątki milionów ludzi w świecie a także w samych Stanach Zjednoczonych.

Polityka Waszyngtonu ukazuje się w tak mrocznych tonach nie tylko w klasowych ocenach komunistów amerykańskich. Często wiele nie różnią się od nich opinie o dzisiejszej ekipie Reagana pochodzące od ludzi bardzo dalekich od światopoglądu ko-

munistycznego. Oto co pisała, na przykład, późną jesienią 1983 roku gazeta „The New York Times”: „Reagan nie boi się iść na ryzyko wojny, lecz jest absolutnie niezdolny do ryzykowania czegokolwiek w imię pokoju... Reagan w ciągu minionych trzech lat kultywuje psychologię militarystyczną”. Artykuł ten ukazał się pod wiele znaczącym nagłówkiem: „Reagan stacza się ku wojnie”.

Niebezpieczeństwo jest wielkie — podkreślano na wspomnianym zjeździe Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych — nie żyjemy jednak w tak zwanym okresie przedwojennym. Twierdzić w ten sposób — znaczy zgodzić się z tezą, że wojna, w tym również wojna jądrowa, jest nieuchronna. Takie fatalistyczne stanowisko jedynie zwiększyłoby niebezpieczeństwo wojny, ponieważ wynika ono z założenia, że nie można jej zapobiec. Prawda polega na tym, że aczkolwiek niebezpieczeństwo narasta, sama jego ostrość doprowadziła do powstania w świecie potężnej opozycji skierowanej przeciwko polityce agresji.

Istotnie, niespotykane rozmiary przybrał ruch antywojenny w krajach Europy Zachodniej. Zresztą w całej historii Stanów Zjednoczonych też nie było jeszcze tak pokaźnej liczby Amerykanów wyrażających protest przeciwko uprawianej przez ich rząd polityce wojny.

Jak zawsze, główną przeszkodą na drodze niebezpiecznych, militarystycznych planów imperializmu amerykańskiego była i pozostaje pokojowa polityka Związku Radzieckiego i innych państw socjalistycznych. „Najmocniejszą propagandą na korzyść socjalizmu — podkreślił Gus Hall — będzie opowiadanie o działaniach konkretnych propozycji dotyczących rozbrojenia jądrowego, wysuniętych przez Związek Radziecki”.

Rzeczywiście, idzie o jeden z najważniejszych czynników w walce antywojennej naszych dni. Wszak propagandowe „zabezpieczenie” kursu na bezprecedensowy wyścig zbrojeń ma podbudować mit o „niebezpieczeństwie radzieckim”, którego pochodzenie i ewolucję szczegółowo analizuje w swej książce Listwinow. Po to jednak, by zastraszać obywateli Ameryki i zachodniej Europy „niebezpieczeństwem radzieckim” przynosiło zamierzony efekt, trzeba osiągnąć taki stan rzeczy, by ci obywatele jak najmniej wiedzieli o radzieckiej polityce pokojowej. Za-

tajaniem tej prawdy zajmują się właśnie burżuazyjne środki masowego przekazu.

Jest to jednak coraz trudniejsze. W tym zaś, że ruch antywojenny na Zachodzie przybrał takie rozmiary, należy upatrywać poważne niepowodzenie zawodowych dezinformatorów. Wszak ruch ten świadczy przede wszystkim o tym, że coraz więcej ludzi dowiaduje się o treści radzieckich inicjatyw pokojowych, propozycji zmierzających do ograniczenia i redukcji zbrojeń, a w ostatecznym wyniku — do powszechnego i całkowitego rozbrojenia, które stanowi ideał socjalizmu.

O tym, że w istocie państwo radzieckie od chwili swych narodzin traktowało rozbrojenie jako najważniejszy cel swej polityki zagranicznej, świadczą całkiem konkretne i bezprecedensowe dla tamtych czasów posunięcia młodej republiki, poczynając od leninowskiego *Dekretu o Pokoju* — jej pierwszego aktu ustawodawczego. Już w 1922 roku na konferencji międzynarodowej w Genewie delegacja radziecka na bezpośrednie polecenie Lenina przedstawiła plan powszechnej redukcji zbrojeń.

Sześć lat później, w roku 1928, ZSRR przygotował projekt konwencji o całkowitym i powszechnym rozbrojeniu oraz przedłożył go do rozpatrzenia komisji przygotowawczej konferencji rozbrojeniowej zwołanej przez Ligę Narodów.

W latach trzydziestych Związek Radziecki zaproponował przyjęcie skutecznego systemu bezpieczeństwa zbiorowego w Europie. Kraje kapitalistyczne jednak odrzucały radzieckie propozycje jedną po drugiej. Wiele z nich już się szykowało do wojny, która przyniosła narodom niezliczone nieszczęścia.

Związek Radziecki był jednym z inicjatorów utworzenia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wraz z innymi państwami koalicji antyhitlerowskiej uczestniczył w opracowaniu Karty NZ.

Mogłoby się zdawać, że doświadczenie koalicji antyhitlerowskiej, doświadczenie walki narodów przeciwko faszyzmowi, stworzyło warunki do nawiązania długotrwałej współpracy międzynarodowej. Mocarstwa zachodnie jednak, przede wszystkim Stany Zjednoczone, sądziły inaczej. Rozwinęły one wielkie przygotowania wojenne, przyjęły kurs zmierzający do konfrontacji ze Związkiem Radzieckim.

ZSRR, nie zapominając w tych warunkach o umacnianiu swe-

go bezpieczeństwa w okresie powojennym, rozwinał jednocześnie nader energiczną walkę o ograniczenie wyścigu zbrojeń i rozbrojenie. Główne wysiłki skupił na zapobieganiu niebezpieczeństwu wojny jądrowej.

W roku 1947 ZSRR zaproponował innym wielkim mocarstwom zawarcie paktu pokoju, który miał zespolić ich wysiłki w zapobieganiu niebezpieczeństwu wojny jądrowej.

W latach pięćdziesiątych ZSRR czterokrotnie dokonywał poważnych redukcji swoich sił zbrojnych, w dodatku czynił to jednostronnie, licząc, że mocarstwa zachodnie pójdą za jego przykładem (ci, którzy dzisiaj oczekują od Związku Radzieckiego nowych jednostronnych kroków na drodze redukcji zbrojeń, powinni by wiedzieć, że ZSRR podejmował takie kroki nie tylko w ostatnich latach, lecz także zaraz po wojnie, ale Zachód niezmiennie odpowiadał na to dalszym powiększaniem zbrojeń).

Za zakazem i zniszczeniem broni jądrowej Kraj Rad opowiadał się od chwili jej pojawienia się. 19 czerwca 1946 roku ZSRR wniósł projekt konwencji międzynarodowej o zakazie produkcji i użycia broni opartej na wykorzystaniu energii jądrowej, przeznaczonej do masowego rażenia. Projekt ten został zgłoszony na jednym z pierwszych posiedzeń Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej utworzonej przy ONZ. Jednak Stany Zjednoczone odrzuciły tę propozycję. Gdyby postąpiły inaczej, nasza planeta zostałaby uwolniona od niebezpieczeństwa katastrofy jądrowej. Nie można powiedzieć, że Waszyngton nie wiedział, co czynił. Przecież barbarzyński charakter nowej broni wtedy był już znany — po Hiroszimie i Nagasaki.

10 maja 1955 roku Związek Radziecki wystąpił z kompleksowym planem rozbrojenia, zawierającym również problem zakazu broni jądrowej. Później, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Kraj Rad niejednokrotnie wносił konkretne, szczególnie opracowane propozycje dotyczące rozbrojenia częściowego — ponieważ Zachód nie zdradzał gotowości pójścia na rozwiązanie radykalne, obejmujące powszechne i całkowite rozbrojenie.

Związek Radziecki przedłożył w okresie powojennym ponad 100 różnych propozycji dotyczących ograniczenia wyścigu zbrojeń. To, że nie udało się nawet o krok posunąć w kierunku celu podstawowego, nie oznacza .bynajmniej, że wysiłki radzieckie nie

dały wyników. Tylko w ciągu piętnastu minionych lat z inicjatywy Związku Radzieckiego zawarto około 30 obowiązujących obecnie wielostronnych i dwustronnych układów i porozumień w dziedzinie rozbrojenia. Przy najaktywniejszym udziale ZSRR zawarty został układ o zakazie doświadczeń z bronią jądrową w trzech środowiskach, układ o nierozpowszechnianiu broni jądrowej, porozumienie między Związkiem Radzieckim a Stanami Zjednoczonymi o zapobieganiu wojnie jądrowej, układ obu mocarstw o ograniczeniu systemów obrony przeciwrakietowej i inne.

W ostatnich latach, jak już podkreślaliśmy, niebezpieczeństwo wojny jądrowej gwałtownie wzrosło. Przyczyną tego stała się linia polityczna, realizowana na arenie międzynarodowej przez dzisiejszą ekipę Reagana. Jest to kurs militarystyczny, stanowiący poważne zagrożenie pokoju. Jego istota polega na nieliczeniu się z interesami innych państw i narodów, na próbach zapewnienia Stanom Zjednoczonym dominującej pozycji w świecie.

Jakie stanowisko zajął ZSRR w tej wyraźnie skomplikowanej sytuacji? Ostrzegł rozpasanych militarystów: obronność Kraju Rad jest na takim poziomie, że nikomu nie radziłby doprowadzać do próby sił. Jednocześnie podkreślano, że on jej nie pragnie. Związkowi Radzieckiemu obca jest nawet myśl o tym. Pomyślność narodu radzieckiego i bezpieczeństwo państwa radzieckiego są niepodzielne, zwłaszcza, że ZSRR nie przeciwstawia tego pomyślności i bezpieczeństwu innych narodów i innych krajów.

„Kierownictwo radzieckie — podkreślił sekretarz generalny KC KPZR, przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Jurij Andropow — nie ma wątpliwości, jaką linię należy obrać w sprawach międzynarodowych również w obecnej, zaostrej sytuacji. Zmierzamy nadal do zachowania i utrwalenia pokoju, do odprężenia, do okiełznania wyścigu zbrojeń, do rozszerzenia i pogłębienia współpracy między państwami. Taka jest niezmienna wola Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, całego radzieckiego narodu. Takie, jesteśmy o tym przeświadczeni, są również pragnienia wszystkich narodów”⁵.

Walce o zapobieżenie katastrofie jądrowej miały przede wszystkim służyć propozycje ZSRR i innych krajów socjalistycznych

zgłaszane w ostatnim czasie na różnych forach międzynarodowych.

W roku 1981, na sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, ZSRR wystąpił z deklaracją *O zapobieżenie katastrofie jądrowej*, która została zaaprobowana przez Zgromadzenie Ogólne. Latem 1982 roku, na drugiej specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego, Kraj Rad uczynił krok o znaczeniu zaiste historycznym: zobowiązał się uroczyście, że nie użyje jako pierwszy broni jądrowej. Wezwał także inne państwa jądrowe do pójsia w jego ślady.

Na XXXVIII sesji Zgromadzenia Ogólnego, jesienią 1983 roku, ZSRR podjął szereg nowych ważkich inicjatyw zmierzających w tym samym kierunku. Do rozpatrzenia przez Zgromadzenie Ogólne przedłożony został projekt *Deklaracji o potępieniu wojny jądrowej*. Zaproponowano, by Zgromadzenie na zawsze potępiło wojnę jądrową jako najpotworniejszą ze wszystkich zbrodni, jakich można się dopuścić przeciwko narodom, jako brutalne podeptanie najważniejszego prawa człowieka — prawa do życia.

Ponadto Związek Radziecki zwrócił się do rządów Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Chin z propozycją, by wszystkie mocarstwa dysponujące bronią jądrową zamroziły zbrojenia jądrowe pod względem ilościowym i jakościowym.

Na tej samej sesji Związek Radziecki wystąpił z jeszcze jedną doniosłą inicjatywą: zaproponował zawarcie układu o zakazie stosowania siły w przestrzeni kosmicznej i z kosmosu w stosunku do Ziemi. Przedłożono także projekt układu.

Takie są fakty. Dowodzą one, że ZSRR nigdy, w żadnych okolicznościach nie zaprzestawał uporczywej walki o rozbrojenie.

Wielką stanowczość przejawia strona radziecka w swym dążeniu do osiągnięcia sprawiedliwego porozumienia na rokowaniach w Genewie dotyczących zarówno ograniczenia i redukcji zbrojeń strategicznych, jak i ograniczenia zbrojeń jądrowych w Europie.

W czasie tych rokowań Związek Radziecki zaproponował zredukowanie etapami, do 1990 roku, ogólnej liczby strategicznych środków przenoszenia broni jądrowej o przeszło jedną czwartą. Spowodowałoby to wycofanie z arsenałów obu stron ponad tysiąc jednostek takich środków. ZSRR zaproponował zredukowa-

nie do jednakowych poziomów również liczby ładunków jądrowych. Byłby to wielki krok na drodze do złagodzenia konfrontacji jądrowej. Przy tym oba mocarstwa na wszystkich etapach redukcji znajdowałyby się w jednakowej sytuacji z punktu widzenia zapewnienia im bezpieczeństwa. Równowaga strategiczna między nimi zostałaby zachowana, a to jest bardzo ważna okoliczność.

W odniesieniu do zbrojeń jądrowych w Europie ZSRR zgłosił kilka ważnych propozycji. Najradykałniejsza z nich — to całkowite uwolnienie Europy od broni jądrowej zarówno średniego zasięgu, jak i taktycznej. Byłby to prawdziwy wariant zerowy.

W związku z tym, że Zachód nie zdradził gotowości pójścia na taki zdecydowany krok, Związek Radziecki wysunął inne propozycje, które doprowadziłyby do wielkiej ilościowej redukcji zbrojeń jądrowych. Obydwie strony — ZSRR i blok północnoatlantycki — miałyby jednakową, ale minimalną liczbę rakiet, głowic jądrowych i samolotów średniego zasięgu.

Propozycje te nie narażały na szwank niczyich interesów. ZSRR zawsze pragnął uwzględniać w swych propozycjach poglądy i życzenia partnerów w rokowaniach. Przejawiał on i przejawia elastyczność w poszukiwaniu konkretnych rozwiązań. Jedyną rzeczą, jakiej życzyła sobie strona radziecka, było przestrzeganie warunku: równowaga sił w Europie w dziedzinie zbrojeń jądrowych średniego zasięgu nie może być naruszona. Oznaczało to, po pierwsze, że w Europie nie powinny być rozmieszczane nowe rakiety amerykańskie, ponieważ gwałtownie uległaby zmianie na korzyść Paktu Północnoatlantyckiego cała sytuacja wojskowo-strategiczna. Po drugie, po obydwu stronach miały być wzięte pod uwagę wszystkie środki jądrowe o odpowiednim zasięgu, bez jakichkolwiek wyjątków.

Od tego słusznego żądania — jak oświadczone przedstawicielom Paktu — ZSRR nie mógł odstąpić, natomiast w odpowiedzi na podobne pryncypialne podejście gotów był przejawiać elastyczność.

Jak podkreślał Andropow, w razie rezygnacji Stanów Zjednoczonych z rozmieszczenia rakiet w Europie i wyrównania poziomów samolotów średniego zasięgu przenoszących broń jądrową ZSRR wyrażał zgodę na pozostawienie w europejskiej części kra-

ju tylko 140 rakiet SS-20, pozostałe zaś miał zniszczyć. Byłaby to liczba o wiele mniejsza niż w 1976 roku, kiedy wszyscy się zgadzali, że istnieje równowaga.

Stany Zjednoczone jednak odrzuciły i tę propozycję Związku Radzieckiego. Tym samym dowiodły raz jeszcze, że nie chcą żadnych porozumień. Nie czekając na zakończenie rokowań w Genewie, Pentagon zaczął praktycznie przerzucać do Europy nowe rakiety i prowadził forsowne przygotowania do ich zainstalowania.

W ten sposób Zachód rzucił wspólnocie socjalistycznej otwarte wyzwanie. Jak już podkreślaliśmy, ZSRR nie dąży do przewagi jądrowej, lecz nie pozwoli także, by administracja amerykańska wykorzystywała szantaż jądrowy do realizacji przeciwko niemu polityki z pozycji siły. „Jeśli, mimo pokojowych propozycji Związku Radzieckiego i protestów postępowej ludzkości całego świata, dojdzie do rozmieszczenia rakiet amerykańskich w Europie — powiedział członek Biura Politycznego KC KPZR, minister obrony ZSRR, marszałek Związku Radzieckiego Dmitrij Ustinow — kraje wspólnoty socjalistycznej też podejmą skuteczne środki zaradcze”⁶.

W bardzo skomplikowanej sytuacji międzynarodowej kierownictwo radzieckie przejawia wielkie opanowanie, konsekwencję i pryncypialność, dążąc do zachowania pokoju, zapewnienia bezpieczeństwa międzynarodowego. ZSRR nigdy i nikomu nie zagrażał, na nikogo nie napadał i nie zamierza napadać, ale umacnianie obronności Związku Radzieckiego i jego sojuszników w warunkach narastania niebezpieczeństwa wojennego ze strony Stanów Zjednoczonych, jest obiektywną koniecznością życiową.

Związek Radziecki ma dostatecznie dużo dobrej woli, by krok za krokiem zmierzać ku umacnianiu bezpieczeństwa, uzdrowieniu światowej atmosfery politycznej. Ma jednak również odpowiednie siły, by przeciwstawić się każdemu niebezpieczeństwu wojennemu.

Z nową siłą zostało to zademonstrowane całemu światu w opublikowanym pod koniec listopada 1983 roku oświadczeniu sekretarza generalnego KC KPZR, przewodniczącego Prezydium Rady Najwyższej ZSRR Andropowa. W oświadczeniu tym podkreślono, że Waszyngton, Bonn, Londyn i Rzym nie usłuchały głosu

rozsądku — na terytoriach RFN, Wielkiej Brytanii i Włoch zaczęto instalować amerykańskie rakiety średniego zasięgu. Tak więc pojawienie się na kontynencie europejskim amerykańskich *Pershingów* i pocisków manewrujących stało się faktem dokonanym.

Stany Zjednoczone zrobiły krok naruszający istniejącą w Europie względną równowagę sił militarnych, w tym również jądrowych, między państwami Paktu Północnoatlantyckiego a państwami Układu Warszawskiego.

Rozmieszczając amerykańskie *Pershingi* i pociski manewrujące na kontynencie europejskim, w pobliżu granic Związku Radzieckiego i jego sojuszników, ci, którzy powzięli tę decyzję, zapewne liczyli na to, że uda się w ten sposób stworzyć rakietowo-jądrową podstawę ogłoszonej przez Waszyngton „wyprawy krzyżowej” przeciwko socjalizmowi jako systemowi społecznemu.

Ale złudność takich rachub jest oczywista. Andropow przypomniał, że już 28 czerwca 1983 roku przywódcy partyjni i państwowi siedmiu krajów socjalistycznych oświadczyli na spotkaniu w Moskwie, że w żadnych okolicznościach nie dopuszczą do powstania przewagi militarnej bloku północnoatlantyckiego nad krajami członkowskimi Układu Warszawskiego. Potwierdzeniem tego stały się odpowiednie kroki ZSRR i jego sojuszników.

W oświadczeniu Andropowa stwierdzono, że Związek Radziecki uważa za niemożliwy swój dalszy udział w rokowaniach genewskich w sprawie zbrojeń jądrowych w Europie, ponieważ w powstałej sytuacji byłyby one jedynie osłoną zmierzającą do osłabienia bezpieczeństwa europejskiego działań Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników.

W oświadczeniu wyszczególniono konkretne przedsięwzięcia podjęte przez kierownictwo radzieckie. Ogłoszono odwołanie moratorium na rozmieszczenie radzieckich środków jądrowych średniego zasięgu w europejskiej części ZSRR. W uzgodnieniu z rządami NRD i CSRS przyśpieszone będą prace przygotowawcze do rozlokowania na terytorium tych krajów rakiet operacyjno-taktycznych o zwiększonym zasięgu. Wobec tego, że Stany Zjednoczone, rozmieszczając swe rakiety w Europie, wzmagają zagrożenie jądrowe Związku Radzieckiego, odpowiednie środki radzieckie zostaną rozlokowane w rejonach oceanicznych i morzach.

Będą one adekwatne do zagrożenia stwarzanego dla ZSRR i jego sojuszników przez rakiety amerykańskie rozmieszczane w Europie. Zostaną oczywiście podjęte i inne kroki mające zapewnić bezpieczeństwo ZSRR i innych krajów wspólnoty socjalistycznej.

Jednocześnie podkreślono, że przedsięwzięcia te utrzymuje się ściśle w granicach, jakie dyktują działania Paktu Północnoatlantyckiego. Wyraźnie sprecyzowano, że jeśli kraje tego bloku przejawia gotowość powrotu do stanu sprzed rozpoczęcia rozmieszczania w Europie amerykańskich rakiet średniego zasięgu, Związek Radziecki również będzie gotów to uczynić. W tym przypadku ponownie nabrałyby mocy także poprzednio zgłoszone przez ZSRR propozycje dotyczące ograniczenia i redukcji zbrojeń jądrowych w Europie. Zaczęłyby również działać uchylone jednostronne zobowiązania ZSRR w tej dziedzinie.

Obywatele radzieccy, ludzie dobrej woli na całym świecie z wielką satysfakcją przyjęli oświadczenie Andropowa. Wysoko ocenili zdecydowane i pryncypialne stanowisko ZSRR, które w skondensowanej formie wyrażone zostało w końcowych słowach oświadczenia: „Kierownictwo radzieckie oświadcza, że — wykonując wolę narodu radzieckiego — również w przyszłości będzie czynić wszystko, żeby oddalić groźbę wojny i utrzymać pokój dla obecnych i przyszłych pokoleń”.

Pod koniec 1983 roku Rada Najwyższa ZSRR przyjęła uchwałę *O sytuacji międzynarodowej i polityce zagranicznej państwa radzieckiego*. Najwyższy organ władzy Kraju Rad zwrócił się do Kongresu Stanów Zjednoczonych i parlamentów innych krajów Paktu Północnoatlantyckiego z apelem o wykorzystanie wszystkich swoich możliwości, by rządy tych krajów zrezygnowały z prowadzenia niebezpiecznej dla sprawy pokoju polityki „z pozycji siły”, z prób osiągnięcia przewagi militarnej. Rada Najwyższa ZSRR uroczyście oświadczyła, że Związek Radziecki nie zagraża bezpieczeństwu jakiegokolwiek kraju — ani na Zachodzie, ani na Wschodzie. Parlament radziecki ponownie donośnie potwierdził: ZSRR niezmiennie zmierza do zachowania i utrwalenia pokoju, okiełznania wyścigu zbrojeń, rozszerzenia i pogłębienia współpracy między państwami. Rozsądek może i powinien uchronić ludzkość od katastrofy jądrowej.

Karen Karagezbian

Przypisy

Do przedmowy

¹ J. Andropow, „Kommunist”, nr 3, 1983, s. 23.

² Tenże, „Kommunist”, nr 17, 1982, s. 19.

Do „Zamiast wstępu”

¹ W. Lenin, *Dzieła*, t. 28, Warszawa 1954, s. 49.

² R. Baker, *What Wilson Did at Paris*, New York 1919, s. 18.

³ F. Palmer, N. Baker, *America at War*, vol. 2, New York 1931, s. 409.

⁴ „Foreign Relations of the United States. Russia 1919”, vol. 2. s. 14.

⁵ J. Thompson, *Russia, Bolsheviks and the Versailles Peace*, Princeton 1976, s. 204.

⁶ „The New York Times”, 24 VI 1941.

Do rozdziału I

¹ J. Burns, *Roosevelt the Soldier of Freedom*, New York 1970, s. 459.

² W. Williams, *The Tragedy of American Diplomacy*, New York 1959, s. 159.

³ H. S. Truman, *Memoirs*, vol. 1, s. 415.

⁴ M. Sherry, *Preparing for the Next War*, Princeton 1977, s. 201, 205, 459.

⁵ *Dropshot. The American Plan for World War III Against Russia in 1957*, wyd. A. C. Brown, New York 1978, s. 3.

⁶ *Containment. Documents on American Policy and Strategy. 1945—1950*, wyd. T. Etzold i J. L. Gaddis, New York 1978, s. 66—68.

⁷ *Tamże*, s. 175—202.

⁸ *Dropshot*, wyd. cyt., s. 6.

⁹ *Containment*, wyd. cyt., s. 259—360.

¹⁰ *Tamże*, s. 360—365.

¹¹ H. Kissinger, *Jadziernoje orużije i wnieszniaja politika*. Przekł. z ang., Moskwa 1959, s. 79.

¹² *Dropshot*, wyd. cyt., s. 5.

¹³ H. York, *The Advisers*, San Francisco 1976, s. 34.

¹⁴ H. Stimson, M. Bundy, *On Active Service in Peace and War*, Washington 1948, s. 217.

- ¹⁵ W. Millis, H. Mansfield, H. Stein, *Arms and the State*, New York 1958, s. 229, 246.
- ¹⁶ J. F. Dulles, *War or Peace?*, New York 1957, s. 75.
- ¹⁷ *Tamże*, s. 46—246.
- ¹⁸ *Tamże*.
- ¹⁹ D. Eisenhower, *Mandate for the Change: the White House Years 1953—1956*, New York 1963, s. 453—454.
- ²⁰ J. Scott, *Political Warfare*, New York 1955, s. 19.
- ²¹ „The Department of State Bulletin”, 3 II 1958, s. 159.
- ²² R. Strausz-Hupe, W. Kintner, S. Possony, *A Forward Strategy for America*, New York 1961, s. 142.
- ²³ H. Kahn, *On Thermonuclear War*, Princeton 1961, s. 559.
- ²⁴ „The New York Times”, 10 VI 1963.

Do rozdziału II

- ¹ „Department of State Bulletin”, 9 X 1967, s. 444.
- ² „Foreign Affairs”, nr 7, 1968, s. 668.
- ³ „The New York Times”, 9 X 1967.
- ⁴ „Congressional Record”, 3 IX 1969, s. H7471.
- ⁵ „Air Force Magazine”, nr IV, 1965, s. 51.
- ⁶ P. J. Klass, *Secret Sentries in Space*, New York 1971, s. 51.
- ⁷ „Fortune”, nr 6, 1967, s. 85.

Do rozdziału III

- ¹ T. C. Schelling, *Arms and Influence*, New Haven 1966, s. 249.
- ² „Business Week”, 15 III 1969, s. 37.
- ³ „Congressional Record”, 22 II 1970, s. S2162.
- ⁴ „Department of State Bulletin”, 9 X 1967, s. 447.
- ⁵ „The New York Times”, 19 IX 1967.
- ⁶ „The New York Times Magazine”, 4 V 1969, s. 123.
- ⁷ „Congressional Record”, 18 XI 1969, s. S14520.
- ⁸ „Cuter Report”, 1972, t. V, Nr 2, s. 6.

Do rozdziału IV

- ¹ W. Kaufmann, *The McNamara Strategy*, New York 1964, s. 97.
- ² W. Kintner, *Peace and Strategy Conflict*, New York 1967, s. 46.
- ³ „Orbis”, 1974, v. XVIII, nr 3, s. 659.
- ⁴ „Department of Defense Annual Report, F. Y. 1981”, Washington 1986, s. 90.
- ⁵ „Congressional Record”, 2 VI 1969, s. H4383.
- ⁶ „Department of Defense Annual Report F. Y. 1981”, s. 66.
- ⁷ „The New York Times”, 18 VI 1981.
- ⁸ *Tamże*, 22, 26, 27, 31 V 1982.
- ⁹ „The Washington Post”, 10 X 1977.

Do rozdziału V

¹ „Problemy pokoju i socjalizmu”, nr 7, 1978, s. 118.

² „The New York Times”, 26 IV 1978.

³ „Unita”, 13 VIII 1977.

Do rozdziału VI

¹ „Air Force Magazine”, nr 6, 1968, s. 127.

² Tamże, nr 3, 1967, s. 49.

³ H. Baldwin, *Strategy for Tomorrow*, New York 1970, s. 89.

⁴ „Congressional Record”, 3 IV 1963, s. 5337.

⁵ „United States News and World Report”, 26 III 1958, s. 4912.

⁶ „Congressional Record”, 26 III 1958, s. 4912.

⁷ Tamże, 6 II 1958, s. 1552.

⁸ Tamże, 2 V 1968, s. H3250.

⁹ W. R. Kintner, *Peace and Strategy Conflict*, New York 1967, s. 44.

¹⁰ „Air Force Magazine”, nr IX, 1963, s. 71.

¹¹ „The Washington Post”, 2 IX 1963.

¹² „The New York Times”, 7 IX 1962.

¹³ „Aviation Week and Space Technology”, 30 IX 1963, s. 18.

¹⁴ R. Salkeld, *War and Space*, New York 1970, s. 10.

¹⁵ „The New York Times”, 26 II 1972.

¹⁶ „New Scientist”, 13 VII 1972, s. 19.

¹⁷ „NAM Reports”, nr 17, 1971, N. 11, s. 6.

¹⁸ „Air Force Magazine”, nr 1, 1969, s. 81.

¹⁹ „The New York Times”, 5 VII 1982.

²⁰ Tamże, 6 IV 1977.

Do rozdziału VII

¹ *Dropshot*, wyd. cyt. s. 12—13.

² „Foreign Relations of the United States, 1950”, vol. 1, s. 274.

³ H. Kissinger, *Nuclear Weapons and Foreign Policy*, New York 1957, s. 142—143.

⁴ „Foreign Affairs”, nr 4, 1967, s. 403.

⁵ „Air Force Magazine”, nr 11, 1967, s. 44.

⁶ „The New York Times”, 25 VI 1978.

⁷ „Department of State Bulletin”, 15 X 1973, s. 474.

⁸ „The New York Times”, 24 VIII 1978.

⁹ „Foreign Affairs”, Spring 1982, s. 754.

¹⁰ L. Beilenson, *Survival and Peace in Nuclear Age*, Chicago 1980, s. 38.

¹¹ „Department of State Bulletin”, nr 8, 1981, s. 18.

¹² „Newsweek”, 20 IV 1981, s. 13.

¹³ E. Kennedy, M. Hatfield, *Freeze! How You Can Help Prevent Nuclear War*, New York 1982, s. 1.

¹⁴ „International Herald Tribune”, 30—31 I 1982.

¹⁵ „Trybuna Ludu”, 30 IX 1983.

- ¹⁶ „Trybuna Ludu”, 26 IV 1983.
- ¹⁷ „Trybuna Ludu”, 23 XII 1983.
- ¹⁸ „Trybuna Ludu”, 29 IX 1983.

Do rozdziału VIII

- ¹ W. Corson, *The Armies of Ignorance*, New York 1977, s. 302, 432—433.
- ² „Foreign Relations of the United States”, vol. 1, 1947, s. 772.
- ³ „The New York Times”, 29 XI 1957.
- ⁴ H. York, *Race to Oblivion*, wyd. cyt., s. 176.
- ⁵ „The New York Times Magazine”, 4 V 1969, s. 124.
- ⁶ „Department of State Bulletin”, 31 III 1969, s. 273.
- ⁷ „Congressional Record”, 10 VII 1969, s. S7865; tamże, 7 VII 1969, s. 390.
- ⁸ „Foreign Affairs”, nr 7, 1968, s. 761.
- ⁹ „The New York Times”, 26 XII 1981.

Do rozdziału IX

- ¹ D. Eisenhower, wyd. cyt., s. 454.
- ² „Orbis”, t. XV, N. 1, s. 179.
- ³ A. Schlesinger, *A Thousand Days*, Boston 1965, s. 992.
- ⁴ „Newsweek”, 12 VII 1971, s. 31.
- ⁵ „Congressional Record”, 13 VI 1967, s. H7073.
- ⁶ Tamże, 18 II 1969, s. E1082.
- ⁷ „Indochina Chronicle”, 15 X 1971, s. 13.
- ⁸ Tamże, s. 15.

Do rozdziału X

- ¹ „Congressional Record”, 6 XI 1969, s. E9417.
- ² „Department of State Bulletin”, 22 III 1971, s. 345; 25 VI 1973, s. 932—935.
- ³ *Statement of Secretary of Defense M. R. Laird on the F. Y. 1972—76 Defense Program and the F. Y. 1972 Defense Budget*, Washington 1971, s. 2.
- ⁴ „Foreign Affairs”, nr IV, 1971, s. 430, 436.
- ⁵ H. Baldwin, wyd. cyt., s. 8, 10, 27.
- ⁶ Tamże, s. 292.
- ⁷ „Sea Power”, nr IV, 1972, s. 17.
- ⁸ Tamże, s. 18—23.
- ⁹ Nguyen Cao Ky, *Twenty Years and Twenty Days*, New York 1976, s. 7.
- ¹⁰ „Military Review”, nr III, 1970, s. 8.
- ¹¹ „The New York Times”, 31 V 1982.
- ¹² H. Baldwin, wyd. cyt., s. 26.

Do rozdziału XI

- ¹ „U. S. News and World Report”, 15 XII 1969, s. 13.
- ² „Indochina Chronicle”, 17 VIII 1969.

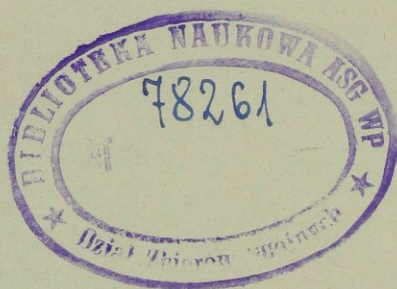
- ³ N. Krupska, *O Leninie*, Moskwa 1965, s. 57.
⁴ W. Lenin, *Dzieła*, t. 29, Warszawa 1956, s. 469.
⁵ K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 20, Warszawa 1972, s. 188—189.
⁶ „The Washington Post”, 21 I 1981.

Do posłowania

- ¹ „Prawda”, 11 XI 1983.
² „Prawda”, 18 XI 1983.
³ „Prawda”, 9 XI 1983.
⁴ „Trybuna Ludu”, 12 XI 1983.
⁵ „Trybuna Ludu”, 29 XI 1983.
⁶ „Żołnierz Wolności”, 19—20 XI 1983.

Spis treści

Do czytelnika polskiego	5
Przedmowa	6
Zamiast wstępu	9
„Totalna” jądrowa	
I Zachwyty siły	17
II „Pierwsze uderzenie”	39
III „Broń zintegrowana”	54
Ruchy wahadłowe	
IV „Gra według reguł”	73
V Cudzymi rękoma	96
VI Wizjonerzy z Pentagonu	116
Waszyngtońscy „miłośnicy pokoju”	
VII Ograniczenie zbrojeń jądrowych i coś jeszcze	145
VIII „Niebezpieczeństwo radzieckie”	173
„Broń zwykła”	
IX „Syndrom wietnamski”	203
X Od „szybkiego reagowania” do „szybkiego rozwinięcia”	223
XI „Jak króliki...”	243
Posłowie	266
Przypisy	277



RSW „Prasa—Książka—Ruch”
Młodzieżowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1986 r. Wydanie I
Nakład 9800+200 egz.
Ark. wyd. 15,25. Ark. druk. 17,75
Oddano do produkcji w kwietniu 1985 r.
Podpisano do druku w październiku 1986 r.
Prasowe Zakłady Graficzne
Kraków, Al. Pokoju 3
Zam. 1180/85. P-40

Cena zł 280,—

BIBLIOTEKA

ASG

NAUKOWA

34017